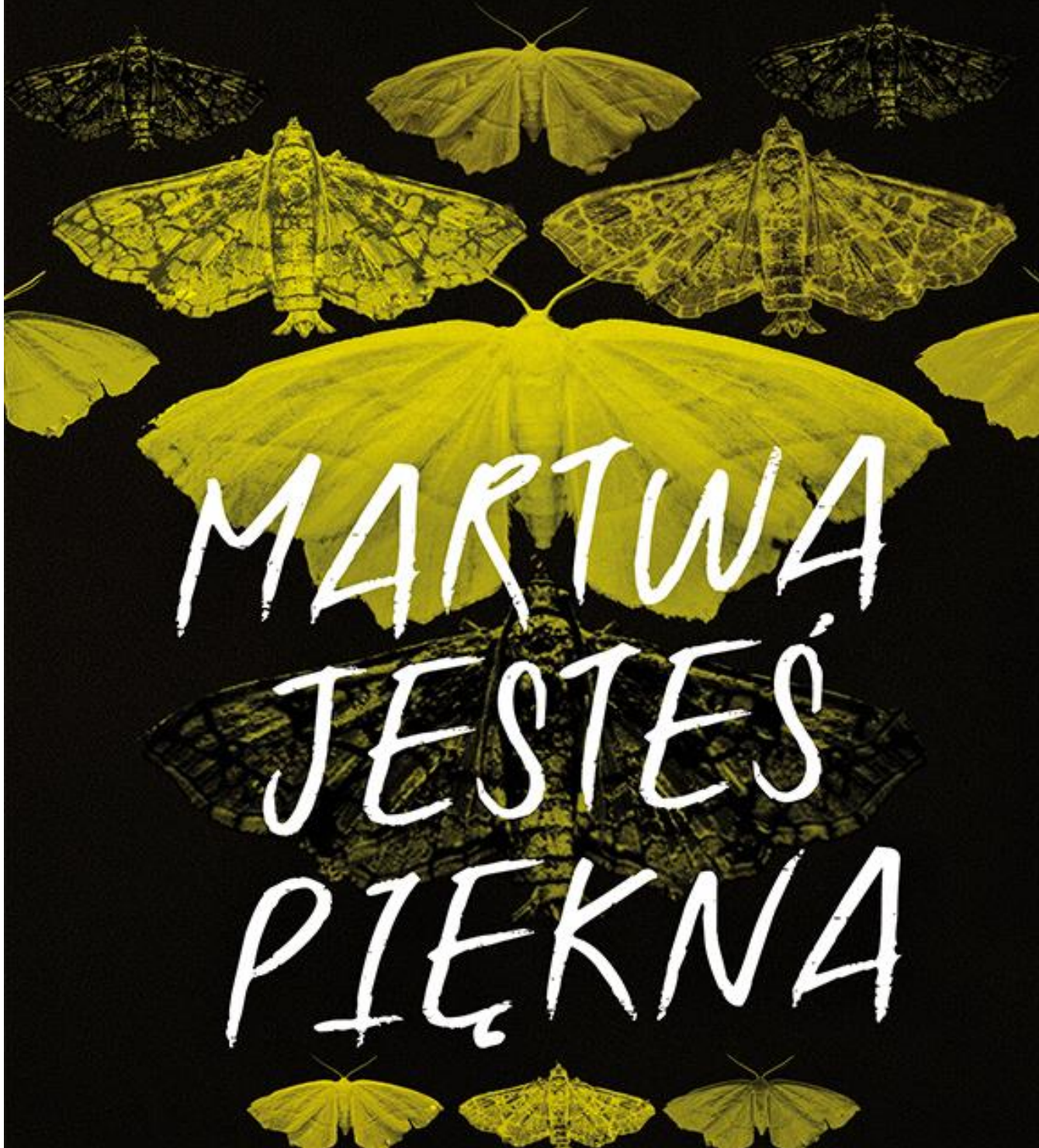


**BELINDA BAUER**



**MARTWA  
JESTEŚ  
PIĘKNA**

**MIAŁA BYĆ ŚWIADKIEM ZBRODNI.  
A MOŻE JEJ OFIARĄ...**

**BELINDA BAUER**

MARTWA  
JESTES  
PIĘKNA

PRZEŁOŻYŁ  
Paweł Wolak



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

*Dziękuję Cardiff Poker Tour za świetną zabawę i pieniądze...*

*Spójrz na piękno, które niesie ze sobą tylko śmierć.*

*Popatrz na tratwę Meduzy, na blade jak wosk ciała spoczywające beztrąsko na rozpadających się belkach, z rozwartymi pięściami i zamkniętymi oczami niewidzącymi już potworności tego świata. Wreszcie odnaleźli spokój. Ich oblicza są pogodne, podczas gdy twarze nieszczęsnych ocalonych wykrzywia grymas osłupienia.*

*Popatrz na Posłańca Śmierci, który przyszedł po Dziewczynę, na jego gnijące ciało, ledwo trzymające się kości. Spójrz, jak Dziewczyna odwraca się z pozorną tylko zgrozą, jedną ręką filuternie obejmując szkielet mężczyzny...*

*Popatrz na dwoje męczenników na arenie, właśnie dosięga ich szczerzący zęby tygrys. Oni także są piękni. I spokojni – nawet wtedy, gdy pazury przebijają ich skórę. Trzymają się za ręce pewni, że ból istnienia wkrótce minie, a oni znajdą się razem po drugiej stronie...*

*Wybitny artysta wie, jak sprawić, byśmy bez słowa skargi przeszli z tego świata do następnego. Starzy mistrzowie robili to z gracją, białymi jak porcelana dłońmi, z rzęsami opadającymi na blade policzki, w towarzystwie stoickich żalobników i tragicznych bohaterów.*

*Któż nie chciałby zostać tak zapamiętany? Któż nie cieszyłby się życiem wiecznym w świecie lepszym od tego? Któż nie pragnąłby być tak piękny?*

*Bądź ze mną szczerzy, drogi czytelniku.*

*Któż nie wolałby być martwy?*

# Część pierwsza

## 1 GRUDNIA

W nowych butach strasznie bolały ją stopy.

Layla Martin kupiła je w czwartek, choć już wtedy czuła, że cisną ją w palce.

Sto trzydzieści funtów. Jedna trzecia jej tygodniowej pensji.

Włożyła je tego samego dnia wieczorem, a potem w piątek, kiedy robiła sobie tosta z serem na kolację. W sobotę poszła w nich do pracy, chociaż zdawała sobie sprawę, że będzie jedyną osobą na ósmym piętrze, a być może i w całym budynku. Chciała je rozchodzić przed poniedziałkiem. Planowała wtedy przynajmniej dwadzieścia razy przeparadować przed szklaną ścianą biura nowego kierownika działu księgowości. Facet miał sportowy samochód i świetny tyłek, a Layla wiedziała, że na absurdalnie wysokich obcasach jej łydki wyglądają fantastycznie.

Teraz w tych samych butach biegła ile sił w nogach.

A w zasadzie uciekała w popłochu, ratując własne życie. Przynajmniej tak jej się zdawało.

Na pustej klatce schodowej rozbrzmiewał stukot jej nowiutkich szpilek przypominający serię strzałów z karabinu maszynowego. Była przerażona i nie mogła odgonić rozpaczliwej myśli, że ściga ją jakiś wariat. Jednocześnie strasznie żałowała, że nie przyszła do pracy w swoim zwykłym weekendowym stroju, czyli w dżinsach, swetrze i adidasach.

Zdawała sobie sprawę, że w zaistniałych okolicznościach wybór właściwego obuwia mógł być sprawą życia i śmierci.

\*\*\*

Mężczyzna pojawił się nagle po drugiej stronie dużego biura typu open space. Layla Martin podniosła wzrok znad pliku ToppFlyte i zobaczyła, że obok windy stoi jakiś facet. Kompletnie zaskoczona poczuła dreszcz niepokoju. To doprawdy było trochę niedorzeczne, znajdowała się przecież w centrum Londynu, w biały dzień. Była jednak całkiem sama na ósmym piętrze, a to zmieniało postać rzeczy.

Mężczyzna wyglądał normalnie. Nie było w nim nic podejrzanego. Pewnie pomylił piętra albo przyniósł jakąś przesyłkę.

– Dzień dobry – powiedziała. – W czym mogę panu pomóc?

– Jestem przyjacielem. Nie jestem dziki.

Zmarszczyła brwi.

– Może pan powtórzyć?

Zamiast odpowiedzi włożył dłoń w skórzanej rękawiczce do kieszeni płaszcza i wyciągnął nóż.

Layla Martin nigdy wcześniej nie znalazła się w prawdziwym niebezpieczeństwie, ale w tej sytuacji wahała się tylko przez ułamek sekundy. Niemal od razu zerwała się na równe nogi, złapała torebkę i zaczęła uciekać.

Mężczyzna blokował dojsię do windy, więc pobiegła w stronę schodów.

Nie krzyczała. Gdy wyobraziła sobie, jak jej głos odbija się echem na klatce schodowej, ogarnął ją jeszcze większy strach. Starła się nie wpaść w panikę. Wiedziała, że musi myśleć. Biegła tak szybko, jak to tylko możliwe, mimo że miała na sobie te cholerne buty. Żeby nie stracić równowagi, trzymała się kurczowo pokrytej czarnym plastikiem poręczy. Patrzyła pod nogi, a przed jej wytrzeszczonymi oczami przesuwał się rozmyty obraz kolejnych stopni. Musiała bardzo się koncentrować, żeby nie upaść. Długie blond włosy wciskały się jej do ust, a torebka objęła o biodro.

Na czwartym piętrze powinien ktoś być. Kiedyś jechała windą z kobietą, która wysiadła na tej kondygnacji, narzekając, że musi pracować w weekendy.

Layla zatrzymała się na półpiętrze. Była zdyszana i zasapana, ale uspokoiła oddech i zaczęła nasłuchiwać.

Nic. Cisza.

Może ten facet wcale jej nie ściga? Może w ogóle nie miał takiego zamiaru? A co jeśli tylko jej się wydawało, że widzi nóż w jego ręce?

Nie, przecież on...

Zaczęła zbiegać, tym razem wolniej, ponieważ nogi miała jak z waty i bolały ją poobcierane palce.

Otworzyła drzwi pożarowe oznaczone ogromną cyfrą cztery i ostrożnie wyszła na korytarz.

– Halo!

Nadjechała winda. Rozsunęły się drzwi. W środku stał mężczyzna. Był spokojny i nie wykonał żadnego ruchu. W opuszczonej ręce trzymał, jak gdyby nigdy nic, nóż – tak, to bez wątplenia był nóż!

Uśmiechnął się.

Layla wydała z siebie okrzyk przerażenia. Zatrwożona nie wierzyła własnym oczom. Zamachnęła się torebką. Mierzyła w głowę, ale chybiła i na mężczyznę spadł tylko deszcz drobnych przedmiotów. Kątem oka zobaczyła, jak napastnik robi unik i się kuli. Wypadła na klatkę schodową i biegiem ruszyła w dół.

Na kolejnym półpiętrze zrzuciła buty i zostawiła je na podłodze.

O wiele lepiej.

Nie należała do szczególnie wysportowanych kobiet, ale była młoda i szczupła. Bez tych cholernych szpilek poczuła się nagle wyjątkowo zwinna. Wreszcie udało jej się złapać właściwy rytm. Prawie nie dotykała schodów i pokonywała piętra w pięciu, sześciu susach. Na zakrętach mocno łapała za poręcz i obracała się z impetem o sto osiemdziesiąt stopni, żeby jak najszybciej minąć następny betonowy podest. Gdzieś za jej plecami trzasnęły drzwi. To było jednak daleko.

Nie dopadnie jej. Na pewno jej nie dopadnie. Na sto procent uda jej się wymknąć z zasadzki.

Poczuła, jak dławiony w gardle szloch zmienia się w histeryczny śmiech. Miała na nogach pończochy i jej stopy ślizgały się na stopniach, ale ona potrafiła to wykorzystać. Świetnie sobie radzisz, maleńka! Wszystko jest pod kontrolą.

Biegnij, podskocz, złap za poręcz, potem poślizg i obrót... Biegnij, podskocz, złap za poręcz, potem poślizg i obrót...

To było jak zjazd z wysokiej zjeżdżalni bez żadnych zabezpieczeń, za to z dreszczykiem grozy. Ale nie szkodzi, przecież wiedziała, że wszystko dobrze się skończy.

Tłumiąc szaleńczy śmiech, szarpnęła za drzwi oznaczone literą P i wbiegła do przestronnego jasnego lobby z błyszczącą wyfroterowaną podłogą. Odwróciła się w stronę wyjścia, ale poślizgnęła się, straciła równowagę i z hukiem runęła na prawy bok. Nim jednak zdążyła zarejestrować upadek, już stała na nogach.

Wyjście było tuż-tuż.

Ocalenie miała w zasięgu wzroku. Nawet bardziej niż w zasięgu wzroku...

Stała przed ogromną panoramiczną szybą.

Coldharbour to nowy biurowiec. Wielkie eleganckie lobby z błyszczącymi ścianami i marmurową podłogą pachniało bardziej budową niż ludźmi. Elewacja była w całości wykonana z szarego dymionego szkła, przez które z zewnątrz nie było nic widać. Layla stała jednak w środku, jakieś trzydzieści metrów od drzwi wejściowych, skąd widziała Oxford Street jak na dłoni – tłum ludzi szedł właśnie na świąteczne zakupy, wydeptując ścieżki w brudnym śniegu.

Ruszyła biegiem do wyjścia, wciskając rękę pod pachę, żeby sięgnąć do torebki. Palce Layli zaczęły nerwowo przeszukiwać jej zawartość. W nietypowym dla siebie pośpiechu chwytiała i wypuszczała z palców kolejne przedmioty.

Klucze. Klucze!

W weekendy pracownicy musieli sami otwierać i zamykać drzwi. Chodziło o zmniejszenie wydatków na ochronę czy coś w tym stylu. Te sukinsyny oszczędzały na wszystkim. Była ciekawa, co powiedzą o cięciu kosztów, gdy usłyszą o tym drobnym incydencie...

Za jej plecami rozległ się trzask. Odwróciła się i zobaczyła, że mężczyzna stoi przy wejściu na

klatkę schodową.

Nie szedł w jej kierunku, nie biegł, po prostu stał i patrzył, jak Layla wymyka mu się z zasadzki. Zaczęła się histerycznie śmiać.

– Odpierdol się ode mnie! – wrzasnęła piskliwie. – Odpierdol się!

Gdzie są te cholerne klucze?

Wreszcie usłyszała znajomy brzęk i przez ułamek sekundy była już na Oxford Street, otoczona ubłoconym nieco przepychem ulicy. Wyobraziła sobie, że stoi na zatłoczonym chodniku obok tlenionej blondynki i jej córki, najwyraźniej fanki gotyckiego rocka, po czym rusza przed siebie i mija opartego plecami o szklaną elewację młodego faceta z bukietem tanich kwiatów w ręku. Mężczyzna rozgląda się dookoła, szukając w tłumie osoby, na którą czeka. Layla niemal czuje, jak płatki mokrego śniegu topią się na jej rozgrzanych policzkach...

I właśnie wtedy zdała sobie sprawę, że brzęk metalu dobiega zza jej pleców.

Powoli obejrzała się przez ramię, cały czas trzymając jedną rękę w torebce.

Mężczyzna miał jej klucze.

Być może dostał nimi w głowę, kiedy próbowała go uderzyć. Niewykluczone, że w ogóle nie włożyła ich do torebki i zostawiła je na biurku, a on po prostu je stamtąd zabrał.

Teraz nie miało to już jednak żadnego znaczenia.

To on trzymał je w ręku.

Nie ona.

Uśmiechnął się pod nosem i ponownie podrzucił metalowy pęk kilka centymetrów w górę. Kiedy go złapał, rozległ się dźwięk przypominający uderzające o siebie monety. Layla była wystarczająco blisko, żeby dostrzec charakterystyczny breloczek. Dostała go od swojej współlokatorki. Dougie kupiła go na stacji benzynowej na Old Kent Road, na której często razem bywały. Breloczek w kształcie Lisy Simpson leżał idealnie w odzianej w czarną rękawiczkę dłoni nożownika.

Specjalnie ją tutaj przyprowadził.

Zrozumiała to dopiero teraz, lecz było już za późno.

Mógł ją zabić na ósmym piętrze, mógł to zrobić cztery kondygnacje niżej. Nic nie stało też na przeszkodzie, żeby ją złapał na klatce schodowej i właśnie tam zamordował. Ale zamiast tego zagonił ją tutaj, jak głupią owcę z programu telewizyjnego o pasterzach i psach rasy collie.

Była to w stanie wyczytać z jego niczym niewyróżniającej się twarzy: znaleźli się dokładnie tam, gdzie chciał, w jasnym, przestronnym pomieszczeniu, za którego oknami przechodzili ludzie.

– Bądź dobrej myśli – powiedział. – Nie jestem dziki.

Chociaż mówił dość cicho, jego głos wypełniał marmurowe lobby, przez co miała wrażenie, jakby otaczał ją ze wszystkich stron.

Mężczyzna schował klucze do kieszeni i ruszył powoli w stronę Layli. Szedł pewnym krokiem, z rękami zwisającymi swobodnie wzdłuż tułowia.

– Nie przychodzę karać – mruczał pod nosem, a jego słowa muskały Laylę niczym powiew delikatnej bryzy.

Odwróciła się i zaczęła walić pięściami w drzwi. Budynek był jednak nowy, nic się jeszcze nie odkształciło, nie rozległ się żaden stukot, a bezduszne szkło pochłaniało każdy dźwięk i nie wypuszczało nic na zewnątrz.

Layla wzięła najgłębszy wdech od chwili, gdy powietrze wypełniło jej płuca po raz pierwszy, czyli od dwudziestu czterech lat, i wrzasnęła.

Niestety była w stanie wydobyć z siebie jedynie zdławiony pisk, który przemknął po przepastnym lobby niczym uciekająca w popłochu biała mysz. Spróbowała jeszcze raz, ale gardło miała tak ściśnięte, że powietrze z trudem się przez nie przeciskało.

Ogarnięta paniką oparła się plecami o zimną szybę – niewiele ponad centymetr szkła oddzielał ją od miejsca, gdzie ludzie byli bezpieczni – i czekała, aż mężczyzna zaatakuje.

Zrobił to.

– W ramionach mych błogo będziesz spać – wyszeptał ciepłym głosem.



Aż do ostatniej chwili Layla Martin nie wierzyła, że rzeczywiście zostanie zamordowana. Była przekonana, że coś ją uratuje.

Ale tak się nie stało.

\*\*\*

Nóż wszedł w ciało i popłynęła ciepła krew, zalewając jego ręce. Ogarnęła go radość tworzenia. Na początku dziewczyna rzucała się po podłodze jak ryba wyciągnięta z wody, jednak kiedy zrozumiała swoją sytuację, uspokoiła się i umarła tak jak powinna.

Pięknie.

Patrzyła na niego oczami pełnymi wdzięczności, aż w pewnym momencie jej spojrzenie zgasło.

Kiedy zrobiła się pusta w środku, poczuł, że coś go wypełnia.

Po raz pierwszy od bardzo dawna zaczęło bić jego serce. Westchnął z ulgą i rozplakał się.

– Dziękuję – łkał do jej pokrytego zakrzepłą krwią ucha. – Dziękuję.

Wiedział, że zrobi to znowu.

Chciał tego. Potrzebował.

Nie mógł się doczekać następnego razu.

Eve Singer zwróciła śniadanie do lśniącego białą sedesu. Tost z pastą Marmite.

Kłęcząca na wypolerowanej czarnej podłodze, opierając policzek o krawędź miski klozetowej. Złapała w garść swoje długie ciemne włosy i przytrzymała je na karku, jednocześnie zastanawiając się, czy zwymiotuje też wczorajszą kolację, czyli chińskie danie na wynos. Jej żołądek najwyraźniej nie mógł się zdecydować, a ona gapiała się tępym wzrokiem na napis biegnący pod krawędzią sedesu: Armitage Shanks.

Jakość.

Od kiedy zaczęła pracę w iWitness News, wymiotowała do wielu klozetów i traktowała Armitage Shanks jak starego znajomego, którego chłodna porcelanowa dłoń dawała jej wsparcie, gdy jęcząc i postępując, puszczała kolejnego pawia. Była też pani Twyforde i doktor Imperial oraz kilku pomniejszych producentów, których nazwy udało jej się zapamiętać przez te wszystkie lata, ale zawsze najlepiej czuła się, rzygając do klozetów marki Shanks.

Praca telewizyjnej reporterki kryminalnej była ekscytująca, jednak na widok krwi zawsze robiło jej się niedobrze. Po trzech latach oglądania drastycznych scen udało jej się doprowadzić technikę wymiotowania niemal do perfekcji.

Dzisiaj było naprawdę nieźle.

Stojąc na Oxford Street, nie była w stanie niczego dojrzeć, ponieważ szyby nie przepuszczały światła. Po nagraniu wstępniaka wśliznęła się do środka bocznym wejściem pilnowanym przez jakiegoś gliniarza żółtodzioba, który był zupełnie bezradny wobec jej ulubionej techniki przekonywania będącej swoistą mieszanką pochlebstw i gróźb. Jej kamerzysta Joe Ward nazywał to „słodkim straszeniem”.

Kiedy policjant wpuścił ją do biurowca, Eve natychmiast pożałowała, że to zrobił.

Ciało co prawda usunięto, ale widok tego, co zostało, zrobił swoje.

Zanim żołądek Eve wykręcił się na drugą stronę, zdążyła zarejestrować niesamowitą ilość krwi: obryzgane ściany ze szkła, a na podłodze wielkie rdzawoczerwone jezioro. Wyglądało to tak, jakby jakiś potwór złapał dziewczynę w swoje wielkie łapy i wycisnął jak tubkę pasty do zębów. W miejscu, w którym morderca wyszedł z jeziora na marmurowy ład, widać było ślady prowadzące do głównego wejścia.

Na samo wspomnienie tego widoku złapał ją kolejny odruch wymiotny. Ciężko dysząc, oparła głowę o krawędź sedesu i starała się myśleć o gwiazdach i kucykach. Naprawdę nie było łatwo. W dziale personalnym nazywali takie sprawy „tłuczonym mięsem”. Niekończąca się procesja ciał, czarnych worków i plam krwi.

Eve miała dwadzieścia dziewięć lat, ale w takich chwilach czuła się, jakby przekroczyła czterdziestkę. Zdążyła się już dorobić wrzodu, który dokuczał jej w stresujących sytuacjach. W gruncie rzeczy nie była pewna, czy to wrzód. Sama postawiła tę optymistyczną diagnozę, ponieważ nie miała czasu, żeby iść do lekarza.

– Wszystko w porządku?

Za drzwiami toalety rozległ się męski głos.

Uniosła głowę znad muszli klozetowej, ale tylko na tyle, żeby syknąć:

– A jak ci się, do cholery, wydaje?

Położyła policzek na chłodnej porcelanie i poczuła, jak zimny pot schnie jej na karku.

Pieprzony Guy Smith.

Nienawidziła, gdy ludzie orientowali się, że dostaje mdłości na widok krwi. W tej branży trzeba być twardzielem. Jeśli wyczują, że jesteś miękka, odstrzelą cię jak ranną antylopę.

Szpecially jeśli jesteś samica.

Splunęła i skrzywiła się. Jej żołądek najwyraźniej uznał, że na razie wystarczy, więc powoli podniosła się z podłogi, spuściła wodę i otworzyła drzwi.

Guy Smith z News 24/7 stał przed lustrem oświetlonym fikuśnymi żarówkami i sprawdzał sobie

brwi.

Eve wypłukała usta, umyła twarz i wyciągnęła papierowy ręcznik z podajnika.

– Porzygać się można, co nie? – powiedział Guy.

Przez chwilę popatrzyła na swoje odbicie i odburknęła:

– Zjadłam wczoraj jakieś podejrzone curry i tyle.

Guy uśmiechnął się chytrze i wskazał kciukiem na drzwi.

– Miałem na myśli tego popaprańca, który to zrobił. Można się porzygać.

Eve obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem. Nie miała do niego za grosz zaufania. Był zarozumiały jak nastolatka i kłamał jak najęty. Na dodatek zazwyczaj mówił, gapiąc się na jej piersi, jakby to cycki były zwierciadłem duszy. Zgniotła papierowy ręcznik w kulkę i wrzuciła go do kosza na śmieci.

– Co ty tutaj robisz, Guy?

Wzruszył ramionami.

– Żyjemy w wolnym kraju. Przynajmniej tak mi się wydawało.

– Ale to damska toaleta.

Guy oblizał kciuk i wygładził lekko zwichrzoną brew.

– Zawsze jesteś taka drażliwa?

– Tak.

Eve poprawiła swoje czarne spodnie i wyszła na korytarz w nadziei, że Guy zostawi ją w spokoju.

Niestety ruszył jej śladem przez przestronne lobby, w którym kłębił się tłum policjantów i specjalistów medycyny sądowej. Było już późno i za przeszkloną fasadą migotały lampki świątecznej iluminacji Oxford Street.

Dwóch funkcjonariuszy stało pograżonych w rozmowie nad ciemnoczerwoną kałużą powstałą w miejscu, w którym wykrawiała się ofiara. Jednym z nich był inspektor Huw Rees. Nie przepadał za dziennikarzami, więc Eve i Guy przemknęli pod ścianą, nie odzywając się ani słowem.

Kiedy wyszli na ulicę, Guy ruszył przed siebie, natomiast Eve zwolniła kroku i uśmiechnęła się do młodego policjanta, który wpuścił ją do środka.

– Dziękuję. Jestem ci winna drinka. – Sięgnęła do torebki. – Mam na imię Eve – oznajmiła, chociaż on zapewne już to wiedział. – Oto moja wizytówka.

To była całkiem fajna wizytówka. Sama ją zaprojektowała: czarne tło, biała czcionka i rozbryźnięta plama krwi w jednym rogu.

EVE SINGER

iWITNESS NEWS

REPORTERKA KRYMINALNA

– Dzięki.

– Z tyłu znajdziesz numer mojej komórki. Daj znać, jakbyś natrafił na coś interesującego.

– Okay – powiedział z entuzjazmem w głosie. – Na pewno tak zrobię.

Wiedziała, że nie kłamie. To nie był jej pierwszy raz. Zawsze oddzwaniali, a wtedy zabierała ich na drinka i przekonywała, że w walce z przestępczością stoją po tej samej stronie. To zwykle wystarczało, żeby była pierwszym cywilem, z którym kontaktowali się, gdy dochodziło do jakiejś krwawej zbrodni. Musiała utrzymywać siatkę informatorów, ponieważ bez tego nie byłaby w stanie wykonywać swojej pracy. Policjanci, sanitariusze, strażacy, funkcjonariusze biura koronera i woźni sądowi. Traktowała ich jak zabezpieczenie w trudnych sytuacjach – umożliwiali jej wstęp do różnych miejsc, mogli przymknąć na coś oko, konspiracyjnie mrugnąć i skinąć głową. Potrzebowała tego, szczególnie wtedy, gdy chciała uzyskać przewagę nad konkurencją. W poprzednie święta Bożego Narodzenia kupiła kierowcy karetki Mandy'emu Flynnowi butelkę różowego szampana, a dziś Mandy wyjawiał jej nazwisko zamordowanej dziewczyny. Wieczorem iWitness News pokaże zdjęcie Layli

Martin, na News 24/7 ciągle będą mówić o „dwudziestoczteroletniej kobiecie”, a Eve nie straci pracy.

Przynajmniej przez następne kilka dni.

Zacząła w myślach planować kolejne godziny: co trzeba zrobić i do kogo zadzwonić. Pierwsza na liście zawsze była pani Solomon. Nie było szans, żeby Eve wróciła do domu przed północą, a to oznaczało podwójną stawkę dla opiekunki.

Nic nie można było z tym zrobić. Morderstwo to morderstwo.

Guy Smith zrównał się z nią.

– Wiesz już, kim ona jest? – zapytał, ale po chwili się poprawił: – Znaczą kim była.

Eve tylko wzruszyła ramionami. Jeśli chciała wygrać, Guy musiał przegrać. Takie były reguły gry i wszyscy to rozumieli.

Chociaż minęło dopiero wpół do szóstej, zrobiło się już całkiem ciemno. Świąteczna iluminacja Oxford Street sprawiała, że ulica wyglądała jak plan filmowy, na którym kręcono jakiś klimatyczny thriller: ciekawscy przechodnie i podpici uczestnicy korporacyjnych imprez wyciągali szyje, żeby zobaczyć coś, czego tak naprawdę woleliby nie widzieć.

– Bierzemy razem taksówkę? – zapytał Guy i zaczął machać ręką. – Mój małpizson gdzieś się ulotnił.

Miał na myśli kamerzystę, który zabrał się bez niego. Joe również zniknął, ale dla Eve nie był to żaden problem. Zawsze najpierw nagrywała materiał, a dopiero potem wymiotowała.

– Nie jedziemy w tę samą stronę. – To była prawda. Chciała jeszcze zajrzeć do redakcji i przygotować reportaż o Layli Martin do porannego serwisu informacyjnego.

– A może ja jadę tam gdzie ty? – powiedział i puścił do niej oko.

Wcale jej to nie schlebiało. Guy Smith flirtował z kim popadło, a Eve nawet nie była w jego typie. W zeszłym roku przyszedł na ceremonię wręczenia nagród NTS z rozchichotaną nastolatką, która wyszła z bankietu kompletnie pijana, trzymając buty w rękach.

Guy otworzył drzwi czarnej taksówki i wykonał zapraszający gest.

– Dobranoc – powiedziała Eve i ruszyła przed siebie rozświetloną ulicą. Oxford Street wyglądała jak bożonarodzeniowa widokówka.

Po wyjściu ze stacji Osterley czekał ją jeszcze dwudziestominutowy spacer do domu. Droga prowadziła przez spokojne uliczki, wzdłuż których stały bliźniaki zamieszkałe przez klasę średnią. W tej okolicy ludzie potrafili się skrzyknąć, żeby ratować starą budkę telefoniczną, ale nigdy się nie odwiedzali. Chodniki były starannie odśnieżone i posypane solą, w oknach mrgały lampki choinkowe, na drzwiach wejściowych wisiały wieńce z sosnowych szyszek, a do furtek przymocowano tabliczki z napisem: „Mikołaju, zatrzymaj się tutaj!”. Na Wielkanoc zdobiono trawniki króliczkami i jajkami, a na Halloween wystawiano dynie.

Półgodzinna jazda metrem i Eve mogła poczuć się jak w Narni.

Z jednym wyjątkiem – od bladego świtu do jedenastej wieczorem co dwie minuty nad Isleworth rozlegał się ogłuszający huk lądującego samolotu pasażerskiego. W drodze na Heathrow maszyny przelatywały tak nisko i tak wolno, że Eve była w stanie dostrzec bieżnik na ich oponach. Między lądowaniami robiło się cicho jak makiem zasiał i hałas wywołany przez następny odrzutowiec był zawsze wielkim zaskoczeniem dla zmysłów. Ludzie, którzy kupowali domy w tej okolicy, albo szybko się przyzwyczajali, albo zmieniali miejsce zamieszkania. Tubylcy byli przystosowani do tego kołyszącego rytmu jak marynarze do falującego morza. Potrafili spokojnie spać, kiedy nad ich głowami dudniły silniki odrzutowe, ale budził ich płacz dziecka. Rozmawiali ze sobą, wykorzystując dwuminutowe interwały, i nawet nie próbowali przekrzykiwać hałasu – po prostu przerywali w połowie zdania, a potem kontynuowali z doskonałym wyczuciem czasu lub wyrażali swoje myśli, używając gestów i uśmiechów. Nie zwracali uwagi na sunące w powietrzu jumbo jety, których podwozia niemal zahaczały o korony drzew, a skrzydła zdawały się mieć rozpiętość trzech ulic. Gdyby z jakiegoś powodu wszystkie samoloty nagle spadły z nieba, mieszkańcy Isleworth i Hounslow poczuliby, że z ich świata zniknęło coś ważnego – chociaż pewnie dopiero po dłuższej chwili zorientowaliby się, czego im tak naprawdę brakuje.

Morderstwo, którego ofiarą padła Layla Martin, sprawiło, że był to dla Eve wyjątkowo długi dzień. Wracała do domu już po zamknięciu pasa startowego na Heathrow.

Bez przelatujących co chwilę samolotów zrobiło się osobliwie cicho. Eve poczuła dziwny niepokój.

Była wyraźnie podenerwowana.

Jej uszy, przyzwyczajone do pojawiającego się w regularnych odstępach potężnego huku, zrobiły się wyjątkowo wrażliwe.

I właśnie dlatego już z daleka usłyszała czyjeś kroki.

Ktoś za nią szedł, ale niezbyt blisko, więc nie odwróciła się, żeby sprawdzić, kto to. Od domu dzielił ją pięciominutowy spacer. Pokonała tę trasę już z tysiąc razy. To była jej ulica i mieszkali tutaj jej sąsiedzi. Za chwilę dojdzie do stojącej pod domem latarni i czerwonej budki telefonicznej.

Czuła się bezpieczna.

Prawie bezpieczna.

Przyspieszyła nieco kroku, próbując sobie wmówić, że jest zimno i chciałaby szybciej znaleźć się w ciepłym mieszkaniu. Zdawała sobie sprawę, że zrobiła się nerwowa z powodu tego brutalnego morderstwa.

Po chwili zorientowała się, że osoba idąca za jej plecami również przyspieszyła.

Kroki zrobiły się głośniejsze i jakby bardziej zamaszyste.

Nieznajomy był coraz bliżej (to na pewno mężczyzna; w takich sytuacjach to zawsze jest mężczyzna).

Zbyt blisko, żeby Eve mogła się tak po prostu odwrócić, nie okazując strachu. Z jakiegoś niejasnego dla niej powodu nie miała ochoty zdradzić, że się boi. Chciała zachować całkowitą pewność siebie i udawać, że jest pierwsza po południu, obok przejeżdżają samochody, a młode matki z wózkami idą do szkoły, żeby odebrać stamtąd swoje starsze latorośle... Była jednak pierwsza w nocy, wszyscy

spali, a między drzewami i zaparkowanymi autami majaczyły tajemnicze cienie rzucane przez uliczne latarnie.

Zaczęła iść jeszcze szybciej.

Mężczyzna zrobił to samo.

Poczuła, że serce podchodzi jej do gardła.

Jeśli ten facet nie ma złych zamiarów, to dlaczego tak się zachowuje? Jest środek nocy, a on depcze po piętach samotnej kobiecie. W najlepszym razie chce ją wystraszyć. Naprawdę jest tak głupi, tak niczego nieświadomy?

On doskonale wie, co robi.

Jakieś sto metrów przed sobą, w blasku latarni Eve zobaczyła otaczający jej dom żywopłot. Rzucił się w oczy, ponieważ w porównaniu ze starannie przystrzyżonymi żywopłotami sąsiadów był raczej zaniedbany.

Powinna kupić elektryczne nożyce albo wynająć kogoś z takim sprzętem.

Skupiła wzrok na postrzępionych krzakach ligustru. Wyobraziła sobie, że wyciąga rękę i otwiera furtkę, ale nie była w stanie powstrzymać paraliżującego strachu.

Mężczyzna znajdował się tuż za nią. Nawet idiota nie zbliżyłby się na taką odległość. Był wystarczająco blisko, żeby złapać za końcówkę jej wełnianego szalika i mocno pociągnąć, żeby straciła równowagę...

Wystarczająco blisko, żeby ją zabić.

Nie wyjdzie z tego cała!

Całe szczęście udało jej się uruchomić resztki rozumu i w ułamku sekundy zrozumiała, że nie ma najmniejszych szans, że nie dojdzie do żywopłotu, nie otworzy bramki i nie schroni się u siebie w mieszkaniu. Jej cała przyszłość stanęła pod znakiem zapytania.

Kiedy zdała sobie z tego sprawę, miała ochotę krzyknąć z rozpacz.

Ale zamiast tego błyskawicznie się odwróciła i stanęła twarzą w twarz z mordercą.

– Przepraszam – powiedziała.

Mężczyzna stanął jak wryty. Niewiele brakowało, żeby na siebie wpadli. Miał na sobie czarną kurtkę, ciemny szalik zasłaniający dolną połowę twarzy i bluzę z kapturem rzucającym cień na jego oczy.

– Mogę pana prosić o przysługę? – zapytała.

Nie wiedziała wcale, czy da radę się odezwać, a tu proszę, wydusiła z siebie kilka słów! Naprawdę coś powiedziała! I to bardzo spokojnym tonem. W środku dosłownie trzęsła się ze strachu, ale jej głos ani przez moment się nie załamał i nie było w nim słyhać żadnego wahania. Zachowywała się tak, jak gdyby był środek dnia, a obok paradowały matki z dziećmi.

Udało jej się nawet uśmiechnąć.

– Po okolicy kręci się tylu szajbusów – dodała.

Jej słowa zawisły na chwilę w zimnym powietrzu.

Normalny człowiek jakoś by zareagował. Uśmiechnąłby się, skinął głową i odpowiedział: Tak, to prawda, szajbusów nigdzie nie brakuje...

Mężczyzna jednak milczał.

Eve miała wrażenie, że jej mózg zamienił się w bryłę ołowiu, ale na szczęście zadziałał instynkt.

– Czy wobec tego – kontynuowała – mógłby mnie pan odprowadzić do domu?

Nieznajomy wyraźnie się wzdrygnął, a w świetle latarni w jego oczach pojawił się dziwny błysk.

– To niedaleko, na tej samej ulicy – wyjaśniła. – Czułabym się o wiele bezpieczniej, gdyby mi pan towarzyszył. – Nie miała pojęcia, skąd wzięła ten głupi pomysł, ale było już za późno, żeby się wycofać.

Mężczyzna zaczął się kołysać – najpierw w przód, a potem w tył – jakby miał zamiar wziąć nogi za pas.

Albo zaatakować.

Wreszcie się odezwał. Miał niski głos, stłumiony przez szalik, który zasłaniał mu usta.

– Okay.

– Dziękuję – powiedziała Eve.

Rozsądek nakazywał kopnąć nieznajomego w krocze i uciekać ile sił w nogach... Ale zamiast tego odwróciła się bokiem i pochyliła lekko głowę, dając mu do zrozumienia, że powinien zrównać się z nią krokiem.

Po chwili wahania mężczyzna ruszył do przodu.

Szli obok siebie w milczeniu. Minęli budkę telefoniczną i latarnię, po czym zatrzymali się przed zaniedbanym żywopłotem i drewnianą furtką.

Eve wśliznęła się do ogródka, odwróciła na pięcie, żeby zamknąć za sobą bramkę i opuścić zasuwkę. Zrobiła to wszystko jednym, błyskawicznym ruchem.

Ze strachu wciąż z trudem łapała oddech, ale postanowiła jeszcze raz spojrzeć na nieznajomego.

A on po prostu... stał. I w ogóle się nie ruszał.

– Dziękuję – powiedziała. – To było miłe z pana strony.

Mężczyzna przez chwilę się wahał, po czym skinął lekko głową i burknął:

– Tak.

– W takim razie dobranoc – powiedziała.

Cisza.

– Wesołych Świąt!

Żadnej reakcji.

Wzięła głęboki oddech i zmusiła się, żeby ruszyć w stronę drzwi normalnym krokiem, jak ktoś, kto w ogóle się nie boi.

Kiedy szła ścieżką, poczuła na skórze ciarki. Ze strachu huczało jej w głowie, jakby właśnie lądował pasażerski odrzutowiec. Włożyła rękę do kieszeni i chwyciła klucz do zamka typu yale. Wsunęła go między palce tak, że wystawał między knykciami, przypominając ostrze noża, którym można było coś przebić albo przeciąć.

Usłyszała za plecami skrzypnięcie otwieranej furtki i jakiś szósty zmysł podpowiedział jej, że mężczyzna wtargnął na teren posesji. Była przekonana, że za chwilę zostanie popchnięta i upadnie na utwardzoną ścieżkę. Wyobraziła sobie, że uderza głową o beton, a morderca rzuca się jej na plecy. Niemal poczuła zapach mokrej ziemi i miała wrażenie, że dotyka policzkiem zimnych chwastów...

Błyskawicznie się odwróciła, z palcami zaciśniętymi na kluczu.

Była przerażona, ale pałała żądzą krwi.

Mężczyzna zniknął.

Wśliznęła się do domu i jak gekon przyłgnęła do drzwi. Bała się, że zamek i zasuwka mogą nie powstrzymać napastnika. Jej oddech był krótki i nierówny, nie czuła nóg.

W salonie grał telewizor. Jakaś durna muzyczka i sitcomowy śmiech z taśmy.

Przez długą minutę wsłuchiwała się w bicie swojego serca, a potem powoli odkleiła się od drzwi. Była w domu i nie groziło jej już żadne niebezpieczeństwo.

Odzyskała czucie w nogach.

Teraz, kiedy było już po wszystkim, zrobiło jej się głupio.

Zaczęła chichotać.

Biedny koleś! Na pewno nieźle go wystraszyła! Odwróciła się i poprosiła, żeby odprowadził ją do domu! Nic dziwnego, że tak szybko się zwinął. Naprawdę miała nierówno pod sufitem!

Znowu zaniósła się śmiechem. Nadal była roztrzęsiona, ale pomału dochodziła do siebie.

Zdjęła szalik, rękawiczki i płaszcz. Lęk zaczął ustępować i rozpraszać się w zakamarkach jej codziennego życia. Weszła do salonu.

Pani Solomon siedziała na sofie i dziergała na drutach jakiś bliżej niesprecyzowany niebieski przyodziewek. Była potężnie zbudowaną kobietą z zaczątkami wąsów jak u doktora Fu Manchu, grubymi ramionami i miękką jasną skórą. Wyglądała, jak gdyby była zrobiona z gotowego do rozwałkowania, surowego ciasta.

– Cześć – wyszeptała Eve. – Zasnął?

– Tak, dopiero co – powiedziała pani Solomon, wymownie zawieszając głos. Chciała w ten sposób podkreślić, że nie tylko zasłużyła na każdego pensa swojego wynagrodzenia, lecz także powinna dostać pieniądze za całą dodatkową godzinę, mimo że było zaledwie pięć po pierwszej.

Eve nawet nie próbowała się z nią spierać. Była na to za bardzo zmęczona. Podziękowała, wręczyła jej banknoty, po czym otworzyła drzwi. Odruchowo zrobiła krok w tył, ale na zewnątrz nikogo nie było. W ogródku nie czyhał morderca z siekierą planujący rozplatać panią Solomon na pół, a potem spustoszyć cały dom.

Czego się spodziewała? Facet, którego spotkała na ulicy, był całkiem normalny i nie miał żadnych złych zamiarów. Zachowała się jak kompletna wariatka!

To wszystko przez to straszliwe morderstwo.

Po wyjściu opiekunki zamknęła drzwi na zasuwę. Potem ustawiła termostat na niższą temperaturę i wypila szklankę wody, tak zimnej, że poczuła mrowienie w palcach.

Wyjęła ze stojącej w salonie klatki chomika Chrupka, żeby powiedzieć mu dobranoc. Zwierzątko połaskotało ją wąsami w policzek, a kiedy znalazło się z powrotem w swojej klatce, wbiegło na kołowrotek i zaczęło przebierać łapkami tak szybko, jakby chciało uciec, gdzie pieprz rośnie. Wyłączyła światło i poszła na piętro, ciągle słysząc ciche skrzypienie drewnianej zabawki.

Weszła do sypialni swojego ojca i spojrzała na niego z góry.

Robił się taki malutki.

Duncan Singer to był kiedyś kawał chłopca. I bynajmniej nie miał nadwagi, był po prostu dobrze zbudowany. Pełen życia, wielkoduszny i zawsze gotowy opowiedzieć jakąś zabawną historyjkę.

Teraz się skurczył. Stare ubrania były na niego za duże i zaczął nosić chłopięcy rozmiar L.

Leżał na plecach z lekko otwartymi ustami, ale nie chrapał.

Głęboko oddychał.

Najpierw wdech, potem wydech.

Jego twarz przecinały głębokie pionowe zmarszczki, które ostatnio zrobiły się bardziej widoczne niż wesołe kurze łapki w kącikach oczu. Przerzedziły mu się włosy i zaczął siwieć. Jego skóra również poszarzała.

Miał pięćdziesiąt pięć lat, ale wyglądał na siedemdziesiąt.

Boki łóżka były podniesione. Nigdy z niego nie wypadł, ale zdarzało mu się wstawać w nocy



i chodzić po domu. Metalowe barierki nie stanowiły przeszkody nie do pokonania, ale jak do tej pory okazały się całkiem skuteczne.

Eve usiadła na krześle.

Chociaż nie chciała obudzić ojca, wzięła go za rękę.

Jego dłonie wcale się nie zmieniły. Były dokładnie takie same jak zawsze: duże, szorstkie i silne. To właśnie tymi dłońmi wymieniał instalacje elektryczne, wycierał zakrwawione kolana, podnosił kufle z piwem i rzucał psom patyki. Teraz jednak nie był w stanie utrzymać łyżeczki czy zapiąć sobie spodni.

Patrząc na jego ręce, Eve zawsze myślała o tym, jak odgarnął jej włosy z czoła, kiedy miała siedem lat i była niezwykle przejęta wyścigiem z woreczkami podczas szkolnego dnia sportu. Bała się, że albo pobiegnie za wolno i będzie ostatnia na mecie, albo za szybko i się wywróci. Martwiła się też, że nie trafi woreczkiem do wiaderka. Na dobrą sprawę obawiała się wszystkiego, a najbardziej tego, że umrze, tak jak jej mama kilka miesięcy wcześniej. Maggie Singer odeszła zupełnie niespodziewanie, wrabiając wszystkich w kompletne osłupienie.

Kiedy ogłoszono przez trzeszczące głośniki początek biegu, Eve miała łzy w oczach.

Ojciec odgarnął jej włosy z oczu, wytarł nos i powiedział: „Nie musisz być pierwsza, Evie. Po prostu się nie zatrzymuj i przebiegnij całą trasę”.

To było dla niej jak objawienie. Tata wcale nie oczekiwał, że ona wygra, i nie miało dla niego żadnego znaczenia, czy przegra. Po raz pierwszy zrozumiała, że wynik biegu nie wpłynie na jego miłość. Poczula, że to ona jest dla niego najważniejsza. Skinęła tylko głową, uspokojona świadomością, że zadanie jest w gruncie rzeczy dziecinnie proste.

Każdy może pokonać całą trasę, nawet ona!

Potem pognąła ile sił w nogach i ani razu się nie potknęła. Wrzuciła niebieski woreczek do czerwonego wiaderka, błyskawicznie się obróciła i pomknęła do mety. Panowała kompletna cisza. Eve słyszała tylko swój własny nierówny oddech.

Nie miała odwagi, żeby się odwrócić. Bała się, że inne dzieciaki depczą jej po piętach.

Gnała przed siebie, prosto w otwarte ramiona swojego taty. Była pierwsza! Duncan Singer uniósł ją w górę, w stronę słońca, ponad rosnącymi w trawie stokrotkami i wymalowanymi kredą liniami. Ścisnął ją mocno w swoich dużych szorstkich rękach.

Słowa, które wcześniej wypowiedział, stały się rodzinną dewizą.

„Po prostu się nie zatrzymuj”.

Tak właśnie zrobili po śmierci mamy. Najpierw trwało to kilka miesięcy, a potem całe lata. Nie dlatego, że wiedzieli, dokąd zmierzają oraz jaki jest ich cel. Po prostu nie mieli innego wyjścia. Drugą możliwością było...

Zatrzymać się.

Duncan dalej pracował, dbał o dom i opiekował się dziećmi, starając się zapewnić im normalne życie. Jej młodszy brat Stuart wziął sobie rodzinną dewizę tak bardzo do serca, że ostatni raz widział ją go dwa lata temu. Mieszkał w Aberdeen, pracował na platformach wiertniczych i miał dziewczynę, której jak dotąd nie poznała. Miała na imię Rachel albo Ruby. W każdym razie jakoś na R.

Eve z uporem parła przed siebie i udało jej się dostać pracę w iWitness News, chociaż większość jej rówieśników ciągle harowała w lokalnych rozgłośniach radiowych. Kiedy pochwaliła się ojcu, uniósł ją w górę tak jak w dniu zawodów i powiedział: „Noddy i Wielkouchy”.

Eve zaczęła chichotać i zapytała, co ma na myśli. Spojrzał na nią skonsternowany. Powtórzyła jego słowa, ale on tylko się roześmiał: „Nie mam bladego pojęcia!”.

Wtedy wydawało się to zabawne.

To było w innej epoce...

W ciągu roku wyprowadziła się z Camden. Miała tam pięknie urządzone mieszkanie z widokiem na kanał. Wróciła do rodzinnego domu, chociaż nie sądziła, że kiedykolwiek znowu tu zamieszka. Na początku nie miała na to najmniejszej ochoty, ale minęły trzy lata i się przyzwyczała. Czasami, gdy budzi się rano i patrzy na pluszowe misie i plakaty z gwiazdami pop, wydaje jej się, że znowu ma czternaście lat.

Jednak wieczorem zawsze czuje się bardzo dorosła.

Wstała z krzesła, rozłożyła leżący w nogach łózkach stary koc w szkocką kratę i przykryła ojca, żeby nie marzły mu ręce.

Pled był rodzinną pamiątką. Mieli go od wielu lat, a jego zapach przypominał Eve słoneczne dzieciństwo.

Ojciec jeździł wtedy starym triumphem z lekko odchylonymi, obitymi jasną skórą siedzeniami. Eve czuła się na nich wyjątkowo bezpiecznie. Leżała przykryta kocem, a tata śpiewał „ich” piosenkę. Pamiętała słowa jak przez mgłę:

*There were birds in the sky...*

Żałowała, że nie jest już dzieckiem. Chciałaby spać na tylnym siedzeniu i czuć pod policzkiem popękaną skórzaną tapicerkę. Mama trzymałaby dłoń na jej ramieniu, a tata siedziałby za kierownicą. Dokąd by jechali? Któż to może wiedzieć? Nie miało to żadnego znaczenia. To on był szefem i na pewno dotarliby na miejsce cali i zdrowi.

Od kiedy zachorował, Eve żyła w ciągłym niepokoju i brakowało jej poczucia bezpieczeństwa.

– Kocham cię, tato – wyszeptwała.

Jego powieki zatrzepotały, otworzył oczy i przez ułamek sekundy się uśmiechał.

Jak gdyby wiedział, że stoi przy nim jego córka.

Morderca zatoczył się do tyłu, odsuwając się od zaniedbanego żywopłotu przy College Road.

Co on wyrabia?

Miał ochotę wrócić, otworzyć furtkę, wejść na oblodzony chodnik i ruszyć śladem młodej kobiety, żeby dokończyć swoją robotę.

Ale tego nie zrobił.

Dlaczego?

Zamiast tego maszerował przed siebie, nie zwracając uwagi na to, gdzie jest i dokąd może dojść. Miał to gdzieś. Był otumaniony i zdezorientowany.

Co takiego się wydarzyło? Nie potrafił tego wyjaśnić. Nie miał bladego pojęcia!

Zobaczył ją na Oxford Street, kiedy wmieszał się w tłum gapiów, żeby napawać się ich trwogą. Z wielką przyjemnością obserwował ich zszokowane twarze i wsłuchiwał się w nerwową szeptaninę.

Jego szczególną uwagę przyciągnęła reporterka. Wydawało mu się, że łączy go z nią jakiś dziwny związek. Nie wiedział, o co konkretnie chodzi, ale na widok tej kobiety przeszedł go dreszcz ekscytacji.

I poczuł zniecierpliwienie.

Zaczął ją śledzić i poszedł za nią aż do samego biura.

Potem długo czekał za zewnątrz, ściskając w kieszeni lepki nóż.

Wreszcie wyszła. Kiedy byli już prawie przed jej domem, nagle się odwróciła...

„Mogę pana prosić o przysługę?”

Powiedziała to takim tonem, jakby go znała! Jak gdyby był jakimś zwykłym facetem! Jak gdyby mu ufała.

Zatrzymał się raptownie pod latarnią i zaczął głośno dyszeć. W zimnym powietrzu widać było wydobywającą się z jego ust parę.

Zaufała mu.

Zaufała mu!

Oświetlony snopem białego światła, przyłożył dłoń do swojego nieczułego serca, a wokół wirowały kryształki śniegu, zbyt małe, żeby opaść na ziemię.

Nikt nigdy mu nie zaufał – nawet jego własna matka – a ta obca kobieta powierzyła mu wszystko, co miała, powierzyła mu własne życie. Najpierw mógł ją zabić, a potem tylko od niego zależało, czy ją ocali.

Jej los spoczywał w jego rękach.

I zamiast zrobić jej krzywdę, postanowił ją oszczędzić!

Okazał jej litość, choć do tej pory sądził, że nie jest do niej zdolny. Dręczyło go tylko jedno pytanie: dlaczego?

## 2 GRUDNIA

Słyszałem, że puściłaś pawia.

Ross Tobin opierał się o drzwi do montażowni, szczerząc w uśmiechu swoje zęby pokryte brązowym nalotem. Każdego dnia wypalał czterdzieści papierosów i był bojownikiem o prawa uzależnionych od nikotyny. Kiedy w całej redakcji zakazano palenia, specjalnie zwiększył dzienną dawkę z półtorej do dwóch paczek. Ponieważ nie mógł dłużej puszczać dymka w biurze, spędzał dziewięć godzin na dziesięć, kursując schodami między wyjściem z biurowca a znajdującym się na czwartym piętrze pokojem redakcji informacyjnej. Papierosy i duża dawka ruchu sprawiały, że był bardzo szczupły, chociaż żywił się głównie w McDonalddie, a wieczorami lubił pójść na kebab. Eve czasem sobie wyobrażała, jak jego ciało przygotowuje się do nagłego zawału. Nie była zresztą jedyną osobą, która źle mu życzyła. W damskiej toalecie ktoś napisał flamastrem „Ross Tobin = Leniwy Goblin” i nawet sprzątaczkę tego nie zmyłały.

– Skąd to wiesz? – zapytała. Raczej nie od Joego, ale jeśli to jego sprawa, gorzko tego pożałuje.

– Guy Smith powiedział swojemu kamerzyście, który sprzedał newsa Garethowi z działu sportowego, a ten wypaplał wszystko Terry’emu.

No właśnie, Terry Pleciuch. Eve westchnęła. Tak wygląda praca w redakcji informacyjnej. Tutaj nawet faceci roznoszą plotki.

– Zajmujesz się sprawą z Oxford Street? – zapytał Ross, patrząc w ekran i kiwając głową.

– Tak. Robię ostatnie poprawki, a potem jeszcze raz tam pojadę. – Pierwsza relacja została już wyemitowana, ale potrzebowali czegoś nowego, co będą mogli nadawać aż do czasu kolejnego wejścia na żywo.

„Policja nie ujawniła jeszcze nazwiska ofiary, ale według źródeł i Witness News zamordowana to dwudziestoczteroletnia Layla Martin. Kobieta zatrudniona była w agencji reklamowej Launchtime, której siedziba mieści się na ósmym piętrze nowego biurowca Coldharbour przy Oxford Street”.

Za plecami Eve migotała bożonarodzeniowa iluminacja. Gdyby wyłączyć dźwięk, można by odnieść wrażenie, że to materiał o świątecznych zakupach.

No tak, sama powinna kupić prezenty pod choinkę.

– Tym razem daj więcej krwi – powiedział Ross. – Ludzie chcą oglądać prawdziwe zbrodnie, a nie śnieżną kulę z chatką Świętego Mikołaja i podobne pierdoły.

Eve parsknęła śmiechem.

– Wiesz, jacy upierdliwi potrafią być gliniarze z policji metropolitalnej? Żadnych kamer!

– I co z tego? Masz przecież telefon, prawda?

Głośno westchnęła. Nie mogli wyemitować tak brutalnej relacji ze sceny morderstwa i oboje doskonale o tym wiedzieli.

– Zmęczona? – zapytał.

Czyżby naprawdę okazywał jej zyczliwość? Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Nic mi nie jest.

– Jeśli nie dajesz rady, zawsze może cię zastąpić Katie.

Ross nie interesował się wcale jej samopoczuciem, tylko chciał wyprowadzić ją z równowagi.

Katie Merino dołączyła do zespołu osiem miesięcy temu: pięć lat młodsza od Eve, bystra, pracowita, no i co najważniejsze – blondynka.

– Odwal się ode mnie.

Ross wybuchnął śmiechem. Dalszą część materiału oglądali w ciszy.

„Panna Martin przyszła do biura w weekend, żeby nadrobić zaległości w pracy. Wzięła nadgodziny, które kosztowały ją życie”.

Jak gdyby na dany znak za plecami Eve pojawiły się nosze, które sanitariusze pchali w stronę



Eve wróciła do rozmyślań na temat tego, jak to jest mieć trzydzieści lat. Sama kończyła trzydziestkę w lipcu i zasadniczo nie miała nic przeciwko temu. Razem z Charlotte śmiały się ze swojego wieku. To było przecież nie do uniknięcia. Bawiły ich rówieśnice, które były tak napompowane botoksem, że bez regularnych zastrzyków wyglądałyby jak pomarszczone staruszki.

Jednak jeśli nie był to dla niej żaden problem, to dlaczego nie powiedziała Joemu, że ma dwadzieścia dziewięć lat?

Zdawała sobie sprawę, że dostała pracę w iWitness News częściowo dlatego, że była młoda i stosunkowo atrakcyjna. Rzecz jasna nie oznaczało to, że nie ma talentu. Po prostu udało jej się przeskoczyć kilka starszych i pospoliciej wyglądających dziennikarek, które były być może bardziej utalentowane. Kiedy studiowała, przed kamerą występowały jeszcze kobiety po czterdziestce, a nawet dobrze zakonserwowane pięćdziesiątki.

Te czasy jednak minęły.

Okazało się, że mężczyźni z wiekiem mądrzeją, a kobiety po prostu znikają.

Eve była dobra w swojej pracy, ale zdawała sobie sprawę, że powinna przestać zajmować się krwawymi zbrodniami, czyli „tłuczonym mięsem” – lub zrobić tak przełomowy materiał, że z miejsca dostałaby ofertę z Newsnight...

W przeszłości miała przecież wielkie ambicje...

Niestety od kiedy zamieszkała z ojcem, zaczęła traktować swoją pracę jak bezpieczną przystań. Celowo unikała zawodowego ryzyka, ponieważ wiedziała, że najpierw musi opanować sytuację w domu. Tym sposobem kilka okazji przeszło jej koło nosa. Teraz bała się, że to tylko kwestia czasu, zanim pošłą ją na zieloną trawkę.

Za każdym razem, gdy na miejscu zbrodni pojawiała się jakaś nowa panienska w towarzystwie kamerzysty z konkurencyjnego kanału, Eve podwajała wysiłki, żeby pokazać, na co ją stać, chociaż w gruncie rzeczy chciała uciec od tematów kryminalnych.

Już niedługo, powtarzała sobie w duchu. Już niedługo.

Jednak czas płynął i „niedługo” zamieniło się w „nigdy”.

„Po prostu się nie zatrzymuj”.

Bardzo się starała i chciała zrobić na wszystkich dobre wrażenie, ale nie miała siły, żeby zacząć nowe życie...

– Aż mnie ciarki przechodzą – powiedział nagle Joe.

Eve zamrugnęła i znowu znalazła się na Oxford Street.

– Co takiego?

– Chodzi o to morderstwo – wyjaśnił Joe.

– Ciebie przechodzą ciarki? – parsknęła Eve. – Spójrz na siebie! Jesteś wielki jak cholerna stodoła!

– Wcale nie żartuję – powiedział, cały czas sprawdzając światło. – Wyobraź sobie tych wszystkich ludzi, od których dzieli cię jedynie gruba na centymetr szyba. Robią świąteczne zakupy, a w tym samym czasie jakiś psychol patroszy cię jak rybę.

Eve już wcześniej o tym myślała. To chyba całkiem naturalne, chociaż tak naprawdę wolałaby nie mieć takich obrazów przed oczami. Przeszedł ją dreszcz, którego przyczyną wcale nie było zimno. Postanowiła zmienić temat.

– Kupiłeś już prezenty?

Joe po raz setny ustawił coś w światłomierzu.

– Uhm.

– Wszystkie?

– Tak. A ty?

– Nie – odpowiedziała. – Paru mi brakuje.

Tak naprawdę nawet nie zaczęła. Musiała kupić coś dla ojca i pewnie dla brata, chociaż najprawdopodobniej spotka się z nim dopiero w lipcu. Nie powinna też zapomnieć o Charlotte. No i jeszcze Joe. On zawsze o niej pamiętał.

- Co mi kupiłeś? – zapytała, chociaż wiedziała, że nie wyjawি sekretu.
- Nic – burknął, nie podnosząc nawet wzroku.
- Kłamca.

Spojrzał na nią, kokieteryjnie unosząc brew.

- To dlaczego pytasz?

Nie miała pojęcia, kiedy znajdzie czas na zrobienie zakupów. Może skończy się na tym, że sprezentuje wszystkim charytatywną pocztówkę z kozą. Kilka lat temu dostała coś takiego od Charlotte: e-mail z podziękowaniami od Oxfamu oraz zdjęcie kozy, która wyglądała jak łaciata pacynka. Obie doszły wtedy do wniosku, że to szlachetna idea, ale lepiej więcej tego nie robić.

Joe nie zasłużył na kozę. Zresztą jej rodzina też nie.

- Cholera – mruknęła pod nosem.

Joe podniósł wzrok i szybko się zorientował, o co jej chodzi. Tuż obok stał Guy Smith.

Guy w charakterystyczny sposób zmarszczył brwi, jakby coś go zdziwiło, i wskazał palcem na Eve.

- Hej! Nie grałaś przypadkiem w *Egzorcysty*?
- Bardzo śmieszne, Guy. I jakże aktualne. A tak przy okazji, dziękuję ci za zawodową dyskrecję.
- Niesamowite – prychnął lekceważąco. – Zawsze jesteś taka drażliwa? Nie znasz się na żartach? Postanowiła nie reagować na jego zaczepki.
- Ile to jeszcze potrwa, Joe?
- J-j-je-sz-szcze sekundę.
- Nieźle mi dzisiaj idzie – kontynuował Guy. – Mam nowe informacje o tej zamordowanej dziewczynie. Udało mi się skontaktować z jej sąsiadami i znajomymi.

Eve podejrzewała, że to nieprawda. Guy Smith nie był najbystrzejszym i najpracowitszym reporterem na świecie. Jeśli rzeczywiście udało mu się zdobyć coś ciekawego, to tylko przypadkiem. Pewnie do redakcji zadzwoniła jakaś facebookowa znajoma Layli Martin, chcąc sprzedać zdjęcia i twierdząc, że pragnie w ten sposób uczcić pamięć ofiary.

Guy to gnida, która zawsze ma farta.

– Masz jej adres? – zapytał. Najwyraźniej próbował ją wybadać, ale ona nie miała zamiaru złapać się na jego przynętę.

- Tak, mam. Dziękuję.

– Aha, to dobrze. – Wyglądał na zdezorientowanego. Po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz zawodu. – Niedaleko stąd jest całkiem fajna kawiarenka. Masz ochotę czegoś się napić, kiedy skończysz robotę? W ramach przeprosin?

- Czyich? – zapytała podejrzliwie.
- Moich, oczywiście.
- Okay. Dzięki. Wezmę americano.
- Świetnie – powiedział z radością w głosie.
- A dla Joego gorąca czekolada.
- Jasne – dodał znacznie mniej entuzjastycznie i odszedł ciężkim krokiem.

Joe wyszczerzył się w uśmiechu tak, że zaprezentował całe swoje piękne uzębienie.

- Jesteś okropna.

Eve również się do niego uśmiechnęła.

- Ja jestem okropna, a on przebiegły i tak to się plecie na tym świecie.

Pokręcił głową i zapytał:

- Gotowa?

Nagle zaświtała jej pewna myśl.

– Hej, Guy! – krzyknęła w stronę swojego konkurenta. Odwrócił się i spojrzał na nią ponad głowami przechodniów. – Wspominałeś coś o jej chłopaku?

Przez jego twarz przeszedł cień. Zrobił kilka chwiejnych kroków do przodu, żeby nie musieli się przekrzykiwać.

– Jakim chłopaku?  
– Nie chcę, żeby nasze relacje miały podobny wydźwięk. Wiem, że to strasznie oklepane, ale w takich wypadkach gliniarze stosują standardową procedurę i prześwietlają każdego podejrzanego.  
– No tak – powiedział Guy, coraz bardziej się przybliżając. – Przypomnij mi, jak on się nazywa?  
– Pstryknął palcami, jakby chciał wyczarować nazwisko z powietrza.  
– Mark Franco.  
– Oczywiście. Mówiła mi o nim jedna ze znajomych ofiary. Ten facet pochodzi z... Ealing, prawda?  
Eve wyciągnęła notes i przerzuciła kilka stron.  
– Mieszka niedaleko Blackfriars Bridge. Nie ma go w książce telefonicznej, ale jeśli będziemy współpracować, szybciej go znajdziemy. Co o tym sądzisz?  
– Dobry pomysł – powiedział Guy.  
– Ale dopiero po kawie? – spytała Eve. Guy dał znak ręką, że się zgadza, i ruszył przez śnieg w stronę kawiarni.  
Joe przyłożył oko do wizjera. Eve odkaszlnęła i spojrzała przez ramię.  
– Nie zasłaniam drzwi wejściowych?  
– Nie, tak jest dobrze. Powiedz, kiedy będziesz gotowa.  
Nagrali relację za jednym podejściem.  
Potem z przyzwyczajenia nakręcili dubel, tak dla pewności.  
Pozostała jeszcze sonda uliczna. Kilka młodych dziewczyn – żadna nie była paszczurem – opowiedziało o tym, jak bardzo są przerażone z powodu tego, co się stało.  
Po skończonej pracy Eve pomogła Joemu spakować sprzęt i zaczęli przedzierać się przez szarą breję.  
Weszli do ciepłej i przytulnej kawiarni, ale nigdzie nie było Guya Smitha.  
Przeszukali cały lokal, Joe poszedł nawet do męskiej toalety, ale Guy zapadł się pod ziemię.  
– Cholera – powiedział Joe, pstrykając palcami. – Założę się, że ten sukinsyn pojechał sam na Blackfriars, żeby nas ubiec! Niepotrzebnie mówiłaś mu o tym chłopaku. Wiedziałem, że będzie nas chciał wydymać.  
– Widzisz, jaki jest przebiegły? Ale nic się nie martw. Zamówię ci czekoladę na wynos i zajrzemy jeszcze raz do rodziców Layli Martin.  
Joe nadal kipiał z wściekłości.  
– Ten obłudny, zakłamany sukinsyn.  
– Zapomniałeś dodać: „przewidywalny”.  
– Może powinniśmy...  
Przerwał w pół słowa i spojrzał na Eve pytająco.  
– Nigdy nie wspominałaś o żadnym narzeczonym.  
Odwróciła się do niego i zrobiła niewinną minę.  
– Naprawdę?  
– Poczekaj chwilę – powiedział. – Kim jest ten cały Mark Franco?  
Eve puściła do niego oko.  
– To pierwszy chłopak, z którym się całowałam.

\*\*\*

Guy Smith nie zdążył wrócić z Blackfriars na popołudniową konferencję prasową, na której matka Layli Martin wpadła w taką histerię, że jej młodsza córka musiała służyć za tłumacza. Przez cały czas pani Martin ścisnęła w dłoniach szarego pluszowego króliczka, ale nie powiedziała, dlaczego zabrała go ze sobą. Zgromadzeni dziennikarze uznali, że to niezręczne pytać, jak ma na imię maskotka ani skąd się tutaj wzięła.

Na konferencji pojawił się również inspektor Huw Rees. Pochodził z Walii i mówił z charakterystycznym śpiewnym akcentem, ale bardzo cicho, co kontrastowało z jego wizerunkiem



twardziela.

Opowiadał te same komunały, co zwykle: to wielka tragedia, sprawca działał z wyjątkową brutalnością, policja poszukuje świadków. Nie udało mu się jednak ukryć faktu, że nie ma bladego pojęcia, kto zamordował Laylę Martin.

Eve rozejrzała się po sali, z trudem powstrzymując się od ziewnięcia.

Dzisiaj Layla Martin, a jutro następna ofiara, jeszcze jedna zapłakana rodzina i kolejny bezradny policjant.

Imiona się zmieniały, ale apetyt publiczności nigdy nie malał.

W jakimś sensie była za to wdzięczna.

Nic nie sprzedawało się tak dobrze jak zbrodnia, a dzięki morderstwom Eve mogła spłacać swój kredyt hipoteczny.

Zabójca oglądał w kółko telewizyjną relację Eve Singer.

Siedział na starym francuskim krześle z kościanymi kółkami i tapicerką wykonaną ze złotego brokatu, który przyjemnie chłodził jego nagie uda.

W całym domu nie było więcej krzeseł, a źródłami światła były jedynie kominek i ekran telewizora.

Wzdłuż ścian dużego ciemnego pokoju stały obrazy, oparte jeden o drugi. Dobrze się nimi paliło. Farba olejna świetnie podtrzymywała ogień, chociaż z czasem na kominku pojawiły się brązowe plamy i wszędzie roznosił się duszący zapach. Morderca zdążył się jednak do niego przyzwyczaić. Niektóre malowidła były oprawione w ramy, które wylądowały w płomieniach jako pierwsze, jeszcze przed książkami. Dzięki temu mógł ogrzewać dom przez dwie długie zimy.

Pił herbatę z filiżanki tak delikatnej, że blask ognia prześwitywał na pomarańczowo przez jej porcelanowe ścianki. To była oryginalna Flora Danica ozdobiona herbem i literą V oplecioną krzewem jeżyny. U dołu widniała rodzinna dewiza: „Na każdy kwiat jeden kolec”.

Filiżanka była częścią serwisu.

Ogromnego serwisu.

Wazy, sosjerki, półmiski i talerze. Zastawa na dwadzieścia osób, w tym między innymi trzy rodzaje naczyń do gotowania puddingu na parze.

Sprzedął wszystko, razem z resztą mebli i wyposażenia.

Rzecz jasna nie zrobił tego od razu.

Nie mieściło mu się w głowie, że wyprzeda cały majątek i wszystkie rodzinne pamiątki.

Ironia losu.

Jednak czego tak naprawdę potrzebował?

Jednej filiżanki i jednego krzesła.

Jednego noża, jednego widelca i jednej łyżki.

Czasami kradł, ale nie dlatego, że był złodziejem. Po prostu potrzebował rzeczy, na które nie było go stać, a bez których nie mógł żyć. Wywiercił dziurę w ścianie na strychu, żeby podłączyć się do instalacji elektrycznej sąsiada.

Coś jeszcze? Tak niewiele było mu potrzeba!

Jeden notes, jeden długopis.

Banany i czekolada.

Telewizor...

Cały czas oglądał Eve Singer. Na ekranie pojawił się worek ze zwłokami, ukoronowanie jego dzieła. Wszystko działo się w idealnej harmonii – Eve odsunęła się w lewo, żeby zrobić miejsce, a nosze z ciałem przejechały w prawo. W pewnym momencie spojrzała przez ramię w stronę kamery, odrzucając swoje ciemne włosy, które opadły powoli na jej białe policzki.

Dlaczego jej nie zabił? Jeszcze raz obejrzał nagranie, wyobrażając sobie, że fałdy czarnego gumowego pokrowca delikatnie całują skórę ofiary. Dotykał tej skóry własnymi rękami, starając się uformować ciało dziewczyny w coś pięknego – w coś nieśmiertelnego.

Nie odrywając wzroku od telewizora, dotknął koniuszkami palców grubej blizny biegnącej przez środek jego klatki piersiowej.

Eve odsunęła się w lewą stronę, a worek przejechał w prawo.

Krok w lewo.

Przejeżdżające nosze.

Operator kamery znał się na swoim fachu i potrafił dobrze skomponować kadr. Eve miała natomiast talent językowy. Używała takich słów i wyrażeń jak „przerazający”, „krwawa łaźnia” i „makabra”. Wspomniała też coś o bezsensownej zbrodni i nazwała go maniakiem, ale postanowił jej to wybaczyć. Był w końcu realistą. Wiedział, że dziennikarze muszą mówić takie rzeczy. W przeciwnym

razie okazałoby się, że nie tylko jakiś szaleniec lub narkoman, lecz dosłownie *każdy* człowiek może popełnić morderstwo. Na przykład twój sąsiad. Albo mleczarz. Lub opiekunka do dzieci.

Telewizja musi kłamać, w przeciwnym razie ludzie wpadliby w panikę.

Zwykli ludzie.

Jeszcze raz... Krok w lewo, przejazd martwego ciała w prawo. Żywi i umarli występujący razem na jednym ekranie, w doskonałej harmonii, jakby wykonywali wcześniej ułożoną choreografię. Eve Singer spogląda na worek ze zwłokami, a potem odwraca się i patrzy kokieteryjnie w jego oczy...

Nagle poczuł, że serce wali mu jak oszalałe. Wydał z siebie gardłowy okrzyk, upadł na kolana, rozłożył ramiona i niczym zrozpaczony kochanek chwycił boki telewizora.

Znał ten wyraz twarzy! W dokładnie taki sam sposób patrzyła na niego w srebrzystym świetle ulicznych latarni na College Road. Tak samo przekrzywiła głowę i odrzuciła włosy. To było zaproszenie, żeby zrównał się z nią krokiem i żeby mogli dalej iść...

Razem.

Właśnie dlatego jej nie zabił!

Z trudem podniósł się z podłogi, nagi i roztrzęsiony, z sercem bijącym tak mocno, że zrobiło mu się słabo. Czuł, jakby życiowa energia uciekała z jego duszy i wytryskiwała w formie iskier z koniuszków jego mrowiących palców.

Miał wrażenie, że w powietrzu unosi się zapach fajerwerków i nieskończoności!

Przez jego klatkę piersiową przeszedł rwący ból. Złapał się za serce i krzyknął:

– Nie!

Wydawało mu się, że jego ciało rozchodzi się w szwach jak rozpruwany pluszowy miś. Z przerażeniem spojrzął na biegnącą od gardła do brzucha bliznę. Zaczęła się rozstępować i zobaczył jakieś obce serce pompujące obcą krew, która zaczęła wylewać się strumieniem na podłogę z wiśniowego drewna. Po chwili był już całkowicie pusty w środku i stał w kałuży własnych wnętrzności.

Dłaczego znowu on! Tylko nie to! Nie teraz!

Nic się jednak nie działo.

Z jękiem opadł na krzesło.

Cały czas trząsał się ze strachu, ale ból zaczął powoli ustępować. Jego serce z powrotem zrobiło się całkowicie zimne i niewrażliwe.

Poczuł ulgę, gdy zorientował się, że czas znowu płynie normalnie.

Przez całą noc oglądał tę samą relację. Chciał, żeby każdy szczegół wrył mu się głęboko w pamięć. Miał nadzieję, że obrazy wrócą, kiedy zapadnie w głęboki, spokojny sen.

Siedział tak długo, aż pokój wypełniała tylko niebieska poświata telewizora, a jego genitalia zaczęły przypominać pomarszczone jagody.

Tuż przed świtem zrobiło się zimno i przeszedł go dreszcz. Wstał i wrzucił w ogień jeszcze jedno malowidło.

## 4 GRUDNIA

Panował przejmujący chłód. Wracła ze znajdującego się na stacji metra sklepu wielobranżowego i mimo że miała na sobie wełniane rękawiczki, reklamówki wbijały jej się boleśnie w palce.

W srebrzystym świetle ulicznej latarni stał pan Elias i odśnieżał chodnik przed swoim domem. Eve zwolniła kroku, starając się nie stracić równowagi na śliskim trotuarze.

Miała wobec pana Eliasa mieszane uczucia – niespecjalnie go lubiła, chociaż ciężko powiedzieć, żeby darzyła go jakąś szczególną niechęcią. Przed jego domem stał dwudziestopięcioletni ford mondeo, a w ogródku miał krasnala z wędką, choć nie było tam żadnego oczka wodnego. Pan Elias miał kiedyś żonę, ale umarła w czasie, gdy Eve mieszkała na Camden. Nie mogła sobie przypomnieć, jak ta kobieta miała na imię, ale wyglądała na wiecznie przygnębioną i prawie w ogóle się nie odzywała. Eve podejrzewała, że pan Elias się nad nią znęcał albo przynajmniej sprawiał, że czuła się nieszczęśliwa.

Czasami, kiedy Eve i Stuart byli jeszcze dziećmi, pan Elias przez wiele dni nie oddawał im piłki, która wpadła na teren jego posesji, a kiedy zdalnie sterowany samolocik przypadkowo roztrzaskał się o jego szklarnię, zrobił im karczemną awanturę. Narzekał też na hałas podczas zupełnie spokojnych imprez, które wyprawiali jako nastolatki. Raz zadzwonił nawet po policję. Koledzy i koleżanki Eve musieli się szybko ewakuować w asyście stojących pod drzwiami funkcjonariuszy, co było strasznym obciachem.

Po tym incydencie starała się go unikać.

Kiedy wprowadziła się z powrotem, żeby zaopiekować się ojcem, postanowiła traktować pana Eliasa z grzecznym, lecz chłodnym dystansem i ograniczyć kontakty do minimum. Nie widywała go zbyt często, ale kiedy dochodziło do spotkania, pan Elias patrzył na nią z jakąś dziwną intensywnością, a w zasadzie się na nią gapił... Starła się nie dopuszczać do siebie myśli, że jej sąsiad to stary zboczeniec. Niestety mogło tak być. Uznała więc, że nie powinna zachowywać się wobec niego zbyt przyjaźnie.

Od kilku miesięcy z nim nie rozmawiała. Widywała go tylko przez okno, kiedy wychodził, żeby posprzątać czerwoną budkę telefoniczną. Robił to codziennie. Dzisiaj nie miała jednak najmniejszej ochoty na pogawędkę, ponieważ czuła się trochę winna, że nie usunęła śniegu ze swojej części chodnika tak, jak kiedyś robił to jej ojciec. Poza tym doskonale wiedziała, jak potoczy się ich rozmowa:

- „Dzień dobry, Eve.
- Dzień dobry, panie Elias.
- Wystarczająco zimno jak na twój gust?
- Cha, cha, tak, dziękuję”.

Musiałyby wybuchnąć sztucznym śmiechem, chociaż to, co powiedział, wcale nie było zabawne.

- „Mówią, że śnieg utrzyma się do świąt.
- Byłoby super”.

Akurat! Zresztą nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Tak naprawdę chciała tylko uniknąć ogłupiających gadek o cholernym Bożym Narodzeniu.

Pan Elias wyprostował się i oparł o łopatę. Z jego ust wydobywał się co chwilę obłoczek pary, który zawisał na moment wokół łysiejącej głowy.

Skończył odśnieżanie.

Eve zatrzymała się, czekając, aż pan Elias otworzy furtkę i zniknie za żywopłotem. Niestety on ponownie się schylił i wsadził łopatę do białego plastikowego worka, żeby rozsypać na chodniku sól.

Pomyślała, że poczeka na kolejny samolot i wtedy szybko przemknie obok, mamrocząc pod nosem „dzień dobry”. Niestety jej plan spalił na panewce. Pan Elias podniósł głowę i pozdrowił ją skinieniem dłoni. Nie miała wyjścia i ruszyła przed siebie.

– Dzień dobry, Eve.

Wzięła głęboki oddech.

– Dzień dobry, panie Elias.

– Wystarczająco zimno jak na twój gust?

– Cha, cha, tak, dziękuję.

Skarciła się w duchu za własną hipokryzję.

– W radio powiedzieli, że śnieg utrzyma się do świąt.

– Byłoby super.

Ruszyła przed siebie. Najpierw musiała przejść po chrześzczącej soli, ale już po chwili znalazła się na ubitym śniegu leżącym wzdłuż jej zaniedbanego żywopłotu. W pewnym momencie lekko się zachwiała. Poczowała uderzenie adrenaliny, jakby ktoś poraził ją prądem.

– Ostrożnie! – ostrzegł pan Elias. – To niebezpieczne.

Zamknij się! – przemknęło jej przez myśl, ale powiedziała:

– Będę uważać, dziękuję.

Otworzyła furtkę zamaszystym gestem, wściekła, że się pośliznęła. To był niezaprzeczalny dowód, że pan Elias miał rację, odśnieżając chodnik. Powinna zrobić tak samo. Na dodatek ma nieprzystrzyżony żywopłot, nieskoszoną trawę i zarośnięte kwietniki. Do jasnej cholery! Nie może się przecież zajmować wszystkim. Ma inne priorytety: kredyt, rachunki, pensja pani Solomon i opieka nad Duncanem. To jest wystarczająco trudne. Pan Elias nie ma bladego pojęcia...

Weszła na pokrytą brudnym lodem ścieżkę i znowu się pośliznęła. Kurczę, naprawdę powinna uważać.

\*\*\*

– Gdzie jesteś?

Eve głośno westchnęła. Nie zdążyła nawet zamknąć za sobą drzwi, a ojciec już czegoś od niej chciał.

Niczym doktor Jekyll po nocy spędzonej jako pan Hyde, walczyła ze sobą, żeby się przestawić. Przekraczając próg domu, Eve musiała stać się inną osobą, kimś, kto poświęca się tylko i wyłącznie pilnowaniu, żeby jej ojciec nie uciekł, nie upadł, nie zrobił sobie krzywdy i nie podpalił domu.

Z salonu dobiegało dudnienie przywodzące na myśl film porno. Eve wiedziała jednak, że to tylko niskobudżetowy, mało ambitny program *Jak to się robi*, w którym pokazywano, jak wytwarzane są rozmaite przedmioty codziennego użytku, na przykład trzepaczki do jajek, rękawiczki albo rattanowe stołki. W tle zawsze leciała nijaka muzyka wykonywana na prymitywnym syntezatorze Bontempi. Eve nagrywała wszystkie odcinki, ponieważ Duncan Singer nie chciał oglądać niczego innego.

– Gdzie jesteś? – powtórzył jak zacinająca się płyta.

– Tutaj, tatusiu! Właśnie odwieszam płaszcz.

– Cześć, kochanie.

Do korytarza wparowała pani Solomon, upychając swoją ręczną robótkę do dużej sflaczałej torby.

W czasie gdy Eve zdejmowała czapkę, rękawiczki i szalik, pani Solomon zaczęła się ubierać. Przez moment wyglądały jak para aktorek przygotowujących się za kulisami do występu. Pani Solomon była już prawie gotowa do wyjścia, ale musiała jeszcze zdać monotonną relację z tego, co się do tej pory wydarzyło.

– Na lunch chciał zjeść owsiankę, ale dałam mu płatki kukurydziane. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam.

Tak. Eve tylko przytaknęła, ponieważ zdążyła się nauczyć, że wdawanie się w rozmowę z panią Solomon znacznie wszystko przedłuża.

– Zdjął książki z półki, ale mu na to pozwoliłam.

No cóż, cały czas tak robi.

Pani Solomon usiadła i dysząc z wysiłku, zaczęła zakładać buty.

– Popsuł pilota do telewizora!

Cholera. Często zdarzało się, że chciał coś naprawić, ale efekt był odwrotny do zamierzonego.

– Nie mogłam go zagonić do łóżka!

No tak, żeby poszedł spać, trzeba było zastosować odpowiedni wybieg. Pani Solomon doskonale zdawała sobie z tego sprawę, ale czasami była zbyt leniwa, żeby się postarać.

– To jego ulubiony program, prawda? Lubi patrzeć na te wszystkie urządzenia i gadżety.

Idź już! Do widzenia! Pa, pa!

Wreszcie sobie poszła.

– Gdzie jesteś? – zapytał Duncan Singer.

Eve wbiegła do salonu.

– Cześć, tato.

Skrzywił się i powiedział:

– Nie ty.

Za każdym razem bolało tak samo.

– Gdzie jest Maggie?

Przez chwilę się zawahała. Lekarz zawsze powtarzał, że najlepiej być szczerym. Ojciec powinien znać prawdę, ponieważ łatwiej mu wtedy będzie zachować kontakt z rzeczywistością. Jednak ile razy można komuś mówić, że jego żona nie żyje?

– Bierze kąpiel – skłamała. – Poprosiła, żebym zrobiła ci kolację.

\*\*\*

Eve przygotowała paluszki rybne z fasolką w sosie pomidorowym, a na deser sałatkę owocową z puszki. Nie usiedli przy stole, tylko położyli sobie na kolanach tace ze specjalnymi poduszkami.

Na ekranie telewizora rozmaite maszyny wypluwały z siebie wafelki, sznurowadła i namioty.

– Skończyłem naprawiać instalację elektryczną u pani Cole – wypalił nagle Duncan.

– Nareszcie! – powiedziała Eve, ponieważ zdawała sobie sprawę, że musi jakoś zareagować.

Termin zakończenia prac u pani Cole zniknął w pomroce dziejów, ale zlecenie musiało być wyjątkowo trudne i czasochłonne. Warto więc było o tym przypomnieć.

Wielokrotnie.

Skinął głową.

– Nareszcie co?

– Nareszcie skończyłeś robotę u pani Cole.

– No tak! W końcu się udało!

Eve tylko westchnęła. Ojciec nie wykazywał już najmniejszego zainteresowania jej życiem. Kiedyś był uprzejmym, towarzyskim facetem, ale jakiś czas temu stracił zdolność troszczenia się o innych.

Przyzwyczała się do tego.

Chociaż nie. Nigdy się do tego nie przyzwyczai.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Z telewizora dochodził rytmiczny stukot objadających się o siebie śledzi do namiotów.

– Gdzie są moje...? – Przerwał w pół zdania, po czym powtórzył: – Gdzie są moje...? – Zaczął poruszać palcami u stóp, jakby czegoś mu brakowało.

– Kaptcie? – zasugerowała.

– Nie.

– Skarpetki? – Często w ciągu dnia je zdejmował. Eve znajdowała je później w śmieciach, a raz nawet w zamrażalniku. W pierwszej chwili myślała, że to cielęcina.

– Nie! – Wpatrywał się gniewnie w swoje buty. – Chodzi o takie coś, jakby sznurki. Długie sznurki, które przechodzą przez otwory. – Uwielbiał słowa. Był co prawda elektrykiem, ale zawsze dużo czytał. Jego najlepszy wynik w Scrabble to 576 punktów: rodzinny rekord.

W telewizji ktoś powiedział „sznurowadła”.

– Sznurowadła! – wykrzyknął, wskazując na swoje stopy. – Gdzie są moje sznurowadła?

Eve przyjrzała się jego butom.

– Tato, nie potrzebujesz sznurowadeł. Masz na nogach mokasyny.

– Mokasyny. Chiny. Karabiny – wyliczał. – Nad zatoką Morecambe mieszka dużo Chińczyków.

– Chińczyków?

– Zbierają małże.

Eve nie miała pojęcia, o co mu chodzi.

– Raczej pobrażki.

– Nie, małże! Przecież mówię! Zbierają małże.

– Jasne, małże. – Wstała z krzesła. – Można to zobaczyć z okna sypialni.

– Naprawdę? Mówisz poważnie?

– Tak.

Kiedy wejdą na piętro, na pewno o wszystkim zapomni.

Razem wspinali się po schodach. On szedł jeden stopień wyżej, a ona tuż za nim, z ręką na jego plecach, zapewniając asekurację na wypadek, gdyby się przewrócił. Miał problemy z równowagą, ale jeszcze gorzej było z jego koncentracją. Zdarzały się krytyczne momenty. Najgorzej było rok temu, kiedy nagle się odwrócił i zjechał na Eve jak na sankach.

– Będziemy zbierać małże? – zapytał.

– Przecież ich nie lubisz.

– Naprawdę? – Zmarszczył brwi. – Wydawało mi się, że je lubię. A węgorze?

– Też nie.

– Serio? Dziwne.

W połowie drogi na piętro ojciec nagle się zatrzymał i lekko schylił głowę, ale nic nie powiedział.

– Potrzebujesz chwili wytchnienia, tato? – zapytała Eve radosnym głosem i krzyknęła przez ramię: – Pięć minut przerwy dla wszystkich!

Duncan nie zareagował. Trudno było jednak oczekiwać, że się roześmieje.

Nagle wstrząsnął nim dreszcz. Płakał.

– Tato?

Wytarł oczy rękawem i zaczął kręcić głową. Eve chciała wejść stopień wyżej, żeby go jakoś pocieszyć, jednak obawiała się, że w takiej sytuacji zadziała prawo Murphy’ego, zgodnie z którym rzeczy pójdą tak źle, jak to tylko możliwe: ojciec zapomni, gdzie jest, straci równowagę i runie w dół. Stała więc w miejscu, jedną ręką chwytając za poręcz, a drugą przytrzymując ojca. Pod znośnym szarym swetrem wyczuwała jego podnoszące się i opadające żebra.

– Tato? Co się stało?

– Przepraszam – wybełkotał przez łzy. – Nie chcę być ciężarem.

– Ależ nie jesteś żadnym ciężarem! Nie wygłupiaj się.

– Okazujesz mi tyle dobroci – powiedział. – A ja tylko sprawiam kłopoty.

Znowu oderwał dłoń od poręczy, żeby otrzeć policzki. Eve jęknęła, starając się utrzymać go w pozycji pionowej, co było trudne nawet przy użyciu obu rąk.

– Nie sprawiasz kłopotów, tato. Kocham cię i opiekowanie się tobą sprawia mi ogromną przyjemność...

Przestąpiła z nogi na nogę, żeby zachować równowagę i nie upaść. Ciało ojca było niemal zupełnie bezwładne. Spojrzała przez ramię, jakby szukała kogoś do pomocy, ale rzecz jasna nikogo tam nie było.

– Możesz chwycić się za poręcz, tato?

– Do kogo mówisz?

– Możesz złapać za poręcz?

– Hm?

– Chwyć się poręczy i idź w górę. Nie dam rady cię dłużej utrzymać.

– Co takiego?

– Po prostu się nie zatrzymuj! – powiedziała zdecydowanym tonem. – Idź przed siebie!

W końcu zrobił chwiejny krok do przodu.

Eve wydeła policzki i odetchnęła z ulgą. Wreszcie mogli kontynuować niebezpieczną wspinaczkę.

Kiedy byli już prawie na samym szczycie, znowu się zatrzymał.

– O co chodzi tym razem? – zapytała.

– Dlaczego się zatrzymaliśmy?

– To ty stanąłeś w miejscu, nie ja.

Wtedy wskazał na swoje stopy i powiedział:

– Gdzie są moje sznurowadła?



Stan Reddy skulił ramiona, starając się osłonić przed ostrymi podmuchami wiatru nawiewającego tumany śniegu zza rogu Everyman Cinema. Przywarł też do muru, żeby uniknąć kontaktu z brudną breją rozbryzgiwaną przez przejeżdżające samochody.

Miał nadzieję, że film będzie wart czekania w kolejce po bilet, jednak nie był tego taki pewien. Chciał przecież obejrzeć nową produkcję z Liamem Neesonem.

Był wielkim fanem tego aktora, ale jego cierpliwość powoli się wyczerpywała.

Trzeba przyznać, że takie rzeczy zdarzają się nawet największym gwiazdom kina. Na początku kariery zachwycają wszystkich swoim talentem i charyzmą. Krytycy twierdzą, że pojawił się nowy Brando albo nowy De Niro. Występują w kilkunastu filmach, które sprawiają, że twoje życie nabiera sensu. Filmach, w których popisują się sprawnością fizyczną, kaleczą sobie pięści do krwi, stają po stronie dobra i poświęcają wszystko w imię szlachetnych ideałów. Oglądając ich wyczyny, czujesz w sobie wściekłość i pasję – jesteś gotów skoczyć za nimi w ogień.

A potem robią się leniwi.

Wcześniej czy później każdy aktor traci motywację i zaangażowanie. Zapomina o zawodowej uczciwości i zaczyna pracować tylko i wyłącznie dla pieniędzy.

Gra w źle napisanych kasowych hitach, bezsensownych melodramatach oraz filmach zrobionych tylko po to, żeby po raz kolejny powalczyć o Oscara, wcielając się w postać jakiegoś wariata, kaleki lub gościa bez skóry.

Albo zaczyna podkładać dubbing do kreskówek.

Tego chyba nie znosił najbardziej: dorosłych facetów, których kiedyś wielbił, a którzy teraz uczyczą głosu animowanym strusiom albo rybkom.

Nawet De Niro nie był już tym samym De Niro. Grywał w głupich komediach i pojawiał się jako bandzior w nic nieznaczących epizodach, odcinając kupony od dawnej sławy i burząc mit wybitnego aktora. Natomiast Brando po sukcesie *Ojca chrzestnego* nawet nie udawał, że zależy mu na czymś więcej. Siedział na swojej wyspie w otoczeniu ciemnoskórych dziewcząt i tylko robił się coraz grubszy i grubszy...

Zepsuci przez sławę, pieniądze i własne ego tracili z oczu sens swojej pracy. Nie pamiętali już nawet, z jakiego powodu w ogóle zajęli się aktorstwem.

Stan obawiał się, że to samo dzieje się z Liamem Neesonem, potężnie zbudowanym, spokojnym Irlandczykiem z wiecznie zamyślonym wyrazem twarzy. U Neesona intelekt zawsze walczył z muskulaturą. Od wielu lat robił ciągle ten sam film, niestety za każdym razem coraz gorszy. To był doskonały przykład przygnębiającego regresu artystycznego.

Stan uważał, że to wielki wstyd.

Co złego jest w starzeniu się z klasą i graniu w golfa?

Albo w umieraniu na raka?

Kiedyś wszyscy wielcy umierali na nowotwór – Humphrey Bogart, Gary Cooper i Steve McQueen. Może właśnie na tym polegał problem z dzisiejszym Hollywoodem: żaden sukinsyn nie chciał już umierać na raka.

Stan głośno westchnął. Te rozmyślenia wprawiły go w przygnębienie. Powinien iść do domu. Pada śnieg, a on stoi w kolejce, żeby zobaczyć film, który prawie na pewno mu się nie spodoba. Jaki to ma sens? Spojrzał na zegarek. Gdyby dał sobie spokój, zdążyłby jeszcze wypić piwo albo dwa w The Archers, a może nawet znalazłby partnera do tryktraka. Brał udział w rozgrywkach ligowych i zazwyczaj bez problemu pokonywał spotkań w pubie przypadkowych graczy. Zasada była taka, że zwyciężony stawiał drinki.

A czasem również coś do jedzenia.

Kiedy prawie podjął decyzję o powrocie, kolejka zaczęła się przesuwać. Stan ruszył do przodu, ale niemal od razu musiał się zatrzymać, ponieważ stojący przed nim facet grał na swoim telefonie

w Candy Crush i nie widział, co się wokół niego dzieje.

– Przepraszam – mruknął Stan, ale nie uzyskał żadnej odpowiedzi, więc klepnął nieznajomego w ramię.

– Co? – Mężczyzna odwrócił się i rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Kolejka ruszyła do przodu – powiedział Stan.

– Co się tak rzucasz, koleś?

Stan dosłownie zbaraniał.

– Nie musisz być niegrzeczny – odparł.

– Lepiej trzymaj łapy przy sobie, frajerze.

Zupełnie nie wiedział, jak zareagować. Spojrzał przez ramię, ale stojąca za nim para nie zwracała na niego uwagi, a ludzie z dalszej części ogonka udawali, że nic się nie dzieje, i zachowywali się tak, jakby kolejka w ogóle się nie przesunęła. Zrozumiał, że gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli, nikt nie przyszedłby mu z pomocą. Zdawał sobie również sprawę, że sam nie da sobie rady. Miał chore kolana i dlatego został sanitariuszem, a nie strażakiem. Chociaż napastnik nie grzeszył wzrostem, to wyglądał na całkiem wysportowanego i miał na oko dwadzieścia lat mniej niż Stan. No i co najważniejsze, najwyraźniej szukał okazji do bójki.

Stan nie miał na nią najmniejszej ochoty.

Tylko pamięć o szlachetnych bohaterach granych kiedyś przez Liama Neesona dała mu odwagę, żeby w ogóle się odezwać.

– Niektórzy przysli tutaj, żeby obejrzeć film. – Chciał, żeby zabrzmiało to stanowczo, ale miał wrażenie, że wyszedł tylko na nabzdyczonego ciamajdę.

– Ktoś ci w tym przeszkadza? Masz, kurwa, jakiś problem?

– No cóż – wykrztusił Stan, ale przerwał w pół zdania, ponieważ zabrakło mu śmiałości, żeby powiedzieć: „Tak, mam problem z tobą”.

Zamiast tego oznajmił:

– Wszyscy wchodzą już do środka.

– Zaraz też tam będziemy. I ty, i ja. Jezu Chryste. Po co te nerwy?

– Wcale się nie denerwuję – odburknął i wtedy mężczyzna zamarkował cios. Stan zamrugał i instynktownie się cofnął. Zatrzymał się dopiero na samym skraju krawężnika.

– Masz niezłego pietra – stwierdził szyderczym tonem nieznajomy i krzyknął do reszty ludzi stojących w kolejce: – Ten gość ma niezłego pietra!

Po chwili wybuchnął śmiechem, po czym wolnym krokiem pomaszerował w stronę kasy. Reszta czekających potulnie ruszyła jego śladem. Mijali Stana, udając, że go nie widzą.

W tym samym czasie ulicą przejechał samochód i obryzgał plecy Stana. Naprawdę trzeba było wracać do domu. Było za późno na wizytę w pubie i grę w tryktraka. Powinien powiesić mokre spodnie nad piecykiem gazowym i obejrzeć nagrany wcześniej program o starych angielskich samochodach skonstruowanych w czasach, kiedy Anglicy znali się jeszcze na motoryzacji. Bristole, jaguary i triumphy, rzecz jasna przed wypuszczeniem na rynek modelu TR7. Czuł, że przynajmniej przeszłość go nie zawiedzie.

Ale w sumie dlaczego miałby wracać do domu?

Kiedy zadał sobie to pytanie, na jego czole pojawiła się gruba zmarszczka.

Czy Liam Neeson uciekłby z podkulonym ogonem tylko dlatego, że jakiś kretyń – jakiś troglodyta z ptasim mózdzkiem – był dla niego niegrzeczny?

Nie, pomyślał Stan, Liam Neeson na pewno by tego nie zrobił.

Tak więc chociaż był cały przemoczony i zrobiło mu się zimno, uznał, że trzeba trzymać się zasad, i kupił bilet, po czym poszedł do toalety i spędził tam dziesięć minut, starając się wysuszyć mokre spodnie. Potem zasiadł na niezbyt zatłoczonej widowni.

Niemal od razu pożałował swojej decyzji. Film miał zbyt głośną ścieżkę dźwiękową, był pełen brutalnej przemocy, a w scenariuszu aż roiło się od dziur i niekonsekwencji. Na dodatek po drugiej stronie przejścia siedziało dwóch debili w bluzach z kapturem, którzy po każdej krwawej scenie

wybuchali głośnym śmiechem. W pewnym momencie ktoś dwa razy mocno kopnął w jego fotel. Stan czekał w napięciu na kolejnego kopniaka.

Zamiast tego w ciemności zaświecił ekran smartfona. Ten kretyn, który siedział jeden rząd za nim, nie potrafił się skoncentrować nawet na filmie pełnym scen pokazujących bestialskie morderstwa. To przepełniło czarę goryczy.

W normalnych okolicznościach Stan pewnie by się odwrócił i rzucił mu gniewne spojrzenie. Być może nawet coś by powiedział.

Ale nie dzisiaj.

Dzisiaj wyrazem sprzeciwu było samo zajęcie miejsca na tej sali.

Wpatrywał się więc przed siebie, próbując oglądać film, chociaż wciąż przeszkadzały mu mokre spodnie i świadomość, że jest tchórzem.

Tymczasem za jego plecami siedział morderca...

\*\*\*

Kevin Barr nigdy nie pogodził się z tym, że ma tylko sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu.

Brakowało mu też uroku osobistego i inteligencji, więc ze strachu przed zdemaskowaniem pierwszy atakował ludzi bez wyraźnego powodu.

Nauczył się to robić tak dobrze, że jego życie stało się serią napadów agresji. Nie potrafił nawet kupić gazety bez wylania swojej frustracji na kioskarsza z powodu nieprzyjemnego nagłówka albo zamówić hamburgera bez prowokowania do bójki nastoletniego sprzedawcy.

W rzeczywistości rzadko musiał się bić. Większość ludzi była tak bardzo zaskoczona jego bezpodstawną agresją, że tylko najbardziej pijani podejmowali wyzwanie, a tych było stosunkowo łatwo pokonać.

Barr czerpał pewność siebie ze strachu, który widział w oczach swoich przeciwników.

Tak było na przykład z tym podstarzałym frajerem z kolejki. Barr nie mógł przecież pozwolić, żeby taki koleś bezkarnie go dotykał. Nikt nie będzie nim dyrygował! Takie rzeczy trzeba zdusić w pieprzonym zarodku.

Potem ten spasiony dupek wszedł na salę spóźniony i kiedy siadał jeden rząd przed nim, zasłonił swoim grubym cielskim ekran. Wyglądał jak wielki cel na strzelnicy. W jednej ręce trzymał kubek z lodami Ben & Jerry, a w drugiej przedarty bilet.

Pierdolona cipa!

Barr w głębi duszy liczył na dalszą część pyskówki, ponieważ wiedział, że stojąc o jeden rząd wyżej, będzie miał dodatkowe piętnaście centymetrów wzrostu...

Niestety frajer nawet się nie odwrócił, tylko siedział, wpięprzał lody i patrzył, jak Liam Neeson skopuje wszystkim tyłki. Był zbyt przerażony, żeby się odezwać...

\*\*\*

Stan podniósł się z fotela, gdy tylko na ekranie pojawiły się napisy końcowe. To było jedno z najgorszych wyjść do kina, jakie w ogóle można sobie wyobrazić. Miał ciągle mokry tyłek, ale było mu już ciepło. Czuł się trochę tak, jakby zsiąkł się w spodnie. Westchnął głośno, wziął kubek po lodach i odwrócił się w stronę wyjścia.

Nagle się wzdrygnął.

W rzędzie za nim siedział ten kretyn z kolejki. Rozwalił się z rozpostartymi ramionami, a jeden brudny buciór położył na oparciu fotela przed sobą. Miał półprzymknięte oczy, a na jego twarzy gościł drwiący uśmiezek. Wyraźnie było w nim widać przerwę między jedynkami.

Stan szybko odwrócił wzrok.

Jeśli znowu dojdzie do próby pyskówki, po prostu uda, że nic nie słyszał. Nie miał najmniejszej ochoty na kolejną awanturę.

Jednak mężczyzna milczał i w ogóle się nie ruszał. Mijając go, Stan rzucił mu jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie. Facet chyba zasnął.

Najwyraźniej bycie skończonym dupkiem bardzo go zmęczyło.

Mimo wszystko coś było nie tak. Stan zwolnił, żeby lepiej się przyjrzeć.

Poza, w jakiej siedział ten koleś, była zdecydowanie zbyt swobodna i zbyt nonszalancka. W bladym świetle przesuwających się po ekranie napisów końcowych jego wyzywająca twarz sprawiała intrygujące wrażenie. Stan zatrzymał się zafascynowany tym niecodziennym widokiem.

Między półprzymkniętymi powiekami widać było zmętniałe oczy, a kpiący uśmiešek wyglądał nieco nienaturalnie. Stan poczuł dziwny ucisk w żołądku. Coś tutaj ewidentnie nie grało.

Ostrożnie trącił knykциями but nieznajomego i powiedział:

– Hej, film już się skończył.

But zsunął się z oparcia, a noga opadła bezwładnie na podłogę.

Mężczyzna był nieprzytomny.

Stanowi od razu włączył się instynkt zawodowca. Przelazł przez fotel, dotknął arterii szyjnej, żeby sprawdzić puls i zaczął wołać o pomoc.

Nic.

Cholera!

Coś tutaj było ewidentnie nie tak. Głowa nieznajomego spoczywała na oparciu fotela w jakiś dziwny sposób i była nienaturalnie sztywna. Podbródek opierał się na klatce piersiowej, jak gdyby przytrzymywany na siłę. Stan zauważył też, że szczerba między zębami nie była wcale szczerbą – z ust mężczyzny wystawało coś czarnego. Czyżby się zakrztusił? Ale czym?

Stan dotknął tajemniczego przedmiotu i skrzywił się ze wstrętem.

Ostre!

Jakiś metal. Pewnie stal.

– Co to jest, do cholery?

Ostrożnie wsunął rękę za głowę mężczyzny i zorientował się, że ciało utrzymuje się w fotelu jedynie za sprawą rękojeści noża, który ktoś wbił temu nieborakowi w kark.

Kiedy Stan zrozumiał, co się stało, poczuł, że jest lepki od potu. I nie chodziło wcale o to, że pojął, dlaczego doszło do morderstwa i jakie były okoliczności zbrodni, lecz o samą technikę zabójstwa. Zdał sobie sprawę, jaką drogę pokonał nóż, żeby uśmiercić ofiarę. Wiedział, że narzędzie było wyposażone w wąską, dwusieczną i niezwykle *ostrą* klingę. Morderca musiał przyłożyć czubek noża do nasady czaszki i wbić go z ogromną siłą i niezwykle precyzją tak, żeby ostrze przeszło przez wążutką szczelinę między kłykciami potylicznymi. Po drodze rozplatało rdzeń kręgowy, a następnie tak błyskawicznie przecięło gardło i wyszło przez usta, że zęby nawet nie zdążyły się zacisnąć w przedśmiertnym skurczu.

Wokół Stana zaczęli gromadzić się ludzie: jacyś widzowie i paru członków obsługi. W pewnym momencie zorientował się, że ktoś filmuje wszystko smartfonem. Nienawidził tego i zwykle strasznie się wściekał, chociaż w obecnych czasach takie sceny były na porządku dziennym, a filmiki z miejsc zbrodni pojawiały się później na YouTube. Teraz miał jednak na głowie ważniejszą sprawę.

Jednym palcem nacisnął na rękojeść noża. Ostrze mocno tkwiło w ciele nieboszczyka. Kiedy cofnął rękę, poczuł, że jego palec jest lepki od płynu mózgowo-rdzeniowego.

Ten facet niewątpliwie był martwy i nic nie dało się z tym zrobić.

Stan nawet nie udawał, że jest mu przykro. Miał jedynie niewielkie wyrzuty sumienia. W końcu był tylko człowiekiem.

Wytarł dłoni o dzinsy ofiary.

– Doszło do morderstwa – poinformował poważnym tonem stojącą obok zdziwioną bileterkę, która trzymała w rękach czarny worek i chwytał do zbierania śmieci.

– Morderstwa? – zapytała.

– Zgadza się. Ten mężczyzna został pchnięty nożem.

– Pchnięty nożem?

– Tak – potwierdził cierpliwie Stan. – Trzeba zadzwonić po policję.

Dziewczyna stała jak wbita w ziemię. Przyszła tutaj, żeby pozbierać puste opakowania i kubki

po pepsi, a czekał na nią trup. Trudno jej było to zrozumieć.

Całe szczęście kilku gapiów bez zastanowienia sięgnęło po swoje telefony. Stan również wyciągnął komórkę, po czym zaczął wchodzić po pokrytych wykładziną schodach w stronę droższej strefy biletowej, na którą nie było go stać.

Usiadł na wygodniejszym fotelu i wybrał numer Eve Singer.

\*\*\*

Odebrał Duncan.

– Halo?

Telefon nie przestawał dzwonić, więc Duncan spojrzął na ekran, po czym między jednym sygnałem a drugim ponownie przytknął urządzenie do ucha.

– Halo?

Znowu zabrzączał dzwonek. Duncan się skrzywił, wyłączył komórkę i schował ją pod leżącą na sofie poduszkę, po czym wziął do ręki pilota i poszedł oglądać swój ulubiony program. W tym odcinku pokazywali, jak produkuje się gięte krzesła, chipsy i rękawice baseballowe. Na ekranie przesuwały się pasy transmisyjne, kręciły wrzeciona i wirowały tokarki, a przedmioty wypadały z rozmaitych rękawów i rynien. Maszyny huczały, stukały i pojękiwały.

Zrobienie krzesła wymagało najwyraźniej dużo pracy.

– A i tak efekt jest gówniany – skomentował szyderczym tonem Duncan, po czym roześmiał się z własnego dowcipu.

– Ktoś dzwonił?

Duncan przyłożył pilota do ucha i powtórzył:

– Halo?

Cisza. Spojrzął ze złością na ekran.

– Ktoś robi sobie głupie żarty! – Chciał zakończyć połączenie, więc nacisnął jakiś guzik i niechcący przełączył program z *Jak to się robi* na *Bake Off – Ale ciacho!*

– Tato, to ja. Jestem tutaj. Z kim rozmawiałeś?

Podniósł głowę i zobaczył w drzwiach młodą kobietę. To nie była ta gruba baba, która zwykle kręciła się po domu, ale szczupła dziewczyna w szlafroku.

– Ktoś dzwonił – powiedział.

– Wiem. I co?

– Każdy kawałek drewna jest poddawany działaniu pary wodnej i wyginany przez dwadzieścia cztery godziny w temperaturze stu siedemdziesięciu stopni. Brałaś kąpiel?

– Tak. Gdzie jest telefon?

– Zapłaciłaś rachunek?

– Rachunek?

– Za wodę.

– Tak – powiedziała. – Zapłaciłam.

Duncan był całkowicie zbity z tropu. To był w końcu jego dom i jego wanna. Nie miał wcale ochoty, żeby zjawiały się tu jakieś panienki i jak gdyby nigdy nic wskakiwały mu do wanny, nawet jeśli później pokrywały koszt zużytej wody.

– Tato, gdzie schowałeś telefon?

– Dlaczego to ty płacisz moje rachunki? – zapytał. – Czemu nie wrócisz do siebie? I do kogo mówisz: „tato”?

Głośno westchnęła.

– Do ciebie. Jesteś moim ojcem, a ja twoją córką. Mam na imię Eve.

– Aha – burknął urażonym głosem. – Nie wiedziałem, że mam córkę.

– Masz dwójkę dzieci. Syna Stuarta i córkę Eve.

– Aha – powtórzył. – W takim razie miło cię poznać.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Gdzie położyłeś telefon?

– Jest tutaj. – Podał jej pilota. – Zadzwoń do BBC – powiedział, wskazując na telewizor. – Nie chcę już więcej oglądać tych lesbijek.

## 5 GRUDNIA

Eve znalazła swój telefon dopiero następnego dnia rano i odsłuchiwała wiadomość od Stana zbyt późno, żeby uzyskać przewagę nad konkurencją.

Kiedy razem z Joem dotarli wreszcie do kina na Baker Street, na miejscu były już trzy inne ekipy telewizyjne.

– Cholera – przeklęła pod nosem, kiedy parkowali samochód. – Niech to szlag trafi!

Joe milczał. Nie był typem faceta, który wypomina innym niedociągnięcia. Zresztą Eve nienawidziła takiego zachowania. Sama doskonale wiedziała, że powinni już dawno zrobić ten materiał, zamiast próbować nadrabiać teraz zaległości.

Całe szczęście Stan Reddy udzielił im wywiadu na wyłączność. Opowiedział całą historię z takimi szczegółami, że tylko połowa nadawała się do emisji. Reszta była zbyt obrazowa i Eve musiała go poprosić, żeby złagodził nieco niektóre wypowiedzi. Gdyby tego nie zrobił, wywiad nie mógłby zostać wyemitowany w telewizji.

Wypowiedzi takie jak ta o „cieknącym po palcach płynie mózgowo-rdzeniowym”.

Smacznego.

Stan zapamiętał też inne ciekawe szczegóły, na przykład kopanie w fotel i świecący w ciemności smartfon. Dzięki temu widzowie dostali barwny opis walki na śmierć i życie, która rozegrała się za plecami sanitariusza. Dodatkowego smaku całej sprawie nadawał fakt, że w tym samym czasie publiczność oglądała na ekranie prawdziwą orgię imitowanej przemocy.

Kiedy nie mieli materiału filmowego, zadaniem Eve było wykreowanie odpowiednich obrazów w umysłach widzów. Trzeba przyznać, że miała w tym dużą wprawę.

Czy kopanie w fotel było objawem drgawek przedśmiertnych?

Czy morderca nakręcił telefonem swój makabryczny wyczyn?

Najlepsze zostawiła na koniec: czy na pewno wiesz, kto za tobą siedzi?

Jej celem było wzbudzenie strachu, ponieważ tylko strach gwarantował wysokie słupki oglądalności.

Stan zapewnił ją, że nie rozmawiał z dziennikarzami z konkurencyjnych stacji. Liczył zapewne, że na nadchodzące święta dostanie jeszcze większą butelkę. Dzięki jego lojalności uzyskali pewną przewagę, choć trzeba przyznać, że stosunkowo niewielką.

Przedstawiciele mediów nie mieli wstępu na teren kina. Nie mogli nawet sfilmować holu wejściowego i kasy. Na miejsce przyjeżdżały kolejne ekipy telewizyjne, a Eve traciła cenny czas na bezowocne dyskusje z kierownikiem, młodym facetem o wyglądzie nastolatka, który wciąż zмага się z trądzikiem.

W pewnym momencie miała ochotę krzyknąć.

Powinni tutaj być już wczoraj wieczorem. Wtedy istniała szansa na ubiegnięcie policji. Mogliby dorwać kierownika albo jakąś bileterkę, zbyt oszołomioną tym, co się stało, żeby zabroniła im wejścia do środka. Zamiast tego mieli tylko nieciekawe ujęcia budynku z zewnątrz i kilka zbliżeń na plakaty filmowe. Taki materiał mógł mieć dosłownie każdy. Teraz wszyscy czekali na worek ze zwłokami. Kiedy na chodniku nagle zaparkował samochód z logo News 24/7, Eve z irytacją wydeła policzki. Guy Smith.

Wysiadł z auta i poprawił krawat, przeglądając się w szybie od strony pasażera, po czym wmieszał się w koczujący pod kinem tłum dziennikarzy.

– Było już rzyganie? – rzucił w stronę Eve.

– A ty znalazłeś Marka Franco? – odparła złośliwie.

– Celny strzał! Ale spotkałem za to kolesia, który twierdzi, że w poprzednim życiu zajmował się próbowaniem potraw na dworze Napoleona.

– Świetnie. W takim razie to nie był stracony dzień.

Joe parsknął śmiechem. Guy posłał mu groźne spojrzenie, po czym dotknął frędzelków wełnianego szalika, który miała na sobie Eve. Pewnie uznał, że to świetna metoda na flirt, ale tak naprawdę jego zachowanie było irytujące jak cholera.

– A ty kim byłaś w poprzednim życiu?

– Też byłam drażliwa – warknęła i gwałtownym gestem wyrwała mu szalik z dłoni, po czym szybko schowała frędzle pod połę płaszcza.

– W porządku. Uspokój się.

Eve strasznie się wściekła. Nienawidziła, gdy ktoś mówił, żeby się uspokoiła. Równie dobrze Guy mógł poklepać ją po tyłku i powiedzieć, żeby się nie przejmowała, bo to za poważne sprawy na jej małą główkę.

Nagle odezwał się Joe:

– Dzwonił Ross. Musimy jechać.

Wyraźnie się ociągając, Eve ruszyła w stronę volvo z logo iWitness News.

Z jakiegoś powodu Guy postanowił im towarzyszyć. Zachowywał się, jak gdyby był członkiem ich zespołu, a nie pracownikiem konkurencji. Na dodatek naprawdę niewiele brakowało, żeby zarobił fangę w nos.

– Daj spokój, Eve – jęknął. – Pozwól zaprosić się na drinka.

Nawet na niego nie spojrzała.

– Jasne. A mogę przyjść ze swoim chłopakiem?

– Przecież nie masz chłopaka. Wszyscy o tym wiedzą.

– Naprawdę? – powiedziała. – Mike będzie zawiedziony, jeśli się dowie, że jest tylko wytworem mojej wyobraźni.

– Mike srajk – wypalił Guy. – Jaki jest jego znak zodiaku?

– Koziorożec.

– Jak ma imię jego matka?

– Sylvia.

– Co ci kupił w zeszłym roku pod choinkę?

Eve dotknęła palcami medalionu w kształcie serca na złotym łańcuszku, który nosiła na szyi. Dostała go od ojca na dwudzieste siódme urodziny. Wtedy po raz ostatni pamiętał o tej okazji.

Teraz w ogóle nie był świadomy faktu, że ma córkę.

Guy chyba zrozumiał, że został odrzucony i nic nie wskóra.

Ale nie na długo. Za chwilę stał już przy ich samochodzie.

Eve zaczęła zdawać sobie sprawę, że mogła go nie doceniać. Był uparty jak osioł, a w fachu reportera to już połowa sukcesu.

Przysunął się blisko i wyszeptał konspiracyjnym szeptem:

– Słuchaj, jeśli jesteś, no wiesz, lesbijką, to mi to po prostu powiedz. Obiecuję, że nikt się o tym nie dowie. Gęba na kłódkę.

Udał, że zamyka sobie usta i wyrzuca klucz.

Eve spiorunowała go wzrokiem, który rozplątałby na pół nawet sekwoję.

Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

– Dobra – ciągnął, jak gdyby prowadzili korzystne dla obu stron negocjacje. – Założymy, że Mike to wytwór twojej wyobraźni. Umówisz się ze mną na randkę?

– Nie.

– Dlaczego? – zapytał.

Eve chciała oszczędzić mu upokorzenia. Jednak ten facet wysysał z niej wszelkie ludzkie odruchy i sprawiał, że miała ochotę wypluć całą swoją zyczliwość na chodnik.

Otworzyła drzwi służbowego samochodu i oznajmiła:

– Bo wydaje mi się, że zasługuję na kogoś lepszego.

\*\*\*



Kiedy odjechali, Eve wciąż kipiała ze złości.

– Słyszałeś tego dupka?

– Tak.

– Chciał wiedzieć, czy jestem lesbijką. To przez takich facetów mam ochotę zacząć sypiać z kobietami.

– Rozumiem! – powiedział Joe i wybuchnął śmiechem.

– Wiem, że rozumiesz! – krzyknęła i również zaczęła się śmiać.

To była prawda: nikt nie znał jej tak dobrze jak Joe. W ciągu ostatnich kilku lat spędzili razem mnóstwo czasu – w samochodzie, przed różnymi budynkami i rzecz jasna w montażowni. Nawet podczas pracy nad materiałem dotyczącym makabrycznej zbrodni potrafili się świetnie bawić. Chichotali, przygotowując materiał tak, żeby wydawało się, że na ekranie jest krew. Najsmakowitsze ujęcia zostawili jako atrakcję na imprezę świąteczną dla pracowników: unosząca się na wodach Canary Wharf odcięta noga z siedzącą na niej mewą, Guy Smith z podłożonym głosem wygłaszający jakiś komunikat prasowy, Eve powtarzająca wyraz „koroner” tak długo, aż straci on jakiegokolwiek znaczenie i nie brzmi w ogóle jak słowo w języku angielskim.

Poczuła, że poranne napięcie zaczyna powoli znikać, i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Czego chciał Ross?

– Niczego. W ogóle nie dzwonił. Uznałem, że powinniśmy się zbierać, zanim strzelisz Guyowi z liścia.

– Nie możemy jeszcze odjechać. Przecież nie mamy worka ze zwłokami!

– Ale mamy nazwisko i adres ofiary.

Eve od razu się tym zainteresowała.

– Naprawdę?

Joe skinął głową.

– Kevin Barr. Mieszkał całkiem niedaleko stąd. Na Paddington.

– Skąd to wiesz?

– Ricky się wygadał. Policjanci dopiero zaczęli pracę na miejscu zbrodni, więc pomyślałem, że moglibyśmy pogadać z rodziną i coś nakręcić. Powinniśmy zdążyć na wyprowadzenie zwłok.

– Kim jest Ricky? – Eve zmarszczyła czoło.

– To kamerzysta Guya – wyjaśnił Joe, przewracając oczami. – Boże, dla ciebie jesteśmy jak małpy, prawda?

– Tak – powiedziała łagodnie. – Ale ty jesteś ich królem.

Rozległ się dzwonek telefonu. To był Ross.

– Macie już worek?

– Żadnego „cześ”, „jak leci?”, „dzięki za świetny wywiad ze świadkiem zbrodni”. Od razu przeszedł do sedna sprawy. Cały Ross.

– Jeszcze nie – odpowiedziała. – Co sądzisz o rozmowie z sanitariuszem?

– Całkiem w porządku – bąknął bez szczególnego entuzjazmu, pewnie dlatego że Stan nie był seksowną blondynką.

Albo trupem.

– Gdzie teraz jesteście?

– Chcemy złożyć wizytę rodzinie ofiary. Nakręcimy materiał, a potem wracamy.

– Okay – powiedział z lekką dezaprobatą. – Tylko nie zapomnijcie o worku.

Eve skończyła rozmowę i zwróciła się do Joego:

– Jakim cudem Ricky zaczął z nami współpracować?

Joe wzruszył ramionami.

– No wiesz, małpy muszą trzymać się razem.

Uśmiechnęła się.

– To dlatego wszyscy wiedzą, że nie mam chłopaka?

– Prawie wszyscy.

Eve skinęła głową i przygryzła paznokieć kciuka.

– Uważają mnie za lesbijkę?

– Oczywiście – przytaknął Joe radośnie. – Tylko ja wiem, że jest inaczej.

\*\*\*

Pod adresem, który Joe dostał od Ricky'ego, było mieszkanie położone nad knajpą z burgerami niedaleko Praed Street. Zapach od razu przypomniał Eve czasy studenckie, kiedy jej dieta składała się niemal wyłącznie z soli i gorącego tłuszczu. Na samą myśl o takim jedzeniu ślina napłynęła jej do ust.

Przy drzwiach wejściowych znajdował się panel domofonu z sześcioma guzikami, każdy opatrzony karteczką z danymi lokatora. Na samej górze widniało wypisane zielonym atramentem nazwisko Barr.

Eve wzięła głęboki oddech. Pukanie i dzwonienie było częścią jej pracy i czuła, że robi to już zbyt długo. Próbowwała skontaktować się z rodzinami, które zaczynały dzień tak jak wszyscy inni ludzie, ale kończyły go w zupełnie nowej rzeczywistości. W ich mieszkaniach coś się nieodwracalnie zmieniło i panował trudny do opisu smutek.

Pierwszy kontakt z pogrążoną w żałobie rodziną zawsze był trudny, lecz każdy reporter jakoś sobie z tym radził. W przeciwnym razie musiał zmienić pracę.

– Nienawidzę tego – powiedziała.

– Ja też – szepnął Joe.

– Tak, ale wobec ciebie nie czują niechęci. Z jakiegoś powodu nigdy nie obrywa się kamerzyście.

Winnie jest tylko dziennikarz.

Joe skinął głową i zrobił poważną minę.

– Po prostu wiedzą, że mała tańczy, jak jej zagra kataryniarz.

Eve zaczęła chichotać, ale po chwili się opanowała i obrzuciła Joego gniewnym spojrzeniem.

– Nie rozśmieszaj mnie! Mówię serio, Joe! Rodzina oplakuje śmierć bliskiego, a ty stroisz sobie żarty.

– Przepraszam.

Nacisnęła guzik domofonu, ale nie było żadnej reakcji.

– Na co czekacie, smutni ludzie – powiedziała lodowatym tonem i zadzwoniła jeszcze raz.

Poczuła, jakby ktoś wbijał jej w serce zimny szpikulec, i ogarnęła ją obojętność.

W głośniku zatrzeszczało i rozległ się męski głos:

– Słucham?

– Dzień dobry. Czy rozmawiam z panem Barrem?

– Tak.

– Ojcem Kevina Barra?

– Tak.

– Przepraszam, że pana niepokoję. Mówi Eve Singer z iWitness News. Czy moglibyśmy porozmawiać?

Przez chwilę słychać było tylko brzęczenie i jakieś szepty.

– Zejdę na dół – oznajmił wreszcie pan Barr i się rozłączył.

Eve i Joe spojrzeli na siebie z nadzieją i cierpliwie czekali.

Znowu zaczął padać śnieg.

Eve lubiła zimowy krajobraz na przedmieściach. Robiło się wtedy cicho i magicznie. Jednak taka pogoda w centrum Londynu to coś zupełnie innego. Nawet kiedy biały puch był jeszcze bardzo świeży, sprawiał wrażenie mokrego i brudnego, jakby wiedział, co go czeka, i nie chciało mu się starać. Tak było i tym razem. Płatki wydawały się znać swój smutny los i powoli opadały na wystawione przed sklepy zielone worki z odpadkami.

Na korytarzu rozległy się kroki. Po chwili dał się słyszeć szcęk łańcucha i otwieranie zamka.

Eve wzięła głęboki oddech.

W drzwiach stanął mężczyzna w średnim wieku, niski i okrągły. Miał na sobie czerwoną

jednocześnie pizamę, w której wyglądał jak Yosemite Sam.

– Pan Barr?

– Tak.

– Jest nam niezwykle przykro, ale...

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, mężczyzna wylał na nich kubek wody.

– Pierdolone sępy! – krzyknął i zatrzaskał drzwi.

– Cholera! – syknął Joe, po czym szybko się odwrócił i zaczął gorączkowo sprawdzać kamerę.

Eve stała bez ruchu i z otwartymi ze zdumienia ustami wpatrywała się w swój przemoczony płaszcz.

Czuła, jak lodowata woda dostaje się pod guziki, spływając jej między piersiami i po brzuchu.

– Kamera jest popsuta – powiedział Joe i spojrzał na Eve. – A u ciebie wszystko w porządku?

Powoli skinęła głową.

– Sukinsyn! – mruknęła pod nosem i wyciągnęła rękę w stronę domofonu.

Joe powstrzymał ją w ostatniej chwili.

– Daj sobie spokój.

– Odpieprz się ode mnie! – Wyrwała się ze złością i nacisnęła guzik palcem wskazującym.

Drzwi od razu się otworzyły.

– Powiedział, że nie dacie łatwo za wygraną – krzyknął mężczyzna.

– Kto?

– Ten pedzio z wiadomości. Tak więc...

Zamachnęła się i chlusnęła drugim wiadrem zimnej wody, tym razem prosto w twarz Eve.

\*\*\*

Siedziała na krawędzi biurka i próbowała wysuszyć włosy ścierką do naczyń z logo iWitness News.

– Dlaczego po prostu nie umówisz się z Guyem Smithem? – zapytał Joe. – Nasze życie byłoby wtedy o wiele łatwiejsze.

– A może to ty się z nim umówisz? – warknęła. – Wtedy przynajmniej ja będę miała święty spokój.

Mokre ubrania wisały na kilku kaloryferach w różnych częściach pokoju redakcji informacyjnej. Eve miała na sobie strój na siłownię, który zawsze trzymała w pracy, ale nigdy go nie nosiła: legginsy z lycry, krótką bluzeczkę i pożyczony od Joego sweter.

– Przepraszam – powiedział Joe poważnym tonem. – Powinienem wyczuć pismo nosem.

– W porządku. Podejrzałam, że to podstęp, ale i tak dałam się w to wciągnąć. W takim razie kto z nas jest głupszy?

– Ty? – wycedził nieśmiało Joe.

– No właśnie – potwierdziła. – Poza tym ostrzegałeś mnie, żebym nie dzwoniła drugi raz.

– Tak było – przytaknęła, głośno wzdychając. – To powinna być dla ciebie nauka.

– Jasne – jęknęła z zalem w głosie. – Od teraz obiecuję całkowite posłuszeństwo.

– Nie nakręciliście pieprzonego worka!

Oboje się odwrócili. Do pokoju wmaszerował Ross. Widać było, że kipi z wściekłości.

– Woda dostała się do kamery – wyjaśnił Joe.

– Tak – dodała Eve. – Sami również przemokliśmy do suchej nitki. A ja prawie dostałam hipotermii.

– Gównu mnie to obchodzi. Równie dobrze mogłaś złapać ebolę. Płacę ci i oczekuję, że zrobisz, co do ciebie należy.

– To nie fair! – zaprotestowała Eve. – Wykonaliśmy swoją pracę. To była cholernie dobra robota!

Jako jedyni mamy wywiad z naocznym świadkiem. Na wyłączność!

– Ludzie chcą zobaczyć zwłoki. Tylko to ich interesuje.

– Bzdury!

– Naprawdę? – krzyknął Ross. – Mieliśmy skargi.

– Nie wierzę.

– Mieliliśmy skargi – powtórzył.  
– Kto, do cholery, dzwoni do telewizji i narzeka, że w wiadomościach nie pokazali worka ze zwłokami?  
– Na przykład ja. – Zaskoczeni tymi słowami spojrzeli na Rossa, ale on tylko wzruszył ramionami. – No cóż, lubię, kiedy w jednym kadrze znajduje się ładna dziewczyna i trup. Co więcej, nie jestem w tym odosobniony.  
– Przykro mi, ale nie wiedziałam, że jestem tu po to, żeby zaspokajać twoje chore perwersje – powiedziała Eve, nie ukrywając sarkazmu.  
– W takim razie sprawdź swoją umowę – burknął. – Co jest z kamerą?  
– Rozłożyłem ją na części i wsadziłem do osuszacza – wyjaśnił Joe.  
– Jeśli jest popsuta, potrączę ci z pensji – oznajmił Ross i ruszył do wyjścia energicznym krokiem. Eve krzyknęła w stronę jego pleców:  
– Co mamy zrobić z rodziną Kevina Barra?  
Odwrócił się, ale wcale się nie zatrzymał, tylko dalej szedł tyłem.  
– Pieprzyć ich – powiedział. – Teraz chcę mieć prześwietlenie tego gościa z nożem w głowie. Wiesz, takie jak rentgeny ze szczeniakami, które połknęły strzałki albo jakieś inne gówno. Zatrzasnął za sobą podwójne drzwi. Eve i Joe wymienili znaczące spojrzenia.  
– Niezły z niego kutas – prychnęła Eve.  
– Racja – przytaknął Joe. – Wielki kutas na dwóch nogach.  
– Co robimy z tym rentgenem?  
Joe z lekceważeniem machnął ręką.  
– Ross robi sobie jaja. Nikomu nie uda się tego zdobyć.  
– Może Janey z biura koronera...? – zaproponowała Eve.  
Joe parę razy umówił się z nią na randkę, ale tym razem skierował oba kciuki w dół.  
– Mała szansa.  
– Dlaczego? Coś się stało?  
– Nic. Ona po prostu... niespecjalnie grzeszy inteligencją.  
– Przykro mi – powiedziała Eve i lekko go poklepała.  
– Nie ma sprawy. – Wzruszył ramionami.  
– Przyniosłam wam zupę, żebyście się trochę rozgrzali.  
To była Katie Merino. Stała za ich plecami, trzymając w rękach dwa papierowe kubki z zupą z automatu.  
– Dzięki – powiedziała Eve.  
– Jeśli chcesz, mogę ci też pożyczyć sweter – zaproponowała Katie słodkim głosem, chociaż na pierwszy rzut oka widać było, że nosi ubrania o dwa rozmiary mniejsze niż Eve.  
– Dziękuję, ale nie sądzę, żeby na mnie pasował – zażartował Joe.  
Katie wybuchnęła śmiechem i ścisnęła jego biceps.  
– Nie, chyba nie za bardzo – powiedziała i wróciła do swojego biurka.  
– To było miłe z jej strony – oznajmił Joe.  
– Chyba tak – potwierdziła Eve skwaszonym tonem.  
Była osiemnasta i na zajmujących całą ścianę monitorach pojawiły się czołówki serwisów informacyjnych różnych stacji.  
– Wszyscy mają ten pierdolony worek ze zwłokami – krzyknął Ross przez otwarte drzwi gabinetu.  
Eve westchnęła i podeszła do kaloryfera, żeby sprawdzić stan swoich ubrań. Nadal były wilgotne, więc odwróciła je, żeby wyschły z drugiej strony.  
– Nienawidzę tej cholernej pracy – powiedziała dosadnie.  
Joe spojrział na nią zatroskanym wzrokiem.  
– Coś nie tak?  
– Wszystko w porządku.

– Naprawdę? Przecież już wcześniej zdarzało nam się czegoś nie nagrać. O co chodzi tym razem?

Eve tylko pokręciła głową. Chociaż miała do Joego zaufanie, nie była w stanie opowiedzieć mu o wszystkich złych rzeczach, które działy się w jej życiu. Wyszłaby wtedy na uzalającą się nad sobą niedojdę. Poza tym zdawała sobie sprawę, że i tak nikt nie jest w stanie rozwiązać jej problemów. Całe szczęście wszystko, co złe, kiedyś się kończy, trudne sprawy jakoś się ułożą i podobne optymistyczne bzdety.

Wiedziała, że musi po prostu iść przed siebie.

Dotknęła ręką wilgotnego płaszcza.

– Już prawie suche. Zbieram się do domu.

– Ale przecież teraz są największe korki! – powiedział Joe z udawanym przerażeniem w głosie.

Rzadko zdarzało im się wychodzić z pracy o czasie i często powtarzali dowcip o korkach, żeby dodać sobie otuchy. Godziny szczytu to była dla nich jakaś mityczna pora, o której co prawda słyszeli, ale której nigdy nie widzieli na własne oczy.

Przez twarz Eve przebiegł niewyraźny uśmiech.

– Nie idź jeszcze do domu – ciągnął Joe. – Lepiej wybierzmy się razem na kolację.

– Na kolację? – Trudno jej było ukryć zdziwienie. Bardzo często jedli wspólnie posiłki, ale były to kanapki z jakiejś budki na rogu albo konsumowane w samochodzie dania na wynos. Nigdy nie umówili się na wyjście do restauracji.

– Czemu nie? – powiedział Joe. – Mieliśmy gówniany dzień i pomyślałem o jakiejś fajnej knajpie i butelce wina. Co ty na to?

– Nie mogę. Dziękuję, ale...

„Muszę umyć włosy”.

– Muszę zrobić zakupy na święta.

Nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego go okłamuje. Przecież Joe nie miał bladego pojęcia, że jej ojciec jest poważnie chory. Tak naprawdę nikt o tym nie wiedział oprócz lekarza i pani Solomon. Eve zdawała sobie sprawę, że głupio robi, ale sprawa była zbyt skomplikowana, żeby o niej wszystkim opowiadać. Nie mogła traktować tego, że Duncan Singer traci rozum, jak jednorazowej wymówki. To się działo naprawdę i było aż za bardzo rzeczywiste.

Na samą myśl zaczęło jej się zbierać na płacz.

– Ale dziękuję za propozycję. I liczę, że jeszcze kiedyś mnie zaprosisz.

– Jasne. I wcale nie musimy iść na kolację. Możemy po prostu pogadać.

Uśmiechnęła się i zaczęła wkładać płaszcza.

– Dzięki, Joe. Widzimy się jutro!

– Trzymaj się – powiedział i pochylił się, żeby ją pocałować.

Dostała buziaka tylko w policzek, ale i tak była to dla niej spora niespodzianka.

\*\*\*

Siedziała w trzęsącym się wagonie metra jadącego na Isleworth i analizowała pocałunek Joego. To było jedynie delikatne cmoknięcie, a Joe nie był dla niej nikim więcej niż przyjacielem, na dodatek dużo młodszym. Jednak od wielu lat nie pocałował jej żaden mężczyzna – nawet w policzek – i ten przyjacielski gest sprawił, że zaczęła sobie wyobrażać, jak zaprasza do siebie Joego – albo jakiegoś innego faceta – na ostatniego drinka po udanej randce.

Tak bardzo wyszła z wprawy! Od czego należało zacząć? Na początek jakiś alkohol. Butelka dobrego wina, które będzie pasowało do... no właśnie, do czego? Do jej popisowego afrodyzjaku, czyli grzanki z fasolką w sosie pomidorowym? Po zjedzeniu kolacji mogliby zepchnąć ojca ze schodów, a potem usiąść razem przed telewizorem i obejrzeć program o tym, jak produkuje się rękawice kuchenne. W tle leciałaby muzyka z jakiegoś pornosu.

Zauważyła swoje odbicie w ciemnej szybie i kwaśno się uśmiechnęła. Postanowiła nie roztrząsać już więcej tego pocałunku.

Niestety przez całą drogę do domu nie była w stanie myśleć o niczym innym.

## 7 GRUDNIA

Idziemy na świąteczne zakupy!

Duncan Singer siedział na sofie i kiedy usłyszał te słowa, zmarszczył czoło.

– Jestem zajęty – powiedział, wskazując na telewizor, w którym leciało *Jak to się robi*.  
– Oglądałaś ten program?

– Tak.

– Ja jeszcze nie. Świetna rzecz. Pokazują, jak produkuje się różne rzeczy.

Dzisiaj były to parasole, scyzoryki i kowbojskie siodła. Eve widziała ten odcinek przynajmniej dziesięć razy i doskonale zdawała sobie sprawę, ile pracy trzeba włożyć, żeby zrobić siodło. Blacha cynowa, nity i wiele warstw grubej skóry, którą należało starannie okroić przy krawędziach, żeby wszystko było odpowiednio gładkie. W jej głowie rozbrzmiał głos lektora: „Ten proces nazywamy dwojeniem”.

– Tato, daj spokój – powiedziała. – To będzie świetna zabawa.

Duncan spojrzał na Eve tak, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

– Co będzie świetną zabawą?

– Świąteczne zakupy.

– Może dla ciebie. A co ja z tego będę miał?

– Bardzo dużo. Zobacysz świąteczne lampki, kupimy prezenty. Pójdziemy razem z Charlotte na kawę, na przykład na latte z ajerkoniakiem, i zjemy babeczki z bakaliami. W sklepach będą grali kolędy. Przecież je uwielbiasz.

– Jakie kolędy? – zapytał podejrzliwie.

Eve lekko się uśmiechnęła.

– Takie bożonarodzeniowe piosenki – wyjaśniła i zaczęła śpiewać *God Rest Ye Merry, Gentlemen*.

Przyłączył się i razem dośpiewali do końca. Pamiętał wszystkie słowa i nadal miał całkiem niezły baryton.

– Widzę, że masz ochotę posłuchać kolęd.

– Jakich kolęd? – W jego głosie znowu pojawiła się nieufność.

– Przyniosę płaszcz – powiedziała.

Poszła do szafy w przedpokoju i wyjęła z niej grube palto z szarej wełny. Było bardzo stare i ważyło chyba z tonę. Wydawało jej się, że ojciec ma je od zawsze.

Zaniosła płaszcz do pokoju i podała go Duncanowi.

– To moje?

– Tak. Załóż.

Tym razem posłuchał. Pod ciężarem palta jego ramiona lekko się ugięły.

– Bardzo ciepła kapota.

– Wiem, ale na zewnątrz jest naprawdę zimno.

– W takim razie musimy iść na spacer – oznajmił, a Eve wybuchnęła śmiechem.

– Wcale nie żartuję – powiedział wyraźnie poirytowany. – To przecież logiczne.

– Masz rację. Przepraszam.

Stanęli w korytarzu. Eve założyła swój płaszcz, rękawiczki, wełnianą czapkę i szalik do kompletu, a potem wzięła torebkę i sprawdziła, czy w środku są pieniądze, klucze i telefon. Kiedy otworzyła drzwi, ukazał się oślepiająco biały krajobraz.

– Śnieg! – krzyknął Duncan i zaczął mrugać oczami.

– Zgadza się – powiedziała Eve. Przez noc spadło jeszcze kilka dodatkowych centymetrów i pod jasnyniebieskim niebem wszystko wydawało się gładkie i zaokrąglone. – Tylko idź ostrożnie.

Duncan postawił jedną nogę na ścieżce, ale szybko ją cofnął, zostawiwszy w śniegu wyraźny i głęboki ślad swojej podeszwy.

– Nie chcę się pośliznąć – powiedział lekko przestraszony.

– Nic ci się nie stanie. Będę cię asekurować.

Złapała go pod rękę i ruszyła przed siebie, ale Duncan ani drgnął.

– Tato, daj spokój...

Rozejrzał się po perfekcyjnie gładkim, białym ogrodzie.

– Tato?

– Co takiego?

– Idziemy na świąteczne zakupy.

– Aha.

Zrobił krok do przodu. Wsunął jedną nogę w swój własny ślad, a drugą postawił tuż przed nią i stanął bez ruchu. Wyglądał jak starożytny Egipcjanin.

– Zaraz przyjedzie taksówka.

– Wydaje mi się, że to trochę niebezpieczne. Jedź beze mnie.

– Nie chcesz iść na zakupy?

– Nie – powiedział. – Wyszedłem na zewnątrz tylko dlatego, że mam na sobie ten płaszcz.

Eve nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Jeśli tak dalej pójdzie, to będzie musiała kupić prezenty w sklepie wielobranżowym na stacji metra. Jakies kiepskie wino, zupę w proszku i wielkie pudełko tamponów. Po prostu szał!

Spojrzała na ojca nerwowo kołyszącego się w śniegu i głośno westchnęła.

– Dobra. Wracamy do środka – oznajmiła.

Duncan wyciągnął jedną nogę z zasy, zrobił krok do tyłu i postawił ją na wycieraczkę. Dopiero wtedy się odwrócił i wszedł z powrotem do domu.

Eve zamknęła drzwi i powoli zdjęła czapkę, rękawiczki i szalik, po czym rzuciła wszystko na stół i jeszcze raz westchnęła. Nici z zakupów, spotkania z Charlotte i kawy z ajerkoniakiem. Zero świątecznych lampek. Żadnych kołęd i babeczek z bakaliami.

Cholera. Ale za taksówkę będzie musiała zapłacić...

– Zrobiłaś już zakupy na Boże Narodzenie? – zapytał Duncan radosnym głosem.

Eve przez chwilę się zawahała.

– Tak.

– Kupiłaś mi prezent?

– A co chciałbyś dostać?

– Szklane oko.

– Cóż – powiedziała ze znużeniem – właśnie to ci kupiłam.

Przez całe życie zabójca czekał na śmierć.

Najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa to moment, kiedy obudził się w szpitalu z cudzym sercem w piersi i usłyszał szept lekarza: „Dni tego dzieciaka są policzone”.

Te wypowiedziane cichym głosem słowa pomieszały mu w głowie i nie przestały go prześladować.

Ile mu zostało? Tydzień? Rok? Dziesięć lat? Komu to zawdzięcza? Czy będzie musiał spłacić dług? I co się stanie, gdy jego czas dobiegnie końca?

Czy będzie mógł pożyczyć więcej?

Nie przestawał martwić się o swoje serce. Czasami wydawało mu się, że ono w ogóle nie działa. Siedział w cichym pokoju i miał wrażenie, że przestało bić. Musiał dotknąć dłonią klatki piersiowej i dopiero wtedy wyczuwał słabe drganie. Bał się, że tak naprawdę lekarze niczego mu nie przeszczepili, tylko wypełnili puste miejsce watą chirurgiczną. Zaczynał wtedy biegać po schodach w górę i w dół i biegał tak długo, aż dostawał zawrotów głowy i niemrawy organ zaczynał normalnie pracować. Zdarzało się jednak, że przesadzał. Serce waliło mu tak mocno, że cały zalewał się potem i wpadał w panikę. Raz nawet zemdlał. Przyjechało pogotowie, a lekarz był naprawdę zły i nieźle go zrugął – tak jakby to nie było jego serce, tylko organ z wypożyczalni, który trzeba oddać, gdy nie będzie już potrzebny.

Albo kiedy wypożyczający odejdzie z tego świata.

Po tamtym incydencie nie wolno mu było biegać.

W dzieciństwie za każdym razem kiedy się ubierał do wyjścia albo rozbierał, żeby wziąć kąpiel, dotykał grubej czerwonej blizny, która biegła przez sam środek jego klatki piersiowej. Czasem rozdrapywał skórę aż do krwi. Zdarzało się, że nianie dawały mu za to po łapach. Chwytały go za nadgarstek, ciągnęły za ramię i potrząsały, jak gdyby był lalką. „Zostaw to w spokoju! Co się z tobą dzieje!” Jednak on nie miał pojęcia, co było nie tak. Skąd miał to wiedzieć? Nie ufał przecież sercu, które biło w jego własnej piersi. Czy była to lśniaca różowa pompka? Czy raczej sflaczały mięsień rozmiarów zaciśniętej pięści, który i tak wkrótce przestanie działać? Jak miał się tego dowiedzieć? Lekarze twierdzili, że wszystko jest w porządku, ale oni zawsze kłamali. To, czego mu brakowało, odbijało się w mętnych oczach jego rodziców. Z ich spojrzeń wyczytywał inną, o wiele bardziej przerażającą historię.

Pewnego razu, kiedy miał sześć lat, poprosił matkę, żeby powiedziała mu prawdę, a ona zaczęła płakać. Ojciec nakazał mu ostrym tonem, żeby więcej nie poruszał tego tematu.

Zawsze trzymali go na dystans – jakby wiedzieli, że go stracą, i woleli, żeby ich przy tym nie było.

Ten dystans z czasem się powiększał. Nigdy nie rozumieli swojego syna, a on nie rozumiał rodziców.

Zawsze był słaby i wymizowany. Nigdy nie miał przyjaciół, a koledzy się nad nim znęcali – w szkole, w parku, a raz nawet w domu, w jego własnym pokoju. Dręczył go chłopiec zaproszony do nich na podwieczorek.

– Każdy łobuz, który znęca się nad słabszymi, w środku jest tak naprawdę tchórzem – powiedział ojciec, kiedy się o wszystkim dowiedział. Miał w głosie pewność siebie kogoś, nad kim nikt nigdy się nie pastwił.

Skończyło się na tym, że chłopak prawie w ogóle przestał wychodzić z domu i bawić się z rówieśnikami.

W wieku ośmiu lat zrezygnował ze szkoły i chyba nikt się tym specjalnie nie przejął. Jaki był sens przygotowywania go do dorosłego życia, którego i tak nigdy nie będzie miał?

Całymi dniami czytał albo snuł się rozbrzmiewającymi echem korytarzami, które wypełnione były dziełami sztuki znajdującymi się w posiadaniu rodziny od wielu pokoleń. W bogato urządzonej



przedpokoju pysznił się niewielki Tintoretto. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające sceny miłości i powolnej śmierci, a na fortepianie stało kilka delikatnych miniatur, wszystkie w czarnych ramkach z aksamitu, żeby nie zniszczyć lśniącej polityry cennego bechsteina.

W pewnym momencie pochłonęło go kopiowanie zgromadzonych w domu malowideł. Na początku robił to dla zabicia czasu, mażąc długopisem w szkolnych podręcznikach, ale szybko rozwinął w sobie pasję rysownika i zaczął domagać się szkicowników, węgla, a potem płótna, farb, pędzli i sztalug.

Kopiowanie to nie było zresztą właściwe słowo. On dosłownie pożerał sztukę. Była dla niego niczym woda i pożywienie. Potrzebował jej do życia. Jak wygłodniały rzucał się na wiszące na ścianach obrazy i albumy z dziełami Starych Mistrzów. Starał się zrozumieć trudno uchwytny, niemal alchemiczny proces, który sprawiał, że zwykły węgiel i farba zamieniały się w boskie odwzorowanie świata.

*Śmierć i dziewczyna* – piękna dziewczyna, która mimo skromności nie potrafi oprzeć się gnijącemu zalotnikowi – to było jego drugie śniadanie. Na podwieczorek zjadał *Męczeństwo św. Sebastiana* – przystojny młodzieniec, spętany, podziurawiony strzałami jak rzeszoto, ze strumieniami krwi spływającymi po ciele, wpatruje się w niebo, gdzie ma nadzieję zamieszkać na zawsze.

Głównym daniem był straszny *Danse macabre* przedstawiający korowód postaci, które płały na ścianach gabinetu jego ojca. Przebiegła kostucha zastawała ludzi przy codziennych obowiązkach i wciągała w istną orgię śmierci. Niczego nieświadomy gracz wręczał znaczone karty szkieletowi, naiwny rycerz nadziewał się na własną kopię, a żałobnik tak bardzo zafascynowany był widokiem nieboszczyka, że nie zauważał, jak sam zamienia się w gnijące zwłoki.

W ciągu dnia sceny radosnego okrucieństwa sprawiały chłopcu przyjemność, ale nocą śniły mu się koszmary – kościste palce chwytaly go za nadgarstki albo starały się wyrwać mu z piersi serce należące przecież do innego człowieka. Często budził się zlany potem i głośno krzyczał, mając przed oczami splątane żyły wciąż trzymające się jego wnętrzości...

Prawie wcale nie widywał rodziców. Zajmowały się nim ciągle zmieniające się nianie, a jego edukacja spoczywała w rękach prywatnych nauczycieli, nieprzystosowanych, wypalonych osobników, którzy albo nie interesowali się życiem jako takim, albo po prostu nie interesowali się nim.

Jednak oni wszyscy i tak byli lepsi od wiecznie spoconego, stękającego pana Treadwella, który interesował się chłopcem aż za bardzo...

Postanowił sprawdzić, czy – tak jak twierdził ojciec – w środku pana Treadwella kryje się tchórz. Okazało się, że w jego wnętrzu jest tylko krew. Nie obeszło się niestety bez krzyków i gróźb, więc rodzice uznali, że ich syn nauczył się wystarczająco dużo, żeby poradzić sobie w świecie. Miał w końcu nazwisko i pieniądze, więc kolejny gubernator nie był mu do niczego potrzebny. Trzeba było jednak pozbyć się poprzedniego, co oznaczało konieczność sprzedaży Tintoretta. Po zdjęciu obrazu na ścianie pozostał blade kwadrat, który miał od tej pory zawsze przypominać, ile musieli wydać na swojego syna.

Ale on miał to gdzieś.

Kiedy broczący krwią pan Treadwell, kipiąc wściekłością, zbiegł na parter, chłopiec poczuł, że jego słabowite serce zaczęło wreszcie bić niczym młot Thora.

Usiadł na łóżku i wybuchnął śmiechem. Śmiał się i śmiał, nie mogąc przestać, bo po raz pierwszy poczuł, że żyje naprawdę.

\*\*\*

Kilka miesięcy po odejściu pana Treadwella zdarzyło się coś osobliwego.

Umarła babcia.

A po niej dziadek, zaś niedługo później druga babcia.

Chłopiec przeżył ich wszystkich!

Na początku czuł się nieco dezorientowany, ponieważ nie widział w tym wszystkim żadnej logiki. To przecież jego dni były policzone. Jednak z czasem zaczął snuć teorię, zgodnie z którą umierający w jakiś sposób zajmowali jego miejsce. Wyobraził sobie, że może pożyczać od nich czas, że

to oni stają między nim a kostuchą. Kiedy był nastolatkiem, wyczekiwał śmierci kolejnych osób z czymś na kształt przyjemności.

Nie było mu wcale przykro, kiedy dowiedział się, że jeden z dalszych kuzynów zginął gdzieś w Berkshire rażony piorunem na polu golfowym. Nie żałował również ciotki, którą niedaleko Hyde Park Corner przejechała taksówka.

Nie poczuł smutku, nawet gdy zator tętnicy niespodziewanie zabił jego ojca.

W końcu żałował tylko tego, że nie postarał się bardziej i nie wysłał na tamten świat pana Treadwella...

## 8 GRUDNIA

Kiedy weszła do redakcji, Joe siedział na jej biurku. Na ten widok od razu poczuła się lepiej. Znacznie lepiej niż zwykle.

Nie zachowuj się jak pensjonarka! – pomyślała. Przecież tylko pocałował cię w policzek.

– Cześć – powiedział. – Zrobiłaś zakupy?

– Nie. Wypadło mi coś pilnego.

Usiadła, włączyła laptopa i zaczęła przeglądać tackę na korespondencję. Nie było tego dużo – większość listów przychodziła teraz drogą elektroniczną.

Coś jednak dostała: jakieś reklamy, trochę prenumeraty i małą białą kopertę z ręcznie wykaliografowanym adresem.

Joe wziął ją do ręki.

– Wyrazy uwielbienia?

– Pewnie od Rossa – prychnęła lekceważąco.

Lubiła dostawać pocztę od wielbicieli. W środku zapewne był list, sądząc po charakterze pisma najprawdopodobniej od jakiejś starszej pani. Pisała o tym, że Eve bardzo przypomina jej wnuczkę i ma wspaniałe włosy. Dostawała coś takiego przynajmniej raz w miesiącu. Większość korespondencji tego typu była niezwykle przyjemna: wyrazy uznania, pluszowe misie trzymające w łapkach serduszka, czasem nawet bukiet kwiatów.

Chociaż pewnego razu nie było wcale tak kolorowo: otrzymała spreparowaną fotografię, na której całkiem naga leży na łóżku, nogi i ramiona ma rozrzucone. Do przesyłki dołączone było pudełko po zapalkach wypełnione czymś, co bardzo przypominało nasienie.

Nie ma to jak praca w przemyśle rozrywkowym.

Joe rozerwał kopertę, rozłożył pojedynczą kartkę papieru i zaczął czytać na głos:

„Szanowna Pani Redaktor, jestem zagorzałym wielbicielem pani pracy...”

Przerwał w pół zdania i uniósł brew, udając rozdrażnienie.

– Chyba chodzi o naszą pracę.

Eve lekceważąco machnęła ręką.

– Moim zdaniem to niezwykle urocze i inteligentne.

– Okay, poczekaj chwilę – powiedział Joe. – Jeszcze nie doszedłem do fragmentu, w którym prosi o fotokopię twoich piersi.

– W takim razie lepiej się pospiesz – oznajmiła, stukając palcem w zegarek. – Wiesz, że do kserokopiarki zawsze jest kolejka.

Joe uśmiechnął się szeroko i czytał dalej:

„Uważam jednak, że tym razem coś mogło pani umknąć”.

– Coś mogło mi umknąć? – Eve zmarszczyła czoło. – Ten list nie jest przypadkiem adresowany do ciebie?

– Cha, cha. – Joe odwrócił kartkę, ale druga strona była pusta. – Nic więcej nie ma.

Eve zajrzała do koperty, po czym wytrząsnęła z niej małą kartę pamięci microSD.

– Proszę – powiedziała. – Właśnie to ci umknęło.

– Bardzo śmieszne.

Na karcie zapisany był pojedynczy plik. Eve kliknęła na ikonę. Ekran komputera zamigotał i po chwili zrobił się całkiem czarny.

Przez ciągnącą się w nieskończoność sekundę myślała, że uruchomiła wirusa, który sparaliżuje pracę całej redakcji. Na szczęście włączył się plik wideo. Na ekranie pojawił się poziomy czarny pas i widać było majaczący kształt siedzącego mężczyzny.

Rząd foteli w kinie?

W tle słycać było krzyki i pisk opon.  
Nagle pojawiło się migoczące światło i obraz zrobił się jasny.  
Eve aż podskoczyła z wrażenia i zamknęła laptopa z głośnym trzaskiem.  
– Cholera – syknęła. – To był Kevin Barr.  
\*\*\*

Pojechali do małej kawiarni Regazzoni. Woleli takie miejsca od popularnych sieciówek. W Regazzoni była słaba obsługa, złe oświetlenie i twarde krzesła, ale za to świetna kawa. Poza tym panująca tu nieco ponura atmosfera zapewniała prywatność potrzebną, żeby w spokoju obejrzeć cały klip.

Kevin Barr już nie żył, ale miał w sobie jakieś intrygujące piękno. Oświetlony przez blask kinowego ekranu siedział na tle ciemnych foteli wyłożonych aksamitem i przypominał płaskorzeźbę. Jedną nogę założył na oparcie fotela znajdującego się przed nim, rozpostarł ramiona i miał dziwnie przekrzywioną głowę. Sprawiał wrażenie kogoś, kto umarł podczas bachanaliów, pijąc i śmiejąc się.

Niezależnie od tego, jaka był prawda, ten obraz niewątpliwie przykuwał uwagę.

Obejrzeni nagranie jeszcze raz.

– Kto to wysłał, do cholery? – wyszeptwała Eve. – Myślisz, że chcą nam to sprzedać?

– Jeśli tak, to muszą się jeszcze sporo nauczyć o sztuce prowadzenia negocjacji – powiedział Joe cierpkim tonem, po czym wziął do ręki kopertę i zaczął się jej uważnie przyglądać. – Nie podają żadnych danych kontaktowych, nie żądają pieniędzy. Nic.

Dalej obracał w palcach kopertę z wyrazem niezdrowej fascynacji na twarzy.

– Stan twierdził, że przynajmniej jedna osoba nagrywała coś smartfonem w kinie – przypomniał sobie Joe. – Musi chodzić właśnie o tego człowieka.

Eve pokręciła głową.

– Świadek, o którym mówisz, zobaczył ciało, kiedy wychodził z sali. A to oznacza, że film już się skończył. Tymczasem na nagraniu projekcja wciąż trwa. Dobrze to słycać.

Obejrzeni klip po raz trzeci. Odgłosy strzelaniny i dudniąca ścieżka dźwiękowa były głośniejsze od brzęku łyżeczek i syku ekspresu do kawy.

– Wydaje mi się, że nakręcił to *morderca* – powiedziała Eve.

Joe zrobił zatroskaną minę.

– Jeśli tak, to dlaczego wysłał ten film właśnie tobie?

Wzruszyła ramionami.

– A dlaczego ludzie wysyłają takie rzeczy reporterom?

– Bo chcą to zobaczyć w telewizji.

– No właśnie.

– To chore – wymamrotał Joe.

– Co zamierzamy z tym zrobić? – zapytała Eve z niepokojem.

Nie czuła jednak strachu, była raczej podekscytowana. To nagranie mogło zabezpieczyć jej przyszłość. Miała nieomylny instynkt, który w tej chwili podpowiadał, że to moment przełomowy. Skontaktował się z nią bezwzględny zabójca z zamiarem podzielenia się swoją zbrodnią. Wysłał film, na którym widać było jeszcze ciepłe zwłoki ofiary.

Na coś takiego właśnie czekała. Dostała szansę i wreszcie będzie mogła zająć się poważniejszymi sprawami. Zarobi większe pieniądze, a to oznacza lepszą opiekę dla ojca. Na przykład będzie ją stać na windę na schody. Dzięki temu Duncan nigdy już na nią nie spadnie. Będzie też mogła zabrać go na wieś i zapłacić za pobyt w profesjonalnym ośrodku. W ten sposób znajdzie trochę czasu, żeby pójść do spa albo po prostu posiedzieć w kawiarni z jakąś dobrą książką. No i nie będzie musiała się martwić o zapłacenie za dodatkowe godziny pracy pani Solomon.

Wszystkie te myśli przemknęły jej przez głowę w ułamku sekundy i miała wrażenie, że traci swoją żelazną samokontrolę. Niemal poczuła zapach olejków eterycznych i wydawało jej się, że dotyka gładkich stron nowiutkiej książki...

– Nie możemy tego wykorzystać – powiedział Joe.

Te słowa były jak policzek wymierzony przez rzeczywistość.

Oczywiście, że nie mogą tego zrobić. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

– Może niech Ross o tym zdecyduje?

Joe pokręcił głową.

– To nagranie nie powinno dostać się w jego ręce. Na pewno zrobiliby z niego użytek.

Joe miał rację. Wiedziała, że z dziennikarskiego punktu widzenia należało upublicznić ten film, lecz było to moralnie naganne.

– Jeśli Ross zorientuje się, że coś przed nim ukrywamy, wywali nas oboje z pracy.

– Niby jak miałyby się zorientować? – zapytał Joe, wzruszając ramionami. – Tylko my o tym wiemy.

– Nieprawda. Wie o tym również osoba, która nam to wysłała. Skąd pewność, że jeżeli nie wyemitujemy tego materiału, nie trafi on do jakiejś innej stacji?

Joe skinął głową.

– Koperta była adresowana do ciebie, więc to twoja decyzja – powiedział. – Ja po prostu nie chcę robić reklamy Kubie Rozpruwaczowi.

Uśmiechnął się, ale w jego oczach widać było śmiertelną powagę.

Eve zdawała sobie sprawę, że Joe ma rację. Zamknęła laptopa z suchym trzaskiem, który oznaczał koniec wszelkich nadziei na lepsze życie.

Cholerne względy moralne!

Eve wróciła wcześniej do domu i starała się śledzić emitowane co godzinę na różnych kanałach serwisy informacyjne. Nie było to wcale takie łatwe. Za każdym razem gdy zmieniała stację, ojciec się wkurzał, ponieważ nie mógł oglądać *Jak to się robi*.

Nikt nie pokazał jednak makabrycznego nagrania. Nie dowodziło to rzecz jasna, że inni dziennikarze go nie dostali. Jeśli film trafił w ich ręce, najprawdopodobniej mieli takie same skrupuły, jak ona i Joe.

Odetchnęła z ogromną ulgą i aż zaszumiało jej w głowie. Trzeba jednak przyznać, że w jej obecnym stanie niewiele brakowało, żeby poczuła się odurzona. Po obejrzeniu wiadomości o dziewiątej wieczorem – nadal nikt nie wyemitował nagrania – uznała, że może świętować i postanowiła ubrać choinkę. W zeszłym roku nie miała na to ochoty, ale potem brakowało jej bożonarodzeniowej atmosfery.

Strych był jak pole minowe usiane mysimi kupami i wspomnieniami z dzieciństwa. Ruszyła przed siebie, ostrożnie stawiając kroki. W świetle latarki pojawiały się różne relikty przeszłości: Neddy, koń na zardzewiałych biegunach, buty piłkarskie Stuarta i połamane słupki od bramki, należący do matki karton z dość ekлекtycznym wyborem książek: Colette, Betty MacDonald i Kazuo Ishiguro.

Gitara ojca.

Na widok instrumentu zabolęła ją serce. Duncan powinien grać teraz stare piosenki Beatlesów, pływać po jeziorze swoją łódką albo siedzieć w pubie The Black Sheep i opróżniać kolejną szklanke piwa w towarzystwie swojego starego kumpla Colina. Przez wiele lat razem pracowali i tworzyli przezabawną parę: ich rozmowy były prawdziwymi fajerwerkami inteligentnego humoru. Można było sprzedawać na nie bilety. Dosłownie przerzucali się anegdotami o zapadających się sufitach i płonących dywanach, wsadzaniu palców w kontakty oraz ucieczkach przed napalonymi gospodyniami domowymi... Każda historia warta była opowiedzenia, pod warunkiem że miała zabawne zakończenie. Jeśli wcześniej działo się coś bolesnego, to trudno.

Kiedy Duncan się rozchorował, Colin wciąż go odwiedzał, ale jakiś czas temu przestał się pojawiać. Eve nie mogła go za to winić. Trudno było się pogodzić z myślą, że nasze zdrowie psychiczne to coś tak bardzo kruche. Poza tym ta historia nie miała zabawnego zakończenia.

Choinka stała wciśnięta między belkę stropową a niedbale pomalowany murek z cegły oddzielający strych od poddasza domu pana Eliasa. W oddzielnej torbie schowane były bombki i zwinięte w kłębek kolorowe lampki.

Przytargała wszystko do włazu i powoli zeszła po drabinie.

Ojciec czekał na nią w salonie. Kiedy wyjmowała sztuczne drzewko z kartonowego opakowania, obserwował ją podejrzliwie spod przymkniętych powiek.

– Co to jest?

– Choinka. Nie pamiętasz?

– Nie – odburknął. – Nie pamiętam choinek w pudełkach. Dlaczego ty sobie czasem czegoś nie przypomnisz? Zobaczyłabyś wtedy, jak to jest.

Zignorowała go i skupiła się na choince. Mieli ją od bardzo dawna. Pojawiła się w domu, gdy Eve miała pięć, może sześć lat. Wtedy montażem drzewka zajmował się ojciec i wydawało jej się to strasznie skomplikowane. Rzecz jasna wcale tak nie było. Podstawka, pień i małe uchwyty na sztywne, kłujące gałęzie, każdy oznaczony odpowiednim kolorem, żeby było wiadomo, gdzie go umieścić. Ojciec znowu włączył telewizor. Eve odnalazła przyjemnie hipnotyczny rytm w brzmieniu ścieżki dźwiękowej *Jak to jest zrobione* i huku przelatujących nad domem samolotów.

Choinka szybko rosła w górę i już wkrótce osiągnęła wysokość stu osiemdziesięciu centymetrów. Ozdobiona migającymi lampkami wyglądała całkiem ładnie. Można było wieszać kolorowe bombki i lamety.

– Gotowe! – powiedziała. – Ubierzemy ją razem?

Odwróciła się, ale ojca nie było już na sofie.

– Tato?

Cisza.

– Cholera! – Ruszyła biegiem do kuchni, starając się sobie przypomnieć, czy odłączyła kuchenkę od głównego zasilania. Odłączyła, ale nie miało to większego znaczenia. Ojciec nie smażył pasty do butów na patelni ani nie rozmontowywał tosterka.

Nie tym razem.

– Cholera. – Pognała do toalety na parterze. Nie było powodów do obaw, jeśli tylko zachciało mu się sikać. Gorzej, jeżeli chodziło o coś innego. Wtedy trzeba go było jakoś odciągnąć od muszli klozetowej. W przeciwnym wypadku potrafił się długo gapić na to, co zrobił, a czasem nawet sięgać ręką do środka.

Zapukała.

– Tato?

Żadnej odpowiedzi.

Uchyliła lekko drzwi.

Pusto.

Wbiegła szybko po schodach, pokonując po dwa stopnie na raz, z nadzieją, że znajdzie go w łazience.

Jednak tam również go nie było.

– Tato!

Zaczęła w pośpiechu przeszukiwać poszczególne pokoje. Zaglądała do szaf i pod łóżka. Jak do tej pory się nie chował, ale zawsze mógł być ten pierwszy raz.

Wreszcie zauważyła, że sprzed tylnych drzwi zniknęły jego kalosze. Duncan Singer wyszedł z domu.

W śniegu widać było głębokie ślady, które zniknęły za rogiem budynku.

– Cholera! Niech to szlag trafi!

Zdjęła kapcie i wciągnęła zimowe buty na nagie stopy, po czym nie założwszy nawet płaszcza, pobiegła w ciemną noc, żeby szukać ojca.

Abel Elias mieszkał przy College Road tak długo, że nawet kiedy był poza domem, co trzydzieści sekund przestawał mówić, żeby zrobić przerwę na przelatujący samolot.

To zachowanie nadawało mu pewnej powagi, która okazała się pomocna w nieco ponurej branży ubezpieczeń morskich. Jego firma ubezpieczała wielkie statki na jeszcze większe sumy. W tym biznesie straty nie miały tylko wymiaru finansowego, lecz prawie zawsze wiązały się także z ludzką tragedią.

W takich sytuacjach nikt nie chciał mieć do czynienia z gadułą. Armatorzy zdecydowanie woleli kogoś, kto będzie traktował ich statek, ładunek i członków załogi poważnie. To przecież nie przelewki, do cholery!

Pan Elias co kilka zdań robił znaczącą pauzę, jakby się nad czymś zastanawiał. Idealnie spełniał więc wymagania klientów i świetnie radził sobie w pracy.

Na pogrzebie żony wygłosił wspaniałe przemówienie. Robił tyle pełnych emocji przerw, że zgromadzeni w kościele emeryci, którzy widzieli już niejedną podobną uroczystość, niemal padli z wrażenia na kolana.

Pan Elias był więc przyzwyczajony, że inni go słuchają i wykonują jego polecenia. Za każdym razem, gdy zbierał fundusze na utrzymanie czerwonej budki telefonicznej, sąsiedzi byli tak przerażeni jego milczeniem, że nikt nie był w stanie mu odmówić.

Rzecz jasna wcale nie potrzebował tych pieniędzy. Tak naprawdę forsy miał jak lodu i mógłby zasponsorować konserwację tysiąca podobnych budek. Jednak jego zdaniem zbiórki były dobre, by utrzymać ducha wspólnoty, i dawały mieszkańcom poczucie, że są czegoś właścicielami. Dzięki temu szanowali to, co do nich należało, i żywili uznanie dla pana Eliasa, który utrzymywał budkę w należytym stanie.

Pan Elias miał sześćdziesiąt sześć lat i wyraźnie brakowało mu pracy zawodowej. Musiało mu wystarczyć pilnowanie porządku na College Road. Codziennie rano wkładał koszulę i krawat, nawet jeśli miał w planach tylko skoszenie trawnika. Chciał w ten sposób pokazać, że poważnie podchodzi do swoich obowiązków.

Nie zajmował się zresztą tylko budką telefoniczną: informował odpowiednie władze o awariach ulicznych latarni, zgłaszał pęknięcia płyt chodnikowych, rekomendował zamontowanie progów zwalniających i dzwonił na policję za każdym razem, gdy ktoś źle zaparkował samochód albo za głośno puszczał muzykę, która nie była w guście pana Eliasa.

Na College Road panował porządek i odpowiadał za to przede wszystkim pan Elias.

Okoliczni mieszkańcy byli mu za to wdzięczni. Wiedział o tym, ponieważ po śmierci żony kilka sąsiadek – bez wyjątku same wdowy – wysyłało mu regularnie kartki z podziękowaniami.

Pani Jamira spod numeru 56 upiekła dla niego nawet herbatniki z płatków owsianych. Niestety nosił protezę i ciastka były dla niego zbyt twarde, ale i tak docenił jej wysiłek.

Od dwudziestu pięciu lat był najbliższym sąsiadem Singerów. Ich relacje układały się dość dobrze, chociaż jak na gust pana Eliasa Duncan był zbyt grubo ciosany. Pił za dużo piwa, a jego dzieci miały skłonność do grania w piłkę i urządzania głośnych imprez. Rodziny nie utrzymywały stosunków towarzyskich, chociaż Duncan naprawił raz panu Eliasowi kosiarkę. Wymieniali się za to kartkami na święta. Pan Elias dostawał też pięć funtów na budkę telefoniczną za każdym razem, gdy o to poprosił.

Pewnego dnia trzy lata temu zapukał w tej sprawie do drzwi sąsiadów. Zdziwił się, ponieważ w progu stanęła Eve, sięgając do torebki po portfel. Do tej pory zawsze robił to jej ojciec.

Pan Elias znał Eve Singer, od kiedy skończyła pięć lat. Najczęściej mieli ze sobą styczność, gdy wrzucała piłkę, bumerang albo jakiś samolocik przez oddzielający ich posesje żywopłot. Od dawna jednak jej nie widział, więc kiedy otworzyła drzwi, poczuł się nieco wytrącony z równowagi, ponieważ zobaczył atrakcyjną młodą kobietę. Powiedziała, że pracuje teraz w telewizji, ale pan Elias oglądał tylko BBC, więc w ogóle jej nie kojarzył. Wróciła do rodzinnego domu dlatego, że ojciec potrzebował opieki. Pan Elias zaproponował swoją pomoc. Podziękowała mu, ale nigdy nie zwróciła się do niego w tej



sprawie.

Był z tego powodu nieco zawiedziony, chociaż jednocześnie czuł ulgę.

Doskwierała mu samotność i miał nadzieję, że powrót Eve może ożywić sąsiedzkie relacje.

No cóż, niestety tak się nie stało.

W ciągu ostatnich trzech lat prawie w ogóle nie widywał Duncana, ale za to uważnie obserwował jego córkę.

Zauważył, że nigdy nie pokazywała się z chłopakami.

Zawsze była sama – wychodziła z domu, zamykała drzwi i szła ścieżką obrośniętą lawendą.

Miała piękne ciemne włosy, które lśniły jak w reklamie szamponu, i wspaniałe piersi... Ach, te piersi.

Abel Elias nie uważał się za zbereźnika, ale był przecież zdrowym mężczyzną. Tymczasem tuż pod jego nosem Eve Singer przemieniła się z niezdarnej nastolatki w kuszącą telewizyjną gwiazdę. Naprawdę ciężko było tego nie zauważyć.

Jennifer umarła cztery lata temu i pan Elias niemal zapomniał, jak wyglądała. Nawet kiedy patrzył na stojącą na kominku fotografię swojej żony, był często zdziwiony, jak bardzo jego pamięć zniekształca rzeczywistość. Czy naprawdę Jennifer miała tak blisko osadzone oczy? I nieco wystające górne zęby? Oraz tak mało atrakcyjną fryzurę?

Nigdy przedtem nie zwrócił na to uwagi.

Przedtem, nim pojawiła się Eve...

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Pan Elias aż się wzdrygnął. Czyżby wysledziła go specjalna jednostka policji szukająca starych zbereźników?

To była Eve Singer. Miała na sobie džinsy i cienki sweter zapinany na guziki. Stała z rękami założonymi na... piersiach. Najwyraźniej było jej zimno; miała zaczerwienione policzki, wyglądała, jakby się spieszyła.

– Dzień dobry – powiedziała. – Ojciec gdzieś się zawieruszył. Wydaje mi się, że przeszedł do pańskiego ogródka.

Wskazała na śnieg, na którym widać było duże ślady zimowych butów. Trop zaczynał się przy furcie, prowadził wzdłuż biegnącej przez ogród ścieżki, a potem skręcał i znikał za domem. Duncan musiał przejść przed frontowym oknem, ale pan Elias go nie zauważył, ponieważ w pokoju były zaciągnięte zasłony.

– Czy mogłabym zajrzeć na tyły pańskiego domu?

– Oczywiście – zgodził się pan Elias. – Wejdz na chwilę do środka. Chętnie ci pomogę, tylko założę biusty, znaczy buty.

Eve się zarumieniła i powiedziała, że nie chce sprawiać kłopotu. Dla pana Eliasa nie był to jednak żaden problem. Z wielką chęcią pomoże sąsiadce znaleźć zaginioną osobę, nawet jeśli poszukiwania będą prowadzone tylko w jego własnym ogródku. Poczuje się wtedy użyteczny. To będzie najbardziej ekscytująca rzecz, jaka mu się przydarzyła od czasu wizyty pani Jamiry z herbatnikami z płatków owsianych. A to było przecież w czerwcu!

A co, jeśli Duncan Singer gdzieś się schował? Albo przeszedł przez ogrodzenie i znalazł się na terenie posesji pana Speighta? To mogło się źle skończyć. W ogrodzie sąsiada pełno było pułapek w postaci starych donic i połamanych inspektów. A jeżeli Duncan upadł na śnieg i nie jest w stanie się podnieść? Pan Elias przywołał w pamięci, gdzie trzyma szuflę i zapasowy koc. Niezależnie od sytuacji był przygotowany do działań ratunkowych. Musiał tylko założyć dodatkową parę ciepłych skarpet, a potem buty, rękawiczki, szalik, czapkę i płaszcz...

Przytrzymał drzwi i wypuścił Eve na zewnątrz. Zaczekała na niego i razem obeszlą dom, po czym zaczęły przeszukiwać ogród. Pan Elias oświetlał drogę latarką Maglite, której rzadko miał okazję używać.

Podobało mu się, że Eve puściła go przodem. Dobrze mu robiła świadomość, że znowu czymś kieruje, nawet jeśli chodziło tylko o ekspedycję na kraniec jego posesji. Od razu poczuł się trzydzieści lat młodszy.

Ogródki na tyłach domów były w tej dzielnicy długie i proste, więc pan Elias posadził po obu stronach wijące się rzędy wiecznie zielonych krzewów, które tworzyły urokliwą alejkę prowadzącą do

zasłoniętej roślinnością szopy. Na srebrzystym śniegu odciski butów Duncana były dobrze widoczne. Wystarczyło tylko iść po śladach.

Ruszyli przed siebie i po chwili dom zniknął za pierwszymi krzewami. Otoczyło ich ciężkie wilgotne powietrze i poczuli, że są zupełnie sami.

– Wyjątkowo głęboki śnieg – powiedział pan Elias i od razu się zawstydził, ponieważ wiedział, że zaczął konwersację w najnudniejszy z możliwych sposobów.

– Tak – potwierdziła Eve.

Nie mógł jej winić za to, że odpowiada monosylabami. Nie dał jej przecież żadnej szansy na rozwinięcie wypowiedzi. Rozmowa o pogodzie! Czy może być coś bardziej banalnego?

– Mówią, że taka aura ma się utrzymać do Nowego Roku – dodał, zanim zdążył ugryźć się w język.

– Niesamowite – powiedziała Eve, ale pan Elias zdawał sobie sprawę, że wcale nie jest zainteresowana.

Ani pogodą, ani tym bardziej jego osobą. Sam sobie na to zasłużył.

Poczuł, że pogrzebał właśnie i tak niewielkie szanse na poprawienie ich sąsiedzkich relacji.

Od kiedy Eve wróciła do rodzinnego domu, co roku kupował ogromnego indyka ze wszystkimi dodatkami, licząc, że zbierze się na odwagę i zaprosi Singerów na wspólny bożonarodzeniowy obiad. Jak do tej pory mu się to nie udało i zawsze po świętach miał cały zamrażalnik wypełniony starym jedzeniem. Nie był w stanie sam tego zjeść, więc w sierpniu wyrzucał resztki, żeby zrobić miejsce na świeże produkty na kolejne święta.

Doskonale wiedział, na czym polega jego problem. Po prostu odzwyczaił się od rozmawiania z innymi ludźmi. To się stało jeszcze przed śmiercią Jennifer, w zasadzie wtedy, gdy przeszedł na emeryturę. Najzwyczajniej w świecie nie miał do kogo otworzyć ust. Obecnie cieszył się, jeśli raz w tygodniu udało mu się pogadać z listonoszem. Niestety rozmowa zawsze dotyczyła samochodów i pan Elias musiał udawać, że go to interesuje. Potrzebował więcej praktycznych ćwiczeń ze sztuki konwersacji. Wtedy byłby lepiej przygotowany na takie sytuacje. Jednak skąd mógł wiedzieć, że Eve Singer nagle zapuka do jego drzwi i zaprosi do udziału w trudnej misji? Teraz było już za późno. Mógł tylko jak najlepiej wykorzystać resztę czasu.

A zostało go już bardzo niewiele, ponieważ zbliżali się do kępy iglaków.

– Przynajmniej mieliśmy ładne lato.

Wiedział, że tymi słowami zupełnie się skompromitował. Dopiero teraz zrozumiał, że przez ostatnie cztery lata tracił czas, siedząc przez telewizorem i rozmrażając gotowe dania. Robienie charakterystycznych pauz w dalszym ciągu wychodziło mu całkiem nieźle, ale nie był już w stanie w żaden sensowny sposób wypełnić czasu między nimi. Pozostał jeszcze tylko jeden zakręt. Za chwilę dojdą do szopy, znajdą Duncana Singera i nie będą już dłużej sami. Podobna okazja może się więcej nie powtórzyć. Pan Elias nagle poczuł, jak ogrania go panika. Musi powiedzieć coś ciekawego, musi w jakiś sposób zainteresować Eve Singer. I nie chodziło wcale o ten cholerny obiad, ani o to, że się w niej podkochał. Stawką było jego godność. Chciał jej pokazać, że nadal jest człowiekiem, a nie tylko starym i nudnym pierdzielem. Trzeba było jakoś się do niej zbliżyć. To było przytłaczające, niemal fizyczne uczucie...

Wreszcie nie wytrzymał i wypalił:

– Czy chciałabyś przyjść do mnie razem z ojcem na świąteczny obiad?

Nad ich głowami przeleciał boeing 767 linii Air India i całkowicie zagłuszył pana Eliasa. Jego słowa rozprysły się jak atomy i zaczęły bezgłośnie opadać na puszysty śnieg.

\*\*\*

Pan Elias coś powiedział.

Eve zatrzymała się i spojrzała na niego.

– Przepraszam, słucham?

Pan Elias patrzył, jak przelatujący odrzutowiec powoli znika za linią domów.

– Nic takiego – powiedział, machając lekceważąco ręką. – To bez znaczenia.

Uśmiechnęła się niepewnie i ruszyli w dalszą drogę. Minęli rododendrony i zobaczyli Duncana starającego się sforsować drzwi do szopy. Był ubrany w spodnie i koszulę, a jedynym ustępstwem na rzecz pogody były gumowe kalosze.

Misja zakończona sukcesem.

– Tato? – Eve podeszła bliżej i delikatnie dotknęła jego ramienia.

Odwrócił się i walnął ją pięścią prosto w twarz.

– Phoebe!

Abel Elias i jego żona nie mieli dzieci.

W każdym razie nie po Phoebe.

Ta dziewczynka była nie do zastąpienia: piekielnie inteligenta, z ciemnymi, kręconymi jak świderki włosami i promiennym uśmiechem, który na dobrą sprawę nie znikał z jej twarzy od chwili urodzenia. Matka Jennifer – pesymistyczna stara krowa – twierdziła, że dziecko cierpi na wzdęcia, ale oni wiedzieli lepiej. Phoebe już od małego uwielbiała się uśmiechać, a potem, kiedy trochę podrosła, często wybuchała niepohamowanym chichotem i babcia Barlett musiała w końcu przyznać im rację, choć zrobiła to niechętnie.

Phoebe uczyła się wszystkiego wyjątkowo szybko. Bardzo wczesnie zaczęła się obracać, siadać i raczkować.

Robiła to po swojemu. Kołysała się na brzuchu i łokciach, trochę jak delfin, po czym ruszała do przodu, napędzając się potężnymi wymachami swoich małych nóżek. Kiedy skończyła sześć miesięcy, potrafiła przepelznąć z jednego końca salonu na drugi tak sprawnie, że rodzice nazywali ją Robaczkiem.

Pan Elias nie pracował jeszcze wtedy w firmie zajmującej się ubezpieczeniami morskimi. Studiował, żeby zostać nauczycielem geografii. Jego ojciec był dyplomatą i rodzina spędziła wiele lat na Dalekim Wschodzie i w Afryce. Abel Elias był zafascynowany światem i chciał podzielić się swoim entuzjazmem z młodym pokoleniem. Uczenie geografii wydawało się idealnym rozwiązaniem.

Wydawało się, że Robaczek również odziedziczyła po nim tę pasję. Dziewczynka nie mogła się już doczekać pierwszych podróży.

Abel i Jennifer wieczorami nawet nie włączali telewizora, tylko z dumą obserwowali, jak ich córka, nie przestając się śmiać, raczkuje po dywanie, wyciąga rączki do białych hiacyntów, które Abel co roku sadził w ogródku, popiskuje na widok własnej twarzy odbijającej się w miedzianych rusztach kominkowych w kształcie psów i zagląda za meble. Czasami się zatrzymywała i unosiła na swoich pulchnych rączkach, jakby chciała zaczerpnąć powietrza, po czym wbijała wzrok w ścianę albo w sufit. Po kilku chwilach dochodziła do wniosku, że wyruszy na podbój tych terenów w późniejszym terminie. Wybuchała śmiechem, odwracała się i tryskając radością, zaczynała raczkować w inną stronę.

Rodzice patrzyli na nią z podziwem. Czasami żartowali, że powinni wręczyć jej kraciastą chustkę zawieszoną na kijku i wysłać na podbój świata. „Sam nie wiem”, kończył zwykle tę dyskusję Abel. „Dajmy jej jeszcze z miesiąc albo dwa”. Potem zaczynali się śmiać i obsypywać wzajemnie pocałunkami. Wreszcie kładli się na podłodze i czołgali po dywanie tak długo, aż dogonili Robaczka przy fotelu.

Abel Elias ostatni raz czołgał się na dywanie czterdzieści lat temu.

Niemal co do dnia.

Pewnego wieczoru, kiedy Phoebe miała prawie dziewięć miesięcy, zatrzymała się przy kominku, uniosła na rękach i spojrzała na rodziców.

– Cześć, Robaczku. – Uśmiechnęli się i zaczęli bić brawo.

Robaczek się jednak nie uśmiechnął, tylko marszcząc z wysiłku czoło, starał się oderwać tułów od podłogi.

– Ona próbuje wstać! – zachichotała Jennifer.

– Masz rację! – potwierdził Abel.

– Powinniśmy jej pomóc?

– Poradzi sobie. Tylko na nią popatrz!

Rzeczywiście jej się udało. To było naprawdę coś. Zrobiła się czerwona na twarzy, a jej małe rączki zaczęły drżeć z wysiłku, ale oderwała brzusek od podłogi i opierała się teraz na dłoniach i stopach. To jej jednak nie wystarczyło. Wypięła wysoko pupę i miała zamiar stanąć!

Patrzyli na nią jak zaczarowani. Z wrażenia aż wstrzymali oddech!

Powoli, powoli...

Nie udało się.

To przecież jednak żaden wstyd! Nawet żrebak, cielę albo młody jelonek muszą kilka razy upaść, zanim staną pewnie na własnych nogach. Właśnie tak było z Phoebe. Nie potrafiła utrzymać równowagi i zaczęła bezradnie wymachiwać pulchnymi rączkami.

Mimo to trzeba przyznać, że niewiele brakowało. Jeszcze kilka prób i na pewno się uda. Byli o tym przekonani. A potem ich mała córeczka zaczęła chodzić, a nawet biegać i będą musieli kupić specjalne szelki...

W pewnym momencie przechyliła się na bok i runęła na podłogę.

– Och!

Abel Elias rzucił się w stronę córeczki, ale śmierć była szybsza.

Phoebe uderzyła głową o krawędź kamiennego kominka. Kiedy wziął ją w ramiona i zaczął gorączkowo uspokajać, spodziewając się wybuchu płaczu, dziewczynka, światło ich życia, już nie żyła.

Od tamtej pory wszystko się zmieniło.

Pan Elias za wszelką cenę starał się o tym nie myśleć. Przez kolejne lata żył w stanie otępienia. Miał wrażenie, że to się nigdy nie skończy, i chciał wymazać wszystko ze swojej pamięci. To był czas smutku, rosnącego poczucia winy i wielkiej, bolesnej pustki. Czas, w którym nie byli w stanie patrzeć na rodzinne fotografie. Chociaż przeżyli razem traumę, to pozytywne uczucia oddzielone były od wzajemnych oskarżeń jedynie cienką, popękaną membraną, w której niezwykle łatwo było zrobić kolejną dziurę.

Jennifer i Abel przestali ze sobą rozmawiać. Nie tylko o Phoebe, lecz także o tym wszystkim, co kiedyś ich łączyło.

Abel postanowił sprzedać dom z feralnym kominkiem i znaleźć nowe lokum. Jennifer zgodziła się, ale tylko dlatego, że nie miała pojęcia, co innego mogłaby zrobić ani dokąd pójść.

Potem znalazła pracę w sklepie. Nigdy jednak o tym nie mówiła.

Abel zatrudnił się w firmie ubezpieczeniowej. Nie wiedział nic o tej branży, więc musiał zacząć na samym dole hierarchii, ale po tym, co się stało, nie miał najmniejszej ochoty pracować z dziećmi. Nigdy więcej! Po jakimś czasie zorientował się, że w ubezpieczeniach morskich śmierć była tylko grą liczbową, co pomogło mu nabrać odpowiedniego dystansu.

Kiedy do sąsiedniego domu wprowadzili się Singerowie z małymi dziećmi, wiedział, że nie będzie łatwo.

Każdy wybuch płaczu i każdy radosny pisk dochodzący z nadmuchiwanego basenu przypominał im, co stracili.

Jedynym rozwiązaniem było zamykać drzwi i zatrzaskiwać okna, pracować w ogrodzie tylko wtedy, gdy dzieci są w szkole, i zawsze wyjeżdżać na wakacje. Przez dwadzieścia lat spędzali urlop w Krainie Jezior, prawie się do siebie nie odzywając. Ich komunikacja sprowadzała się jedynie do zdawkowych komentarzy w stylu: „Gdzie jest mapa?” albo: „Znowu się rozpadało”.

Kiedy Jennifer zaczęła tracić pamięć, pan Elias poczuł ukłucie zazdrości. Żałował, że to nie on może zapomnieć o tym wszystkim, co stracili, i całymi godzinami wpatrywać się w postrzępioną krawędź obrusu.

Po śmierci żony było już dużo łatwiej. Mógł nie pamiętać, kim byli i dlaczego stało się to, co się stało. Postanowił zostać zupełnie inną osobą. Chciał być starszym panem, który załatwia różne ważne sprawy na College Road, kimś, kto ma w życiu jakiś cel i żyje przyszłością, a nie tylko przeszłością.

Kiedy zobaczył, co się dzieje, ruszył biegiem i udało mu się złapać Eve Singer, zanim upadła w śnieg. Przed oczami stanęła mu córka. Nie był w stanie się powstrzymać i wykrzyczał jej imię, po czym wybuchnął płaczem.

\*\*\*

Nad ich głowami z hukiem przeleciał samolot. Eve otworzyła oczy i zobaczyła, jak za plecami pana Eliasa znikają jego migające światełka.

Spróbowała wziąć oddech, ale zakrztusiła się świeżym powietrzem. Pan Elias podniósł ją lekko

do góry i pomógł jej usiąść.

– Leci ci krew z nosa.

Przytaknęła z głupim wyrazem twarzy, ale dopiero po chwili zorientowała się, że to prawda. Krew ściekała jej po swetrze i skapywała na śnieg, tworząc plamy, które wyglądały jak czarny atrament.

Podał jej czystą chustkę z materiału, taką, jaką noszą przy sobie starsi panowie, i powiedział:

– Odchyl głowę do tyłu.

Zrobiła, jak kazał, i od razu poczuła się lepiej.

– Może być złamany – stwierdził. – Powinnaś pojechać do szpitala.

– Nic mi nie jest – powiedziała i rozejrzała się dookoła nieprzytomnym wzrokiem.

Ojciec siedział na schodku prowadzącym do szopy i ubijał rękami śnieg w grudy, które rzucał potem na ziemię. Nawet na nią nie spojrział.

– Możesz wstać?

Przytaknęła, chociaż nie była pewna, czy ma na to wystarczająco dużo siły, pozwoliła więc, żeby jej pomógł. Najpierw uklękła, a potem stanęła na nogi, zakręciło jej się w głowie, więc pan Elias musiał ją podtrzymać.

– Dziękuję – powiedziała.

– Wejdźmy wszyscy do środka – zaproponował życzliwie.

– Dziękuję – powtórzyła.

Postanowił, że lepiej będzie pójść do domu Singerów. Duncan potulnie niczym krowa na postronku ruszył ich śladem.

Pan Elias zamknął tylne drzwi i położył klucz na stole obok Eve.

– Nastawię wodę – powiedział.

To takie angielskie, pomyślała Eve. Tak jakby herbata mogła rozwiązać każdy problem.

Była jednak wdzięczna, że ktoś wziął sprawy w swoje ręce – nawet jeśli był to pan Elias.

„Tylko założę biusty”.

Naprawdę palnął coś takiego?

Chyba musiała się przestyszeć. Znała go, od kiedy skończyła pięć lat, i nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek powiedział coś, co nie byłoby straszliwie nudne. Zresztą sposób, w jaki jej pomógł, otrzepując śnieg z jej włosów i przytrzymując, gdy się zachwiała, nie miał w sobie nic niestosownego. W jego dotyku była tylko i wyłącznie troska.

Źle go oceniła. Wcale nie był starym zboczeńcem i zrobiło jej się głupio.

Patrzyła, jak nalewa wodę do czajnika. Miał zaczerwienione oczy i wyglądał, jakby łapało go przeziębienie. Sama czuła się podobnie.

– Nie ma wtyczki – powiedział, wskazując na kabel zakończony nagimi przewodami.

Spojrziała na ojca.

– Tato, gdzie jest wtyczka od czajnika?

– Odpowiednio ją zabezpieczyłem – wyjaśnił Duncan i wyszedł z kuchni, zostawiając na podłodze ślady topniejącego śniegu. Podejrzewała, że zwabił go dźwięk włączonego telewizora.

Głośno westchnęła i zwróciła się do pana Eliasa:

– Zdarza mu się tak robić. Chce coś naprawić, ale tylko rozbiera urządzenia na czynniki pierwsze.

– Podgrzeję trochę mleka na kuchence – powiedział pan Elias, gładko zmieniając temat, i sięgnął po rondel.

Eve nie miała siły, żeby go powstrzymać. Spojrzała na swoje ręce i zniszczoną chustkę do nosa. Wszystko było uwalane zasychającą krwią. Szok po uderzeniu powoli ustępował i poczuła, że zaczyna boleć ją twarz: nos, oczy i policzki. Wszystko zrobiło się nagle jakby naprężone i piekące.

Pan Elias postawił przed nią kubek gorącego mleka.

– Dziękuję – wyszeptala i upiła łyk. Od wielu lat nie miała w ustach takiego napoju. Pan Elias przygotował go dokładnie tak samo jak jej matka: dodał łyżeczkę brązowego cukru.

Usiadł na krześle ze swoim kubkiem.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że z Duncanem jest aż tak źle – powiedział, starając się ważyć

słowa.

Eve wzruszyła ramionami i otworzyła usta, żeby powiedzieć coś w obronie ojca. Chciała przedstawić wszystko w bardziej pozytywnym świetle. W końcu pan Elias powinien wiedzieć, że sama świetnie sobie radzi.

Jednak stało się coś dziwnego i wypaliła:

– Wolałabym, żeby po prostu umarł.

Miała wrażenie, że wypowiedziała te słowa zupełnie bezwiednie.

– Przepraszam, nie miałam tego na myśli!

– Rozumiem – powiedział pan Elias życzliwym głosem. – Ciągłe jesteś w szoku.

– Tak – przytaknęła. – Jestem po prostu strasznie... zmęczona. To się nigdy nie kończy, wie pan...? – Na szczęście nad ich głowami przeleciał kolejny samolot i mogła przestać mówić. Nie była w stanie uwierzyć, że wypowiedziała takie słowa. Nie sądziła nawet, że mogłaby coś takiego pomyśleć. To był prawdziwy szok. Jej własny ojciec walnął ją pięścią w twarz. Dosłownie zwałił ją z nóg. Nic dziwnego, że teraz gada bez sensu.

Dzięki Bogu, że nie palnęła czegoś podobnego w obecności kogoś, na kim jej zależało!

Nie miała ochoty na dalsze dyskusje. Nie chciała tego roztrząsać. Powinna jak najszybciej zmienić temat.

Na jakikolwiek inny!

Zmarszczyła brwi i przypomniała sobie coś ciekawego.

– Kim jest Phoebe? – zapytała.

Pan Elias przez chwilę się zawahał, po czym uśmiechnął się, poklepał ją po ręce i zapytał, czy ma jeszcze ochotę na trochę mleka.

## 9 GRUDNIA

*Moja głowa to jabłko!*

Eve poderwała się z łóżka. Było duszno, otaczała ją ciemność i czuła, jakby jej twarz rozpadała się na pół wzdłuż nasady nosa i wylewało się z niej płynne nadzieje, niczym ze zbyt długo pieczonego jabłka.

Poczekala, aż jej serce się uspokoi i zacznie bić w normalnym tempie, po czym wstała z łóżka, wciąż półprzytomna i przepelniona jakimś złym przeczuciem.

Ojciec jeszcze spał, jednak nie dlatego, że tak bardzo zmęczyła go wycieczka do ogródka pana Eliasa. Niestety, nie był jak pies rasy beagle i nie dało się go umordować długim spacerem. Eve zdawała sobie sprawę, że sposób, w jaki spędzał czas w ciągu dnia, nie miał większego znaczenia. Po prostu czasem spał, a czasem nie.

Kiedy stała nad jego łóżkiem, wróciły do niej obrazy z poprzedniego wieczoru. Było w nich coś surrealistycznego.

Mogła zadzwonić do Stuarta, tylko jaki to miało sens? Co miała mu powiedzieć? Stu pracował na platformach wiertniczych, więc cios pięścią w twarz nie zrobiłby na nim szczególnego wrażenia. A nawet jeśli przyjedzie ze Szkocji, to co? Nic. Posiedzi parę dni, popatrzy i wróci do siebie na północ, a ona znowu zostanie sama jak palec z narastającym poczuciem żalu, że po raz kolejny została porzucona. Miała na głowie wystarczająco dużo zmartwień.

Rozmowa z bratem była więc bezcelowa.

Zresztą tak samo jak rozmowa z kimkolwiek innym. Na dodatek czuła się tym wszystkim zażenowana. Nie chciała, żeby Joe w ogóle wiedział, co się wydarzyło. To było jak puszka, z której zaraz zaczną wylazić robaki. I nie dało się z tym nic zrobić.

Pan Elias już dołączył do grona poinformowanych. Przestał być kimś obcym i trzeba będzie go wpisać na listę świąteczną.

Kolejny prezent do kupienia...

Ojciec przewrócił się na drugi bok i jak dziecko zasłonił ucho stuloną dłonią.

*Wolałabym, żeby po prostu umarł.*

Oblała się rumieńcem i zrobiła niezadowoloną minę. Niemal od razu skrzywiła się z bólu. To była kara za bezduszność.

Jest złym człowiekiem. Bardzo złym człowiekiem.

Wstydziała się za siebie.

Poszła do łazienki i spojrzała w lustro. Nasada jej nosa spuchła i była dwa razy większa niż zwykle, a pod oczami pojawiły się ciemne plamy. Westchnęła i zaczęła ostrożnie szczotkować zęby. Miała wrażenie, że w każdej chwili jej twarz może pod własnym ciężarem odpaść od reszty głowy i zsunąć się do umywalki.

Ross będzie wściekły.

\*\*\*

O wpół do ósmej przyszła pani Solomon.

Dokładnie o tej samej godzinie zadzwonił telefon.

To był Joe.

– Cześć. – Z tonu jego głosu wywnioskowała, że zaraz usłyszy złe wiadomości. – Guy Smith ma rentgen.

\*\*\*

Do zdjęcia dołączona była kiepsko napisana relacja, ale nie miało to żadnego znaczenia. Liczyło



się tylko prześwietlenie: niewyraźny zarys czaszki przebitej śnieżnobiałym ostrzem i dwie wytrzeszczone gałki oczne. Coś w sam raz dla brukowca. To było jak gapienie się na roztrzaskany w wypadku samochód. Eve wyobraziła sobie, że jej kariera może mieć taki sam koniec jak płonący na poboczu wrak.

Podczas porannego zebrania Ross Tobin zaczął na nią wrzeszczeć.

Zdarzało się to już wcześniej: każdy reporter wiedział, jak wziąć taki ochrzan na klatę. Eve zazwyczaj zażarcie się broniła, zachowując przy tym zimną krew: przyjmowała na siebie winę, jeśli rzeczywiście coś spieprzyła, ale jednocześnie uzasadniała swoje postępowanie, starając się przypomnieć atakującemu, że każdy kij ma dwa końce. Uchodziła za eksperta w trudnych rozmowach z wściekłym szefostwem. Potrafiła okiełznać nawet Rossa Tobina: pewnego razu zrobił jej karczemną awanturę, ale ona tak go podeszła, że wylądowali razem na suto zakrapianym lunchu i to on zapłacił rachunek!

Teraz siedziała jednak w milczeniu i brała wszystko na siebie. Wiadomo było, że w normalnych okolicznościach nikt nie był w stanie zdobyć tego rentgena, nawet Guy Smith. Udało mu się, ponieważ przespał się z Janey z biura koronera. W każdym razie tak twierdził Ricky. Eve była sfrustrowana, bo akurat pod tym względem Guy miał nad nią przewagę.

Mogła się więc skutecznie bronić, ale bała się wyskoczyć z takim argumentem. Umierała ze strachu, że jeszcze bardziej rozżłości Rossa, straci pracę i nie będzie miała z czego zapłacić pani Solomon. Wtedy będzie musiała sama zajmować się ojcem albo Duncan trafi do domu opieki. Nie wiedziała, co byłoby gorsze: nagły koniec czy to, że ten koszmar będzie trwał w nieskończoność.

Już raz ojciec zmienił jej życie. To było podczas dnia sportu, kiedy miała siedem lat. Nagle zdała sobie sprawę, że teraz dzieje się to samo, tylko znacznie wolniej. Przez ostatnie trzy lata wyraźnie osłabła i zrobiła się o wiele bardziej strachliwa, chociaż potrzebowała przecież wyjątkowo dużo siły i wytrwałości.

Siedziała cicho i nawet nie próbowała się bronić. Ross wreszcie się uspokoił i przydzielił zespołowi zadania.

Każdy dostał jakąś robotę, tylko nie ona.

Był to jednoznaczny wyraz potępienia. „Nie jesteś nam potrzebna”.

Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Zaczęli wychodzić z sali, starając się nie nawiązywać z Eve kontaktu wzrokowego.

– I co ci się, do cholery, stało w twarz? – warknął Ross. – Uważasz, że w takim stanie mogę pokazać cię na wizji?

– Nie wiem – powiedziała.

– No cóż, zastąpi cię Katie. Na razie zostajesz w biurze. Wypuszczę cię na miasto, dopiero kiedy będziesz wyglądać jak człowiek.

Eve wróciła do pokoju redakcji informacyjnej. Wszyscy sprawiali wrażenie strasznie zajętych i nie zwracali na nią uwagi.

Joe dotknął jej ramienia.

– Wszystko w porządku?

– Jasne – odpowiedziała radosnym głosem i usiadła na krześle.

– Jesteś pewna? – Oparł się o krawędź jej biurka.

– Tak. – Skinęła głową. – Wielkie kutasy na dwóch nogach, pamiętasz?

– Nie o to mi chodzi.

Zrobiła się cała czerwona. Joe chciał zapytać o jej twarz, ale ona nie mogła przecież powiedzieć mu prawdy. Ciężko jej było przyznać się do tego nawet przed samą sobą: „Ojciec dał mi fangę w nos”. To było zbyt straszne. Zamiast tego wypaliła:

– Słuchaj, musimy dać Rossowi nagranie z Kevinem Barrem!

Jej słowa zawisły między nimi jak gnijący trup.

Joe nawet na nią nie spojrział. Opierał się o biurko i bawił spinaczem do papieru. Zastanawiała się, czy spodziewał się takiego obrotu sprawy. Przez chwilę poczuła do niego nienawiść. Oczekiwała, że obdarzy ją większym zaufaniem, niezależnie od tego, czy miał ku temu powody, czy nie.

Przygotowując się na jego sprzeciw, podniosła wyzywająco podbródek. Chciała, żeby coś powiedział. Nie miała nic przeciwko temu, żeby ją przekonał i zapewnił, że wszystko będzie dobrze...

Ale Joe milczał. Powietrze niemal ugięło się pod ciężarem jego niewypowiedzianych myśli.

Eve nie wytrzymała i warknęła:

– Dla ciebie to żadna różnica.

– O co ci chodzi?

– Nie występujesz przed kamerą i nie jesteś kobietą – wyjaśniła. – Za dwadzieścia lat nadal będziesz wykonywał swoją pracę, a mnie mogą w każdej chwili wywalić. Powinnaś się cieszyć, jeśli zostanę tu na kolejny rok.

Nie chciała wyjść na tak bardzo rozgoryczoną. Nie miała też zamiaru traktować Joego jak wroga. Niestety, gdy tylko wypowiedziała te słowa, poczuła, że posunęła się za daleko.

Powinna wytłumaczyć mu, jak bardzo potrzebuje tej pracy i dlaczego nie może ryzykować jej utraty. Uznała jednak, że w ten sposób okaże swoją słabość. Wszystko poszło nie tak. Żałowała, że nie może zacząć od początku. Chciała ubrać w słowa swoje myśli, ale nie miała pojęcia, jak to zrobić.

Spojrzała na Joego z nadzieją, że w jakiś magiczny sposób przeniknie jej umysł i zrozumie, jak bardzo jest zdesperowana.

I może nawet tak by się stało, gdyby w ogóle raczył skierować na nią swój wzrok.

– Okay – powiedział i przez chwilę gapił się w pustkę.

Potem wstał i wyszedł z pokoju.

\*\*\*

Kiedy pokazała nagranie Rossowi, ten z radości aż ją pocałował – mokry, śmierdzący papierosami buziak w policzek – i odtańczył pocieszny taniec, wyglądając przy tym jak rozradowana marionetka.

– Ja pierdołę! – krzyczał. – Skontaktował się z nami morderca! Wysłał nam film jak do pieprzonego *Śmiechu warte*. Manna z nieba! Góra przysłała do Mahometa! Po prostu nie do wiary! Pocałujcie mnie wszyscy w dupę!

Tak jak można było przewidzieć, nie miał żadnych skrupułów, żeby puścić nagranie.

Odnieśli ogromny sukces, co również nie było dla nikogo zaskoczeniem.

Jeszcze przed emisją zwiedziały się o wszystkim tabloidy i zaczęły zabijać się o prawa do publikacji zdjęć.

Rentgen Guya Smitha szybko popadł w zapomnienie i wylądował na śmietniku historii. Prześwietlenie głowy ofiary nie miało żadnych szans w starciu z filmem nakręconym ręką zabójcy. Nikogo nie obchodziło ostrze noża i wytrzeszczone gałki oczne. Świat gnał do przodu, a Eve starała się dotrzymać mu kroku.

\*\*\*

W połowie materiału pokazywanego w głównym wydaniu wiadomości – na ekranie widać było właśnie opromienioną bladą poświatą sylwetkę Kevina Barra – Ross Tobin odwrócił się do Eve i uśmiechnął od ucha do ucha.

– To jest twój szczęśliwy dzień – powiedział.

Jednak ona wcale tak się nie czuła.

Trzy razy próbowała dodzwonić się do Joego na komórkę, ale włączała się tylko poczta głosowa.

W końcu zostawiła wiadomość, ale Joe nie oddzwonił.

\*\*\*

Na kolację zrobiła omlęt. Chciała przyrządzić hiszpańską tortillę, ale Duncan zdjął wszystkie pokręta z kuchenki gazowej. Specjalnie ukrył je przed Eve, a potem nie mógł sobie przypomnieć, gdzie je schował.

– Na pewno są w bezpiecznym miejscu – powtarzał. – Nic im nie grozi.

Potem strasznie kaprysił. Nie chciał zjeść omletu, ponieważ Eve dodała do niego kozi ser, a nie cheddar.

– Coś ci nie pasuje?

– Wszystko – skrzywił się i przechylił talerz tak, że omlet spadł na podłogę z głośnym plaśnięciem.

– Cholera.

Eve zebrała jedzenie z posadzki i wyrzuciła do kosza. Pobrudziła sobie przy tym buty.

– Nie przeklinaj – powiedział. – Nie lubię, jak przeklinasz.

– No cóż, a ja nie lubię, jak zrzucasz jedzenie na podłogę – warknęła.

– Nie będę brał do ust takiego gówna!

– To najlepiej nic nie jedz! – krzyknęła.

– W porządku! – wrzasnął. – Mam to gdzieś!

Złapała za ścierkę do naczyń i zaczęła ze złością szorować terakotę. Żałowała, że nie trzymają w domu psa, który na pewno zająłby się tym bałaganem. Kiedy była mała, mieli wielkiego airedale terriera, który wabił się Arnie: zajmował całą sofę i potrafił tak bardzo zepsuć powietrze, że wszyscy uciekali z pokoju.

W takim razie może jakieś inne zwierzę?

Wyrzuciła ścierkę do kosza na śmieci.

Ojciec miewał niestety gorsze dni. Nie zdarzało się to bardzo często, ale ostatnio na tyle regularnie, że między poszczególnymi atakami nie miała czasu, żeby się pozbiierać. Brakowało jej odpowiedniego dystansu i nie potrafiła już traktować fochów Duncana jak czegoś zabawnego.

– Na co masz w takim razie ochotę? – zapytała, nie kryjąc irytacji.

– Na blok orzechowy.

Dała mu granolę z miodem. Wziął do ręki łyżeczkę i z kwaśną miną zaczął grzebać w jedzeniu.

– Widzisz? – powiedziała. – Tu są orzechy.

– Jasne. I kto tu ma problemy z głową?

Nagle zaczął dzwonić telefon, który zostawiła w torbie w innym pokoju.

Z jednej strony nie miała ochoty odbierać, ponieważ ojciec był w tak drażliwym nastroju, że nawet na chwilę nie chciała go zostawiać samego.

Z drugiej strony był naprawdę trudny do zniesienia i marzyła choćby o chwili samotności.

– Halo?

– Cześć, Eve.

Męski głos. A potem cisza. Dziwne. I wkurzające.

Wystarczyły dwie sekundy, żeby się zdenerwowała.

– Kto mówi?

– Zgadnij.

– Nie mam czasu na takie zabawy.

W słuchawce rozległ się śmiech.

– To bardzo w twoim stylu, Eve.

Czy to Guy? Chyba nie, on ma przecież inny głos.

– Jak sobie chcesz – warknęła. – Albo się przedstawisz, albo się rozłączam.

Cisza.

Już miała odkładać słuchawkę, gdy mężczyzna powiedział:

– Wysłałem ci nagranie wideo.

Eve wstrzymała oddech.

– Co takiego?

Dobrze go zrozumiała, ale potrzebowała czasu, żeby przestawić się z trybu córki na tryb reporterki i należycie ocenić sytuację.

– Co takiego? – powtórzyła.

– Cieszę się, że wyemitowałaś mój film. Na ekranie wyglądał znacznie lepiej. Ale tak jest chyba

ze wszystkim, co pokazują w telewizji, prawda?

Miał przyjemny głos. Głos kogoś spokojnego, kulturalnego i pewnego siebie.

– Jak drzewo, które zwało się gdzieś w środku lasu. – Głośno się roześmiał. – Czy to się w ogóle wydarzyło, jeśli nie pokazały tego media?

– S-s-skąd wzięłeś to nagranie? – Zaczęła się jąkać. Ostatni raz zdarzyło jej się to w dzieciństwie. Sądziła, że już dawno z tego wyrosła.

– Sam je zrobiłem – odpowiedział spokojnym tonem.

Nagle zrobiło jej się zimno. I nie chodziło wcale o wrażenie chłodu, tylko o przeszywający do szpiku kości ziąb. Czowała, jakby coś wyssało z niej prawie całą krew, zostawiając jedynie tyle, żeby umożliwić dalszą pracę serca i płuc. Mózg był jednak całkowicie zamrożony.

Rozmawiała z mordercą.

Stała na środku salonu, z resztkami omletu na bucie.

– Cz-cz-czego chcesz? – wyszeptwała.

– Chciałbym ci coś pokazać – powiedział. – Stacja metra Piccadilly. Peron w kierunku zachodnim. Jutro o szóstej.

Rozłączył się, nim zdążyła mu odmówić.

Albo się zgodzić.

10 GRUDNIA

Chociaż był zwykły dzień tygodnia, nie poszły do szkoły.

To był pomysł Carli. Prawie wszystkie były jej.

– Zamiast książek spakujemy do toreb ubrania – powiedziała. – Nikt się nie pokapuje.

To było jej ulubione stwierdzenie. Nikt się nie pokapuje, że wypychają sobie staniki chusteczkami. Nikt się nie pokapuje, że podpijają alkohol z barku jej mamy i dolewają wody do butelek. Nikt się nie pokapuje, że podkradają pieniądze z licznika prądu.

Potem okazywało się, że nie wszystko uchodzi im płazem, ale przed każdą kolejną przygodą argument Carli wydawał się nie do odparcia.

Największą zwolenniczką jej ostatniego pomysłu była Zoey. Maddie zachowała więcej sceptycyzmu. Nie było w tym zresztą nic dziwnego. Maddie zawsze kierowała się rozsądkiem, o ile rzecz jasna można to powiedzieć o trzynastoletniej dziewczynce. Nigdy się nie upiła, nigdy nie paliła papierosów i jak do tej pory nie uprawiała seksu, chociaż ciągle słyszała zapewnienia, że nikt by się o tym nie dowiedział. Raz całowała się z chłopakiem – nazywał się Jez Costa – ale nie zrobiło to na niej szczególnego wrażenia. Miał zbyt suche usta, a po wszystkim wytarł je wierzchem dłoni, jakby to jej wargi były zbyt mokre. Nie miała ochoty powtarzać tego doświadczenia w najbliższej przyszłości, ale Carla i Zoey ciągle suszyły jej o to głowę. Obie przelizały się już z wieloma facetami. Trudno było ich zliczyć. Z niektórymi posunęły się nawet nieco dalej, a Carla powiedziała, że ma zamiar wkrótce przespać się z Mattiem Amirem.

– Czy to nie jest przypadkiem niezgodne z prawem? Nie musisz najpierw skończyć szesnastu lat? – spytała Maddie.

– To dotyczy tylko chłopaków – wyjaśniła Carla beztrąsko. – A poza tym i tak nikt się nie pokapuje.

Tak więc cała trójka punkt po punkcie zrealizowała plan Carli. Rano jak zwykle wsiadły do autobusu, a potem wymknęły się ze szkoły i poszły na stację metra Hammersmith. Przebrały się w toalecie i przez cały dzień łączyły po sklepach, co oznaczało dużo oglądania i przymierzania, ale mało kupowania. Ojczym Carli dał jej na urodziny pięćdziesiąt funtów, więc dziewczynka mogła zaszaleć. Po zapłaceniu za bilety na komunikację Maddie miała tylko siedemnaście funtów, a Zoey jeszcze mniej, ale postanowiła załatać dziurę budżetową, kradnąc tusz do rżęs z drogerii Superdrug. Maddie była w szoku, ale nie chciała tego okazywać, żeby nie psuć zabawy. Nałożyły tusz i zaczęły się zachwycać jego jakością i tym, jak wspaniale wygląda.

Carla kupiła kapelusz, w którym prezentowała się naprawdę uroczo, i zupełnie nietwarzową sukienkę. Maddie trudno było okazać szczerzy zachwyt, ale jej subtelna powściągliwość była niczym w porównaniu z pełnymi podziwu okrzykami Zoey. Potem Maddie wydała piętnaście funtów na niebieską mini ze złotymi frędzlami, a Zoey zwinęła naszyjnik za siedem dziewięćdziesiąt dziewięć.

Wcale nie był ładny.

Maddie postanowiła, że już nigdy więcej nie pójdzie z Zoey na zakupy.

Mimo tego dobrze się razem bawiły i czas szybko mijał. Kiedy dotarły na stację metra, żeby wrócić do domu, okazało się, że jest tam prawie cały Londyn.

Musiały przepuścić jeden pociąg, ponieważ nie dałyby rady wcisnąć się do środka.

– Cholera – powiedziała Carla. – Skąd wzięli się ci wszyscy ludzie?

– Godziny szczytu – wyjaśniła Maddie i wzruszyła ramionami.

– Kurde, coś tutaj śmierdzi – skrzywiła się Carla. – Wali od kogoś kocimi szczynami.

Stojąca przed nimi kobieta odwróciła się i obrzuciła je gniewnym spojrzeniem. Dziewczynki zaczęły chichotać.

– Jeśli nie wsiądziemy do następnego metra, spóźnimy się i moja matka wpadnie w szal

– powiedziała Maddie.

– Nie pękaj – zakpiła Zoey. – Ściemnisz, że autobus się popsuł. Ja zawsze tak robię.

– I nie dzwonią do szkoły, żeby sprawdzić, czy mówisz prawdę? – zapytała Maddie, ale Zoey tylko na nią spojrzała i było jasne, że taka możliwość nigdy nie przyszła jej do głowy. Zresztą jej matce pewnie też nie.

– Jesteśmy w niezłej dupie – powiedziała Carla. – Niepotrzebnie wchodziliśmy do tej drogerii. Kolejka była długa na kilometr.

– No – przytaknęła Zoey. – Nic dziwnego, że klienci muszą tam kraść.

– Przesuńmy się do przodu, bo inaczej znowu nie wsiądziemy – zaproponowała Maddie.

Tak też zrobiły. Zaczęły przeciskać się przez tłum ludzi ubranych w ciemne płaszcze, bezpardonowo łamiąc obowiązujące w metrze zasady etykiety. W kolorowych kurtkach narciarskich z kapturami obszytymi sztucznym futerkiem wyglądały jak małe robaczki świętojańskie. Przedzierały się do przodu, klucząc i lawirując. Cały czas chichotały i mamrotały pod nosem nic nieznaczące przeprosiny.

– Przepraszam, przepraszam...

Gdyby były chłopakami, prawdopodobnie spotkałyby się z dezaprobatą, choćby w formie niezadowolonych cmoknięć i westchnień. Ale trzy radosne, roześmiane dziewczynki? Tłum był wobec nich nader pobłażliwy. Kiedy dotarły na skraj peronu, pasażerowie, chcąc nie chcąc, przesunęli się na bok albo zrobili krok w tył, żeby zrobić dla nich miejsce.

Carla, Zoey i Maddie wymieniły porozumiewawcze uśmiechy. Wszystko poszło zgodnie z planem. Wystarczyło tylko wsiąść do pociągu. Wróć do domu na czas i nikt się nawet nie pokapuje...

\*\*\*

Joe wciąż nie odbierał telefonu. W każdym razie nie od niej.

Cholera.

Spojrzała na zegar ścienny. Wpół do szóstej.

Potem rzuciła okiem na swój zegarek. Piąta trzydzieści jeden.

Nie powiedziała nikomu o rozmowie z mordercą, ponieważ nie wiedziała, czy powinna iść na wyznaczone przez niego spotkanie na Piccadilly. Przecież wyemitowali jego nagranie i dostał swoje piętnaście minut sławy. Czego chce więcej?

Co jeszcze może im dać?

Wyrzuty sumienia co prawda gdzieś zniknęły, ale ciągle miała wątpliwości, jak daleko może się posunąć.

Po raz kolejny wybrała numer Joego. Tym razem postanowiła zostawić wiadomość. Mówiła niskim głosem, rzucając wokół siebie ukradkowe spojrzenia.

– Słuchaj, Joe. Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie facet, który wysłał nam filmik. Chce się z nami spotkać na stacji metra Piccadilly, dziś o szóstej. Proszę, skontaktuj się ze mną, jak tylko będziesz mógł.

Zabójca nie powiedział co prawda, że chce się widzieć z nimi obydwójkiem. Chodziło mu tylko o Eve. To było jednak niewinne kłamstewko, które miało na celu sprowokowanie Joego, żeby się wreszcie odezwał.

Niestety podstęp się nie udał. Telefon milczał.

Eve poczuła się lekko urażona, chociaż Joe wcale jej nie atakował, tylko najzwyczajniej w świecie miał ją gdzieś.

Jeszcze raz spojrzała na zegar.

Powinna iść?

Dotarcie na piechotę na Piccadilly Circus zajmie jej kwadrans. Potem będzie musiała zejść na peron. O tej porze dnia to kolejne pięć minut.

Nawet jeśli pójdzie sama, nie będzie jej groziło żadne niebezpieczeństwo. Nie spotyka się przecież z informatorem w jakimś ciemnym zaułku. Będzie stała na dobrze oświetlonej stacji, wśród

setek innych pasażerów. Co może pójść nie tak?

Cholera, jeśli nie pójdzie, będzie to oznaczało, że nie wykonuje swojej pracy. Ross Tobin był kapryśny jak szympana bonobo i musiała mu dostarczać coraz to nowych materiałów, żeby ugruntować swoją pozycję. Kolejny wywiad na wyłączność na pewno by jej pomógł.

O ile rzecz jasna chodzi o wywiad. Czy w ogóle o coś, co można będzie pokazać w telewizji. Tak naprawdę nie miała absolutnej pewności, czy ten facet jest mordercą. Równie dobrze może być kimś, kto chce zdemaskować prawdziwego zabójcę! Niewykluczone, że w ogóle się nie pojawi. Na szczęście jednak Piccadilly Circus to była jej stacja, więc po prostu wsiądzie w pociąg i z wielką przyjemnością wróci do domu na czas.

Jedno jest pewne: jeśli nie pójdzie, to niczego się nie dowie.

Ponownie zerknęła na zegarek.

Piąta trzydzieści osiem.

Poderwała się na równe nogi, po czym włożyła płaszcz i szalik.

Katie Merino uśmiechnęła się do niej szeroko i spytała:

– Idziesz wcześniej do domu, Eve? Należy ci się.

„Och, weź spierdalaj”, pomyślała Eve i wyszła z biura.

\*\*\*

Mimo złej pogody postanowiła iść do stacji Piccadilly na piechotę, co oznaczało konieczność przeciskania się przez gęsty tłum. Wzięcie taksówki o tej porze w centrum Londynu byłoby bardzo kosztownym sposobem na patrzenie, jak wyprzedzają cię przechodnie.

Śnieg przestał padać, ale zaczęło mocniej wiać. Od lodowatych podmuchów cała się trzęsła. Poczła ulgę, dopiero gdy weszła na schody prowadzące do podziemnego świata londyńskiego metra.

Na dole co prawda nie wiało, ale ktoś grał na klawirze *Smoke Gets In Your Eyes*. Eve od razu pomyślała o strasliwym pożarze na stacji King's Cross i zaczęła się bać, że dostanie ataku klaustrofobii, chociaż normalnie nie odczuwała lęku przed zamkniętymi pomieszczeniami.

W korytarzach panował nieziemski ścisk. Dołączyła do ludzkiej lawy płynącej powoli, lecz niepowstrzymanie, w stronę obrotowych bramek.

Całkowicie podporządkowała się tłumowi. To było naprawdę dziwne uczucie: przestała być jednostką, wyzbyła się niezależności i prawa do własnego zdania. W razie jakiejś katastrofy nie miała żadnej szansy na ucieczkę. Gdyby goniła złodzieja lub kochanka – albo chciała wsiąść do następnego pociągu, bo od tego zależałyby losy świata – nadal musiałaby zanurzyć się w ludzką ciżbę i ocierając się o innych pasażerów, człapać nogą za nogą w stronę prowadzących na perony metalowych bramek.

Powstrzymała ochotę, żeby się odwrócić i wziąć nogi za pas. Zamiast tego zebrała się w sobie i weszła na schody ruchome wiodące do wyłożonych białymi płytkami trzewi Londynu.

Całe szczęście, im głębiej zjeżdżała, tym robiło się cieplej. Niestety rosnąca temperatura sprawiła, że w powietrzu pojawił się nieprzyjemny zapach sierści mokrego psa. Tak pachnieli inni ludzie. Poczucie woń bliźnich to było dziwne doświadczenie w dwudziestym pierwszym wieku. Eve miała wrażenie, że cofnęła się do średniowiecza.

Ciepło i wilgoć wydobyły na wierzch smród nieumytych ciał. Dochodziły do tego inne aromaty, takie jak curry i smażona cebula. Od czasu do czasu Eve miała szczęście i do jej nozdrzy dolatywała woń szamponu, którym umyte były czyjeś lśniące włosy, albo zapach cytrynowego mydła przeszywający powietrze niczym powiew mentolu. Jednak znacznie częściej jedynym wytchnieniem od odoru ciał i mokrych płaszczy był drażniący podmuch płynu po goleniu, którym ktoś spryskał się zdecydowanie zbyt obficie.

Gdy zeszła ze schodów, natrafiła na kolejne wąskie gardło. Stała pod nisko sklepionym białym sufitem i czekała na swoją kolej, żeby wejść na peron, a potem ewentualnie wcisnąć się do pociągu.

Przez dłuższą chwilę była całkowicie unieruchomiona, a widok zasłaniała jej wyżsi od niej ludzie. Nagle poczuła się przerażająco samotna.

Była zdana tylko na siebie, zarówno w pracy, jak i w domu.

Od dawna starała się zachowywać tak, jak gdyby choroba Duncana była stanem przejściowym. Liczyła, że ojciec w pewnym momencie dojdzie do siebie i przypomni sobie, kim jest. Rozpozna swoją córkę i będzie przerażony, że w ogóle mógł zapomnieć o istnieniu kogoś, kogo tak bardzo kocha.

W głębi serca wiedziała jednak, że to nieprawda. Dolegliwości Duncana wcale nie ustąpią. Objawy tylko się nasilą i wszystko będzie zmierzać w wiadomym kierunku. Wcześniej czy później nastąpi koniec. Jednak jak długo to potrwa? I w jakim będą stanie, kiedy wreszcie nadejdzie finał?

Rok temu wydawało jej się, że odkryła granice swojej wytrzymałości. Znalazła się na skraju załamania nerwowego i najzwyczajniej w świecie nie była w stanie dłużej tego znieść: praca zawodowa, opieka nad ojcem, użeranie się z Rossem Tobinem, spłacanie kredytu hipotecznego i codzienna szarpanina z życiem.

Czuła, że zaraz coś w niej pęknie.

Jednak minął kolejny dzień i nic się nie stało.

A potem następny.

Wkrótce okazało się, że jej wytrzymałość to studnia bez dna. Chociaż dostęp do niej był coraz bardziej utrudniony, w jej głębinach nadal gromadziła się błotnista woda.

Prosta logika nakazywała jednak zakładać, że pewnego dnia źródło wyschnie.

Może stanie się to właśnie dziś?

Co wtedy będzie z Duncanem? I w jaki sposób zmieni się jej życie?

Miała wrażenie, że rosnący dystans pomiędzy nią a Joem był kroplą, która przelała czarę goryczy. Nagle pożałowała, że przekazała Rossowi Tobinowi feralne nagranie. Powinna olać swój dziennikarski instynkt. Ta sprawa nie była warta zachodu, jeśli oznaczała utratę szacunku kolegi.

Zaczęły ją szczypać oczy i głośno pociągnęła nosem. Stojący przed nią mężczyzna w średnim wieku nagle się odwrócił i obrzucił ją spojrzeniem, które chyba wyrażało współczucie, ale równie dobrze mogło być ostrzeżeniem, żeby nie pobrudziła mu smarkami płaszcz. Tłum zrobił się tak gęsty, że kiedy sięgnęła do kieszeni po chusteczkę i wydmuchała nos, potrafiła łokciem aż dwie osoby, które spiorunowały ją wzrokiem.

Postanowiła się wycofać. Odwróciła się, lecz niemal od razu zrezygnowała. Stojąca za nią ludzka masa była jak mur nie do przebicia. Eve mogła jedynie pozwolić, by powłóczyły nogami pasażerowie unosili ją bezwładnie do przodu.

Westchnęła głośno. Nagle rozległ się pisk wjeżdżających na stację pociągów. Eve nic jednak nie widziała, czuła jedynie, że wagony są gdzieś przed nią. Tłum zaczął napierać i wreszcie udało jej się wejść na peron, ale nie miała szans, żeby wbić się do środka. Ostatni wcisnął się ten sam mężczyzna, który spojrzał na nią, kiedy siąknęła nosem. Ledwie się zmieścił i pasek jego płaszcz zakleszczył się między drzwiami. Jeśli na następnej stacji ten facet musi wysiąść z drugiej strony, to będzie miał kłopot.

Wprawdzie tym razem nie dała rady, ale miała doskonałą pozycję startową. Na chwilę zrobiło się luźniej i mogła swobodnie przejść w stronę końca peronu. Cały czas trzymała się jednak żółtej linii bezpieczeństwa, na wypadek gdyby gromadzący się pasażerowie chcieli zepchnąć ją do tyłu.

Peron szybko się wypełniał.

Możliwość krótkiego spaceru sprawiła, że Eve poczuła się odrobinę lepiej. Mogła w spokoju wydmuchać nos i nikt nie patrzył na nią z dezaprobatą.

Nie było już prawie słyhać muzyki granej gdzieś w podziemiach przez ulicznego artystę. Przestrzeń rozbrzmiewała echem odgłosów wydawanych przez rzeszę milczących ludzi.

Znudzony głos obwieścił, że następny skład nie zatrzyma się na stacji Barons Court. Po chwili Eve poczuła na skórze charakterystyczny powiew ciepłego powietrza zwiastujący przyjazd pociągu.

*Eve!*

Obejrzała się za siebie. Czy ktoś właśnie wykrzyknął jej imię? Nie dostrzegła żadnej znajomej twarzy. Nie było też nikogo, kto starałby się przyciągnąć jej uwagę.

Fałszywy alarm. To tylko dźwięki dobiegające z tunelu, które w jakiś dziwny sposób ułożyły się w jej wyobraźni.

Już miała odwrócić wzrok.



Och!

Na końcu peronu z tłumu wyskoczyła nagle dziewczynka ubrana w różową kurtkę narciarską. Po chwili znalazła się za żółtą linią bezpieczeństwa.

Wszystko działo się bardzo szybko, ale Eve zdążyła pomyśleć: Ktoś powinien ją zatrzymać!

Dziewczynka wyciągnęła obie ręce i wydawało się, że runie jak długa na ziemię.

Gdyby upadła, nic by jej się nie stało.

Ale dziewczynka nie upadła. Leciała dalej, jak gdyby w zwolnionym tempie. Podskakujący kucyk na głowie nastolatki, jej podrygujące stopy i rozpostarte ramiona.

I nieubłagana siła przyciągania...

O Boże! Niech ktoś ją złapie!

Ludzie rzucili się na ratunek, ale nikomu się nie udało...

Dziewczynka krzyknęła i przeleciała nad krawędzią peronu. Przez chwilę wydawało się, że frunie w powietrzu.

Nie spadła jednak na ziemię.

Jej wrzask został brutalnie przerwany przez nadjeżdżający pociąg. Różowa kurtka uderzyła w czoło lokomotywy i wybuchła niczym krwawa bomba.

\*\*\*

Eve stała na peronie ogłuszona zgrzytem hamujących wagonów i z rosnącym poczuciem winy powtarzała w myślach: Mam za swoje! W ogóle nie powinnam była tu przychodzić. Mam za swoje! W ogóle nie powinnam była tu przychodzić. Mam za swoje! W ogóle nie powinnam była tu przychodzić...

Tymczasem pociąg się zatrzymał i stanął tuż przed Eve.

Nieco skonsternowana powoli obróciła głowę w prawą stronę.

Wszyscy ludzie gdzieś zniknęli.

Nie zauważyła, kiedy uciekli z peronu. Jakoś umknął jej moment tej panicznej rejterady. Nie widziała przepychanek i nie słyszała wrzasków. Nikt nie leżał na ziemi i nikt nikomu nie pomagał wstać.

Była pewna tylko jednego: czterystu niedoszłych pasażerów londyńskiego metra po prostu zniknęło, najprawdopodobniej w ciągu zaledwie kilku sekund.

W dalszej części peronu niewielka grupka ludzi w odblaskowych kamizelkach i ciemnozielonych spodniach zajmowała się dwoma jaskrowo ubranymi dziewczynkami, które mogły mieć trzynaście, najwyżej czternaście lat. Były ubrane w jasne legginsy i kurtki narciarskie. Na głowach miały nauszniki, a na rękach rękawiczki z jednym palcem.

Koleżanki ofiary. Jedna stała zgięta w pół i trzymała się za brzuch, jakby coś ją bolało, druga zaś klęczała. Miały wykrzywione twarze i otwarte usta.

Bezgłośnie płakały.

Eve nieśpiesznie obróciła się w lewo. Ciągłe coś brzęczało jej w głowie.

Zobaczyła inną grupkę funkcjonariuszy, którzy z poważnymi minami tłoczyli się wokół faceta wyglądającego na maszynistę. Był to młody mężczyzna o szarej twarzy, który siedział po turecku na posadzce, tuż obok otwartej kabiny lokomotywy. Wygramolił się z pociągu i po prostu usiadł na ziemi. Wydawało się, że nie ma siły, żeby stanąć na własnych nogach. Na plecy miał zarzucony koc ratunkowy, a obok kucalo dwóch sanitariuszy, którzy próbowali udzielić nieszczęśnikowi pomocy.

Niestety, było już na to za późno. Nic nie dało się zrobić.

Eve wreszcie zorientowała się, że to, co brała za dźwięki wydawane przez pociąg, było w rzeczywistości szczękaniem jej własnych zębów. Z trudem udało jej się opanować, ale kiedy wreszcie zniknęło irytujące brzęczenie, usłyszała skowyt zrozpaczonych dziewczynek.

Spojrzała w ich stronę. Funkcjonariusze właśnie próbowali wyprowadzić je z peronu.

Eve wiedziała, że to wszystko jest bardzo smutne, jednak nie była w stanie tego poczuć. Miała wrażenie, jakby jej serce było odłączone od reszty ciała. Nie była nawet pewna, czy nadal bije w jej klatce piersiowej.

Znowu zaczęła dzwonić zębami, ale tym razem nic z tym nie zrobiła, ponieważ wolała odgrodzić się od rzeczywistości.

Popatrzyła na maszynistę. Nic się nie zmieniło.

Po chwili coś przyciągnęło jej uwagę. Trochę dalej, po lewej stronie, tuż pod ścianą, leżała różowa rękawiczka.

Eve zmarszczyła czoło. Dziwne.

Rękawiczka leżała bokiem na gładkiej posadzce peronu, a na wyłożonej kafelkami ścianie widniała czerwona plama. Wyglądało to jak starannie zaaranżowane dzieło sztuki współczesnej.

Jednak najbardziej kuriozalne było coś innego...

Starła się wyciągnąć z dostępnych informacji jakiś logiczny wniosek. Nagle zdała sobie sprawę, że nie był to wcale dobry pomysł.

– O Boże – powiedziała i zrobiła krok do tyłu. – Tylko nie to!

Poczuła, jak nogi odmawiają jej posłuszeństwa, i osunęła się na kolana. Ścisnęło ją w żołądku. Zasłoniła dłonią usta, ale wymiociny przepłynęły między palcami i zaczęły ściekać na posadzkę.

Kolejny skurcz. Z jej oczu popłynęły łzy.

– Wszystko w porządku?

Jakaś kobieta położyła jej rękę na ramieniu. Zielone spodnie, czarne martensy. To była sanitariuszka. Eve nawet na nią nie spojrzała, tylko potrząsnęła głową i wskazała na lewo.

– W tej rękawiczce jest dłoń – wykrztusiła z trudem.

Na chwilę zaległa cisza.

– Cholera – wymamrotała kobieta i ruszyła przed siebie, żeby zaalarmować kolegów w odblaskowych strojach.

Eve nie miała ochoty patrzeć na dalszy ciąg wydarzeń. Przez dobrą minutę klęczała na czworakach, gapiąc się na swoje wymiociny. Cała się trzęsła. Potem uniosła głowę i spojrzała prosto przed siebie. Przed oczami miała bok pociągu. Wagon był zupełnie pusty i przez szyby widać było obklejoną plakatami wygiętą ścianę po drugiej stronie torów.

Przyglądała się bezsensownym reklamom, żeby odciągnąć uwagę od tragedii. *Nędznicy*, British Museum i Vodafone. Na środku każdego gigantycznego afisza przyklejona była mała ulotka z informacją o jakiejś wystawie. Podejrzewała, że to nielegalne. Na pewno nie można w ten sposób niszczyć drogich billboardów. Mimo to ktoś się odważył. Nic dziwnego: przecież artyści zawsze byli buntownikami. Caravaggio, Van Gogh i Warhol. Wszystko robili po swojemu. Płynęli pod prąd, przeciwstawiając się status quo, lecz właśnie dzięki temu świat szedł do przodu.

Eve pomyślała, że dziś raczej nikt nie wybierze się na tę wystawę, nie podpisze umowy z siecią Vodafone ani nie zarezerwuje biletów na *Nędzników*. Nie po tym, co się tutaj stało. Spotkanie, na które przyszła, wydawało jej się bladym wspomnieniem i było teraz czymś zupełnie nieistotnym. Żałowała, że nie została w redakcji.

Redakcja.

Usiadła na piętach i wytarła usta wierzchem dłoni, po czym zdjęła zabrudzone rękawiczki i rzuciła je na ziemię obok rzygowin. Uznała, że najwyższy czas wstać z kolan.

Powoli się podniosła i zadzwoniła do Joego.

– Joe...

Znowu włączyła się poczta głosowa. Eve miała ściśnięte gardło i nie była w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Przerwała połączenie. Nie mogła płakać do słuchawki, potrzebowała kontaktu z drugim człowiekiem.

To mógł być dosłownie każdy.

Wybrała numer Rossa Tobina.

– Co się stało?

– Był wypadek na stacji Piccadilly. – Wzięła głęboki oddech. – Młoda dziewczyna wpadła pod pociąg.

– Naprawdę? – powiedział. – Zginęła na miejscu?

- Tak.
- Masz jakieś zdjęcia?
- Co takiego?
- Masz zdjęcia?

Eve była zszokowana tym pytaniem. Zupełnie się tego nie spodziewała.

– Nie – wymamrotała. – To się stało na moich oczach.

– Jesteśmy stacją telewizyjną – warknął. – Zdobądź jakieś fotki albo poszukaj roboty w pieprzonym radiu.

Rozłączył się. Eve stała na peronie i cała się trzęsła, jakby przed chwilą wyszła na brzeg z lodowato zimnego jeziora.

Spojrzała na swój telefon i usłyszała w głowie słowa z reklamy firmy Apple. To było jak głos Boga.

– ...osiem megapikseli...

\*\*\*

Włączyła kamerę w smartfonie i zaczęła mówić. Nie siliła się na elegancki styl, zależało jej na faktach. Postanowiła zrobić ujęcie panoramiczne: obryzgany krwią peron, maszynista z zarzuconym na plecy kocem ratunkowym, nieruchomy pociąg, plakaty reklamujące *Nędzników* i Vodafone oraz porozrzucane buty, które pogubili pasażerowie, uciekając ze stacji.

Na początku szło jej dość opornie, ale potem było coraz lepiej. Drastyczne obrazy pojawiły się na ekranie, co sprawiło, że łatwiej było się od nich odciąć. Pamiętała nawet, żeby nacisnąć przycisk „selfie”, dzięki czemu mogła filmować samą siebie. Starła się dobrze skadrować ujęcia. Włączył się w niej instynkt zawodowca i zaczęła się martwić swoim wyglądem. Po chwili uznała jednak, że ma to głęboko w dupie. W tym wypadku zła aparycja działała na jej korzyść.

Wjeżdżając na górę ruchomymi schodami, sfilmowała ekipę porządkową: ubrani na pomarańczowo mężczyźni z workami na śmieci i szuflami.

Przyjechali, żeby uprzątnąć bałagan.

Mieli do tego szufle.

Znowu ścisnęło ją w żołądku, ale na szczęście nie miała już czym wymiotować.

Tej nocy nie zmrużyła oka. Nawet na chwilę.

Była zdziwiona tym, jak długo może się ciągnąć jedna godzina, kiedy ma się wciąż przed oczami obraz nastolatki spadającej z peronu wprost pod koła pędzącego pociągu. To było jak puszczenie w kółko GIF. Była tak rozbudzona, że kiedy o drugiej nad ranem zadzwonił telefon, odebrała go, zanim jeszcze wybrzmiał pierwszy sygnał.

– Joe?

– Nie.

– Och.

Krępująca cisza. Sprawdziła numer, ale okazało się, że jest zastrzeżony.

– Cieszę się, że przyszedłeś – odezwał się znajomy męski głos.

Poczuła dreszcz, jakby ktoś przeszedł po jej grobie. Znowu rozmawiała z mordercą.

– Nie widziałam cię.

– Ale ja ciebie widziałem. I to na żywo. – Wybuchnął śmiechem. – No, może nie do końca.

Nie za bardzo mogła załapać, o co mu chodzi. Jej umysł był jak stary samochód, który nie chciał zapalić w zimny poranek.

– C-c-co masz na myśli? – Cholera, znowu zaczęła się jąkać.

– Podobała mi się twoja relacja. A co sądzisz o moim nowym pokazie?

– Co takiego?

– Moim nowym pokazie.

– Twoim pokazie? – Do czego on zmierza? Nagle przypomniała sobie ulicznego muzyka grającego *Smoke Gets In Your Eyes*...

– Okay, naszym pokazie – dodał, jakby chciał sprostować nieprawdziwą informację.

– N-n-nie wiem, o co ci chodzi.

– Ubrana na różowo dziewczynka – wyjaśnił zniecierpliwionym głosem.

– Hm?

– Przecież słyszałaś, co powiedziałem.

Eve zamrużyła. Miała wrażenie, że czas się zatrzymał.

Ciepły powiew zwiastujący przyjazd pociągu...

*Eve!*

Ktoś krzyknął czy tylko jej się wydawało?

Tak, to był ten sam głos. Jego głos. To on ją zawołał.

– Nastolatka, która spadła z peronu? – szepnęła.

Roześmiał się.

– Sama spadła czy ktoś jej pomógł? Jak myślisz, Eve?

– Nie... nie wiem – odpowiedziała, wyraźnie się wahając.

– Nie chciałem, żebyś cokolwiek przegapiła. Wiedziałem, że pokażesz wszystko z jak najlepszej strony. Tak też się stało. Twój reportaż był niezwykle... dogłębny. Lepszy niż ten o dziewczynie z Coldharbour.

Eve z wrażenia aż wstrzymała oddech. Dziewczyna z Coldharbour. Layla Martin.

Krwawa jatka...

Czuła, że jej mózg zaraz zacznie się gotować. Co ten facet właściwie powiedział? To on zabił Laylę Martin? I Kevina Barra? I nastolatkę na stacji metra?

– Jesteś kłamcą – oznajmiła trzęsącym się głosem. – Wciskasz mi kit.

– Dobrze wiesz, że mówię prawdę, Eve. Pracujemy w bardzo podobnych branżach. Ja również nie mogę żyć bez śmierci. To moje paliwo. Jesteśmy tacy sami i mamy takie same potrzeby.

– Jak śmiesz mówić, że jesteśmy tacy sami! – Nadal miała rozedrgany głos, ale przynajmniej przestała się jąkać. – Dzieli nas przepaść! Przecież ty jesteś pieprzonym mordercą!

– Mam ku temu dobre powody – wyjaśnił łagodnym tonem, jakby zwracał się do dziecka. – Za to ty tkwisz w tym głównie tylko i wyłącznie dla pieniędzy.

Eve była przekonana o własnych racjach, ale ogarnęła ją taka złość, że nie była w stanie wykrztusić ani słowa.

– Bądź ze mną szczerą – ciągnął. – Oboje łakniemy śmierci. I potrzebujemy widowni.

Zaległa głucha cisza. Eve już chciała wszystkiemu zaprzeczyć.

Ale tego nie zrobiła.

Ponieważ facet miał rację.

Po tym, co wydarzyło się w biurówcu Coldharbour, sama podsycala ogień: dała Rossowi wideo z Kevinem Barrem, chociaż doskonale wiedziała, że szef puści film na antenie; przyjęła zaproszenie na „show”, a potem zamiast uciec z peronu tak jak czterystu zwykłych, przyzwoitych ludzi, wyjęła telefon i zaczęła nagrywać relację z miejsca, gdzie dokonano brutalnego zabójstwa. Na dodatek ofiarą było dziecko.

Co jest z nią nie tak? Za każdym razem daje temu zwyrodnialcowi to, czego chce.

Robi to z premedytacją.

Dla własnej korzyści.

Dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. Zawsze szła po trupach, a fundamentem jej kariery były łzy ofiar i kości umarłych. Czy tego właśnie chce? Czy ułatwia mordercy popełnianie kolejnych zbrodni? Czy idzie w jego ślady?

A może to on się nią inspiruje?

Z trudem łapała oddech.

Naprawdę miała problem z zaczerpnięciem powietrza.

– Ja daję ci dzieła sztuki – powiedział, jakby czytając w jej myślach. – A ty przygotowujesz wystawę.

– N-n-nie – wyszeptała. – Nieprawda.

Jednak jego niski głos powoli wwiercał się w jej świadomość i wbijał jak cierń w jej nieczyste sumienie.

– Oboje jesteśmy w to wplątani.

## Część druga

11 GRUDNIA

Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

Zabójca obserwował drobinki kurzu, które zdawały się tańczyć w promieniach słońca wpadającego do pokoju przez szparę między ciężkimi kotarami z aksamitu. Każda drobina stanowiła kiedyś część czegoś innego. Mogła być okiem kornika, strużyną drewna z nogi od komody w stylu chippendale lub fragmentem ludzkiej skóry. Każda cząstka odpadła od jakiejś większej całości, a potem coraz bardziej się zmniejszała, aż stała się zupełnie anonimowa i tak mikroskopijna, że mogła swobodnie unosić się w powietrzu w poszukiwaniu światła, które wydobywało jej istnienie z ciemności i obdarzało ją niezwykłym pięknem.

Morderca przesunął kotary o kilka centymetrów, zostawiając między nimi jedynie niewielką szczelinę. Im było ciemniej, tym intensywniej wirujące okruchy walczyły o swoje miejsce, starając się popisać przed widzem jak rozkapryszeni uczniowie szkoły baletowej. Kiedy zasłony były rozsunięte, rozproszone po całym pokoju światło wydawało się słabsze. Wtedy kurz tracił werwę, chował się po kątach i opadał na podłogę. Trudno było się temu dziwić. W końcu jak pojedyncza drobinka mogłaby przyciągnąć uwagę w tak gęstym tłumie swoich sióstr?

Wszystko albo nic. Zabójca doceniał tę ambicję.

Doskonale to rozumiał.

Zamaszystym gestem rozsunął kotarę i przez dłuższą chwilę stał w oknie, napawając się niezbyt ciepłymi promieniami zimowego słońca, które sprawiały, że jego włosy łonowe wyglądały, jakby były z surowego złota, a biegnąca przez środek klatki piersiowej blizna błyszczała jak wysmarowana tłuszczem.

W domu po drugiej stronie ulicy stała jakaś przysadzista kobieta z wiadrem i detergentami w sprayu. Gdy go zobaczyła, ze złością machnęła w jego stronę szmatą i zaczęła coś krzyczeć, po czym cofnęła się do wnętrza pokoju i zniknęła w ciemności.

Kiedy był dzieckiem, jego rodzice zatrudniali takich ludzi. Kobiety, które – jak mawiała matka – zajmowały się domem. Gotowały, sprzątały, chodziły na zakupy i ścieliły łóżka.

On sam nigdy nie miał własnej służącej.

Zastanawiał się, co taka kobieta mogłaby dla niego zrobić.

Przychodziła mu na myśl tylko jedna rzecz.

Odwrócił się od okna i patrzył, jak jego cień przesuwają się po narzucie z belgijskiej koronki.

Pomyślał, ile czasu spędził w tym pokoju.

O tych wszystkich godzinach i dniach.

O całym swoim życiu.

W tym łóżku leżała jego chora matka. Opiekował się nią przez dwa lata, mimo że na dobrą sprawę prawie jej nie znał.

Dwa lata zmagania z postępującą chorobą. Piekło w szklance wody, czyściec w kanapce z jajkiem. Brudna pościel.

A potem ten piekielny nocnik.

I jeszcze więcej brudnej pościeli.

To się nigdy nie kończyło.

Wkładał poplamione prześcieradła do wiecznie głodnej pralki, którą po jakimś czasie szczerze znienawidził. Nigdy nie dało się do końca pozbyć smrodu moczu i gówna oraz tego dziwnego, cierpkiego zapachu zgnilizny, który sprawiał, że za każdym razem, gdy wracał do domu z zakupami, zbierało mu się na wymioty.

A pralka tylko stała i czekała na kolejną porcję syfu. Można było odnieść wrażenie, że niezależnie od tego, jak bardzo będzie źle, wcale nie chce, żeby to się kiedykolwiek skończyło. W pewnym

momencie wydawało mu się, że jego matka trzyma się życia tylko po to, żeby karmić tę żarłoczną maszynę.

Ta kobieta naprawdę nie miała zamiaru odejść z tego świata!

Wpatrywał się w nią zimnym bezlitosnym wzrokiem, a ona wciąż oddychała.

Wreszcie zszedł na dół i dwuręcznym młotem rozwalił stojącą w sali balowej pralkę. Odgłosy uderzeń odbiły się echem po całym domu. W powietrzu unosił się kurz, a pod sufitem wisiały pajęczynowate druty, do których kiedyś przymocowane były kryształowe żyrandole.

Urządzenie marki Hotpoint zmieniło się z przysadzistego białego sześcianu w stos pogruchootanych części. Trudno było uwierzyć, że całkiem niedawno stanowiły jedną całość.

Pralka na pewno nie nadawała się do naprawy.

Kiedy zaczął w nią uderzać, wypełniała go ogromna złość, ale z czasem się uspokoił.

W pewnym momencie zrobił przerwę i oparł się o trzonek młota. Był cały spocony i z trudem łapał oddech, ale w piersi czuł radosne bicie swojego serca. Pierwszy raz od bardzo wielu lat.

Od czasu, kiedy pocałował pana Treadwella.

Przez kolejne dni zajmował się oddzielaniem brzydkiej białej powłoki od organów wewnętrznych. Każdą z części – silnik, pompę, wentylator – rozkładał następnie na czynniki pierwsze. W środku znajdował prawdziwe skarby: podkładki, uszczelki, zawory, przełączniki i wiązki kabli przypominające naczynia krwionośne.

To było jak otwieranie matryoski.

Kiedy zakończył proces dekonstrukcji, nie mógł uwierzyć, że darzył to urządzenie taką nienawiścią. To była w końcu tylko żarłoczna dziura, którą należało karmić śmierdzącą pościelą. Patrzył na poszczególne elementy rozłożone na powierzchni dwóch metrów kwadratowych na środku sali balowej i nie mógł wyjść z podziwu, jak starannie skonstruowano tę maszynę. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, ile pracy trzeba było włożyć, żeby coś takiego wyprodukować i jak ważną rolę odgrywała tu nawet najmniejsza część.

Wszystko było potrzebne, żaden element nie był zbędny, niczego nie brakowało.

Uczucie nienawiści całkowicie zniknęło i na jego miejscu pojawił podziw dla piękna tego skomplikowanego urządzenia.

Czysta perfekcja.

Dopiero kiedy wrócił na piętro, zorientował się, że gdy go nie było, matka wreszcie poszła po rozum do głowy i odeszła z tego świata.

Przez kilka dni siedział przy jej łóżku – schodził na dół tylko po to, żeby skorzystać z toalety albo napić się wody z kranu podłączonego do instalacji sąsiada – i zastanawiał się nad swoją przyszłością.

Wcześniej nie myślał, że jakąś przed sobą ma, teraz jednak jego przekłete serce powiedziało mu coś innego. Pikało niczym licznik Geigera, jakby chciało mu obwieścić, że otworzyły się przed nim nowe perspektywy. Znał już to uczucie. Pierwszy raz tak się poczuł, kiedy rozciął pana Treadwella, ale wtedy był za młody, żeby to zrozumieć. Pojął to dopiero po tym, jak jego serce zareagowało na agonię pralki.

Mógł więc w spokoju zaplanować swój los.

A także los innych ludzi.

Śmierć matki dała mu bardzo dużo... pożyczonego czasu.

Postanowił odpowiednio wykorzystać dar otrzymany od ostatniego członka swojej rodziny. Zdawał sobie jednak sprawę, że ten stan nie będzie trwał wiecznie i w pewnym momencie będzie musiał zacząć pożyczać od obcych.

W zamian chciał ich unieśmiertelnić przez sztukę.

\*\*\*

Wiszące nisko nad horyzontem poranne słońce przesunęło się na drugą stronę pokoju i cień zabójcy padał teraz na łóżko, na którym leżało ciało jego matki.

Twarz zapadnięta jak źle wyrosnięte ciasto, oczy cofnięte do środka czaszki tak głęboko, że oczodoły wyglądały niczym puste jamy. Do tego wklęsłe policzki i wąskie usta, poczerniałe jak u psa.



Podniósł rękę i delikatnie dotknął jej czoła.  
Nie żyła już od dwóch lat.  
I z każdym dniem stawała się coraz piękniejsza.

W trakcie zdejmowania świątecznych lampek z choinki Duncan Singer przypomniał sobie, kim jest. To wyglądało tak, jak gdyby ktoś włączył mu w głowie żarówkę. Duncan przeżył niespodziewaną chwilę olśnienia i nagle wszystko stało się proste i jasne. Z wrażenia aż wstrzymał oddech.

Ni stąd, ni zowąd wiedział nie tylko, jak się nazywa, lecz także że ma dzieci, Stuarda i Eve, oraz że miał żonę Maggie, która nie żyje już od ponad dwudziestu lat. Szok związany z jej śmiercią oraz z tym, że o tym zapomniał, rozorał mu serce jak podwójny haczyk wędkarski.

A potem równie nagle o wszystkim zapomniał, chociaż przez chwilę miał jeszcze w głowie coś w rodzaju powidoku. Stał jak sparaliżowany obok choinki, trzymając w rękach pęk migotliwych lampek.

Kiedy do pokoju weszła otyła kobieta i zapytała, czy wszystko u niego w porządku, nie wiedział już, dlaczego tak bardzo boli go serce i z jakiego powodu po jego policzkach ciekną łzy.

Miał świadomość, że musiało wydarzyć się coś strasznego. Gorsze było jednak to, że nie mógł sobie przypomnieć, co to było.

– Nie – powiedział. – Źle się czuję.

Potem opuścił głowę i wbił wzrok w migające światełka.

– Wszystkie moje gwiazdy spadły z nieba – wyjaśnił łamiącym się głosem.

\*\*\*

W drodze na stację metra Eve sprawdziła telefon. Joe wciąż się do niej nie odezwał.

Może to i dobrze.

Nie za bardzo wiedziała, co mogłaby mu powiedzieć. W końcu był przeciwny przekazaniu nagrania szefostwu i zażartował, że nie chce robić reklamy Kubie Rozpruwaczowi.

Teraz żałowała, że nie wzięła sobie jego rad do serca.

Mężczyzna, który się z nią skontaktował, mógł być kłamcą i fantastą, ale na razie nie była tego pewna i targały nią wyrzuty sumienia.

W znalezionej w wagonie gazecie przeczytała, że dziewczynka, która zginęła w wypadku, miała trzynaście lat, nazywała się Maddie Mathews i mieszkała na Hammersmith. Obok artykułu opublikowano selfie, które redaktorzy wzięli pewnie z Facebooka: zbyt jasno oświetlona twarz, a w tle sypialnia. Na fotografii dało się rozróżnić niektóre szczegóły: plakaty, pluszowe misie i prostownicę do włosów. Typowy pokój nastolatki, której tożsamość wyrażają Beyoncé i produkty marki BaByliss.

Eve podniosła głowę i zobaczyła, że pociąg zatrzymał się właśnie na stacji Hammersmith. Bez namysłu zerwała się na równe nogi i mimo że rozległ się już sygnał ostrzegawczy, podbiegła do zamykających się drzwi, które przytrzymały jej ramię. Całe szczęście jakoś udało jej się wyrwać i wydostała się na peron.

Postanowiła zadzwonić do redakcji i powiedzieć, że jest chora.

– Jesteś chora? – zapytał Ross Tobin. – Prowadzisz najważniejszą sprawę w swojej karierze, być może w ogóle najważniejszą sprawę dla każdego dziennikarza, i zgłaszasz niedyspozycję? Co się z tobą dzieje?

– Przeziębiam się.

To nie była prawda, ale spuchnięty nos pomógł jej uwiarygodnić kłamstwo.

– Przeziębiałaś się? Jezu Chryste! Nie leżysz przecież na łożu śmierci! Przecież jesteś w stanie pracować z byle katarrem.

– Czuję się jak gówno – powiedziała i rzeczywiście tak było.

– No cóż, Katie Merino na pewno nie czułaby się jak gówno – oznajmił Ross, nawet nie ukrywając złości. – Ta dziewczyna wykonałaby twoją pracę nawet po amputacji jednej nogi.

Eve wybuchnęła śmiechem. Ross nie mógł jej już straszyć Katie Merino. Zostawiła ten etap za sobą i teraz wydawało jej się śmieszne, że kiedyś przejmowała się tym, co robi jej koleżanka, albo tym, co mogłaby zrobić.

– Do cholery, tylko szybko wróc do zdrowia – warknął Ross i się rozłączył.

Eve usiadła na zimnej metalowej ławce i zalogowała się na Facebooka.

Już po dwóch minutach przeglądania napisanych przez nastolatki komentarzy udało jej się dowiedzieć, jak miały na imię dwie koleżanki, które stały wczoraj z Maddie na peronie, a po kolejnych trzydziestu sekundach znalazła w internecie adres tej z bardziej nietypowym nazwiskiem: Zoey Kihn.

Kiedyś dziennikarze musieli przez cały dzień łązić po domach i wisieć na telefonie, żeby zdobyć czyjeś dane osobowe.

Dzisiaj każdego można było namierzyć z łatwością.

W sumie było to dość przerażające.

Ale czasami bardzo przydatne.

\*\*\*

Matka Zoey miała opuchniętą od płaczu twarz.

– Nie jestem w stanie przestać myśleć, że to mogła być moja córka – powiedziała po raz trzeci od momentu, kiedy usiadły przy stole w kuchni.

Eve tylko kiwała głową.

Nie miała dzieci, ale podejrzewała, że przy odrobinie nieuwagi taki sposób myślenia może zrujnować matce życie.

Zoey była tym wszystkim wyraźnie zniecierpliwiona.

– Przestań tak mówić, mamó. Nic złego mi się nie stało. Jestem cała i zdrowa.

– Dzięki Bogu – oznajmiła pani Kihn, chociaż Eve podejrzewała, że Bóg miał z tym niewiele wspólnego. Nawet jeśli ocalał Zoey, to w równym stopniu był odpowiedzialny za śmierć Maddie Mathews. Nader pokrętna logika.

Eve uznała jednak, że nie powinna mówić tego na głos. Zazwyczaj należało pozwolić pogrążonym w żalu lub tym, którzy prawie stracili swoich bliskich, żeby się wygadali i sami poradzili sobie z tak trudnym tematem.

Poczuła, że jest naprawdę przebiegła, i ze wstydu aż się zaczerwieniła. Przez lata pracy nauczyła się posługiwać podstępem. Znała wiele sposobów na to, żeby odpowiednio podejść rozmówcę i nakłonić go do odsłonięcia świeżej rany. Jej widzowie mogli wtedy napawać się cudzym nieszczęściem i kręcić z niedowierzaniem głową, a potem po prostu zmienić kanał...

Jednak tym razem musiała poznać prawdę i to nie z powodu słupków oglądalności, lecz ze względu na samą siebie. Chciała wiedzieć, czy mężczyzna, który do niej zadzwonił, był zabójcą, czy tylko oszustem.

– Pozwalamy swoim dzieciom wychodzić z domu. Przecież nie można ich trzymać pod kloszem – powiedziała pani Kihn, wycierając łzy. – Chcą, żeby je traktować jak dorosłych, chociaż to tylko nastolatki, prawda?

– Uhm – mruknęła Eve, żeby nie zrazić do siebie ani pani Kihn, ani jej córki.

– One nic nie rozumieją – kontynuowała zrozpaczona kobieta. – Nie zdają sobie sprawy, jakie niebezpieczeństwa na nie czyhają i jak niespodziewanie może się wydarzyć coś złego. Rozumie pani?

Tak, doskonale to rozumiała. Chyba lepiej niż ktokolwiek inny. W końcu byłaby bezrobotna, gdyby tak wielu ludziom nie przytrafiały się nagłe wypadki.

– Chodzi mi o to, że w jednym momencie wyglądają się na peronie...

– Wcale się nie wyglądaliśmy – wtrąciła Zoey. – Już ci mówiłam!

– A po chwili... bum! Koniec. Tak po prostu. Biedna Maddie. I jej nieszczęsna matka... – Pani Kihn wyciągnęła z pudełka papierową chusteczkę i wydmuchała nos.

Zoey przewróciła oczami i spojrzała na Eve.

– Nie było żadnych wyglądów. Nie jesteśmy przecież dziećmi.

Eve z trudem powstrzymała uśmiech, ponieważ dziewczynka miała na sobie piżamę z Hello Kitty i wielkie puchate kapcie z oczami i kocimi wąsami. Była całkiem ładna, tak samo zresztą jak prawie wszystkie nastolatki w dzisiejszych czasach: gładka cera, proste zęby i długie lśniące ciemne włosy.

Miała bardzo bladą twarz, ale Eve nie umiała ocenić, czy to z powodu stresu, czy taka był aktualna moda.

– W takim razie co się stało? – zapytała.

Zoey głośno westchnęła i machnęła ręką.

– Nie wiem.

Zadrżała jej dolna warga i przez chwilę dziewczynka wyglądała, jak gdyby miała osiem lat.

Zebrała się jednak w sobie, odchrząknęła i powiedziała:

– Po prostu stałyśmy na peronie i żartowałyśmy...

– Wygłupiałyście się – weszła jej w słowo pani Kihn.

Zoey ją zignorowała.

– I wtedy Maddie jakby krzyknęła...

– Co masz na myśli?

– Sama nie wiem. To nie był do końca krzyk. Raczej jęknięcie. A potem jakby się o coś potknęła i poleciała do przodu na łeb na szyję.

– Czy to możliwe, że ktoś ją popchnął? – zapytała Eve, starając się ważyć każde słowo.

– Chyba tak. – Zoey wbiła pusty wzrok w rozpościerające się za oknami białe niebo. – Peron był strasznie zatłoczony. Nie patrzyłam na Maddie, bo rozmawiałam wtedy z Carlą, ale w pewnym momencie poczułam uderzenie w ramię. Musiała na mnie wpaść...

Na samo wspomnienie Zoey odruchowo dotknęła swojego barku. W tym samym czasie jej matka wyjęła z pudełka następną chusteczkę.

– Widziałaś kogoś, kto mógł ją pchnąć?

– Nikogo konkretnego – odpowiedziała dziewczynka. – Ale słyszałam to jęknięcie, a potem Maddie dość mocno mnie potrąciła... – Przerwała w pół zdania i rozłożyła ręce, jakby chciała powiedzieć: „Sama zdecyduj”.

To było frustrujące. Eve oczekiwała rozstrzygającej odpowiedzi, ale nic takiego nie dostała.

– Miała chłopaka?

– Nie.

– A jakichś wrogów?

Zoey pokręciła głową.

– Może pokłóciła się z kimś ze szkoły?

– Nie sądzę. Na pewno byśmy o tym wiedziały.

– Hm, a miała jakieś... problemy osobiste? – kontynuowała Eve z nadzieją w głosie. – No wiesz, chodzi mi o coś, co sprawiało, że była przygnębiona?

– No tak, niewykluczone, że popełniła samobójstwo – oznajmiła pani Kihn, bez żadnego skrępowania podejmując delikatny temat. – Maddie była w końcu dość poważną dziewczynką.

Eve zaczęła w myślach ścisnąć kciuki. Miała nadzieję, że Zoey potwierdzi jej przypuszczenia, skinie głową i powie: „Tak, w zeszłym tygodniu ryczała w toalecie, ale nie chciała powiedzieć dlaczego”. Albo: „Chyba zerwała z chłopakiem. Oświadczyła, że życie nie ma sensu...”.

Ale Zoey tylko spozjrzała na swoją matkę i wytrzeszczając oczy ze zdumienia, krzyknęła:

– Nie ma mowy! Ona na pewno by się nie zabiła. Przecież właśnie kupiła sobie w H&M zajebistą spódnicę.

Kiedy Eve wróciła do domu, dowiedziała się, że ojciec miał zły dzień.

Z relacji pani Solomon wynikało, że nie tylko ściągnął lampki z choinki, lecz także nie chciał zażyć leków, miał wypadek, który opiekunka nazwała eufemistycznie „pobrudzeniem sobie spodni”, popsuł kuchenne radio, a potem zdjął wszystkie książki z półek w pokoju na piętrze i włożył je do wanny.

Po wyjściu pani Solomon Eve poszła na górę i zobaczyła, że książki nadal pływają w letniej wodzie.

Niespecjalnie ją zdziwiło, że opiekunka nie powstrzymała Duncana. Eve dobrze wiedziała, dlaczego tak się stało. Kiedy ojciec był obsesyjnie pochłonięty jakąś stosunkowo niegroźną czynnością, łatwiej było dać mu wolną rękę niż interweniować. Jeśli zostawiło się go w spokoju, miał zajęcie – czasem nawet na kilka dni – a jakakolwiek próba wtrącania się oznaczała różne nieprzyjemności. Wychodząc z tego założenia, obie udawały, że nic się nie dzieje, kiedy Duncan zaczął z namaszczeniem odklejać tapetę ze ścian w pokoju gościnnym. Co więcej, używał do tego celu własnych paznokci. To konkretne przedsięwzięcie dało im kilka tygodni wytchnienia. W tym czasie Eve udało się nawet przeczytać sentymentalne powieści o kobiecie uzależnionej od robienia zakupów. Straszny kicz, ale w końcu była to książka! I przeczytała ją od deski do deski!

Tak bardzo spodobał jej się ten „urlop”, że kiedy Duncan zerwał już całą tapetę w jednym pomieszczeniu, zachęcała go, żeby zrobił to samo w swojej sypialni. Postanowiła mu pomóc i sama zaczęła dzieło zniszczenia, ale kiedy ojciec to zobaczył, wpadł w szal, oskarżył ją o bezmyślny wandalizm i wyrzucił za drzwi.

W jego szaleństwie nie było za grosz logiki.

Głośno westchnęła i wyciągnęła z wanny korek, po czym zaczęła otrzepywać zamoczone woluminy i kłaść je na ręczniku, żeby wyschły. Te książki stały na regałach przez całe jej życie, a ich grzbiety były jak starzy znajomi. Każdą z nich kiedyś otwierała, choćby tylko po to, żeby zobaczyć, co jest w środku. Na początek zajęła się tymi w twardej oprawie: starym słownikiem ojca oraz należącymi do matki biografiami sławnych naukowców, artystów i podróżników. Niestety okładki zdążyły się odkształcić, a kartki nasiąkły wodą. Odkładała poszczególne tomy na ręcznik i starała się je wytrzeć, chociaż wiedziała, że nie ma to większego sensu. Potem zabrała się za lżejszą literaturę, którą kojarzyła z wakacjami: Wilbura Smitha i Stephena Kinga.

Jako ostatni wyjęła kręcący się powoli wokół odpływu zamoczony egzemplarz *Kubusia Puchatka*. Dostała go w prezencie od matki, kiedy miała pięć lat. Potem bez końca zaczytywały się w tej książce.

Nie, nie bez końca.

Wszystko rozsypało się na krótko przed jej siódmymi urodzinami.

Teraz siedziała na mokrym dywaniku, opierając się o krawędź wanny. Otworzyła posklejane strony i pozwoliła, żeby książka przeniosła ją wiele lat w przeszłość.

Zaczęła podziwiać małe rysunki wykonane piórką i przypomniała sobie, że kiedyś lubiła ich dotykać. Wydawało jej się, że wskazuje swoim dziecięcym paluszkiem na któryś z tych obrazków, a za plecami siedzi mama i czyta na głos, od czasu do czasu wybuchając śmiechem. Jest tak blisko niej, że Eve niemal czuje łaskotanie w uchu.

Kubuś wyjada miód, Tygrys bryka, a Kłapouchy cieszy się dziwnym prezentem, który dostał na urodziny.

Eve zatęskniła za dziecięcą niewinnością.

Zamknęła zwilgotniałą książkę i położyła ją na kaloryferze w pokoju, który służył za pakamerę.

Resztę księgozbioru ostrożnie zniosła na dół po schodach i wyrzuciła do kosza. Próbowowała sobie wmówić, że wszystko odkupi, ale nie za bardzo w to wierzyła.

Włączyła kuchenne radio. Pani Solomon powiedziała prawdę: było popsute. Do tylnej obudowy

ktoś przyczepił naklejkę z bananów, które stały w salaterce na owoce.

„Fyffes”.

Głośno westchnęła i wywaliła radio do śmieci, razem z książkami.

Zadzwoiła do Joego. Tym razem nie zostawiła jednak żadnej wiadomości. A niech to szlag!

Poczuła, że musi się napić.

Kiedy tak pomyślała, prychnęła śmiechem. Wiele razy słyszała podobne słowa w filmach, ale nigdy nie była w stanie wyobrazić sobie chwili, w której sama będzie potrzebowała alkoholu.

I ta chwila właśnie nastąpiła.

Co więcej, wcale nie miała ochoty na kieliszek różowego wina do kolacji. Nie chodziło też o chęć upicia się prosecco na imprezie firmowej. Naprawdę potrzebowała czegoś, co jednocześnie ją rozgrzeje i złagodzi nieco obraz rzeczywistości.

Nie piła dużo, ale była pewna, że coś się zachowało w kuchennej szafce.

Miała rację. Znalazła pół butelki adwokata kupionego kilka lat temu z okazji Bożego Narodzenia. Odwiedził ich wtedy Stuart z ówczesną dziewczyną, która gustowała w koktajlach. Nazywała się Marcie i miała wszelkie zadatki na złą partnerkę dla brata. W głowie Eve od razu odezwał się dzwonek alarmowy i kiedy parę miesięcy później Stu oznajmił, że się rozstali, poczuła ogromną ulgę.

Nigdy nie piła adwokata i sam wygląd tego trunku nie przypadł jej do gustu. Mimo to naalała sobie pełną szklaneczkę i wypila połowę jednym haustem.

Jezu Chryste! To było naprawdę paskudne! Gęsty i piekący ulepek przypominający w smaku słodki sos na bazie whisky.

Odkasznęła i dopiła resztę.

Ponownie napełniła szklanekę i poszła do salonu. Wzięła do ręki swoją torebkę i wyjęła z niej telefon, po czym wyciągnęła chomika Chrupka z klatki.

Stanąła w korytarzu, zamknęła wszystkie drzwi i postawiła zwierzątko na podłodze, żeby mogło sobie spokojnie pobiegać. Sama wbiła wzrok w telefon i krzywiąc się z obrzydzenia, sączyła ohydny napój.

Zadzwoiła do Stuarda, ale nie odebrał.

Usiadła w ciemności na schodach i patrzyła, jak Chrupek z determinacją dreczcze wzdłuż listwy przypodłogowej.

Zaczęło jej się kręcić w głowie, pewnie z powodu stresu.

Wybrała ponownie numer brata.

Po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa.

– Stu – wymamrotała. – To ja, Eve.

Przerwała w pół zdania i zmarszczyła czoło.

Tojajiw.

Tak zabrzmiało w jej uszach to, co przed chwilą powiedziała. Nigdy wcześniej tego nie zauważyła i przez moment zastanawiała się, czy nie powinna przerwać połączenia.

Chciała wypić kolejny łyk, ale szklanka była już pusta. Nagle zdała sobie sprawę, że od dłuższej chwili nie wydusiła z siebie ani słowa, chociaż poczta głosowa była przez cały czas włączona. Postanowiła zacząć od nowa. Zatelefonowała jeszcze raz.

– Cześć, Stu. To ja, Eve. Dzwonię, żeby pogadać. Ciekawa jestem, co u ciebie słyhać, jak idzie ci w pracy i tak dalej. Jest jeszcze jedna sprawa...

„Ojciec walnął mnie pięścią w twarz”.

Zasłoniła dłonią usta. Nie przeszło jej to przez gardło. Nie była w stanie wypowiedzieć tego zdania. Było zbyt straszne.

Zresztą w jaki sposób Stuart mógłby jej pomóc? Na pewno zacząłby się martwić i czułby się bezradny. Albo w ogóle by się nie przejął, co byłoby chyba jeszcze gorsze.

Z trudem powstrzymała napływające do oczu łzy.

Chrupek zatrzymał się przy jej stopie, usiadł na tylnych łapkach i strzygąc niespokojnie wąsami, spojrzał na swoją opiekunkę.

Eve wytarła nos o rękaw i podniosła głowę. W tym momencie poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

Ktoś stoi przed drzwiami wejściowymi.

W korytarzu nie paliło się światło, więc blask ulicznej latarni sprawiał, że sylwetka intruza rysowała się wyraźnie na tle matowego szkła. Na pewno ktoś tam był i wcale nie miał zamiaru zapukać. Po prostu tam sterczał...

– Stuart – syknęła. – Ktoś stoi przed domem.

Położyła telefon na schodku i ostrożnie wstała, nie spuszczać wzroku z drzwi. Na razie nie zrobiła jednak ani jednego kroku w przód.

Czy zamknęła je na klucz?

A jeśli zapomniała? Czasami tak się zdarzało! Co zrobi, jeśli nagle morderca przekręci gałkę, otworzy drzwi i stanie w progu?

Nie bądź głupia, pomyślała. Przecież on nie zna twojego adresu.

Rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby się obronić. Na stoliku stał pusty wazon.

A o ścianę oparta była rakietka tenisowa.

Chociaż ostatni raz grała we wrześniu, nie schowała jej jeszcze do szafki pod schodami. Jeśli chodzi o porządkowanie sprzętów domowych, była wyjątkowo leniwa. Na początku za każdym razem, gdy spojrzała na porzuconą raketę, była na siebie wściekła, więc w pewnym momencie postanowiła udawać, że jej nie widzi. Niedawno uznała jednak, że już za kilka miesięcy się ociepli i będzie mogła pójść z Charlotte pograć na kortach w parku. Chowanie sprzętu nie miało zatem większego sensu. Jej sposób rozumowania był naprawdę absurdalny. Przecież wystarczyło tylko wsadzić raketę do szafki, ale jakoś nie mogła się za to zabrać.

Wszystkie te myśli przemknęły jej przez głowę w ciągu ułamka sekundy. W tym samym czasie zdążyła chwycić raketę i zdjąć z niej pokrowiec.

Z taką bronią w rękę poczuła się niezwyciężona. Była niezłym graczem z dobrą koordynacją ręka–oko, ale dzięki alkoholowi miała wrażenie, że swoim topspinowym forhendem mogłaby zabić człowieka.

Nabrała odwagi i pomyślała: Dlaczego, do jasnej cholery, kulę się ze strachu w korytarzu, czekając, aż ktoś wtargnie do środka, żeby zrobić mi krzywdę?

Pieprzyć to!

Jednym susem doskoczyła do drzwi. Czowała, jak w jej żyłach płynie gorąca krew wymieszana z adwokatem. Powoli przekręciła gałkę, podniosła raketę i wzięła głęboki oddech.

Otworzyła drzwi ostrym szarpnięciem.

Nikogo tam nie było.

Postanowiła pozostać czujna. Zeszła ze schodków i stanęła na zasypanej śniegiem ścieżce, cały czas wymachując raketą raz w jedną, raz w drugą stronę niczym ninja z Wimbledonu.

Ani śladu intruza.

Pomyliła się? Czy rzeczywiście widziała cień człowieka? A może to było tylko drzewo?

Zrobiła szybki zwrot w tył i prawie poślizgnęła się na oblodzonej alejce. Odzyskała jednak równowagę i spojrzała na drzwi wejściowe, starając się zrozumieć, co tak naprawdę zobaczyła.

Nagle usłyszała, że za jej placami po cichu zamyka się bramka.

Odwróciła się, jednocześnie biorąc zamach raketą, żeby wykonać śmiertelny bekhend, ale w ostatniej chwili ktoś chwycił ją za ramię. Nie była w stanie się obronić i tylko jęknęła ze strachu, starając się wyswobodzić z mocnego uścisku.

– Eve! To ja!

Przestała się wyrywać i z wściekłością spojrzała na intruza.

– Jezus Maria! Joe! Ale mnie wystraszyłeś!

– Przepraszam.

Puścił ją, a ona od razu rzuciła się na niego z raketą.

– Aj! Daj spokój! – Podniósł ręce, żeby zasłonić się przed ciosami. Na nic się to zdało, więc wziął Eve mocno w ramiona. – Przestań! – krzyknął. – Wystarczy!

Dała za wygraną. Joe rozluźnił uścisk, a Eve spiorunowała go wzrokiem.

– Co się, do cholery, dzieje? – wrzasnął.

– Widziałam cię za drzwiami. Myślałam, że to on.

– Kto? Rafa Nadal? – Dotknął palcami dolnej wargi. – Chyba leci mi krew.

– Zabójca! – burknęła.

– Jaki zabójca?

– Facet, który zamordował Kevina Barra. Zadzwoił do mnie, wyobrażasz sobie? Zadzwoił i powiedział...

Przerwała w pół zdania i wybuchnęła płaczem.

\*\*\*

Weszli do środka. Joe zamknął drzwi na klucz.

A potem przez dobre pięć minut stali objęci w korytarzu, a ona płakała w jego sweter.

Kiedy trochę się uspokoiła, zapytał:

– Możemy zapalić światło? Czuję się jak w jakimś horrorze.

– Ostrożnie – wyszeptwała, z trudem opanowując czkawkę. – Gdzieś tu jest Chrupek.

Joe rozejrzał się wokół siebie nerwowo.

– Jaki Chrupek?

– Mój chomik.

– Okay – powiedział z ulgą w głosie. Włączył światło i ruszyli do kuchni. Eve usiadła przy stole, a Joe zaparzył herbatę tak jak przedwczoraj pan Elias.

Tyle że tym razem to po brodzie Joego ściekała krew.

Eve poczuła, że krążąca w jej żyłach mieszanka adwokatki i adrenaliny przestała już działać.

– Przepraszam – wydukała. – Myślałam, że jesteś mordercą.

– Wydawało ci się, że pod drzwiami stoi ten zwyrodnialec, więc go wpuściłaś?

– Tak, wiem, że mogło to głupio wyglądać.

Próbował się roześmiać, ale na jego twarzy niemal od razu pojawił się grymas bólu.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała.

– Martwiłem się o ciebie. Zostawiłem telefon w pracy i dopiero dziś wieczorem zobaczyłem, że mam całe mnóstwo nieodebranych połączeń. Bałem się, że coś ci się stało.

Spojrzał na nią, a ona w tym samym momencie przypomniała sobie swoją opuchniętą i posiniaczoną twarz.

– E! To nic takiego – powiedziała, siląc się na lekceważący ton. – Mój wygląd to obecnie najmniejsze z moich zmartwień.

Nie sprawiał wrażenia przekonanego, ale postanowił nie drażnić tematu.

– Opowiedz mi o tym telefonie.

Zrelacjonowała szczegółowo wszystko, co się wydarzyło od ich ostatniego spotkania. Joe uważnie jej wysłuchał, a kiedy skończyła, przez dłuższą chwilę milczał.

Pomyślała, że jej nie wierzy, i obleciał ją strach. Zdawała sobie sprawę, że ta historia jest dziwaczna i mało prawdopodobna, ale do tej pory Joe był zawsze po jej stronie.

Być może straciła jego zaufanie w chwili, gdy przekazała Rossowi film z Kevinem Barrem.

– Słuchaj – odezwał się wreszcie. – Jeśli facet, który do ciebie zadzwonił, rzeczywiście wepchnął tę dziewczynkę pod pociąg, to znaczy, że jest kompletnym wariatem! Nie powinnaś się w ogóle z tego powodu obwiniać!

Poczuła ogromną ulgę i zrobiło jej się przyjemnie jak po zjedzeniu czegoś słodkiego.

– Ale szczerze mówiąc, wydaje mi się, że ten gość tylko cię wkręca – kontynuował Joe. – Założę się, że zobaczył wszystko w telewizji i postanowił wziąć winę na siebie, żeby wydać się bardziej interesującym. Najprawdopodobniej czerpie ogromną przyjemność z manipulowania i zastraszania,



ponieważ jesteś silną niezależną kobietą, która na dodatek odnosi sukcesy. I inne takie feministyczne brednie. – Puścił do niej oczko. – I wcale nie żartuję. Przynajmniej nie do końca. Próbuję tylko powiedzieć, że nie możesz czuć się winna. W każdym razie jeszcze na to za wcześnie.

– Najpierw musimy ustalić, kto jest sprawcą? – zapytała, robiąc skwaszoną minę.

– Właśnie tak. – Szeroko się uśmiechnął. – Wykluczemy wszystkich podejrzanym i zostaniesz tylko ty.

– Dzięki!

– Dzwoniłaś na policję?

– Nie. Przecież nie jestem w stanie udowodnić, że ten facet zamordował Laylę Martin, Kevina Barra albo Maddie Mathews. Nie wiem nawet, czy to rzeczywiście on wysłał do redakcji kartę pamięci.

Joe skinął głową.

– Najpierw powinniśmy sprawdzić, ile możemy się dowiedzieć własnymi kanałami. Dopiero wtedy pójdziemy na policję z twardymi dowodami.

– Albo z niczym – wtrąciła Eve. – Tak byłoby lepiej.

Znowu przytaknął i zabębnił palcami w blat stołu.

– Co o nim wiemy?

– To wariat.

– No tak, ale wyjawiał na swój temat pewne informacje i w końcu się z tobą skontaktował. Powiedział coś dziwnego? Coś, co stanowiłoby dla nas jakąś wskazówkę?

Wzruszyła ramionami.

– Zadzwoił do mnie morderca. Ta sytuacja była naprawdę dziwna. – Powtórzyła w myślach całą rozmowę. Starła się sobie przypomnieć każdy szczegół, każde słowo, każdą zmianę w intonacji i akcencie. Usiłowała oddzielić ziarno prawdy od plew szaleństwa.

„Oboje jesteśmy w to wplątani...”

Przeszedł ją dreszcz. Te wspomnienia wciąż były jeszcze bardzo świeże.

Wreszcie oznajmiła:

– Jedna rzecz była dość dziwna, może nie dziwniejsza niż cała reszta, ale kiedy mówił o tej dziewczynce, która wpadła pod pociąg... Nazwał to swoim pokazem.

– Swoim pokazem? Naprawdę? Nie uważasz, że to ciekawe?

– Chyba tak. – Pokiwała głową. – Zapytał: „A co sądzisz o moim nowym pokazie?”. Czy coś w tym stylu.

– To chore.

– Uhm. Co więcej, nie powiedział wcale, że oglądał moją relację. Użył słowa „recenzja”. Jak gdyby był artystą i miał na myśli... O Boże! – Wydała z siebie stłumiony okrzyk.

Joe pochylił się do przodu.

– Co się stało?

Spojrzała na niego, wytrzeszczając oczy ze zdumienia.

– On miał na myśli wystawę!

12 GRUDNIA

Ekipa sprzątająca stację Piccadilly wykonała niesamowitą robotę.

Eve nie mogła się powstrzymać, żeby nie sprawdzić, czy na posadzce i na wyłożonych płytkami ścianach nie zostały jakieś ślady krwi, ale wszystko lśniło czystością.

Był już późny poranek i na stacji panował o wiele mniejszy ścisk niż w czasie godzin szczytu. Mimo to Eve wciąż zachowywała czujność i kiedy szli na koniec peronu, obserwowała kolejną falę pasażerów, starając się trzymać blisko ściany, jak najdalej od żółtej linii bezpieczeństwa.

Do wielkich plakatów reklamujących *Nędzników* i Vodafone nadal przyklepione były białe karteczki. Mogła je teraz łatwiej przeczytać, ponieważ nie musiała patrzeć przez ochlapane krwią okna.

WYSTAWA

Miejsce: Tutaj

Data: 10 grudnia

Godzina: 18.00

– Powiedział, żebym przyszła na Piccadilly o szóstej. Dokładnie o tej samej godzinie zginęła Maddie Mathews. – Stojąc na peronie, zaczęła sobie wszystko przypominać. – Wydaje mi się, że kiedy to się stało, wykrzyknął moje imię.

Joe spojrzał na nią lekko zdziwiony.

– Tylko raz. Miałam wrażenie, że się przesłyszałam. To mogło być jakieś dziwne echo, ale zaczęłam się rozglądać, żeby namierzyć osobę, która mogła do mnie wołać, i właśnie wtedy to się stało.

– Jezu Chryste! – mruknął pod nosem Joe.

– Myślisz, że to jego sprawka? – zapytała zaniepokojona.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział ponurym głosem. – Ale jeśli organizujesz jakiś pokaz, to raczej normalne, że chcesz mieć publiczność.

– Gdyby mnie tam nie było, być może nie zdecydowałby się...

– Nie możesz tego wiedzieć na pewno – przerwał jej w pół słowa Joe. – Trudno odgadywać jego zamiary, ponieważ nie jesteś taka jak on.

Zapadło milczenie.

„Jesteśmy tacy sami i mamy takie same potrzeby”.

Nie odważyła się nikomu powtórzyć tego zdania.

Joe rozejrzał się dookoła i wskazał na sam koniec peronu, gdzie w rogu dyskretnie zamontowano kamerę.

– Mają tutaj monitoring.

Zarzucił na ramię sprzęt i oznajmił:

– Zrobię kilka ujęć z tymi nalepkami, a potem pójdziemy sprawdzić, czy pozwolą nam obejrzeć nagranie z wypadku.

– Okay. – Eve skinęła głową, ale na samą myśl, że musiałaby to jeszcze raz oglądać, skrzywiła ją w żołądku.

\*\*\*

Kierownik do spraw bezpieczeństwa danych nazywał się Craig Banks i miał starannie przystrzyżone wąsy, wykrochmaloną koszulę, krawat z logo londyńskiego metra, spinkę w kształcie kija do krykieta oraz wyglansowane czarne buty, których blask mógłby zawstydzić wartowników strzegących

Pałacu Buckingham.

Kiedy Eve się przedstawiła, bez wahania oznajmił:

- Nie mogę wam pokazać zdjęć z monitoringu. Wypadkiem zajmuje się obecnie policja.
- Jakim wypadkiem? – zapytała Eve, udając zdziwienie. Banks wyglądał na zbitego z tropu.
- Nic takiego – powiedział. – Nie było żadnego wypadku.

Eve kontynuowała zupełnie niezrażona:

– Ale nas interesuje wystawa.

– Jaka wystawa?

– Na billboardach są nalepki z ogłoszeniami. Przygotowujemy reportaż na temat street artu.

– Nie ma żadnej wystawy – stwierdził Banks tonem nieznoszącym sprzeciwu. – A już na pewno nie na peronie. Mamy wystarczająco dużo zmartwień z menelami, alkoholikami i ulicznymi grajkami. Na co dzień organizują tutaj różne przedstawienia, nikogo o tym wcześniej nie informując.

– Ale są ulotki reklamujące tę wystawę – powtórzyła Eve. – Ktoś je przykleił do dużych plakatów wiszących na ścianie naprzeciwko peronu.

– Po drugiej stronie torów? – zapytał wyraźnie oburzony Banks. – To nielegalne.

– No tak. Nie sądzę, żeby British Museum się z tego ucieszyło. Ich billboardy są teraz zasłonięte.

– Niewiarygodne! – powiedział Banks. – Żeby się tam dostać, trzeba przejść przez tory, a to jest surowo zabronione.

Eve doskonale zdawała sobie z tego sprawę – zresztą wiedział o tym każdy głupek – ale nie miała nic przeciwko, żeby Craig Banks wyjaśniał jej takie oczywistości. Dzięki temu mogła zdobyć potrzebne informacje.

– O Boże! – krzyknęła. – Naprawdę?

– Tak – potwierdził, po czym usiadł przed monitorem i zaczął z zapalem stukać w klawiaturę. – Ktoś powinien był to zauważyć, do cholery. Kolejny przypadek niedopełnienia obowiązków. To się staje normą. Kiedy zobaczyła pani te ogłoszenia?

– Dopiero wczoraj. Nie mam pojęcia, jak długo mogą już wisieć.

– Przyjrzyjmy się temu, dobrze? – powiedział Banks niczym złoczyńca z filmów o Jamesie Bondzie. – Nagrania z monitoringu są automatycznie rejestrowane na twardym dysku. Trudno w to uwierzyć, ale jeszcze niedawno trzeba było nacisnąć przycisk „nagrywanie” na magnetowidzie. Zupełnie jak w programie *Skarby ze strychu!* Dzięki Bogu sprzęt został ostatnio zmodernizowany. W dzisiejszych czasach nie można już nikomu ufać, prawda?

– Owszem – przytaknęła Eve, chociaż tak naprawdę miała odmienne zdanie. W pracy musiała być cyniczna i podejrzliwa, ale ciężko było iść przez życie, jeśli się nie ufało chociaż kilku osobom. Ona ufała Joemu. I swojemu bratu. Oraz pani Solomon, przynajmniej w kwestii opieki nad ojcem. Po tym, co się stało, ufała również w pewnym stopniu panu Eliasowi. Jak do tej pory nikt z tego grona jej nie zawiodł.

Banks znalazł plik z właściwą datą i wcisnął „cofnij”, wpatrując się uważnie w ekran. Nagranie wystartowało o północy, a potem czas w błyskawicznym tempie zaczął biec w tył.

Wszystko działo się zbyt szybko, żeby rozróżnić szczegóły, ale i tak Eve zadrżała na samą myśl, że za chwilę ponownie zobaczy śmierć Maddie Mathews.

Na razie było pusto, ale w ułamku sekundy pojawili się ludzie. Początkowo tylko kilka osób. Na samym końcu peronu zobaczyła znajomą sylwetkę. Czyżby to ona?

Na stacji zatrzymał się pociąg i przez dłuższą chwilę stał nieruchomo. Potem peron nagle zmienił kolor z białego na czarny: do wagonów weszło czterysta osób i zajęło swoje miejsca.

To był ten moment.

Zamknęła oczy, a kiedy ponownie je otworzyła, kolejny pociąg jeszcze nie wynurzył się z ciemnego tunelu, a Maddie wciąż żyła.

Gdyby to było takie proste...

Czas wciąż biegł jednak w tył, a tempo było tak szalone, że Eve zaczęła się zastanawiać, czy Banks na pewno niczego nie przeoczy. Sama widziała na ekranie jedynie niewyraźną plamę z rytmicznie

zmieniającymi się obrazami pustego peronu, pociągów i ludzi.

Dwadzieścia cztery godziny w ciągu niecałej minuty. Licznik się cofnął i wskazywał teraz północ poprzedniego dnia.

– Tutaj – powiedział nagle Banks.

– Gdzie?

Dotknął ekranu końcówką długopisu.

– W tym miejscu.

Zatrzymał nagranie i puścił je do przodu, tym razem dużo wolniej.

Peron był niemal pusty. Widać było tylko dwie osoby, które stały blisko kamery. Nic więcej.

Nagle u dołu ekranu pojawił się mężczyzna i zaczął iść w stronę przeciwnego końca stacji.

Eve poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

Ten facet wyglądał znajomo!

Od razu odrzuciła tę myśl. To było przecież absurdalne. Skąd mogła go znać? Niewykluczone, że stworzyła w umyśle obraz, który odpowiadał temu, co widziała teraz na ekranie komputera.

Wszystko było jednak bardzo niewyraźne.

Mężczyzna był chudy. Miał na sobie dżinsy, ciemną bluzę z kapturem i przytrzymał coś lewym łokciem.

Bez najmniejszego wahania, nie obejrzawszy się nawet przez ramię, usiadł na krawędzi peronu i zeskoczył na tory.

Craig Banks nacisnął pauzę i zaczął stukać w ekran.

– Widzi pani! Ktoś powinien był to zauważyć! – Wskazał na widniejącą w prawym górnym rogu datę i godzinę. – Odpowiedzialność ponosi osoba dyżurująca na wieczornej zmianie.

Na monitorze widać było ciemną postać, która starała się przejść przez tory, ale zamarła w pół kroku. Banks nagle się odwrócił i podjechał na krześle do regału.

– Łatwo będzie to sprawdzić. Mam tutaj wszystkie grafiki – oznajmił, po czym sięgnął w stronę półki, na której stały segregatory.

Eve i Joe wymienili zniecierpliwione spojrzenia, a w tym czasie Banks grzebał w papierach.

– Aha – mruknął z nieskrywaną satysfakcją. – Teraz wszystko jasne.

Na twarzy Eve pojawił się wymuszony uśmiech.

– Znalazł pan? – zapytała.

– Tak! Gary Bushman. Wiedziałem, że to on. – Spojrzał na dziennikarzy tryumfalnym wzrokiem, jak gdyby ta informacja miała dla nich jakiegokolwiek znaczenie, a przecież oni nawet nie wiedzieli, kogo ma na myśli!

– Świetnie – powiedziała Eve z udawanym entuzjazmem, chociaż miała ochotę wymierzyć Banksowi otrzeźwiający policzek i nacisnąć „odtwórz”.

Banks zaczął powoli przesuwając się w stronę biurka. Wyglądał jak małe dziecko w chodzikach.

– Londyńskie Metro nie płaci ludziom za siedzenie na dupie i oglądanie telewizji.

– Oczywiście – przytaknęła Eve.

– Nawet jeśli chodzi o Jego Wysokość Gary’ego Bushmana.

– Szczególnie o niego – wymamrotał Joe, z trudem tłumiąc atak śmiechu.

Banks dotoczył się wreszcie do komputera.

– Dobra – powiedział. – Możemy obejrzeć nagranie do końca.

Eve nie mogła oprzeć się wrażeniu, że dla tego gościa liczył się jedynie pracownik, który nie zauważył popełnionego wykroczenia. Sam sprawca był zupełnie nieistotny.

Banks nacisnął w końcu „odtwórz” i unieruchomiony na ekranie złoczyńca ruszył z miejsca. Przeszedł przez tory, podnosząc wysoko nogi, po czym zaczął naklejać ulotki na ścianie. Był daleko, a jakość obrazu pozostawiała wiele do życzenia, lecz mimo to jego ruchy wydawały się Eve znajome.

– Któregoś dnia chciałbym zobaczyć, jak rozpędzony pociąg rozgniata jednego z tych debili na drobną miazgę – oznajmił bezceremonialnie Banks.

Joe zaśmiał się nerwowo, ale Banks posłał mu wymowne spojrzenie, które oznaczało, że wcale

nie żartował.

Tymczasem mężczyzna z nagrania skończył swoją pracę i przeszedł z powrotem przez szyny, a potem z nadspodziewaną łatwością podciągnął się na krawędź peronu. Z tego ujęcia widać było, że jest gładko ogolony i ma bladą skórę. Były to niestety jedyne wskazówki dotyczące jego tożsamości.

Kiedy zaczął iść w stronę kamery, Joe i Eve pochylili się nisko nad ekranem, żeby dobrze przyjrzeć się jego twarzy. Niestety zamiast wracać tą samą drogą, którą przyszedł, nagle skręcił do najbliższego wyjścia i zniknął.

– Cholera – powiedziała Eve.

– Co za pech – dodał Banks, po czym odsunął się od klawiatury i wziął do ręki segregator, dając im do zrozumienia, że sesja dobiegła końca. Najwyraźniej nie mógł się już doczekać chwili, kiedy skontaktuje się z nieszczęsnym Garym Bushmanem i wywali go z pracy.

– Czy są jakieś kamery, który mogły nagrać tego faceta w innych częściach stacji?

Banks wyduł usta i znacząco spojrział na zegarek. Gdy jednak Eve nie wycofała swojej prośby, zrezygnowany odłożył segregator na biurko i zaczął stukać w klawiaturę. Na ekranie pojawiły się obrazy z innych kamer: wykafelkowane na biało tunele, sklezione sufity i łuki oraz dziwne zakamarki. Od czasu do czasu widać było jakichś ludzi, ale przemykali zbyt szybko, żeby Eve mogła ich zidentyfikować. Tylko Banks posiadał taką umiejętność, ale jego umysł był teraz zupełnie gdzie indziej. Miała ochotę poprosić go, żeby zwolnił i umożliwił im spokojne obejrzenie nagrań, ale tak naprawdę mogła tylko patrzeć, jak odwala fuserkę.

Na żadnym ujęciu nie zobaczyli poszukiwanego mężczyzny, a w każdym razie nie byli w stanie go rozpoznać w trakcie tej cyfrowej wycieczki po stacji metra. Obraz znowu zastygł w bezruchu. Na ekranie widać było ciemną postać, która za chwilę miała zniknąć z pola widzenia.

– To wszystko – powiedział Banks, po czym znowu wziął do ręki segregator i wstał z krzesła.

– Moglibyśmy dostać kopię? – zapytała Eve.

– Nie ode mnie – oznajmił Banks. – Musicie złożyć oficjalne pismo do Brytyjskiej Policji Transportowej.

– Oczywiście – przytaknęła, ale postanowiła nie dawać tak łatwo za wygraną. – Mam ogromną prośbę. Czy mógłby pan zrobić zbliżenie na tego mężczyznę?

Banks głośno westchnął. Zorientował się jednak, że to wcale nie zniechęciło dziennikarki, więc wyraźnie rozdrażniony cmoknął i oznajmił:

– Mógłbym, ale nic wam to nie pomoże.

Niestety miał rację.

Eve wpatrywała się w ekran, starając się wyczytać coś z rozmazanej twarzy nieznajomego. Szukała jakichś wskazówek w jego ciemnym ubraniu, posturze i sposobie poruszania się. Dręczyło ją dziwne przeczucie, że zna tego faceta, i za wszelką cenę usiłowała znaleźć coś, co pomogłoby jej go rozpoznać.

Niestety widziała tylko obraz bezimiennego mężczyzny, na dodatek w niskiej rozdzielczości.

\*\*\*

Wracali do redakcji na piechotę. Było cholernie zimno, a porywisty wiatr zawiewał im śniegiem prosto w twarz.

– Z iloma ciałami mieliśmy do czynienia w ciągu ostatnich paru tygodni?

Joe wzruszył ramionami.

– Z pięcioma albo sześcioma?

– Może powinniśmy jeszcze raz odwiedzić miejsca zbrodni i sprawdzić, czy nie ma tam przypadkiem ogłoszeń o wystawie?

– Dobrze, tylko od czego zaczniemy? Od kina?

– Blżej będzie na Portman Square. Tam znaleziono Siobhan Mackie.

Joe skinął głową.

– Okay.

Eve była zadowolona, że mają się czym zająć. Ostatnią rzeczą, na którą miała ochotę, było bezczynne siedzenie w redakcji i myślenie o Maddie Mathews. Zaczęła obgryzać paznokcie; to był zły nawyk, z którym nie potrafiła zerwać.

Kiedy przechodzili przez przejście dla pieszych, zapytała neutralnym tonem:

- Widziałeś fragment, w którym dziewczynka ginie pod kołami pociągu?
- Nie – odpowiedział po chwili wahania. – Zamknąłem oczy.

Ciało Siobhan Mackie znaleziono na terenie ogrodzonego parku na Portman Square.

Po przybyciu na miejsce Eve i Joe szukali wszędzie tam, gdzie można było przyczepić ulotkę: na drzewach, koszach na śmieci i drewnianych ławkach.

Eve cieszyła się, że miała na sobie zimowe buty. W parku, z dala od ludzi i samochodów, śnieg był głęboki nawet na trzydzieści centymetrów i oprócz kilku miejsc z żółtymi plamami psiego moczu w okolicy bramy wejściowej, wyglądał naprawdę dziewiczo i na swój sposób pięknie.

Skwer był cichy i pusty, ale w głębi parku było jeszcze spokojniej. Można było odnieść wrażenie, że ogrodzenie z kutego żelaza jest skuteczną barierą chroniącą przed hałasem. Gdy weszli między drzewa, słyszeli tylko chrzęst śniegu pod stopami i swoje oddechy.

Nawet ich głosy były wyraźnie przytłumione, chociaż wcale nie mówili szeptem. Uświadomili sobie, jak głośno się zazwyczaj zachowują. Całkiem podświadomie zaczęli mówić coś tylko wtedy, gdy było to konieczne, i starali się być jak najciszej, jakby znajdowali się w bibliotece.

Park został zaprojektowany tak, żeby zasłaniał znajdujące się dookoła budynki w stylu georgiańskim. Zwłaszcza w zimie trudno było pozbyć się uczucia odosobnienia. Eve zatrzymała się mniej więcej na środku skweru i powoli rozejrzała wokół. Gdzieś tam mignął dach, jakieś okno albo kawałek rynny, jednak przede wszystkim widać było misterną płataninę powyginanych czarnych gałęzi oraz przykryte śniegiem wiecznie zielone zarośla.

Mimo że Joe był blisko – krążył wokół kosza na śmieci kilka kroków od niej – Eve poczuła się samotna.

Znajdowali się w pobliżu krzaków, w których ukryto ciało. Eve podeszła bliżej, próbując nie hałasować, żeby lepiej słyszeć chrzęst śniegu pod butami.

To tutaj, pomyślała.

Zatrzymała się i pochyliła do przodu.

Tak. To właśnie w tym miejscu znaleziono martwą dziewczynę. Leżała na plecach, naga i tak blada, że kilka osób wyprowadzających psy przeszło obok niej, niczego nie zauważywszy. Dopiero po dłuższym czasie ktoś dostrzegł Siobhan Mackie leżącą pośród cieni na śniegu.

Została uduszona, więc po przyjeździe na miejsce zbrodni Eve nie dostała mdłości. Dobrze pamiętała jednak dojmujący żal, ponieważ przed zabraniem do kostnicy zwłoki leżały przez kilka godzin na widoku przykryte jedynie cienkim prześcieradłem.

Teraz w miejscu, gdzie młoda kobieta poniosła śmierć, nie pozostał żaden ślad. Poniosła śmierć albo została porzucona – policja jak dotąd tego nie ustaliła.

Eve pamiętała, że na początku dochodzenia wujek ofiary siedział z przypiętą do klapy fotografią uśmiechniętej bratanicy. Jego zrozpaczona twarz wyglądała tak, jak gdyby ktoś wycisnął z niej wszystkie łyzy.

Eve odwróciła się i między gałęziami zobaczyła Joego.

– Znalazłeś coś? – zapytała cicho.

– Nie – mruknął w odpowiedzi.

Najwyraźniej postanowił kontynuować poszukiwania i po chwili gdzieś zniknął. Eve uklękła i wczółgała się między zarośla.

Jeśli park sprawiał wrażenie położonego daleko od centrum Londynu, to zanurkowawszy w krzaki, można się było poczuć jak w kosmosie. W ułamku sekundy zrobiło się prawie całkiem ciemno i zapanowała taka cisza, że Eve aż dotknęła swojego ucha, ponieważ musiała się upewnić, czy coś go nie zatkało.

Ziemia była sucha i leżała na niej tylko odrobina śniegu. Eve na czworakach czekała, aż jej wzrok przyzwyczai się do szarozielonego mroku.

Znajdujące się na ziemi przedmioty powoli nabierały kształtów. Eve zaczęła je po kolei podnosić, żeby lepiej im się przyjrzeć.

Paczka po papierosach ze zdjęciem chorych płuc, bilet na metro ze stacji Ealing Broadway i zmięta kartka papieru, którą starannie rozwinęła. Niestety jej oczom ukazała się tylko nagryziona ołówkiem kolumna wyliczeń. Suma się nie zgadzała: ktoś źle przeniósł cyfrę.

Te wszystkie odpadki musiały się tutaj pojawić już po śmierci Siobhan, ponieważ policja przeczesła cały skwer w poszukiwaniu odcisków palców.

Eve odwróciła się w stronę parku, cały czas poruszając się na czworakach, jednak nie wypełzła z zarośli, tylko usiadła i zaczęła wyglądać przez prześwity w listowiu.

To był pochmurny dzień, a ołowiany kolor nieba zwiastował dalsze opady. Mimo to świat na zewnątrz wydawał się niezwykle jasny. Patrzyła, jak Joe sprawdza ławki i ogląda drzewa, co chwilę to pojawiając się, to znikając z jej pola widzenia.

Chociaż było zimno, siedzenie w krzakach było całkiem przyjemne. Czuła się odseparowana od rzeczywistości, ale jednocześnie mogła śledzić, co się dzieje dookoła. To było jak podglądanie rodziców przez szparę w drzwiach albo szpiegowanie dzieci przez okno.

Obserwowała innych, sama pozostając w ukryciu.

Niezaangażowana.

Angażowanie się było takie męczące. Cały czas musiała się angażować w pracę, w opiekę nad ojcem, kontakty z panem Eliaszem i panią Solomon. Powinna się zaangażować w świąteczne zakupy, a nawet jeszcze nie zaczęła, chociaż był już dwunasty grudnia!

Nagle poczuła, że ogarnia ją wielki spokój. Przecież mogła tutaj zostać, być może nie na zawsze, ale na tak długo, aż wszystko się... skończy.

Wtedy będzie jej dużo łatwiej.

Wreszcie porządnie odpocznie i ze wszystkim sobie poradzi, z życiem, ze śmiercią i z całą resztą.

Tak, po prostu tutaj zostanie.

Zrobiło jej się cieplej i miała wrażenie, że ktoś zdjął z jej piersi ogromny ciężar, dzięki czemu mogła oddychać swobodnie tak jak kiedyś. Zdała sobie sprawę, że od bardzo dawna nie czuła się tak bezpiecznie jak teraz, siedząc w tych krzakach. Cieszyła się, że Joe jest blisko. Nie chciała być sama – nie miała tylko ochoty na interakcję – i w jakiś dziwny sposób obecność Joego podnosiła ją na duchu, chociaż był teraz w swoim świecie i w ogóle nie zauważył, że zniknęła.

Joe chyba czytał w jej myślach, ponieważ wyszedł spod rozłożystego rododendronu, rozejrzał się dookoła i zawołał:

– Eve?

Krótki, przytłumiony krzyk. Eve nie odpowiedziała.

– Eve? – powtórzył głośniej.

Znowu nie zareagowała, co było głupie, a nawet dziecinne. Zdawała sobie z tego sprawę, ale nadal siedziała cicho, bezpieczna w swojej ciemnozielonej kryjówce.

– EVE! – wrzasnął, lecz śnieg zadziałał jak dobry materiał wygłuszający. Można było odnieść wrażenie, że dźwięk został wyssany z powietrza i spadł na ziemię jak ciężki głaz. Eve była niemal pewna, że mieszkańcy sąsiadujących z parkiem domów nic nie słyszeli.

Tak samo musiało być, kiedy Siobhan Mackie wołała o pomoc...

Nagle Eve ogarnął strach i czym prędzej wyczołgała się z zarośli. Do jej głowy i pleców przyczepiły się grudki zimnego śniegu.

– Joe! – krzyknęła. Odwrócił się i od razu ją zobaczył.

Nawet z tej odległości zauważyła malującą się na jego twarzy ulgę. Sama poczuła dziwną lekkość w sercu.

– Nie słyszałaś, jak cię wołałem? – zapytał, patrząc, jak Eve przedziera się w jego stronę przez świeży śnieg.

– Nie – skłamała. – Przepraszam.

– Co robiłaś?

Zatrzymała się w pół kroku, żeby wyrównać oddech, i wskazała kciukiem na zarośla.

– Pomyślałam, że policjanci mogli coś przeoczyć, kiedy przeszukiwali miejsce zbrodni.



- No i?
- Nic ciekawego nie znalazłam.
- Ja też nie.

Pochylił się i otrzepał śnieg z jej ramion.

- Dziękuję – powiedziała.
- Jak się sprawdzają zimowe buty?
- Trochę obciachowe, ale przynajmniej jest mi ciepło.
- A nie mówiłem?

Eve lekko się uśmiechnęła.

- Uwielbiasz powtarzać: „A nie mówiłem?”.
- Tak, to prawda.

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu. Nie chcieli przyznać się do porażki, ale nie mieli też ochoty zakłócać pięknej ciszy.

Pierwszy odezwał się Joe:

- A może sprawdzimy po drugiej stronie ogrodu?

Wyszli z parku przez bramę i powoli obeszlili cały skwer, szukając ulotek albo choćby śladów po zerwanych ogłoszeniach: przywiązanych do parkanu kawałków sznurka albo przyklejonych taśmą skrawków papieru.

Niczego takiego nie znaleźli.

Eve raz się pośliznęła i Joe pomógł jej utrzymać równowagę.

Wrócili do miejsca, z którego zaczęli poszukiwania, i zatrzymali się przy staroświeckiej budce telefonicznej, takiej samej jak ta, która stała przed domem Singerów. Eve zaczęła się zastanawiać, czy Portman Square również ma swojego pana Eliasa, który stara się utrzymać ducha wspólnoty, dbając o relikwiarz przeszłości niczym o umieszczony w ozdobnej szkatułce palec świętego.

Otworzyła drzwi i od razu pomyślała, że jeśli istnieje miejscowy odpowiednik jej sąsiada, to nie wykonuje on swojej pracy jak należy. W środku cuchnęło szczykami. Smród zwiędłego moczu zdawał się pochodzić z dawnych czasów i w jakimś sensie przypominał przykry zapach, który roznosi się na stacji metra w godzinach szczytu. Poczła nagły przyptyk niczym nieuzasadnionej dumy: w jej budce pachniało lawendowym odświeżaczem powietrza.

Co więcej, tutaj skrzynka na monety była obdrapana i powgniatana, a na tablicy z numerami alarmowymi ktoś poprzyczepiał ulotki reklamujące tanie odpowiedniki viagry i tani seks oralny, ewidentnie sugerując, że tania viagra działa.

Nie było jednak żadnej informacji o jakiegokolwiek wystawie, chyba żeby za wystawę uznać kolekcję zdjęć, na których widniały silikonowe piersi i ogromne tyłki w stylu Kim Kardashian.

- Nic ciekawego – powiedziała Eve.

Joe wskazał na ulotki i zapytał śmiertelnie poważnym tonem:

- Więc nie wydaje ci się, żeby któraś z tych osób była mordercą?
- Nie – westchnęła. – Co więcej, nie sędzę, żeby Siobhan Mackie była ofiarą naszego znajomego.
- Dlaczego tak uważasz?

Znowu zaczął padać śnieg i postanowili schronić się w budce. W środku było ciasno i musieli stanąć bardzo blisko siebie. Zapach moczu nasilił się jeszcze bardziej. Eve poczuła niespodziewany przyptyk sympatii do pana Eliasa. Naprawdę wykonywał świetną robotę.

Mimo wszystko przebywanie na niewielkiej przestrzeni tuż obok Joe'go nie było wcale takie nieprzyjemne. Przynajmniej on ładnie pachniał: w powietrzu unosił się subtelny aromat skóry i mydła.

- Dlaczego tak uważasz? – powtórzył.

Potrzebowała chwili, żeby sobie przypomnieć, o czym rozmawiali.

– Siobhan została zamordowana w nocy. Nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Na dodatek ciało ukryto, może niezbyt starannie, ale jednak. Ciężko to nazwać pokazem, prawda? A przecież nasz wariat lubi takie rzeczy.

Joe skinął głową i nieobecny wzrokiem omiótł tablicę ze zdjęciami nagich piersi i pośladków.

- To tak jak z ludźmi, którzy lubią uprawiać seks w miejscach publicznych – powiedział.
- Jasne – przytaknęła Eve i rzuciła okiem na ogłoszenia. – Próbowaleś kiedyś?
- Ja prawie wcale nie uprawiam seksu, nawet w sypialni – prychnął.
- Trudno w to uwierzyć.

Tylko się uśmiechnął, wzruszając ramionami. Eve odwróciła się i przez brudne szyby spojrzała na ogrodzony park.

– A może to była tylko próba? – zapytała. – No wiesz, taka rozgrzewka przed właściwym morderstwem.

Joe przytaknął.

– Niewykluczone, że do zbrodni doszło przypadkiem. Sprawca wcale tego nie planował, ale zabijanie mu się spodobało.

– Możliwe – powiedziała Eve, po czym pokręciła głową i omiotła wzrokiem skwer. – Dziwi mnie jednak, że ukrył ciało.

– No i nie zostawił żadnej ulotki.

Eve odetchnęła z ulgą. Ulotka oznaczałaby, że mężczyzna, który do niej zadzwonił, prawie na pewno jest mordercą. Ten człowiek komunikował się ze światem, wpychając trzynastoletnie dziewczynki pod koła pędzącego pociągu. Miała nadzieję, że już nigdy nie natrafi na żadne ogłoszenie o makabrycznej wystawie. Brak jakichkolwiek śladów na Portman Square to był dobry znak.

Joe naparł plecami na drzwi, żeby je otworzyć.

– Jedziemy dalej? – zapytał.

– Tak – odparła.

Wychodząc z budki, zerwała z tablicy jedną z wizytówek reklamujących burdel i wręczyła ją Joemu.

– Żebyś później nie mówił, że nic ode mnie nie dostajesz.

\*\*\*

Chudy i pryszczaty kierownik Everyman Cinema nazywał się Charlie Mazurski. Wcześniej odmówił im pomocy, ale tym razem był o wiele bardziej przyjazny, ponieważ już wiedział, że brutalne morderstwo w sali numer dwa nie przysporzy mu większych kłopotów.

– Powinniście zobaczyć wszystkie formularze, które dostajemy z Inspektoratu Bezpieczeństwa i Higieny Pracy, kiedy ktoś uderzy się w palec u nogi – powiedział podczas rozmowy w wyłożonym czerwoną wykładziną holu. – Jak się dowiedziałem, że jeden z klientów został pchnięty nożem, od razu pomyślałem: O Boże, niezły pasztet!, a potem okazało się, że ten facet nie żyje. Byłem pewien, że wyleją mnie na zbity pysk. Całe szczęście szefostwo zachowało się bardzo przyzwoicie. Nie musiałem nawet informować tych maniaków od BHP, wystarczyło zgłosić sprawę na policję.

– Czy kiedykolwiek wydarzyło się coś podobnego? – zapytała Eve, kierując się raczej zwykłą ciekawością niż względami zawodowymi.

– Nigdy nie doszło do morderstwa, ale pewnego razu bardzo otyła kobieta poszła po lody i kiedy przeciskała się do swojego fotela, upadła na jednego widza i złamała mu rękę, a sama utknęła między rzędami. – Mazurski zaczął chichotać, ale po chwili się zreflektował i zasłonił usta dłonią. – Wiem, że nie powinienem z tego żartować, ale to naprawdę było bardzo zabawne. Przyjechali strażacy i pomogli jej się wydostać. Była cała wymazana rumem i rodzynekami, a drewniana łyżeczka, wiecie, taka do lodów, przykleiła jej się tutaj.

Wskazał palcem na swoją brew i znowu wybuchnął śmiechem.

Eve również się roześmiała, po czym uznała, że najwyższy czas przejść do ofensywy.

– Moglibyśmy się trochę rozejrzeć, panie Mazurski?

– Chyba nie ma żadnych przeciwwskazań – powiedział z lekkim wahaniem w głosie. – Ale musicie kupić bilety. Tym sposobem będziecie oficjalnie naszymi klientami i obejmie was ubezpieczenie na wypadek, gdyby coś wam się stało. Jeśli wpuszczę was za darmo, poślizniecie się w łazience albo przytrzaśnięcie sobie rękę w koszu na śmieci i wtedy ja będę za to osobiście odpowiedzialny. Czy to

jasne?

– Oczywiście – przytaknęła Eve. – Nie miałam pojęcia, że w kinie może mi grozić tyle niebezpieczeństw.

– Tak samo myślał ten facet, któremu wsadzili nóż w szyję – przypomniał ponurym głosem Mazurski.

– Słuszna uwaga – zgodziła się Eve i poszła do kasy. Kiedy wyciągała portfel, Mazurski zapytał:

– Chcecie miejsca w strefie VIP?

Wybuchnęła śmiechem, ale po chwili zorientowała się, że wcale nie żartował. Z głośnym westchnieniem kupiła dwa bilety VIP-owskie po 25 funtów, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, że nawet nie usiądą na swoich miejscach, nie mówiąc już o obejrzeniu filmu.

– W której sali to się stało?

– W dwojce – powiedział Mazurski.

Niezależnie od makabrycznych okoliczności tej wizyty Eve poczuła w sobie dziecięce podniecenie. Wjechali na górę ruchomymi schodami i stanęli w holu. Światło było przygaszone, a w głębi znajdowały się drzwi prowadzące do poszczególnych sal i toalet. Nie była w kinie od wieków. Zapach stęchłego popcornu i charakterystyczne oświetlenie sprawiły, że miała wrażenie, jakby przeniosła w czasie.

– Ostatni raz byłam na *Titanicu* – mruknęła pod nosem.

– W tysiąc dziewięćset dwunastym? – zapytał Joe. – Kopę lat!

– Zamknij się!

Na ścianach znajdowały się podświetlone plakaty zwiastujące najbliższe premiery, ale na żadnym nie naklejono ulotki informującej o wystawie.

Weszli do sali numer dwa. W środku było ciemno i głośno. Szukanie czegokolwiek w takich warunkach nie miało sensu, więc sprawdzili jedynie, czy na czarnych ścianach nie wisi jakaś biała kartka, i wyszli.

– Nic dziwnego, że wybrał właśnie ten film – powiedział Joe, zasłaniając uszy. – Świetny klimat do popelnienia morderstwa.

– Powinni to napisać na plakatach – zażartowała Eve. – „Tyle hałasu, że można zabijać”.

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu, zastanawiając się, co robić dalej.

– Sprawdźmy jeszcze łazienki? – zapytała Eve.

– Czemu nie, w końcu zapłaciliśmy za wejście.

Eve zajrzała do damskiej toalety i omiotła wzrokiem wykafelkowane ściany, po czym przeszła wzdłuż kabin i sprawdziła każde drzwi od wewnątrz. Zgodnie z oczekiwaniami znalazła tylko ulotki z numerem telefonu zaufania dla ofiar gwałtów oraz dla pań cierpiących na problemy z pęcherzem. To była w końcu ubikacja dla kobiet. Mało prawdopodobne, żeby wszedł tutaj jakiś facet i zaczął rozlepiać swoje ogłoszenia, skoro równie dobrze mógł to zrobić w męskim WC, nie przyciągając przy tym niczyjej uwagi.

Wyszli na korytarz dokładnie w tej samej chwili, niczym drewniane laleczki z bawarskiego zegara.

– Coś ciekawego?

– Nic – powiedział Joe i wyjął swój bilet. – Może obejrzymy film?

Eve spojrzała na niego z ukosa.

– Po tym, co się tutaj stało, nie sądzę, żebym kiedykolwiek poszła do kina!

Joe uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Zawsze możemy usiąść w ostatnim rzędzie...

Uniosła brew i zrobiła sceptyczną minę.

– Nieźle, ale musisz się bardziej postarać. Słuchaj, a zajrzałeś za drzwi do wszystkich kabin?

– Nie.

– To co ty tam robiłeś? – zapytała wyraźnie zniecierpliwiona. – Wracamy!

Wepchnęła go z powrotem do męskiej toalety.

- Hej! – zaprotestował. – A jeśli ktoś tu wejdzie?
- Musisz się pośpieszyć – oznajmiła i ruszyła w stronę kabin po lewej stronie.
- To bez sensu – powiedział i zaczął powoli sprawdzać drugi rząd.
- Właśnie że nie – burknęła i stanęła jak wryta. – O Boże!
- Co takiego?

Nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Nagle poczuła, jakby ktoś wyssał z niej całą energię. Serce podeszło jej do gardła, ponieważ zdała sobie sprawę, że to ona jest za to wszystko odpowiedzialna.

Miała tylko siłę, żeby wskazać palcem na wewnętrzną stronę drzwi.

Tam, przyklejona na plakacie reklamującym lek na problemy z erekcją, widniała tania ulotka.

WYSTAWA

Miejsce: Tutaj

Data: 4 grudnia

Godzina: 21.30

Ta sama czcionka, ten sam papier.

Ulotki były identyczne...

13 GRUDNIA

Ekipa techników policyjnych stała pod rusztowaniami i w blasku przenośnych lamp halogenowych czyściła ogrodzenie biegnące wzdłuż biurowca, w którym zamordowano Laylę Martin.

Na ciągnącym się przez prawie dwadzieścia metrów płocie z pomalowanej płyty wiórowej wisiały setki ogłoszeń. Rozlepiacze dobrze wykorzystali dostępne miejsce. Co ciekawe, łączyło ich podobne poczucie humoru: żaden z nich nie zasłonił wymalowanych za pomocą szablonu ostrzeżeń „Naklejanie plakatów zabronione”.

Było już ciemno i jedynym źródłem światła, poza halogenami, były sklepowe witryny i świąteczne dekoracje. Chodnikami przelewał się tłum ludzi. Im bliżej Bożego Narodzenia, tym bardziej gorączkowo przeciskali się do przodu, a na ich twarzach malowała się coraz większa panika. Eve siedziała w kawiarni po drugiej stronie ulicy. Obserwowanie policyjnej operacji czyszczenia płotu było jak patrzenie na kineograf.

Wcześniej porozmawiała z policjantami. Opowiedziała im o ogłoszeniach, o mężczyźnie, który wykrzyczał jej imię na stacji Piccadilly Circus, i o telefonie od mordercy... Inspektor Huw Rees słuchał jej z kamiennym wyrazem twarzy.

– Wiem, że powinnam przyjść z tym wcześniej – przyznała. – Ale bałam się, że zabrzmi to mało wiarygodnie.

– I słusznie. – Rees wzruszył ramionami. – W każdym razie sprawdzimy ten trop.

I tak zaczęło się skrupulatne czyszczenie ogrodzenia.

– Może to bardziej przypadnie ci do gustu.

Eve spojrzała na talerzyk, który Joe przyniósł razem z kawą. To było już drugie ciastko, które dla niej zamówił od momentu, kiedy usiedli w tym lokalu. Pierwszego nawet nie tknęła. Drugie było czekoladowe, jej ulubione, ale na samą myśl o jedzeniu zrobiło jej się sucho w ustach. Pokręciła głową i mruknęła:

– Nie sądzę...

Od wczoraj nie była w stanie niczego przełknąć, a to za sprawą ulotki znalezionej w kinie, w którym głowa Kevina Barra została odcięta od kręgosłupa za pomocą noża z dwusieczną klingą. To wszystko pogarszała jeszcze świadomość, że Maddie Mathews zginęła, ponieważ Eve...

„Oboje jesteśmy w to wplątani”.

Pomyślała, że już nigdy niczego nie zje. Czowała, że jest pusta w środku i nie musi już dostarczać organizmowi pokarmu. Piła powoli kawę i wydawało jej się, że ciepły płyn spływa do jej przepastnego, wydającego z siebie dziwne pomruki żołądka.

Joe objął jej rękę swoimi dłońmi.

– Wszystko w porządku?

– Czuję się jak gównno – powiedziała, a Joe tylko skinął głową. Doceniała, że nie próbuje jej na siłę pocieszać, gdy nie ma to najmniejszego sensu. Nie ma chyba nic gorszego niż ktoś, kto stara się poprawić ci humor, chociaż masz pełne prawo mieć doła.

– Musisz wziąć się w garść – powiedział.

Eve zanosła się nerwowym śmiechem.

– Co takiego? – zapytał.

– Nic.

– Mówię poważnie – kontynuował. – Spieprzyłaś to i nic się nie da z tym zrobić...

– Dzięki. Jesteś bardzo pomocny.

– Naprawdę się staram. Ty zresztą też. Poszłaś na policję, żeby mogli złapać tego zwyrodnialca, zanim dorwie następną ofiarę. Zrobiłaś, co do ciebie należało. Być może dzięki temu ocalisz komuś życie. Jesteś jedyną osobą, która miała z nim kontakt, a to ma niebagatelne znaczenie! Powinnaś myśleć

o tym, co możesz zmienić, a nie o tym, na co nie masz już żadnego wpływu. Do tego potrzebny jest obiektywizm, więc musisz wziąć się w garść i przestać nad sobą uzalać.

– Wcale się nad sobą nie uzalam! – obruszyła się. – Lituje się nad innymi. Na przykład nad Maddie Mathews.

– To na pewno nie pomaga ani jej rodzinie, ani policji. Z pewnością nie pomaga też tobie, więc najlepiej daj sobie spokój.

Eve obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

– Cholera, czy ty zawsze musisz mieć rację? – powiedziała. – A może biadolenie sprawia mi przyjemność?

– Nie jest ci z tym do twarzy. – Wzruszył ramionami. – Mogę zjeść twoje ciastko?

– Tak, ale nie to czekoladowe.

Uśmiechnął się i zaczął pałaszować tartę cytrynową.

Eve poczuła, że powoli zaczyna odzyskiwać energię. W zaistniałych okolicznościach kwestie zawodowe przestały mieć większe znaczenie. Joe miał rację: należało skupić się na schwytaniu mordercy. Jeśli chciała się w to skutecznie zaangażować, musiała mieć wyostrzone wszystkie zmysły. Należało więc zmienić swoje podejście.

Odkroiła kawałek czekoladowego ciastka.

– Co powiemy Rossowi? – zapytał Joe z pełnymi ustami.

– Absolutnie nic! – odpowiedziała zdecydowanym tonem i od razu zrobiło jej się lepiej.

Poczuła wibracje leżącego na stoliku telefonu. W słuchawce odezwał się głos inspektora Reesa:

– Chodźcie tutaj. Coś znaleźliśmy.

\*\*\*

– Mój Boże – jęknęła Eve.

Stali we trójkę przed plotem i patrzyli na ogłoszenie. Wokół wyblakłej ulotki wciąż zwisały czerwone skrawki innego plakatu, ale to, co widzieli, nie pozostawiało żadnych wątpliwości:

WYSTAWA

Miejsce: Tutaj

Data: 1 grudnia

Godzina: 10.00

– W tym dniu zginęła Layla Martin – wymamrotała Eve.

Była wstrząśnięta i nie mogła uwierzyć, jak bardzo nieprzypadkowe było to morderstwo. Ktoś je nie tylko zaplanował, lecz także starał się je rozreklamować, jak wyprzedaż garażową albo pokaz slajdów.

Zapraszamy! Zapraszamy! Zobaczcie brutalną zbrodnię!

Zupełnie niespodziewanie do jej oczu napłynęły łzy. Layla Martin miała zaledwie dwadzieścia cztery lata i nigdy nie będzie miała więcej. Eve zaczęła się zastanawiać, czy Layla została starannie wybrana na ofiarę, czy też morderca po prostu wszedł do biurowca, licząc, że na kogoś trafi. Być może był tam już wcześniej: snuł się po piętrach, jeździł windami i szukał odpowiedniej osoby.

Jeżeli morderca rzeczywiście upatrzył sobie Laylę Martin, to jak długo ją obserwował? Czy była świadoma, że ktoś za nią chodzi? Bała się? Opowiedziała o tym koleżankom, kiedy spotkały się po pracy przy kieliszku pinot grigio? A może wcale nie zauważyła mężczyzny, który wpatrywał się w nią, stojąc po drugiej stronie ulicy, łażąc po stacji metra albo zaglądając do jej biura? Równie dobrze mógł to być ktoś, kogo znała na tyle dobrze, że jej radar w ogóle nie wykrył zagrożenia.

Eve miała ochotę wziąć Joego za rękę. Chciała poczuć się bezpiecznie i znaleźć oparcie w kimś, kto ciągle pozostawał przy zdrowych zmysłach. Niestety zdawała sobie sprawę, że nie może tego zrobić.

Nagle odwrócił się do niej Rees i burknął:

– Chcemy blokady informacji na temat tych ogłoszeń. Do południa każdy gliniarz w Londynie będzie szukał podobnych ulotek i jeśli dowie się o tym opinia publiczna, zrobi się niezły burdel. Może wybuchnąć panika.

Eve spojrzała na niego sceptycznie.

– Może powinieneś założyć, że ludzie zachowają zdrowy rozsądek, Huw.

Rees potrząsnął głową i zrobił ponurą minę.

– Zakładam, że w ogóle go nie zachowają. Na dodatek, jeśli ten sukinsyn rzeczywiście zabił Laylę Martin, to nie chcę mu robić reklamy ani ryzykować, że pojawi się naśladowca, który tylko utrudni nam pracę.

Myśli Eve pędziły jak szalone. Huw Rees mógł tylko prosić o blokadę informacji, nie był jednak w stanie jej niczego narzucić. Zrozumiała, że ma swoim ręką atut.

– Chcesz, żebyśmy zrezygnowali z emisji materiału na wyłączność.

– Tak, w interesie bezpieczeństwa publicznego.

Zmarszczyła czoło.

– Ross nigdy na to nie pójdzie – powiedział Joe.

– Chyba że dostalibyśmy gwarancję – zaczęła spekulować Eve.

– Jaką gwarancję? – zapytał podejrzliwie Rees.

– Na razie będziemy siedzieć cicho, ale musisz obiecać, że sprawę ulotek mamy na wyłączność.

Żaden inny dziennikarz nie może się o tym dowiedzieć!

– W porządku.

– I za każdym razem, gdy znajdziesz coś nowego, natychmiast nas o tym poinformujesz.

– Jaki to ma sens, jeśli i tak nie możecie tego wykorzystać?

– Mam zamiar zrobić większy materiał na ten temat – wyjaśniła Eve. – Kiedy złapiecie tego sukinsyna, będę miała pod ręką wszelkie dostępne informacje, co oznacza ogromną przewagę nad konkurencją.

Rees skinął głową, choć widać było, że robi to z wyraźną niechęcią.

– Okay.

– I jeszcze podziękowania.

– Podziękowania?

– Tak. Jeżeli skażecie mordercę na podstawie dowodów, które wam dostarczyliśmy, oczekujemy podziękowań. Mamy być wymienieni z imienia i nazwiska.

– Jako iWitness News? – zapytał Rees.

– Nie. Jako Eve i Joe. Chcemy, żebyś publicznie przyznał, że odegraliśmy w tej sprawie kluczową rolę. Najlepiej w rozmowie z mediami przed gmachem sądu.

Rees obrzucił ją lodowatym spojrzeniem i zrozumiała, że przeciągnęła strunę. Policjanci tak rzadko odbierali oficjalne wyrazy uznania, że jej prośba wydawała się wręcz okrutna.

– Mamy taki sam cel, Huw – powiedziała Eve i przeszedł ją dreszcz. Przypomniała sobie, że podobne słowa usłyszała od mordercy.

Może nie do końca mieli taki sam cel, ale na pewno jechali na tym samym wózku. Jeśli Huw Rees chce blokady informacji na temat ulotek, powinien pójść Eve na rękę. W przeciwnym razie nie będzie miał pewności, że dziennikarka da mu cynk, jeśli znowu skontaktuje się z nią morderca.

Inspektor musiał się zgodzić.

– To prawda, zakładając, że go złapiemy – oznajmił Rees zrzędlwym głosem.

– Przecież ten dewiant informuje nas, gdzie i kiedy ma zamiar zaatakować. Schwywanie go to bułka z masłem.

Rees zaniósł się wymuszonym śmiechem, po czym westchnął i oznajmił:

– Dobra, umowa stoi.

– Jaka umowa? – Niczym za sprawą jakiejś upiornej magii u boku Eve pojawił się nagle Guy Smith. – Co jest grane? – dopytywał. – Jak to możliwe, że policja wchodzi w konszachty z jedną

dziennikarką, a reszta mediów jest z tego wykluczona? O co tutaj chodzi? Jezus Maria! Co ci się stało w twarz? – Kichnął trzy razy i wytarł nos serwetką z kawiarni. – Cholerny ziąb. O jakiej umowie rozmawialiście?

Eve wbiła w Reesa osłupiałe spojrzenie. Była w stanie myśleć tylko o skrawku ulotki wiszącym na płocie tuż za jej lewym ramieniem. Ogłoszenie znajdowało na linii wzroku Guya Smitha. Całe szczęście jakiś policjant zaczął je powoli zeszkrobywać.

WYSTAW...

– Raczej cię to nie zainteresuje – wyjaśnił spokojnie Rees.

– Naprawdę? Chcesz się założyć?

Inspektor głośno westchnął. Eve miała ochotę krzyknąć i zasłonić mu usta ręką.

– Rozmawialiśmy o imieniu dla *royal baby*. Ja obstawiam Alfreda, a ona Charlesa.

Eve była pod wrażeniem. Nie podejrzewała, że Huw Rees potrafi kłamać jak z nut.

– A ja Samuela – wtrącił Joe.

Guy zrobił zniesmaczoną minę.

– Co takiego? Przecież Samuel to żydowskie imię! Jestem pewien, że nie wybiorą czegoś takiego.

Bądźmy rozsądni, do cholery!

– Bukmacherzy płacą za wygrany zakład sto do jednego. Postawiłem pięć funtów – dodał z wahaniem w głosie Joe.

– Debil! – prychnął Guy, po czym odwrócił się do inspektora i wciąż wiszącej na ogrodzeniu ulotki...

– Co jest grane, Huw? Wspólne prace porządkowe, żeby zespół miał jakieś zajęcie?

Eve wstrzymała oddech. Policjant pieczołowicie zdrapywał ogłoszenie, ale trwało to całą wieczność.

WYST...

– Dziś po południu doszło tu do napadu – oznajmił Rees, dalej kłamiąc bez mrugnięcia okiem.

– Niby nic takiego, ale napastnik był uzbrojony w nóż, więc sprawdzamy, czy nie zostawił gdzieś swojego DNA.

– Używacie do tego skrobaczek? – zapytał Guy. – W *CSI: Kryminalnych zagadkach Miami* robią to chyba inaczej, czyż nie?

– Nie wiedziałem, że się na tym znasz – odpowiedział nieprzyjemnym tonem inspektor.

– Potrzebujesz Veroniki Creed, a nie *Dekoratorni*.

– Odpieprz się – burknął Rees. – Miałem ciężki dzień, a wy nie ułatwicie mi pracy.

Odwrócił się na pięcie i odszedł bez pożegnania.

– Co go ugryzło? – zapytał Guy. – Musiałaś go wpienić, zanim się tutaj pojawiłem.

Eve obrzuciła go nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Tak samo jak ojca Kevina Barra? – syknęła, po czym zrobiła to, co przed chwilą inspektor. Joe ruszył jej śladem.

– Nie znasz się na żartach? – zawołał za nią Guy Smith. – I powiedz, co ci się stało w twarz!

\*\*\*

Na samo wspomnienie Veroniki Creed inspektor wpadł w zły humor.

Veronica była specjalistką medycyny sądowej i trudno było określić jej wiek. Była drobna, miała różowe policzki i krótko przycięte siwe włosy. Nosila okulary, mechate swetry z kotami i bezkształtne spódnice w kratę.

Na dodatek budziła w Huw Reesie lęk.

Od dwudziestu dwóch lat pracował w policji i widział takie rzeczy, których nie życzyłby najgorszemu wrogowi. Aresztował ludzi znęcających się nad małymi dziećmi, ścigał oprawców wygłodzonych i maltretowanych niewolnic seksualnych, a raz złapał nawet kanibala, który z dumą zaprezentował mu słoik z ludzkimi knykciami.

Jednak najbardziej przerażającą osobą, jaką kiedykolwiek spotkał, była Veronica Creed.



Charakteryzował ją typowy dla psychopatów chłodny dystans, choć nie oddzielały jej od reszty świata żelazne kraty. I mimo że Rees w żaden sposób nie był stanie udowodnić swoich podejrzeń, często nie mógł spać, ponieważ wyobrażał sobie straszne rzeczy, które ta kobieta zrobiła albo mogłaby zrobić.

Zdawał sobie sprawę, że to absurdalne, więc nigdy nikomu o tym nie powiedział. Był jednak świadom, że nie tylko on tak myśli. Na własne oczy widział, jak dorośli mężczyźni wzdrygają się na widok tej kobiety i za wszelką cenę starają się unikać jej towarzystwa. Był nawet świadkiem, jak rzucają monetą, żeby zdecydować, kto pójdzie do jej biura odebrać raport. Za każdym razem, gdy ktoś w pracy nazywał ją „chodzącą legendą”, Huw Rees myślał: „Tak jak Dracula”.

Gdyby miał wyjaśnić, dlaczego Veronica Creed tak bardzo go przeraża, nie byłby w stanie tego zrobić. Wystarczyło jednak, że wyobraził sobie, jak poprawia okulary na nosie i patrzy na niego swoimi wielkimi oczami lunatyka...

Przeszedł go dreszcz i zaczął się trząść, bynajmniej nie dlatego, że było zimno.

W drodze powrotnej do domu Eve zajrzała do sklepu na stacji metra. Potrzebowała tylko mleka, ale kiedy włożyła karton do koszyka, zaczęła się snuć po wąskich alejkach i robić dalsze zakupy pod wpływem impulsu: spodobała jej się para wełnianych rajstop i świeczka Yankee o zapachu drzewa sandałowego.

Było już późno. Nieliczni klienci odwracali wzrok na widok jej posiniaczonej twarzy.

Wzięła jeszcze bagietkę. Zapach świeżego pieczywa kojarzył jej się z dzieciństwem i pomyślała, że kiedy wróci do domu, będzie odrywać bułkę kawałek po kawałku, nie wyjmując jej nawet z torebki. Jedną z zalet mieszkania samemu było to, że nie musiała przejmować się dobrymi manierami. Zdarzało się, że pałaszowała fasolę i paluszki rybne prosto z patelni. Czuła się wtedy jak skrzyżowanie jaskiniowca z kowbojem.

Kiedy stała w krótkiej kolejce do kasy, zdecydowała, że świeczka Yankee jest ostatnią rzeczą, której potrzebuje jakakolwiek osoba o zdrowych zmysłach. Co z tego, że dom pachnie trochę chomikiem? Przecież i tak Eve nie miała zamiaru przyjmować gości.

Uśmiechnęła się pod nosem, po czym wyjęła świeczkę z koszyka i postawiła ją na półce ze słodyczami tuż przy kasie. Zamiast tego wzięła dwie tabliczki czekolady Dairy Milk.

Jedną na teraz, a drugą na wszelki wypadek.

\*\*\*

Kiedy podeszła do furtki, usłyszała jakieś dziwne odgłosy.

Okazało się, że to pan Elias sprząta ścieżkę prowadzącą do domu Singerów. Kiedy zorientował się, że ktoś idzie, wyprostował się i spojrzał przed siebie. W rękach trzymał szufłę, a z jego ust buchały obłoczki pary. Wzdłuż alejki ciągnęły się zwały sypkiego brudnego śniegu, a wciąż zakrywająca płyty chodnikowe ubita warstwa białego puchu została podzielona na sporej wielkości tafle o nierównych krawędziach. Na szufli pana Elisa leżał spory kawał lodu w kształcie rombu.

Eve poczuła dziwne wzruszenie. Jej ojciec pomagał kiedyś w ten sposób nie tylko własnej rodzinie, lecz także sąsiadom. To był przykład staroświeckiej życzliwości, nieobarczonej komplikacjami wynikającymi z feminizmu.

– Ojej. To bardzo miłe z pana strony! Dziękuję!

– Nie ma za co – powiedział i lekko zawstydzony machnął ręką. – Powinienem to zrobić już dawno temu.

Obok furtki stał otwarty worek z solą, którą pan Elias miał zamiar posypać ścieżkę, żeby nikt się na niej nie poślizgnął.

Eve zrobiło się ciepło na sercu. Weszła do domu i nastawiła wodę, żeby zrobić sąsiadowi filiżankę gorącej herbaty.

\*\*\*

Potem usiadła w starym fotelu swojej matki i odrywając bagietkę kawałek po kawałku, patrzyła na śpiącego Duncana.

Leżał na boku zwinięty w kłębek jak małe dziecko. Jedną rękę trzymał na poduszce, a obręczka, której nigdy nie zdejmował, lśniła w blasku ulicznej latarni.

Nie wierzyła w Boga, ale po każdym oddechu modliła się, żeby ojciec umarł.

To byłaby idealna śmierć: lekka i spokojna, we własnym łóżku, pod okiem kochającej osoby.

Inne możliwości nie wyglądały tak różowo.

Jednak Duncan Singer wciąż oddychał.

Wdech.

I wydech.

Wdech...

Głośno westchnęła. Bóg albo nie istniał, albo miał to wszystko gdzieś.

Nagle zadzwonił telefon. Wstała i wybiegła z pokoju, żeby odebrać.

Numer zastrzeżony.

– Cześć, Eve.

To był on.

Otworzyła usta, ale nie była w stanie niczego wykrztusić. Co miała powiedzieć? Przecież ten facet zamordował trzy osoby. Jeśli nie więcej. Jaką strategię należało przyjąć?

– Zastanawiasz się, co zrobić – kontynuował, starannie artykułując samogłoski. – Będiesz milczeć, licząc się z ryzykiem, że mnie rozdrażnisz? Czy też przywitasz się i podejmiesz grę?

– Jeśli będę z kimś grać, to na pewno nie z takim chorym sukinsynem jak ty.

Wybuchnął śmiechem.

– Rozumiem, że zdecydowałaś się na prowokację.

Zagryzła dolną wargę i przypomniała sobie o nauczycielce z ostatniej klasy podstawówki. Pani Crick często spoglądała na swoją uczennicę spod uniesionych brwi i mówiła: „Najpierw pomyśl, Evelyn. Dopiero potem otwieraj usta”.

Eve czasem o tym zapominała.

– Moja matka nie była suką, chociaż niespecjalnie się nią przejmowałem – oznajmił. – Kto jest władny, żeby oceniać stan mojego zdrowia?

– Poderżnąłeś gardło młodej kobiecie, przeciąłeś rdzeń kręgowy facetowi w kinie i zamordowałaś dziecko! Dla normalnych ludzi to jest chore!

– Ale kto jest normalny? – zapytał lekceważącym tonem. – Sama uważasz się pewnie za całkowicie poczytalną, ale właśnie uczyniasz sobie pogawędkę z zabójcą. Czy normalni ludzie robią takie rzeczy? Poza tym doceniasz moją pracę i za to cię lubię, Eve. Nie da się ukryć, że odstajesz od normy.

Postanowiła go zignorować.

– Kto ci złamał nos?

Powiedział to w taki sposób, jakby naprawdę się o nią troszczył. Eve przez chwilę się zawahała, po czym burknęła:

– Nie twój interes.

– Wydaje ci się, że możesz mnie czymś zbulwersować? Chyba nie wiesz, z kim masz do czynienia. Opowiedz mi o wszystkim. Na pewno nie będę w szoku.

Miał rację. Był w końcu seryjnym mordercą. Z jakiegoś powodu Eve ciągle o tym zapominała.

– Jestem przyjacielem – dodał. – Nie przychodzę karać.

– Gówno prawda! Nie jesteś moim przyjacielem – warknęła.

– Nie jest nim również facet, który cię uderzył – odgryzł się.

– Stul pysk! – krzyknęła ze złością. – Nie masz bladego pojęcia o moim życiu i w gruncie rzeczy nic cię to nie obchodzi, więc oszczędź sobie udawanej troski. Wiem, o czym mówię, bo zajmuję się tym zawodowo. Jestem pieprzoną królową udawanej troski!

Znowu zaniósł się śmiechem. Tym razem był naprawdę rozbawiony. Wreszcie się uspokoił i głośno westchnął.

– Jesteś naprawdę zabawna – powiedział. – Ale się mylisz. Znam cię o wiele lepiej, niż sądzisz.

Poczuła na swoim karku gęsią skórę.

W słuchawce zaległa cisza. Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że morderca się rozłączył. Znowu była sama.

14 GRUDNIA

Na schodach siedzi kloszard.

David Fallon spojrział na sprzątaczkę. Debbie Gomperts była dużą szczerą kobietą i niezwykle rzadko poprzedzała swoje wypowiedzi jakimkolwiek wstępem, który mógłby przygotować rozmówcę na to, co nastąpi. Podczas rozmowy można było odnieść wrażenie, że jest się dwa kroki z tyłu.

– Słucham? – powiedział.

– Kloszard – powtórzyła. – Na schodach siedzi kloszard. – Pani Gomperts najwyraźniej uznała, że jej rozmówca ma problemy z rozumieniem, ponieważ zdanie było za długie, więc postanowiła podzielić je na krótsze fragmenty. Zrobiła to z uprzejmości, zdając sobie sprawę, że niektórzy nie grzeszą inteligencją.

Chodziło jednak o coś innego. David od bardzo dawna nie słyszał słowa „kloszard” i potrzebował czasu na przetworzenie informacji. W dzisiejszych czasach wszyscy mówili „bezdomny”. „Kloszard” było słowem pochodzącym z zamierzchłej przeszłości, kiedy po świecie snuli się jeszcze starsi mężczyźni, niekoniecznie alkoholicy, którzy imali się różnych dorywczych zajęć i spali w stogach siana.

Reszta zdania też nie była szczególnie jasna.

– Na których schodach? – zapytał.

– Na frontowych – wyjaśniła Debbie Gomperts.

Aha.

To był problem.

David Fallon wstał od zagraconego biurka i podreptał przez wyłożony czerwonym dywanem korytarz. Doszedł do szklanych drzwi i wyjrzał na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście jakiś kloszard rozbił obozowisko przed głównym wejściem do Barnstormer Theatre. Niestety sprzątaczką miała rację: bezdomny leżał skulony na najwyższym stopniu schodów i najprawdopodobniej spał.

David głośno westchnął. Nienawidził konfrontacji, jednak za dwie godziny mieli pojawić się pierwsi widzowie, żeby obejrzyć wieczorne przedstawienie *Romea i Julii*. Paradoksalnie teatromani nie lubili życiowych dramatów, które zakłócały im zawieszenie niewiary na czas trwania sztuki.

Szczególnie jeśli ten życiowy dramat śmierdział szczynami.

– O mój Boże – mruknął sam do siebie i otworzył drzwi.

– Przepraszam?

Mężczyzna ani drgnął.

David odkasznął i powiedział głośniej:

– Przepraszam!

Kloszard ocknął się i powoli usiadł.

– Co takiego? – zapytał.

– Nie może pan tutaj spać – wyjaśnił David.

Mężczyzna rozejrzał się dookoła, jak gdyby dopiero teraz zorientował się, gdzie jest.

– No cóż, dobrze mi się tutaj spało, dopóki mnie pan nie obudził – oznajmił, patrząc Davidowi prosto w oczy.

David lekko się uśmiechnął. Chciał pokazać, że mimo wszystko jest człowiekiem i potrafi docenić dowcip.

– Za godzinę otwieramy drzwi – powiedział.

Kloszard podniósł rękę, jakby chciał okazać wdzięczność za złożoną propozycję, ale nie był gotowy jej przyjąć.

– W porządku, ale jest mi tutaj całkiem dobrze. Dziękuję.

Sytuacja zrobiła się krępująca. David żałował, że nie ma osoby, do której mógłby się zwrócić o pomoc. Był zdany tylko na siebie, chociaż w teatrze pracowało jeszcze kilku chudych studentów szkół

teatralnych dorabiających jako bileterzy, blisko osiemdziesięcioletni Eric, który obsługiwał stoisko ze słodyczami, stojąca za barem Marge oraz Debbie Gomperts, ale akurat tej ostatniej nie można było pozwolić na żaden kontakt z ludźmi, nawet z kloszardem, ponieważ na pewno skończyłoby się to karczemną awanturą.

Mężczyzna umościł się tuż przy drzwiach i zdążył już skonstruować sobie nędzną siedzibę z kartonu, w której trzymał stylową torbę z logo Harrodsa zawierającą cały jego dobytek.

David Fallon był dobrym człowiekiem. Kochał swojego kota Dilly'ego i nigdy nie zapomniał o urodzinach chrześniaka, chociaż gówniarz ostatni raz podziękował mu, kiedy był jeszcze nastolatkiem. Poza tym David często pomagał starszym sąsiadom: robił dla nich zakupy i podlewał kwiaty.

Kloszard śmierdział jednak szczykami.

Więc David zamknął drzwi na klucz i zadzwonił na policję.

\*\*\*

– Stoję w kolejce! – powtórzył bezdomny, kiedy dwóch policjantów wzięło jego torbę i starało się ściągnąć nieszczęśnika ze schodów. – Chcę zobaczyć *Romea i Julię!*

– A ma pan bilet? – zapytał młodszy z gliniarzy.

– Właśnie po to tutaj przyszedłem – wyjaśnił kloszard. – Liczę, że będą jakieś zwroty. To normalne, że ludzie śpią przed sklepami Apple'a, żeby dostać iPhone'a, albo ustawiają się w ogonku po nowego Harry'ego Pottera.

Młody policjant spojrzał pytającym wzrokiem na Davida.

– Wcale nie stoi w kolejce – powiedział David. – Przyszedł tutaj, żeby się wyspać.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zaprotestował kloszard. – W ogóle cię to interesuje?

Gliniarz zapytał, czy w kasie rzeczywiście są jakieś zwroty. Kiedy się okazało, że tak, zaproponował kloszardowi kupno biletu.

– No cóż, jeszcze nie teraz – odpowiedział bezdomny urażonym tonem.

Policjanci wybuchnęli śmiechem, a młodszy z nich podniósł z ziemi kartony i wręczył je włóczędze.

– Możesz spać tam – oznajmił, wskazując na ośnieżony chodnik kilka metrów dalej. – Ale nie tutaj.

– Pieprzyć to – burknął pod nosem mężczyzna. – Idę obejrzeć *Pułapkę na myszy*.

David głośno westchnął i spojrzał na kloszarda, który zaczął przedzierać się przez śnieżną breję.

Kiedy znowu odwrócił się do policjantów, ujrzał ich plecy. Stali przy drzwiach do teatru, ze wzrokiem wbitym w ścianę, przy której wcześniej koczował bezdomny.

David zrobił krok do przodu, żeby zobaczyć, na co tak patrzą.

Jakiś bezczelny gnojek przykleił do muru ogłoszenie.

Ogłoszenie reklamujące wystawę.

W Barnstormer Theatre aż roilo się od policjantów.

Eve rozejrzała się wokół i dostrzegła kilka znajomych twarzy. Funkcjonariuszy trudno było rozpoznać, ponieważ mieli na sobie garnitury. Chodziło o to, żeby wmieszali się w tłum zwykłych widzów. Inspektor Rees przechadzał się po foyer w wyblakłym smokingu zapiętym na pojedynczy guzik, a przymała marynarka opinała jego szeroki tułów. Eve nie знаła jego towarzysza, ale na pewno był to człowiek z najbardziej różową i najbardziej lśniącą łysiną, jaką kiedykolwiek w życiu widziała.

Podeszła do Reesa i zagaiła:

– Dziękuję za telefon.

Inspektor tylko skinął głową. Może żałował, że zawarł z nią niekorzystną umowę. Na jego miejscu Eve by żałowała...

– To jest komisarz Marr – powiedział Rees. Eve i łysy policjant wymienili kurtuazyjne ukłony.

Komisarz Marr zatarł ręce i oznajmił:

– To musi być ekscytujące, prawda?

Eve i Rees spojrzeli na siebie z powątpiewaniem.

– West End – wyjaśnił Marr. – Występy na deskach teatru.

– Aha, no tak – bąknęła Eve.

Rees zerknął za jej ramię.

– Gdzie jest twój kolega?

– Joe? Zaraz tutaj będzie.

– Lepiej żeby się pojawił. Nic nie może wyglądać podejrzanie. A to oznacza żadnych spóźnień, żadnych kamer i żadnych džinsów...

– Na pewno zjawi się na czas – zapewniła Eve. Przekazała Joemu informację o džinsach, chociaż wyglądało na to, że nikt nie wyróżniał się strojem tak bardzo jak inspektor. Niestety nie w sensie pozytywnym. Sama miała na sobie prostą czarną sukienkę, którą zwykle zakładała na pogrzeby.

Podszedł do nich jedyny mężczyzna w całym teatrze, który tak jak Rees był ubrany w smoking. Do kłapy marynarki miał przypięty plastikowy identyfikator z napisem „Menadżer”.

– Czy ma pan wszystko, co potrzebne, inspektorze?

– Tak, dziękuję, panie Fallon.

– Możemy zaczynać?

– Proszę nam dać jeszcze dziesięć minut.

– Jeszcze dziesięć minut! – Fallon wyglądał, jakby za chwilę miał się rozplakać. – Popsuła nam się zamrażarka i takie opóźnienie oznacza, że do antraktu roztopią nam się wszystkie lody!

– Robimy, co w naszej mocy, ale chodzi przecież o śledztwo w sprawie morderstwa.

– Ale co z moimi lodami? – zapytał Fallon, który najwyraźniej nie rozumiał, w czym tkwi problem. – Z tymi w kubelku nie będzie problemu, najwyżej trochę rozmiękną, ale mam też lody na patyku, które mogą się odkształcić. Przecież nie sprzedam nikomu oklapłego magnum!

– Niestety nic więcej nie mogę dla pana zrobić.

Fallon bezradnie machnął rękami i pobiegł w kierunku widowni.

– Gdzie możemy się ulokować? – zapytała Eve inspektora Reesa.

– Kiedy wszyscy zajmą już swoje miejsca, pójdziecie ze mną na koniec sali, jednak nie wolno wam niczego filmować, chyba że coś się zacznie dziać. Nie chcę wzbudzać żadnych podejrzeń.

– Okay, w porządku. A reszta?

– Mamy do dyspozycji dwunastu policjantów, większość wmiesza się w tłum widzów, a kilku będzie czekać po obu stronach sceny.

– Za kulisami – wtrącił komisarz Marr.

– Na jedno wychodzi.

– Tak brzmi fachowa nazwa tej części teatru.

- Nie wiedziałem, że jesteś fanem Melpomeny – powiedział Rees sarkastycznie.
- Od dwudziestu lat należę do amatorskiej trupy Croydon Players. W styczniu wystawiamy

*Oklahome!* Gram Kudłatego.

Eve i inspektor Rees niemal jednocześnie spojrzeli na łysą głowę Marra. Komisarz wyglądał na zbitego z tropu.

- Owszem, to ma być zabawne! – wyjaśnił.
- Dobrze, wróćmy do tematu. Dwóch ludzi wdrapie się na górę, tam gdzie są lampy.
- Na pomost oświetleniowy – uściślił Marr.
- Będą mieli noktowizory – kontynuował Rees. – Poza tym sześciu funkcjonariuszy usiądzie na

widowni między normalnymi widzami.

Eve była pod wrażeniem.

- Nie tracił pan czasu.
- Mam nadzieję, że to wystarczy.
- Jesteście uzbrojeni?

Rees przez chwilę się zawahał, po czym oznajmił:

- Tak, na terenie są uzbrojeni policjanci.

Eve skinęła głową, podniecona świadomością, że między rzędami na widowni krążą gliniarze z pistoletami nabitymi ostrą amunicją. Uwielbiała być w centrum wydarzeń i czuć się wtajemniczona, podczas gdy inni nie mieli pojęcia, co się dzieje.

Rees poszedł zająć swoje miejsce na tyłach widowni i dołączył do strumienia widzów maszerujących przez foyer.

Eve odwróciła się w stronę drzwi wejściowych i zobaczyła Joego, który szukał jej w tłumie. Miał na sobie czarne dżinsy i czarny sweter.

Zmierzyła go wzrokiem.

- Wyglądasz jak jakiś choreograf.
- To źle? – zapytał.
- Może być – powiedziała, patrząc na niego spod zmrużonych powiek.

Prawdę powiedziawszy, prezentował się świetnie. W czerni było mu do twarzy. Tak wyobrażała sobie obdarzonego wrażliwością społeczną Jamesa Bonda.

- Wyglądasz fantastycznie – oznajmił.

Eve była tak skołowana własnym niewypowiedzianym komplementem, że tylko machnęła ręką i zapytała:

- Dostałeś ogłoszenie?

Przytaknął i pokazał ekran malutkiej kamery, którą schował w kieszeni.

WYSTAWA

Miejsce: Tutaj

Data: 14 grudnia

Wieczorem

Eve wyraziła aprobatę skinieniem głowy i opowiedziała Joemu o planie, który w zasadzie sprowadzał się do zajęcia wyznaczonego przez Reesa punktu obserwacyjnego. Oboje uznali jednak, że lepsze to niż nic. Inspektor dał im cynk, dzięki czemu zyskali ogromną przewagę nad pozostałymi ekipami telewizyjnymi.

- A w szczególności nad Guyem Smithem – powiedziała Eve z naciskiem.

Rozległ się dzwonek i bileterzy poprosili widzów o zajęcie miejsc. Przy stoisku ze słodyczami ostatni klient odebrał od wiekowego mężczyzny w stroju boya hotelowego kubek roztopionych lodów i pospieszył w stronę prowadzących na widownię podwójnych drzwi.

Eve i Joe dołączyli do inspektora Reesa, który stał zaraz za wejściem na salę. Mężczyźni przywitani się kurtuazyjnym skinieniem głowy.

Widzowie jeszcze przez jakiś czas szukali swoich miejsc, ale wreszcie zgasły światła i zaczęło się przedstawienie.

Eve nie przepadała za *Romeem i Julią*. Z pewnością nie była to jej ulubiona sztuka Szekspira. Wolą *Makbeta* z hektolitrami krwi, wiedźmami i maszerującym lasem. Romeo i Julia zawsze wydawali jej się naiwni i niedojrzali: para zadurzonych w sobie nastolatków, która w imię miłości wykonuje wiele przesadnie dramatycznych gestów. Eve skupiła więc uwagę na publiczności, zastanawiając się, czy gdzieś na widowni rzeczywiście siedzi morderca. Jeśli tak, to miała nadzieję, że tym razem nie wbije nikomu noża w szyję ani nie zrobi nic, co wiązałoby się z rozlewem krwi.

Huw Rees od czasu do czasu szeptał coś do ukrytego mikrofonu, ale poza tym nikt by się nie domyślił, że na sali przebywa ponad dwudziestu ludzi, którzy przyszli tu tylko po to, żeby schwytać seryjnego mordercę.

Kiedy zginął Merkucjo, Rees na chwilę zeszywniał, ale niczym nieniekpokojeni aktorzy dalej wykonywali swoją pracę. Do przerwy obszło się bez żadnych incydentów.

\*\*\*

David Fallon pocił się jak roztopiony lód w polewie czekoladowej.

Nie mógł uwierzyć w to, co działo się w Barmstormer Theatre przy Shaftesbury Avenue.

Kiedy przyjechała policja i dowiedział się, co jest grane, chciał odwołać spektakl. Jednak inspektor Rees zapewnił go, że w operację mającą na celu schwytanie mordercy zaangażowano ogromne siły i współpraca teatru jest niezbędna.

Coś w sposobie bycia tego mężczyzny powiedziało Davidowi, że zgoda menadżera jest istotna, ale jej brak i tak niczego nie zmieni.

– No cóż, przedstawienie musi toczyć się dalej – powiedział wreszcie zrezygnowany.

Tak też się stało.

Do przerwy nie doszło jednak do żadnych incydentów.

Widzowie robili to, co zwykle w czasie antraktu: stali w kolejce do toalety, kupowali słodczyce i odbierali zamówione wcześniej w barze napoje.

W foyer kłębił się tłum ludzi.

Jeśli dziś wieczorem do teatru rzeczywiście przyszedł człowiek, którego poszukuje policja, na pewno już dawno zwietrzył, co się dzieje, i wziął nogi za pas albo przełożył swoją akcję na inny dzień. I do innego teatru. Oby!

David głośno westchnął. Przypuszczał, że z perspektywy czasu dzisiejsze wydarzenia wydadzą mu się czymś zabawnym, jednak teraz miał ochotę zapalić, pierwszy raz od niemal piętnastu lat.

Na schodach przed wejściem stała niewielka grupka widzów zaciągających się własnoręcznie skręconymi papierosami, co sprawiało, że chociaż mieli na sobie stroje wieczorowe, wyglądali trochę jak banda łobuzów. David zastanawiał się, czy wypada poprosić któregoś z nich o papierosa. Nie chciał się jednak poczuć jak piętnastolatek zaczepiający klientów przed kioskiem.

Całe szczęście rozległ się dzwonek obwieszczający koniec przerwy. David poczuł ulgę. Drugi akt odciągnie jego uwagę od nikotyny, nawet jeśli istniało ryzyko, że podczas przedstawienia zostanie popełnione morderstwo.

\*\*\*

Nic więcej się nie wydarzy.

Eve czuła się coraz bardziej odprężona. Padały znane kwestie, a poszczególne sceny prowadziły do wiadomego finału.

Stojący obok Joe ziewnął donośnie, więc dała mu kuksańca, a potem sama ziewnęła w geście solidarności.

Nadszedł punkt kulminacyjny spektaklu: Romeo wchodzi do grobowca i znajduje w nim



nieprzytomną Julię. Myśli, że dziewczyna nie żyje, więc sam wypija truciznę, żeby dołączyć do ukochanej na tamtym świecie. Jednak po chwili Julia budzi się ze snu i z rozpaczy również popełnia samobójstwo.

„Jasne, na pewno by tak zrobiła”, pomyślała Eve. To wszystko było zbyt naciągane i zbyt przewidywalne. Choć trzeba przyznać, że w ciągu ostatnich pięciuset lat sporo się zmieniło i w czasach Szekspira tekst mógł być bardziej przekonujący.

Eve czuła się jednak lekko zażenowana. Co za banał: dorosły mężczyzna udaje, że pije truciznę, a potem niby się dławi i sinieje na twarzy.

Kurczę, on naprawdę zrobił się siny.

Nawet z tej odległości widać było, że aktor grający Romea rzeczywiście wczuł się rolę.

Jednak gdy Julia się ocknęła i zaczęła walić go z impetem w plecy...

Pierwszy zareagował inspektor Rees. Stał obok Eve, ale w ułamku sekundy wbiegł na wyłożone dywanem przejście między rzędami i rzucił się szczupakiem na scenę jak jakiś muszkieter.

Eve wstrzymała oddech i odwróciła się do Joego, który już zdążył wyjąć kamerę z torby.

– Pospiesz się! – powiedziała.

Joe nie tracił czasu. Włączył nagrywanie i ruszył przed siebie szybkim krokiem.

Julia miotła się na scenie, wykrzykując:

– Coś się stało. Nie tak to miało wyglądać.

Romeo trzymał się za gardło, dławiąc się i chrypiąc. Huw Rees złapał go od tyłu. Do akcji włączył się również komisarz Marr. Zza kulisów wychyliła się jego łysina i przez krótką, ale dramatyczną chwilę załśniła w świetle reflektora punktowego.

Na sali rozległy się zaniepokojone szepty. Kilka osób podniosło się ze swoich miejsc i zaczęło wyciągać szyje, żeby zobaczyć, co się dzieje. Niektórzy – Eve domyśliła się, że to zapewne policjanci – lustrowali wzrokiem widownię, szukając wskazówek i starając się zidentyfikować potencjalne zagrożenia, a inni w napięciu pilnowali wyjść.

Eve nie wiedziała, co ma robić, więc stała nieruchomo, ale serce podeszło jej do gardła. Jako dziennikarka często odwiedzała miejsca zbrodni, rzecz jasna już po popełnieniu przestępstwa. Teraz jednak było inaczej. W powietrzu unosiły się strach i napięcie. Tył widowni był lekko podwyższony, więc Eve dobrze widziała całą salę i była gotowa na ciąg dalszy tragedii.

Jednak zamiast tego nastąpił nieoczekiwany finał.

Huw Rees objął Romea i bardzo sprawnie wykonał tak zwany manewr Heimlicha. Z ust aktora coś wyleciało i uderzyło w scenografię, po czym Romeo wydał z siebie stłumiony okrzyk i nabrał powietrza w płuca.

Widzowie odetchnęli z ulgą i zaczęli bić brawo. Rees szepnął coś aktorowi do ucha i poklepał go po plecach. Udało się zażegnać kryzys, chociaż akurat nie ten, którego się spodziewali.

Rees zeskoczył ze sceny. Po chwili w jego ślady poszedł komisarz Marr, a Romeo wyjaśnił publiczności, co się stało. Tak bardzo przekonująco chciał popełnić samobójstwo, że połknął korek od butelki.

Jego opowieść wywołała kaskadę śmiechu, po czym znowu rozległy się oklaski. Widzowie zaczęli powoli zajmować miejsca, żeby obejrzyć ostatnie dwie minuty przedstawienia.

Joe zbliżył się do Eve i przewrócił oczami.

Zanim zdążył się odezwać, przeszedł koło nich pan Fallon, mamrocząc pod nosem:

– Muszę zapalić.

I wybiegł z sali.

\*\*\*

W zaistniałych okolicznościach David Fallon naprawdę potrzebował papierosa. Najpierw uwierzył, że na scenie rzeczywiście doszło do morderstwa. Potem poczuł tak ogromną ulgę, że nie był w stanie przestać się trząść.

Chciał kupić paczkę u starego Erica, ale okazało się, że już od dawna nie sprzedają papierosów.

Całe szczęście Eric wciąż lubił puścić dymka, co było dla tego nałogu całkiem niezłą reklamą: osiemdziesięcioletek, który wciąż ma pracę i jest na tyle sprawny umysłowo, żeby powierzyć mu pieniądze.

– Od sześćdziesięciu pięciu lat wypalam półtorej paczki dziennie – powiedział z wyraźną dumą, po czym podał szefowi papierosy marki Lambert & Butler oraz pudełko zapalek.

David wyszedł na zewnątrz przez szklane drzwi i stanął na schodach, na których znowu leżał ten sam kloszard.

– Jasna cholera! – warknął. – Co pan tutaj robi?

Odwrócił się, żeby zawołać gliniarza, żeby po raz drugi tego wieczoru przegonił menela sprzed teatru.

Jednak zanim to zrobił, ktoś schwycił go za szyję i mocno ścisnął.

Chwył był bardzo precyzyjny. Napastnik przydusił zatokę tętnicy szyjnej tak, że Davidowi nawet nie udało się podnieść ręki, żeby jakoś się wyrwać z uścisku.

Ogarnął go dziwny spokój. Poczul, jak wypuszcza z ręki papierosa i pudełko zapalek, a potem znalazł się w jakimś innym wymiarze i z oddali usłyszał głuchy odgłos własnego ciała upadającego na schody. Przez szybę w drzwiach widział jasno oświetlone foyer, w którym Eric wykladał właśnie słodczyce na półki. W pewnym momencie pod Davidem ugięły się kolana i obdarzony niezwykłą siłą mężczyzna położył go delikatnie na wyłożonym kartonami najwyższym stopniu schodów prowadzących do Barnstormer Theatre.

Napastnik zbliżył twarz do jego ucha i wyszeptał:

– Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

Chociaż David leżał na kartonie, to od spodu czuł lodowato zimny granit. Zdawał sobie sprawę, że to koniec, i osłupiały spojrzał w twarz kloszarda. Było w tym spojrzeniu coś pięknego. Potem podniósł wzrok i zobaczył przyklejone do ściany ogłoszenie z napisem:

WYSTAWA...

\*\*\*

Oświadczenie dla prasy opublikowano dopiero nad ranem, zbyt późno, żeby mogły je wydrukować gazety. Kiedy do redakcji przyszli pracownicy pierwszej zmiany, komunikat o morderstwie przesuwiał się coraz dalej w kolejce elektronicznych wiadomości.

Był zresztą napisany bardzo zdawkowo i tylko osoba mająca zdolności parapsychologiczne mogła się domyślić, że chodzi o coś więcej niż banalną historię o trupie znalezionym w okolicy, którą kojarzono z bezdomnymi, narkomanami i innymi życiowymi rozbitkami. Nawet średnio rozgarnięty reporter od razu pomyślałby, że ofiara nie była nikim szczególnym...

Londyńska policja prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa czterdziestosiedmioletniego mężczyzny, którego ciało znaleziono wczoraj wieczorem przed budynkiem Barnstormer Theatre przy Shaftesbury Avenue.

Świadkowie zdarzenia proszeni są kontakt z najbliższym komisariatem.

Nie podano nazwiska i nie ujawniono, że zginął pracujący w teatrze menadżer. Nie pojawiła się też informacja, że nad ciałem wisiało ogłoszenie reklamujące zabójstwo niczym jakąś atrakcję. Rzecz jasna nawet nie zająknięto się na temat tego, że przestępstwo zostało popełnione tuż pod nosem elitarnego oddziału dochodzeniowego złożonego z dwudziestu pięciu funkcjonariuszy, którzy pojawili się na spektaklu tylko po to, żeby schwytać seryjnego mordercę. Wcześniej dostali cynk, że właśnie tego wieczoru dojdzie do kolejnej zbrodni...

Niestety operacja zakończyła się kompletnym fiaskiem.

Smutna śmierć Davida Fallona zasłużyła zatem jedynie na krótką i zdawkową notkę. W porannych serwisach w ogóle o niej nie wspomniano, ponieważ pojawiły się ciekawsze informacje: w City rowerzysta wpadł pod autobus, a na Peckham ktoś strzelał z jadącego samochodu.

A kot Davida Fallona był głodny. Nie było bowiem nikogo, kto mógłby go nakarmić.

David Fallon leżał na schodach z oczami zwróconymi ku niebu. Wciąż trzymał napastnika za ramię, ale uchwyt zelżał, a po chwili jego dłoń całkowicie się rozwarła niczym rozkwitający kwiat.

Serce mordercy waliło jak młotem. Dotknął swojej blizny i szeroko się uśmiechnął.

Tylko śmierć sprawiała, że czuł się żywy.

To dziwne, że ten obcy organ, który przez tak długi czas mógł go zabić, w końcu pokazał mu, co należy zrobić, żeby żyć pełnią życia.

Najważniejszy był egoizm.

Ogień przygasł, więc zabójca wstał, żeby go rozniecić. Zawsze dziwiło go, że namalował aż tyle obrazów. Przecież to było zupełnie bez sensu. Wziął jedno z leżących na stosie płócien i pokręcił głową. Kiedy wykonał tę kopię, miał pewnie czternaście, może piętnaście lat. *Niewierny Tomasz* Caravaggia: pomarszczony apostoł wkłada palec w ranę Chrystusa. Jednak w jego wersji rana znajdowała się nad sercem Mesjasza, a Tomasz wpychał do środka całą dłoń, aż po sam nadgarstek...

Kiedyś morderca uważał zapewne, że to niezwykle istotne.

Jednak tak naprawdę było to raczej żalosne i pozbawione jakiegokolwiek sensu.

Prychnął z lekceważeniem i wrzucił obraz do kominka.

W dawnych czasach uważał się za malarza. Pieniądze nie miały dla niego większego znaczenia, ale rozumiał, że przyszłe pokolenia będą oceniać jego dzieła właśnie przez pryzmat wartości materialnej. Zależało mu więc na wyrazach uznania. Chciał, by go chwalono.

I oklaskiwano.

Wyobrażał sobie, że na tworzoną przez niego sztukę będzie stać jedynie wybrańców.

Ale niestety tak się nie stało.

Kiedy to zrozumiał, wpadł w rozpacz i poczuł się upokorzony. Ta świadomość niemal go zniszczyła, ale teraz wiedział już, że malarstwo było tylko skromną służką jego prawdziwego talentu.

Pionierzy sztuk plastycznych wykradali zwłoki, żeby nauczyć się anatomii. Ryzyko było ogromne: mogli wylądować w więzieniu, zostać potępieni i uznani za heretyków. Mimo to pragnęli poznać wewnętrzne piękno, które kryło w sobie ludzkie ciało. Wiedzieli, że prawo jest głupie i zostało stworzone przez filistrów.

Ale nawet ci odważni prekursorzy mieli opory przed przekroczeniem pewnych granic!

Zaszywali trupy i na swoich obrazach pokazywali tylko ich zewnętrzną część.

Picasso, da Vinci i Rembrandt tworzyli jedynie marną imitację prawdziwego życia.

W końcu należeli do cechu malarzy, on zaś uważał się za artystę!

Udało mu się dokonać procesu przekształcenia życia w śmierć i na odwrót. To była transformacja o tak zasadniczym znaczeniu, że świat nie potrafił jeszcze docenić jego geniuszu.

Nie dziwiło go, że na razie pozostawał niezrozumiany! Prawo chroniło swoją własną, nader ograniczoną domenę. Potrzebny był wizjoner, ktoś w rodzaju proroka, kto odkryje nowe światy i otworzy ludziom oczy na dotąd nieznanne możliwości, przekraczające wszelkie granice. Czuł, że pójdą za nim tłumy. Jednak jak każdy mistrz, potrzebował uczniów, którzy będą głosić światu jego słowo.

Miał już jedną uczennicę: Eve Singer.

Podczas pierwszego spotkania zorientował się, że jest wyjątkowa. Coś ich łączyło. Rozumiała go i – co ważniejsze – wiedziała, o co chodzi w jego sztuce. Wyraźnie pokazała, że chce i potrafi dzielić się nią ze światem.

Właśnie w taki sposób dowiedzą się o nim przyszłe pokolenia. Nie miał wątpliwości, że będzie pamiętany długo po swojej śmierci.

Ofiary pozwalają mu zyskać dodatkowy czas.

A jego sztuka przyniesie mu nieśmiertelność.

Zatrzymał nagranie z zapisem morderstwa Davida Fallona i włączył iWitness News.

Wybiła północ i właśnie zaczął się serwis informacyjny. To dziwne, ale nawet nie wspomnieli

o jego pokazie w Barnstormer Theatre.

15 GRUDNIA

Eve wyprostowała plecy.

Było już po północy. Wcale nie miała zamiaru siedzieć w pracy tak długo, potrzebowała jednak trochę spokoju, żeby obejrzeć na swoim komputerze nagrania z teatru. Po biurze kręciły się przynajmniej cztery osoby z nocnej zmiany, ale teraz wszystkie gdzieś zniknęły i pokój redakcji informacyjnej był pusty. Eve mogła wreszcie zrobić to, co zaplanowała.

Miała nadzieję, że kiedy o wszystkim dowie się Ross Tobin, uda się go łatwo udobruchać. Była pewna, że przygotowują z Joem wspaniały materiał. To będzie coś naprawdę niezwykłego, coś więcej niż zwykła relacja. Chciała zaprezentować szefowi mrozący krew w żyłach reportaż na temat zwyrodnialca, który anonsuje swoje zbrodnie i sieje postrach w całym Londynie. Godzinny program, który być może kupi Channel 4.

Czyżby to była przepustka do dalszej kariery? Koniec z tłuczonym mięsem?

Te optymistyczne rozmyślenia nie zmieniały jednak faktu, że przeglądanie nagrań nie było szczególnie przyjemnym zajęciem. Okazało się, że pan Fallon mieszkał sam. Ani policja, ani koledzy z pracy nie wiedzieli, w jaki sposób można się skontaktować z jego rodziną i czy w ogóle miał jakichkolwiek krewnych. Co gorsze, jak do tej pory udało się porozmawiać tylko z jednym z bileterów: młodym studentem aktorstwa, który na widok kamery zaczął się strasznie popisywać. Eve musiała go obsztorcować, czując się przy tym jak jego matka.

„Słuchaj, Rafael, nie robimy programu o tobie, więc przestań gwiazdorzyć i trochę wyluzuj”.

Jednak nawet po tym ostrzeżeniu Rafael nadal przesadnie wczuwał się w rolę i wykonywał ekspresyjne gesty, co było naprawdę irytujące.

Eve westchnęła. Biedy pan Fallon. Sprawiał wrażenie strasznie zdenerwowanego. Miał na głowie oddział policji, bał się, że spektakl nie zacznie się na czas i roztopią się wszystkie lody w popsutej zamrażalce...

Martwił się wszystkim, tylko nie tym, że ktoś może go zamordować.

Przynajmniej umarł w błogiej niewiedzy. Uświadomienie sobie, że za chwilę odejdzie się z tego świata, jest czymś najstraszliwszym i najbardziej porażającym, co się może przytrafić człowiekowi. Eve zaczęła się zastanawiać, jakie myśli pojawiły się w głowie Davida Fallona, gdy wreszcie zrozumiał, co się zaraz stanie. A o czym myślała wtedy Layla Martin albo Maddie Mathews? Jedyłą ofiarą, która uniknęła tej okropnej świadomości, był Kevin Barr. W dodatku był z niego okropny dupek. W każdym razie tak twierdził Stan Reddy. Czy była w tym jakaś sprawiedliwość?

Maddie Mathews.

Za każdym razem, gdy przypominała sobie o tej dziewczynce, w jej umyśle wyświetlała się seria przerażających obrazów, które wywoływały w niej strach i ogromne poczucie winy. Musiała szukać zapomnienia w pracy. Musiała być w ciągłym ruchu, żeby przestać myśleć o Maddie i o mężczyźnie, który ją zabił.

Mężczyźnie, który miał jej numer telefonu.

„Jestem przyjacielem. Nie przychodzę karać”.

Te słowa nie dawały jej spokoju. Kiedy to powiedział, była wściekła i odburknęła coś ze złością. Za wszelką cenę chciała ukryć prawdę o swoim ojcu. Miała jednak wrażenie, że gdzieś już słyszała ten tekst, i nie mogła się od tego uwolnić.

Postanowiła skorzystać z internetu.

Okazało się, że to wiersz zatytułowany *Śmierć i dziewczyna*. Musiała go czytać w szkole.

*Daj swą dłoń, piękna i delikatna postaci.*

*Jestem przyjacielem, nie przychodzę karać.*

*Bądź dobrej myśli! Nie jestem dziki,*

*W ramionach mych błogo będziesz spać!*

„W ramionach mych błogo będziesz spać”. Te słowa brzmiały jak zachęta. Nic dziwnego, przecież sen w objęciach ukochanego to ogromna przyjemność.

Niestety w oknie wyszukiwarki pojawiły się również obrazy i drzeworyty przedstawiające szczerzącego się w uśmiechu Posłańca Śmierci, który stara się uwieść Dziewczynę.

Eve poczuła, jak przechodzi ją dreszcz, i zerwała się z krzesła. Postanowiła pójść po kawę. Przespaceruje się po korytarzu i wypije kubek gorącego napoju. Dzięki temu nie będzie myśleć o różowych kurtkach narciarskich i urwanej dłoni w rękawiczce, która leży na peronie pod zakrwawioną ścianą...

Kiedy stała przy swoim biurku, zauważyła, że w pokoju jest ktoś jeszcze. Daleko w kącie siedział jakiś facet schowany za ekranem komputera.

To był Gary. Pracował w dziale sportowym, ale Eve nawet nie pamiętała jego nazwiska.

W nocy biuro redakcji informacyjnej mogło przyprawić o gęsią skórkę. Wcześniej jakoś nie zdawała sobie z tego sprawy. Teraz, kiedy stała w ogromnym, prawie pustym pomieszczeniu, pomyślała o Layli Martin. Czy tak to właśnie wyglądało w dniu jej śmierci? Gdzieś w rogu zauważyła kolegę, któremu postanowiła zaufać tylko dlatego, że dostawał wypłatę od tej samej firmy?

Eve wzięła torebkę i wyszła na korytarz.

Zatrzymała się jednak i stanęła na chwilę po drugiej stronie drzwi. Pochyliła się i zajrzała przez małe okienko, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nikt jej nie śledzi.

Nie, nikogo nie było.

Czego się zresztą spodziewała? Przecież w biurze siedzi Gary, a nie jakiś szalony morderca.

– Idiotka – skarciła samą siebie i poszła po kawę.

\*\*\*

Z jakiegoś niejasnego powodu najbliższy ekspres stał w ciemnej wnęce w zupełnie innej części biura. Żeby się tam dostać, trzeba było przejść przez trzy długie korytarze i pokonać dwie pary drzwi przeciwpożarowych. Kiedyś pracownicy mieli na swoich biurkach czajniki, ale szefostwo powołało się na jakieś durne przepisy BHP i teraz, jeśli ktoś chciał się napić kawy, musiał zapłacić iWitness News pięćdziesiąt pensów za pół kubka gorzkiej lury. Herbata wydawała się odrobinę lepsza, ale tylko dlatego, że to nie od niej człowiek zaczynał dzień, więc przepaść pomiędzy oczekiwaniami a rozczarowaniem była tu znacznie mniejsza.

Eve nigdy wcześniej nie myślała o tym, że ekspres do kawy jest tak daleko od jej biura. Teraz nie mogła się jednak skupić na niczym innym.

Przechodziła właśnie przez drugą parę wahadłowych drzwi i żeby odgonić lęk, skupiła uwagę na rzeczach, które trzeba było zrobić przed świętami.

Czyli w zasadzie na wszystkim.

Musiała jeszcze pójść na zakupy. Nie miała przecież ani prezentów, ani jedzenia. Jak do tej pory nie udało się jej również ubrać choinki. Lampki wciąż leżały na podłodze w salonie, tam gdzie zostawił je Duncan, a bombek i lamet nie wyjęła nawet z pudełka, które od jakiegoś czasu stało w przedpokoju.

Tego samo dnia, kiedy wyciągnęła je z szafy, ojciec walnął ją pięścią w twarz.

Wiedziała, że nie może teraz o tym myśleć, więc skoncentrowała się na choince.

Boże Narodzenie bez ładnego drzewka nie miało sensu. Postanowiła kupić kurczaka, a nie indyka, ponieważ istniało mniejsze ryzyko, że ojciec się nim zadławi.

Zaczęła się zastanawiać, czy powinna zaprosić Joego na obiad, ale niemal od razu zdecydowała, że to zły pomysł. Nie chciała nikogo obarczać towarzystwem Duncana i związanym z tym stresem, szczególnie w święta.

Może kupi jeszcze jedną butelkę adwokata i upije się w samotności, jedząc brukselkę... Ho, ho, ho! Wesołych Świąt!

Naprawdę wolałaby, żeby zaczął się już styczeń. Głośno westchnęła, po czym wrzuciła do automatu pięćdziesiąt pensów i wybrała herbatę.

Na wyświetlaczu pojawiła się informacja, że zabrakło napoju. Trudno było w to uwierzyć. Nacisnęła guzik jeszcze trzy razy, ale ciągle dostawała tę samą głupią odpowiedź. Wybrała więc cappuccino, chociaż wiedziała, że maszyna zaserwuje coś, co wygląda jak americano z mlekiem, do którego ktoś napluł.

Ekspres wydał z siebie dziwny pomruk niczym reaktor atomowy przed wybuchem, po czym wypuł strumień kawy, który zaczął wypełniać rozchwiany kubek.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, Eve kichnęła cztery razy z rzędu, a potem czekała ze swędzącym nosem na piąte kichnięcie. Całe szczęście udało jej się powstrzymać, ale w duchu od razu przeklęła Guya Smitha. Ostatnie, czego teraz potrzebowała, to cholerne przeziębienie. Dotknęła swojego nosa i aż skrzywiła się z bólu. Chyba był złamany.

Rozległ się sygnał oznaczający, że napój jest gotowy. Kiedy podniosła kubek, usłyszała za plecami ciche skrzyknięcie.

Nie miała żadnych wątpliwości.

Odgłos kroków na linoleum.

Gwałtownie się odwróciła i chlusnęła kawą prosto w twarz Rossa Tobina.

Zaskowytał z bólu.

– Nigdy nie zachodź mnie od tyłu! – wrzasnęła. – Masz jakiś problem?

– Cholera jasna! – powiedział, wycierając oczy dolną częścią koszuli. – Chyba uszkodziłaś mi rogówkę.

– I bardzo dobrze! – krzyknęła. – Przynajmniej wiem, że nie zmarnowałam pięćdziesięciu pensów.

Wrzuciła kubek do wypełnionego po brzegi kosza na śmieci i zamaszystym krokiem ruszyła z powrotem do pokoju redakcji informacyjnej. Kiedy weszła do środka, zauważyła, że jej telefon wibruje i przesuwają się powoli do krawędzi biurka.

Odebrała połączenie i warknęła:

– Słucham, o co chodzi?

– Jestem tobą zawiedziony, Eve.

Wzdrygnęła się i rozejrzała nerwowo po biurze w obawie, że morderca wyłoni się nagle z jakiegoś ciemnego zakamarka.

Serce zaczęło jej walić jak szalone. Starła się uspokoić i wyrównać oddech.

– Dlaczego nie zrecenzowałaś mojego pokazu?

Przez chwilę się zawahała.

– Wprowadzano blokadę informacyjną. Nie wolno nadawać żadnych relacji na temat twoich zbrodni.

W milczeniu czekała na jego reakcję.

– Żeby wykonywać swoją pracę, nie potrzebujesz pozwolenia policji. Nie lubię, kiedy mnie okłamujesz – wyjaśnił cierpliwie jak ojciec, nauczyciel albo ksiądz. Poczula, że została złapana na gorącym uczynku, i ze wstydu załała się rumieńcem.

To idiotyczne!

Przecież rozmawia z przestępcą!

– Gównu mnie obchodzi, co lubisz, a czego nie! – syknęła. – Tak naprawdę nikogo nie interesuje gust kogoś, kto morduje niewinnych ludzi!

– Nie zajmuję się zabijaniem – powiedział ze spokojem w głosie. – To jest sztuka! W normalnym życiu moi modele są nikim i nic nie znaczą, ale po śmierci zaczynają skupiać na sobie uwagę. Są jak faraonowie: wszyscy ich fotografują, opisują i rozpieszczają. Oficerowie śledczy myślą o nich dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ich ciała można zobaczyć w telewizji i w gazetach. Ich rodziny otacza się czcią, a cały naród z zapartym tchem czeka, co z tego wyniknie. Nieznane do tej pory nazwiska pojawiają się nagle na ustach wszystkich...

– Modele tylko pozują artystom – wtrąciła Eve. – Nie umierają dla nich.

– Masz rację! Oni wcale nie odchodzą z tego świata. Moja sztuka sprawia, że stają się

nieśmiertelni! – Zaniósł się śmiechem. – Właśnie dlatego na twarzy Mony Lisy gości ten słynny uśmiech. Ona wie, że przetrwa sto, tysiąc, a może nawet milion lat. Czyż nie miała szczęścia? Mistrz nie zażądał od niej wygórowanej ceny. Przecież śmierć to tylko wybawienie od bólu i zmartwień codziennego życia. Nic wielkiego... Lepiej z błogością paść w objęcia nieuniknionego losu.

W jego głosie było coś hipnotyzującego.

I uwodzicielskiego.

Eve poczuła, że kręci jej się w głowie.

„Paść w objęcia nieuniknionego losu”.

– Przecież to żaden wstyd – ciągnął. – Co złego w tym, że pragniesz czyjejs śmierci, jeśli umieranie jest takie piękne?

Eve zamruwała oczami. To jest przecież...

Co takiego?

Czy właśnie miała zamiar dojść do wniosku, że wywód tego zwyrodnialca jest logiczny?

– Pierdol się! – krzyknęła, starając się otrząsnąć z szoku. – PIERDOL SIĘ! – Jej serce waliło jak młot. Czowała wściekłość i narastające poczucie winy. – Jeśli umieranie jest takie wspaniałe, to dlaczego nie wyświadczysz nam wszystkim przysługi i się nie zabijesz? Chcesz mordować? Proszę bardzo! Tylko nie mieszaj mnie do tego chorego przedsięwzięcia!

Rozłączyła się.

Nie wiedziała, czy wybuchnąć śmiechem, czy wpaść w panikę, więc zrobiła i jedno, i drugie.

Właśnie rzuciła słuchawką podczas rozmowy z seryjnym zabójcą!

Wbiła wzrok w telefon.

„Połączenie zakończone”.

„Zrobiłam to”, pomyślała. „I nie było to wcale takie trudne”.

Przeszedł ją dreszcz. Prawie mu się udało. Niemal nakłonił ją, żeby myślała w ten sam sposób co on. Zrobiło jej się niedobrze, kiedy przypomniła sobie szum w głowie i dziwne uczucie uległości. Była strasznie zmęczona i przez chwilę jego szaleństwo wydawało się całkiem racjonalne.

Jednak ostatecznie poniósł fiasko. Teraz to ona wygrała. Tego wieczoru zabrała mu jego publiczność, a tym samym pozbawiła go władzy.

Joe byłby z niej na pewno bardzo dumny!



Morderca nie miał stołu, więc pisał na kolanach, a za podkładkę służył mu nieudany obraz jakiegoś naśladowcy Caravaggia.

*Moja Dziewczyna przeżywa kryzys wiary.*

*Jednak w jej naturze leży stawianie pytań i poszukiwanie.*

*Oraz wątplenie.*

Nie był jakoś szczególnie zły, ale zaczął podkreślać słowo „wątplenie” grubą kreską i z coraz większym zapalem, aż zrobił dziurę w papierze i przebił następną kartkę, a potem jeszcze jedną...

Naciskał tak mocno, że złapał go skurcz.

Rozprostował dłoń i głośno wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby, po czym zaczął ostrożnie przerzucać kartki w notatniku A4. Dopiero na piątej stronie nie widać było śladu linii. Na czterech poprzednich wokół każdej dziury lub wgniecenia narysował z niezwykłą starannością okienko, żeby później przypadkiem niczego tam nie napisać. Nie chciał, żeby ktoś błędnie odczytał jego pięknie wykaligrafowane słowa. Każdy błąd i każda skaza oznaczały prawdziwą tragedię. To tak, jakby zasłonić któreś z eleganckich równań w *Principia Mathematica* Newtona brązowym śladem po kubku z kawą. Albo pozwolić, żeby szczeniak poobgryzał rogi manuskryptu teorii względności.

*Kiedy po nią przyszedłem, obdarzyła mnie pełnym zaufaniem. Teraz jest jak niewierny Tomasz, którego nie przekona ani twarz, ani postać zmartwychwstałego Chrystusa. On musi otworzyć własnym palcem zadaną przez Rzymian ranę i dotknąć ciała, w którym ponownie zamieszkał duch.*

Odłożył długopis i bezwiednie dotknął ręką swojej klatki piersiowej.

Serce było spokojne.

Przejechał paznokciem po krawędzi blizny, która zmieniała się w twardą białą wypukłość biegnącą przez środek jego ciała niczym łańcuch górski. Trzeba było czegoś więcej niż tylko palca, żeby zajrzeć do środka i zobaczyć zdradziecki organ odliczający kolejne sekundy do jego śmierci.

Nie wolno mu o tym myśleć. Przecież robi wszystko, co w jego mocy.

Opuścił rękę i spojrzał na drugą stronę sali balowej.

Na podłodze wciąż leżała pralka rozebrana na czynniki pierwsze. Części były starannie ułożone na planie kwadratu o boku długości około sześciu metrów.

Ten widok zawsze dodawał mu energii. Podobnie czuł się, kiedy kogoś zamordował.

Często przechadzał się między poszczególnymi elementami i podziwiał ich praktyczne piękno. Od czasu do czasu czyścił jakiś fragment obudowy albo poprawiał osiowanie silnika.

Wszystko musiało być w należyтым porządku.

Rozprostował długie białe palce i jeszcze raz pochylił się nad ukradzionym notatnikiem.

*Niech więc dręczą ją moralne skrupuły.*

*Niech włoży palec w bok swojego mistrza.*

*Niech wątpi.*

*I tak ją przekonam.*

16 GRUDNIA

Obudził ją huk zamykanej szafki kuchennej. Wiedziała, co się dzieje, jeszcze zanim otworzyła oczy. W ułamku sekundy wyskoczyła z łóżka.

Spojrzała na ekran swojego telefonu. 03.33.

Zeszła po cichu na parter, starając się omijać skrzypiące schodki. W kuchni paliło się światło.

Przez chwilę się zawahała. Weszła do salonu i sięgnęła po stojący przy sztucznym kominku pogrzebacz. Chrupiek siedział w swojej klatce, ale na widok swojej pani podniósł się na tylnych łapkach i trzymając się metalowej siatki, zaczął z zainteresowaniem obserwować, co się dzieje.

Eve ostrożnie przemknęła przez korytarz, starając się zapanować nad oddechem. Sprawdziła, czy pogrzebacz dobrze leży w dłoni. Serce waliło jej jak oszalałe i bała się, że intruz ją usłyszy.

W kuchni stał Duncan i robił sobie kanapkę.

Z serem i korniszonami.

– Cześć, tato!

Spojrzał na córkę i szeroko się uśmiechnął.

– Cześć, Evie.

Poczuła nagły przyptyw szczęścia.

Rozpoznał ją!

Wiedział nawet, jak ma na imię!

– Tato... – powiedziała, ocierając łzy z policzków. Nie była jednak w stanie nad sobą zapanować i na dobre się rozpląkała. Przysunęła krzesło, usiadła i nie przestając szlochać, wpatrywała się w ojca.

Robił wszystko, jak należy, i wiedział, gdzie szukać poszczególnych produktów: chleba, masła, sera i korniszonów. Po trzech latach wystawiania mleka za próg domu i wkładania pieczywa do zlewu potrafił przygotować jedzenie sprawnie i szybko, a na dodatek po sobie posprzątał.

Od czasu do czasu podnosił wzrok i uśmiechał się do córki.

Eve milczała. Nie chciała zerwać cieniutkiej nitki, która nagle połączyła ojca z rzeczywistością.

– Chcesz jedną? – zapytał i przekroił kromkę na pół.

– Tak, poproszę – odpowiedziała tylko dlatego, żeby móc obserwować, jak jeszcze raz wykonuje te same gesty. Patrzyła na ten przebłysk normalności ze łzami w oczach.

Kiedy skończył, wsadził jedną kanapkę do plastikowego pojemnika, a drugą położył na talerzyku.

– Dziękuję.

– Nie ma z co. Muszę się zbierać – oświadczył.

Ogarnęło ją złe przecucie.

– Dokąd?

– Do pracy. Musimy skończyć naprawę instalacji elektrycznej u pani Cole.

Zawahała się.

Jeśli zwróci mu uwagę, że jest nieodpowiednio ubrany albo że od wielu lat nie zajmuje się pracą zawodową, czar na pewno pryśnie.

A przecież wcale tego nie chce!

Tak naprawdę marzyła, żeby trwało to jak najdłużej. Świadomość, że ojciec ją rozpoznaje, była dla niej niezwykle cenna. Nie mogła jednak pozwolić, żeby wyszedł z domu w taki ziąb i chodził po śniegu w samej piżamie.

– Jest jeszcze trochę za wcześnie, tato.

– Naprawdę? – Zerknął na zegarek, którego nie miał, więc tylko zmarszczył czoło. – Która jest właściwie godzina?

– Dochodzi czwarta nad ranem – odpowiedziała.

Zauważył wiszący na ścianie zegar i znowu się skrzywił.

– Dochodzi czwarta – powtórzył.

Wyraźnie speszony spojrzał na masło.

– To po jaką cholere robię kanapki?

– W nocy zmienił się czas – skłamała bez mrugnięcia okiem. – Też dałam się nabrać i zesłam za wcześniej na śniadanie.

Duncan zaniósł się nerwowym śmiechem.

– Chyba powariowaliśmy – powiedział.

– No raczej – potwierdziła z uśmiechem. – Powinniśmy wrócić do łóżka.

– Tak – zgodził się, ale kiedy Eve wstała z krzesła, nawet się nie ruszył, tylko patrzył na pudełko, w którym schowana była kanapka z serem i korniszonami. – Ale przecież cofnęliśmy zegary o godzinę, a ja wstaję o wpół do siódmej.

Spojrzał na córkę. W jego oczach zobaczyła strach jak u małego dziecka.

\*\*\*

Déjà vu.

Duncan Singer przeżył już coś podobnego, ale nie mógł sobie przypomnieć kiedy.

Ani dlaczego to jest takie przerażające.

Schował kanapkę do pudełka i miał zamiar iść do pracy. Ale przecież jest już na emeryturze! I to od wielu lat!

Nie był sobie jednak w stanie przypomnieć, od jak dawna.

Ale jeśli nie musi chodzić do pracy, to czemu wstał tak wcześniej i zaczął robić śniadanie?

Przecież jest środek nocy!

I dlaczego Eve nie spała?

Na dodatek była dużo starsza, niż mu się wydawało.

Coś mu najwyraźniej umknęło. Był pewien, że musiał czegoś nie zauważyć, więc postanowił przeanalizować wszystko od samego początku.

Ale gdzie był początek? Czy wtedy, gdy zszedł w ciemności po schodach, żeby przygotować jedzenie? Czy może wtedy, kiedy się obudził i stwierdził, że nie ma koło niego Maggie, więc poszedł jej szukać na dole?

Ale przecież ona nie żyła.

Zamrugął oczami, jakby zdziwiony, że to kanapka ujawniła przed nim okrutną prawdę.

Jego żona zmarła wiele lat temu.

Zapomniał o tym.

Zrobiło mu się słabo. Jak mogło do tego dojść? Co się stało, że nie pamiętał o czymś tak... okropnym? Przecież bardzo ją kochał. To niewiarygodne!

Musiał stracić rozum.

Nagle wszystko stało się jasne. Przypomniał sobie lekarza. Doktor Gupta dotknął jego dłoni i spojrzał na niego niezwykle łagodnym wzrokiem. Właśnie poinformował Duncana o jego chorobie. Stopniowo będzie tracił pamięć i cała przeszłość zniknie, jak gdyby ktoś wrzucił ją za kanapę.

Pamiętał doktora Gupta, ale zapomniał o śmierci własnej żony.

Stał ze wzrokiem wbitym w plastikowe pudełko i czuł, jak rośnie w nim strach, wypierając wszystkie inne uczucia, myśli i troski.

Spojrzał na córkę, żeby sprawdzić, czy również ona zna smutną prawdę o Maggie. Tak, wiedziała o wszystkim, ale zatrzymała to dla siebie!

Dlaczego?

– Evie? – zapytał łamiącym się głosem. – O czym jeszcze zapomniałem?

\*\*\*

Odchodził. Coraz bardziej zapadał się w siebie!

Patrzyła, jak ojciec powoli traci kontakt z rzeczywistością, tak jakby kolejne fale sztormu spychały go z pokładu łodzi. Nie dało się tego powstrzymać. Podeszła bliżej i mocno go przytuliła. Miała nadzieję, że obejmując jego ciało, będzie w stanie kontrolować jego umysł.

Niestety to było niemożliwe.

– Zrobiłaś zakupy na święta? – zapytał.

Na chwilę straciła głos. Trzymała go kurczowo, przyciskając mokry policzek do jego ciepłego ramienia.

– Tak, tato – wykrztusiła z trudem.

– Co od ciebie dostanę?

– Szklane oko.

Poklepał ją delikatnie po plecach i powiedział:

– Właśnie tego chciałem.

\*\*\*

Pomogła mu wejść na górę i położyć się z powrotem spać, a potem wyczerpana osunęła się na łóżko i załamała rękę. Wyglądała trochę jak wariatka na jakimś starym obrazie.

Jej ojciec ciągle istnieje.

Tylko gdzieś się ukrywa.

Na chwilę wrócił do tego świata i zachowywał się całkiem normalnie. Był spokojny i miał świetny kontakt z córką. Jednak potem ponownie zniknął, jakby pochłonęła go jakaś otchłań, w którą wciągnął go żyjący w jego mózgu demon. Demon, który sprawował nad nim pełną władzę.

Najgorsze było jednak to, że Duncan zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę.

Czasem wydawało się, że żyje w błogiej nieświadomości. Niestety przychodziły straszliwe chwile, w których doskonale wiedział, kim jest i co się z nim dzieje... Mimo to miał tyle wpływu na rzeczywistość, co piórko, które podczas huraganu próbuje lecieć wytyczoną przez siebie trasą.

Był jak więzień, który stara się wyjść z celi, ale nie potrafi znaleźć drzwi.

Ponieważ w ogóle ich nie ma.

Nagle zadzwonił telefon leżący na nocnym stoliku.

Eve wcale nie miała zamiaru się spieszyć. Kiedy wstawała, zatrzeszczały nogi starego łóżka. Nawet nie spojrzała na ekran, tylko przytknęła aparat do ucha. Była zbyt zmęczona, żeby się martwić o to, kto i dlaczego niepokoi ją o tej porze.

– Cześć, Eve.

– Czego chcesz?

– Zawarliśmy umowę.

– Nieprawda.

Nawet nie zareagował.

– Złamałaś jej warunki.

– Nie było żadnej umowy – powiedziała beznamiętnym głosem. – Jesteś mordercą, a ja dziennikarką. Oboje wykonujemy swoją pracę. To wszystko.

– Owszem, ja robię, co do mnie należy, a tobie będzie bardzo przykro, o ile nie zaczniesz się wywiązywać ze swoich obowiązków.

Grozi jej. Nie miała jednak siły, żeby się tym przejmować.

– Jestem zmęczona – oznajmiła. – Nie chcę, żebyś się ze mną kontaktował.

Rozłączyła się. Tym razem nie poczuła jednak ani strachu, ani radości. Z przyzwyczajenia sprawdziła listę ostatnich połączeń.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Zabójca nie zastrzegł swojego numeru!

W jej żyłach zaczęła krążyć adrenalina. To było jak nagłe porażenie prądem. Serce waliło jej jak młotem, a ręce trzęsły się tak bardzo, że dopiero za trzecim razem zdołała zadzwonić do Huw Reesa.

– Słucham? – zapytał zaspanym głosem.

– Huw Rees?

– Tak.

– Tu Eve Singer. Morderca znowu się ze mną skontaktował, ale tym razem mam jego numer!

– Co takiego?

– Mam jego numer! W swoim telefonie! Nie uwierzysz, ale dzwonił z cholernego numeru stacjonarnego! Teraz z łatwością namierzemy jego adres! 0208...

– Poczekaj.

W słuchawce rozległo się ciche mamrotanie, a potem Huw Rees zaczął się gramolić z małżeńskiego łóża.

Robił to jednak bardzo powoli.

Eve chciała go postawić do pionu i wsadzić mu do ręki ołówek, żeby jak najszybciej zapisał numer i wszczął poszukiwania. Liczyła, że już za chwilę inspektor wyśle na miejsce radiowóz, policjanci wywleką mordercę z jego barłogu, przyprą kolanem, wykręcą mu ręce i założą kajdanki. Naprawdę miała nadzieję, że to wszystko zaraz się skończy.

– Podaj mi ten numer – powiedział wreszcie Rees.

Zrobiła, o co ją poprosił.

– Oddzwonię.

– Okay.

Rozłączyła się. Po raz kolejny nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Jednocześnie bała się i była podekscytowana. Nie miała jednak pojęcia, któremu z tych uczuć powinna się poddać. Rosła w niej irytacja i w pewnym momencie zaczęła się cała trząść, co wyglądało dość komicznie.

Siedziała na łóżku, starając się uspokoić. Zmarzły jej stopy i przeszedł ją dreszcz. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie może znowu wejść pod kołdrę. Czeką przecież na ważną wiadomość. Za chwilę skontaktuje się z nią policja i powiedzą, że namierzyli mordercę i są właśnie w drodze, żeby go aresztować.

Zadzwonił telefon.

– Udało się – powiedział Huw Rees, ale z tonu jego głosu wywnioskowała, że coś jest nie tak. Inspektor sprawiał wrażenie lekko przygnębionego. – Dzwonił z budki telefonicznej.

– Cholera – syknęła do słuchawki. – Niech to szlag trafi!

– Wysłałem na miejsce radiowóz, ale ten koleś na pewno już dawno się ulotnił.

Eve była zdruzgotana. Morderca mógł zadzwonić z dowolnego miejsca i już nigdy więcej tam nie wrócić. Prześladował ich pech. Między oczekiwaniami a rzeczywistością ziała przepaść.

– Gdzie konkretnie był? – zapytała.

– Na Isleworth – odpowiedział i przerzucił stronę w notesie. – A dokładnie na College Road.

Ale to przecież był jej adres!

Przez chwilę wydawało jej się, że ma coś nie tak z głową.

– To mój numer – powiedziała. – Ja tutaj mieszkam. Przepraszam, pewnie musiałam się pomylić.

– Co takiego? – zapytał Rees.

– Mój dom stoi przy College Road.

Zapadła cisza.

– Ale ten koleś dzwonił z automatu – wyjaśnił Rees i odczytał numer, który od niej dostał.

To nie był jej numer.

Wstała i podeszła na palcach do okna.

– Eve?

Po drugiej stronie ulicy w blasku latarni lśniła czerwona budka telefoniczna. Wyglądała trochę jak plama zaschniętej krwi.

– Eve? Jesteś tam?

– To moja budka telefoniczna – wyszeptała.

A potem wybiegła z sypialni.

Była boso i miała na sobie różową pizamę. Pognęła w dół po schodach, po chwili była już w ogródku. Ruszyła przed siebie, otworzyła furtkę, przycisnęła się między samochodami i przeszła na drugą stronę ulicy.

Stała przed budką i szarpnięciem otworzyła drzwi.

W środku było pusto. Słuchawka wisiała na haczyku i czuć było delikatny zapach lawendowego odświeżacza powietrza.

Poczuła, że marznie.

Jej stopy były lodowate.

Zrobiło jej się głupio. Co tak naprawdę chodziło jej po głowie? Całe szczęście, w budce wcale nie czaił się morderca.

Teraz, kiedy zaczęła wreszcie racjonalnie myśleć, nie była w stanie powiedzieć, co dobrego mogłoby wynikać z tej szaleńczej eskapady przez śnieg.

Nagle rozległ się dzwonek i aż podskoczyła z wrażenia. Wpatrywała się w wielką czarną słuchawkę przypominającą wiszący na haku kij.

Automat nie przestawał dzwonić.

Niech dzwoni. To na pewno nie do niej. Ktoś źle wybrał numer. Na sto procent pomyłka. Zawsze tak było.

Jednak ten ktoś nie dawał za wygraną.

Odebrała.

– To takie w twoim stylu, Eve! – powiedział morderca i wybuchnął śmiechem.

– C-c-co?

Rozłączył się.

Z hukiem odwiesiła słuchawkę i stała ze wzrokiem wbitym w czarny aparat. Od betonowej podłogi bił taki ziąb, że aż rozbolały ją nogi.

Co takiego było w jej stylu? Chodziło o to, że wybiegła na śnieg ubrana jedynie w pizamę? Nie miała pojęcia. Była skołowana.

– Halo!

Ktoś krzyknął stłumionym głosem, jak gdyby z zaświatów.

Eve zdała sobie sprawę, że w drugiej ręce cały czas trzyma swoją komórkę i wcale nie zakończyła rozmowy z inspektorem Reesem.

– Jestem w budce – powiedziała. – Nie ma go tutaj.

– Jezu Chryste! – krzyknął Rees. – Co ty, do cholery, wyprawiasz? Wracaj do domu i czekaj na

moich ludzi!

– Ale on właśnie do mnie zadzwonił.

– I co powiedział?

– Że to w moim stylu.

– I miał rację – warknął Rees. – Ten wariat może być wszędzie. Wracaj do siebie i zamknij drzwi na klucz!

– Okay – zgodził się Eve.

– I cały czas bądź ze mną w kontakcie.

– Okay – powtórzyła.

Kiedy wybiegła z domu, wszystko działo się tak szybko, że nie miała czasu spanikować.

Jednak teraz obleciał ją strach. Rees kazał jej się nie rozłączać, ponieważ wiedział, że morderca może zaatakować.

Wyrzała na zewnątrz przez małe odrapane okienka otaczające ją z trzech stron. Niestety szyby niemal od razu zaparowały, więc wstrzymała oddech i przetarła je dłonią.

Na College Road panował spokój. Ulica wyglądała jak ze świętecznej pocztówki.

Przez jedną ze ścian budki nie dało się wyrzeć i Eve nie miała pojęcia, jakie niebezpieczeństwo może się czaić po drugiej stronie, raptem kilka centymetrów od niej. Ktoś mógł tam na nią czyhać.

Żeby to sprawdzić, musiałyby wyjść na chodnik i obejść budkę dookoła.

Może też po prostu rzucić się do ucieczki.

Nagle zdała sobie sprawę, że znajduje się w małej czerwonej pułapce.

Poczuła zastrzyk adrenaliny i zanim zdążyła cokolwiek pomyśleć, szarpnęła za drzwi i wyskoczyła na zewnątrz. Przeszła przez ulicę po swoich własnych śladach, prześliznęła się między samochodami i potknęła o niewidoczny krawężnik. Poleciała na bok i uderzyła łokciem w beton, ale poderwała się tak błyskawicznie, że nawet nie zarejestrowała upadku. Otworzyła furtkę, przebiegła prowadzącą do domu ścieżką i zatrzasnęła za sobą drzwi wejściowe.

Przekręciła zasuwkę i powiedziała zdyszczanym głosem do słuchawki:

– Jestem bezpieczna!

– Dobrze. Pod którym numerem mieszkasz?

– Czteryście dwadzieścia dwa.

– Nikomu nie otwieraj, tylko policjantom. Hasło brzmi: „Zwycięstwo”.

– „Zwycięstwo”. Okay.

Rozłączyła się i wbiegła na górę po schodach, zapalając po drodze wszystkie światła.

Zatrzymała się na półpiętrze, żeby zebrać myśli. Uznała, że niepokojenie ojca mija się z celem. Przecież tej nocy już raz się obudził. Postanowiła obserwować ulicę z okna swojego pokoju i wpuścić gliniarzy do środka, zanim zdążą zapukać. Potem zabierze ich do kuchni, gdzie będą mogli spokojnie porozmawiać, nie robiąc zbytniego hałasu.

Zajrzała do sypialni Duncana. Nikogo tam nie było.

– Tato?

Włączyła światło.

Pusto.

Cholera.

Przeszukała pozostałe pokoje i łazienkę, po czym zbiegła na parter.

Tutaj też go nie było.

Ponownie sprawdziła wszystkie pomieszczenia, tym razem wołając ojca po imieniu. Na stole w kuchni cały czas leżało pudełko z kanapką. Tyłne drzwi były zamknięte na klucz, ale Duncan musiał jakoś wyjść z domu.

Zatrzymała się w korytarzu i zaczęła intensywnie myśleć.

Czuła, że ogarnia ją coraz większy niepokój.

Czy kiedy wybiegała na ulicę, na pewno przekręciła klucz w drzwiach wejściowych?

Chyba nie...

Czy w ogóle je zamknęła?

Po plecach przeszły jej ciarki. Wszystko sobie przypomniała: za wszelką cenę chciała dorwać mordercę i tak bardzo się spieszyła, że zostawiła otwarte drzwi.

Kiedy wróciła, nadal były uchylone.

O mój Boże!

Niewykluczone, że Duncan wyszedł z domu i nawet się nie zorientował, że znalazł się na zewnątrz.

Mógł pójść dosłownie wszędzie...

Eve podbiegła do drzwi i sięgnęła do zasuwki, ale w ostatniej chwili cofnęła dłoń.

„Nikomui nie otwieraj”.

Kto da jej gwarancję, że zabójca nie czai się gdzieś na zewnątrz? Nawet Huw Rees dopuszczał taką możliwość. Ale musi przecież znaleźć ojca! Snuje się gdzieś teraz wśród zasp śnieżnych, i to w samej pizamie!

Pobiegła do kuchni, żeby wziąć latarkę, po czym włożyła płaszcz i wciągnęła kalosze. Buty były w środku nieprzyjemnie chłodne, zimniejsze od jej stóp, ale nie chciała tracić czasu na szukanie skarpetek. Wsunęła telefon do kieszeni i podniosła raketę tenisową, która wciąż stała oparta o ścianę.

Położyła rękę na zasuwce, gotowa do wyjścia.

Wzięła głęboki oddech i...

Na chwilę zamarła w bezruchu.

Ściągnęła brwi, wpatrując się w wierzch swojej dłoni. Coś nie dawało jej spokoju. Coś ważnego. Nie mogła pozbyć się tego dziwnego wrażenia.

Zmarszczyła nos i zaczęła wąszyc. Wyraźnie poczuła... jakiś obcy zapach.

Co to było?

I skąd się wzięło?

Powoli obróciła głowę w prawą stronę i poczuła, jak truchleje ze strachu.

Jak to możliwe?

Na stoliku w korytarzu paliła się zapachowa świeczka Yankee.



To nie moja wina – powiedziała przygnębionym głosem.

– Nie, nie twoja – potwierdził Joe.

– Mogłam wybierać. Albo przystaję na jego warunki, albo go prowokuję.

– I na co się zdecydowałaś?

– Zgadnij. – Wydmuchała spuchnięty obolały nos w chusteczkę.

Joe i Eve zajęli miejsca na kanapie, a inspektor Rees i komisarz Marr siedzieli w wysłużonych fotelach ustawionych po obu stronach kominka.

Huw Rees sprawiał wrażenie przepracowanego: miał wygniecione ubranie i pił za dużo kawy. Sprawa Layli Martin okazała się czymś więcej niż tylko pojedynczym morderstwem. Inspektor kierował teraz zakrojonym na szeroką skalę dochodzeniem i wyglądał, jakby nie spał od listopada.

Eve była mu wdzięczna za szczerość, ponieważ nie twierdził, że to nie była jej wina.

Joe dotknął jej ręki.

– Szkoda, że nie powiedziałaś mi o swoim ojcu – wyszeptał. – Mogłem pomóc.

Pokręciła głową.

– Nikt mu nie może pomóc.

– Miałem na myśli ciebie, a nie jego.

Nie wiedziała, jak zareagować, więc milczała. Nie sądziła, by ktokolwiek był w stanie zaakceptować jej sytuację. Nigdy nawet nie pomyślała, że ktoś z własnej woli chciałby jej pomóc.

Ścisnęła dłoń Joego.

Czuła się odpowiedzialna za śmierć Maddie Mathews i za to, że szaleniec porwał jej ojca. To wszystko było jej winą. I niezależnie od tego, co się wydarzy, będzie musiała z tym żyć do końca swoich dni.

Objęła rękami kubek, który nadal był ciepły, chociaż herbata już się skończyła. Dochodziła jedenasta rano. W powietrzu wciąż unosił się wyraźny zapach drzewa sandałowego, mimo że świeczka Yankee zgasła dawno temu. Funkcjonariusze próbowali zdjąć z niej odciski palców, ale niczego nie znaleźli.

Od czasu do czasu za oknem przechodzili policjanci. Niektórzy byli w mundurach, inni mieli na sobie cywilne ubrania lub białe kombinezony ochronne i kalosze w takim samym kolorze. Powiedzieli, że podczas poszukiwań muszą być otwarci na wiele możliwości. Przecież Duncan Singer oddalał się wcześniej od domu i być może tak samo było tym razem.

Eve wiedziała, że się mylą, i przyglądanie się ich powolnej, metodycznej pracy doprowadzało ją do szaleństwa.

W kuchni znaleziono śnieg. Rzecz jasna, kiedy na miejscu pojawił się zespół techników kryminalnych, zostały tylko kałuże zimnej wody. Więcej było na schodach, na półpiętrze i obok łóżka Duncana. Ktoś musiał nad nim stać, zanim...

Zanim... co?

Zanim wyprowadził go z domu na mróz? Czy może wcześniej coś go obezwładnił? A może dał mu jakiś środek odurzający i wlekl po ścieżce, którą tak starannie uprzątnął pan Elias, że nie dało się odnaleźć żadnych śladów?

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – oznajmił komisarz Marr, jak gdyby mówił do kogoś upośledzonego umysłowo. – Całą okolicę przeczesuje obecnie kilkunastu policjantów.

– Gdyby mój ojciec po prostu gdzieś się zapodział, na pewno już by go znaleźli – powiedziała Eve bez ogródek. – Żywego albo martwego.

– Mógł zasnąć w jakiejś szopie – kontynuował Marr. – Mógł wsiąść do autobusu...

Eve cisnęła kubek na drugi koniec pokoju. Roztrzaskał się nad kominkiem, zostawiając na tapecie herbaciany kleks przypominający kształtem plamę z testu Rorschacha.

– On mnie obserwował! – krzyknęła z wściekłością. – Był w moim domu! Nawet zapalił

w korytarzu tę pieprzoną świeczkę!

Po gwałtownym wybuchu emocji zaległa nagle grobowa cisza. W całym domu zapanował bezruch, a trzech mężczyźni wymienili nerwowe spojrzenia, jak gdyby w głębi duszy doskonale zdawali sobie sprawę, że kobiety, mimo miłej powierzchowności, potrafią eksplodować jak bomba z opóźnionym zapłonem.

Komisarz Marr gapił się na pilota od telewizora, jak gdyby pierwszy raz w życiu widział takie urządzenie.

Huw Rees spojrział na przeciwległy kraniec salonu i zapytał:

– Czy to jest chomik?

– Tak – odpowiedział Joe z wyraźną ulgą, po czym wstał z kanapy, delikatnie wyjął Chrupka z klatki i podał go inspektorowi. Marr również wykazał zainteresowanie i pochylił się, żeby lepiej zobaczyć zwierzątko.

Kręcący się po domu technicy kryminalni wrócili do pracy, ale teraz zachowywali się znacznie ciszej.

– Moje dzieci też mają chomiki – powiedział Rees i pogłaskał Chrupka po główce swoim wielkim kciukiem.

Eve poczuła, że przechodzi ją dreszcz. Pomimo ognia w kominku była przemarznięta do szpiku kości i wydawało jej się, że nic nie jest w stanie jej rozgrzać.

– Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co robi – oznajmiła ponurym tonem. – Przewidział moje zachowanie. Wiedział, że namierzycie numer i że nie będę na was czekać, tylko wybiegnę na ulicę jak jakaś pieprzona wariatka. Potem zadzwonił do budki, żeby mieć pewność. Właśnie dlatego się roześmiał i powiedział, że to w moim stylu. Wtedy tego nie zrozumiałam, ale teraz to oczywiste.

Zapadła wymowna cisza.

Tym razem nawet Marr nie silił się na żarty, które miały poprawić jej nastrój i sprawić, żeby nie czuła się winna.

– Mój ojciec może już nie żyć! – powiedziała łamiącym się głosem. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– Nie sądzę – odezwał się wreszcie Huw Rees, starannie dobierając słowa. – Jeśli morderca miałby taki plan, zabiłby Duncana w domu. To o wiele prostsze niż wyprowadzenie na ulicę starszego, oszołomionego mężczyzny. Był środek nocy, a w tym samym czasie ty stałaś zamknięta w budce telefonicznej.

Eve skinęła głową. To wytłumaczenie trzymało się kupy.

– Mogę cię prosić o przysługę? – zapytała inspektora.

Rozłożył ręce i oznajmił:

– Zawsze możesz spróbować.

– Chciałabym, żebyś nie publikował w tej sprawie komunikatu dla prasy. Wiem, że jestem hipokrytką, ale nie mogę sobie wyobrazić dziennikarzy, którzy przyjdą do mojego domu i będą pukać do moich drzwi. Oni są dokładnie tacy sami jak ja... – Zrobiła się czerwona na twarzy i zamilkła.

– W porządku – zgodził się Rees, a Eve spojrziała na Joego z wyraźną ulgą. – Cały czas mamy do czynienia z potencjalnym zagrożeniem, więc dla dobra operacji powinniśmy otoczyć cię opieką.

– Operacji? – powiedziała.

– Morderca ma obsesję na twoim punkcie i dlatego muszę ci przydzielić osobistą ochronę.

– Dasz jej goryla? – zapytał Joe.

– Tak, wydaje mi się, że to rozsądne posunięcie.

Eve odruchowo otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Wyobraziła sobie wielkiego jak dąb, umięśnionego policjanta, którego zadaniem będzie strzec jej przed zabójcą. Na samą myśl poczuła się lepiej. W końcu znalazła się w nieznanym świecie, w którym biegała boso po śniegu, a w tym samym czasie jakiś zwyrodnialec wywlekał jej ojca z łóżka i zabierał nie wiadomo dokąd.

Szybko więc przytaknęła i powiedziała:

– Znaleźliście coś interesującego w budce telefonicznej?

Marr potrząsnął swoją łysą głową.

– Trochę odcisków palców. Czy to prawda, że budkę regularnie sprząta jeden z sąsiadów?

– spytał, wyciągając z kieszeni notes.

– Tak, pan Elias.

Eve była u niego wcześniej i poinformowała go o zniknięciu Duncana. Nie wspomniała jednak, że ojciec mógł zostać porwany przez seryjnego zabójcę. Zrobiła tak częściowo dlatego, że policjanci nie do końca wierzyli w ten scenariusz, a częściowo ponieważ sama wstydziła się o tym opowiadać. Chociaż wokół domu sąsiada nie znaleziono żadnych świeżych śladów, pan Elias włożył buty i powiedział, że dla pewności pójdzie jeszcze sprawdzić ogród.

– Elias, no tak, niezły świr – powiedział Marr.

– Raczej miły starszy pan – próbowała go bronić Eve.

– No cóż, weźmiemy jego odciski do porównania. Zamontowaliśmy też przed jego domem malutką kamerę. Gdyby morderca wrócił, będziemy mieli darmową fotkę.

Marr głośno westchnął i oznajmił:

– Najgorsze, że ten typ robi się naprawdę bezczelny.

Na twarzy Reesa pojawił się cień uśmiechu.

– Wręcz przeciwnie, to raczej dobra wiadomość – oznajmił inspektor.

– Co masz na myśli? – zapytał Joe.

– Jeśli rzeczywiście porwał pana Singera, to oznacza, że się rozkręca i zachowuje coraz bardziej lekkomyślnie. Wiemy już, że lubi mieć widownię, więc musi występować w miejscach publicznych. Brawura może go jednak zgubić. Moim zdaniem rosną szanse, że go złapiemy. Kurczę, załatwił mi się na rękę.

Eve skinęła głową i dopiero po dłuższej chwili połączyła ostatnie słowa Huw Reesa z faktem, że chomik wypróżnił się na jego dłoń. Szybkim ruchem podniosła zwierzątko i wsadziła je z powrotem do klatki. Rees pokazał jej dwa brązowe bobki. Zrobił to gestem mędrca wręczającego komuś dary wątpliwej jakości.

– Przepraszam – powiedziała i podała mu papierową chusteczkę.

Rees skrzywił się, zebrał gówienka do chusteczki i wytarł dłoń.

– Skąd ten facet zna twój adres?

– Nie mam...

Przerwała w pół zdania i otworzyła usta ze zdumienia. Gdzieś w najdalszych zakamarkach jej umysłu w pocie czoła harował jakiś niewolnik i właśnie w tym momencie pokazał jej wyniki swoich poszukiwań. Przypomniała sobie środek nocy, oświetlony przez uliczne latarnie żywoplot i rozbrzmiewające za jej plecami kroki.

– O mój Boże! – wyszeptała. – Teraz wszystko jasne! To przecież właśnie ten koleś szedł za mną aż do samego domu.

– Co takiego? – zapytał Joe. – Kiedy?

– Kilka tygodni temu. To było bardzo późno wieczorem tego samego dnia, kiedy zginęła Layla Martin. Niezłe mnie wystraszył. Dochodziła pierwsza i ulice były zupełnie puste. Szedł dosłownie kilka kroków za mną, a potem... – Sparaliżowana strachem zawiesiła głos. Miała wrażenie, że znowu słyszy jego kroki. Była pewna, że nie uda jej się dojść do żywoplotu i już nigdy nie wróci do domu.

– Był tak blisko, że mógł wyciągnąć rękę i złapać za końcówkę mojego szalika...

Zaległa cisza. Wszyscy zaczęli wyobrażać sobie tę scenę: mocne szarpnięcie, Eve traci równowagę i leci do tyłu. Szybka, cicha śmierć. Wytrzeszczone oczy i sina twarz...

– I co się stało? – zapytał Joe.

– Nic. – Wzruszyła ramionami. – Poprosiłam, żeby odprowadził mnie do domu, a on się zgodził.

– Jak to?

– Odwróciłam się i zapytałam, czy odprowadzi mnie do domu. Powiedział, że tak, i poszedł ze mną aż do samej furtki.

– Rozmawiałaś z zabójcą? – wyszeptał Marr.

– Przecież nie wiedziałam, że to on! – oznajmiła podniesionym głosem i aż poczerwieniała ze złości. – Byłam sama i strasznie się bałam. Myślałam, że zaraz zostanę zaatakowana, zgwałcona i zamordowana. Zareagowałam instynktownie.

– Jezus Maria! – westchnął Joe. – Naprawdę powinnaś być ze mną bardziej szczerą!

– Możesz go opisać? – zapytał Rees, a Marr otworzył swój notes.

– Tak, ale niezbyt szczegółowo. Było ciemno. Na dodatek miał na głowie kaptur, a twarz owinał sobie szalikiem. Średniego wzrostu, biały, szczupły, raczej młody. Przynajmniej tak mi się wydaje...

– A fryzura? Kolor oczu?

– Naprawdę było ciemno – powtórzyła, marszcząc brwi. – Wydawał się taki... zwyczajny.

Marr zapisał wielkimi literami: „ZWYCZAJNY”, po czym cmoknął z niezadowolaniem i wszystko skreślił.

Rees głośno westchnął.

– To całkowicie zmienia postać rzeczy. Łączy cię z mordercą specjalny związek. Być może porwał twojego ojca, żeby w jakiś sposób znaleźć się bliżej ciebie.

– Nie łączy nas żaden związek – odparowała szorstko.

– Ależ łączy! – nalegał Rees. – I to ty go stworzyłaś, kiedy zwróciłaś się do niego o pomoc. Jestem co do tego absolutnie przekonany, nie wiem tylko, dlaczego tak się stało. Możliwie, że polectałaś jego próżność. Albo nieświadomie odwołałaś się do moralnego imperatywu nakazującego udzielić wsparcia komuś, kto nas o to prosi. Mogłaś też zaapelować do jego poczucia przyzwoitości...

– Jasne, on i poczucie przyzwoitości! – prychnął Joe.

– Seryjni zabójcy nie zawsze zachowują się jak wariaci. Inaczej złapanie ich byłoby jak bułka z masłem – wyjaśnił Rees, wzruszając ramionami, po czym zwrócił się do Eve: – Niezależnie od wszystkiego, nawiązałaś z nim kontakt, co sprawiło, że odstąpił od realizacji wcześniejszego planu. Zobaczył w tobie konkretną osobę, a nie ofiarę. Nie mam wątpliwości, że gdybyś nie poprosiła go o pomoc, zabiłby cię.

Nagle wszystko stało się jasne.

Powinna już nie żyć.

Gdy tylko o tym pomyślała, zakręciło jej się w głowie i przeszedł ją dreszcz. Była przerażona, ale jednocześnie cieszyła się, że udało jej się uniknąć nieszczęścia. Granica między życiem a śmiercią była w końcu bardzo cienka.

A potem nagle doznała olśnienia.

Gdyby to ona zginęła, jej ojciec byłby teraz bezpieczny.

## Część trzecia

17 GRUDNIA

W progu stała drobna czarnoskóra kobieta z torbą podróżną w ręku.

– Dzień dobry – przywitała ją nieco opryskliwie Eve. Miała nadzieję, że nie ma do czynienia z domokrążcą albo z kimś, kto będzie się starał ją nawracać.

– Dzień dobry – odpowiedziała kobieta, lekko się uśmiechając. – Sierżant Aguda z wydziału dochodzeniowego. Mam zadanie panią ochraniać.

Eve zamrugała oczami, starając się nie okazać zdziwienia.

Jej ochroniarz wyglądał jak... filigranowy elf.

– Aha – mruknęła. – W takim razie zapraszam do środka.

– Nie – zaprotestowała Aguda. – Popełniła pani pierwszy błąd. Nie jestem policjantką, tylko płatnym zabójcą gotowym panią udusić gołymi rękami.

Eve zmarszczyła czoło i spojrzała na drobne dłonie sierżant Agudy.

– Naprawdę? – zapytała z powątpiewaniem.

– Czemu nie – potwierdziła Aguda wyzywająco. – Poza tym otworzyła pani przede mną drzwi na oścież, nie poprosiła o pokazanie legitymacji i od razu chciała wpuścić do środka. To raczej mało rozsądne zachowanie, jak na kogoś, kogo przesładuje seryjny zabójca, prawda?

Eve lekko się zjeżyła.

– Ale on nie jest czarnoskórą kobietą!

– A nie przyszło pani do głowy, że może mieć współnika? Na przykład dziewczynę albo wynajętą aktorkę? Co to za problem zgarnąć z ulicy jakąś przypadkową osobę i zagrozić jej śmiercią, jeśli nie będzie robić tego, co się jej każe?

– Jezus Maria! – westchnęła Eve. – Chyba trochę pani przesadza.

Aguda wzruszyła ramionami.

– A czy przecięcie komuś rdzenia kręgowego podczas projekcji filmu z Liamem Neesonem również nie jest przesadą?

– Owszem! – zgodziła się Eve. – W takim razie, czy mogę zobaczyć pani legitymację?

Policjantka uśmiechnęła się z aprobatą i wyjęła z kieszeni dokumenty.

– Jestem tutaj, żeby panią chronić, ale jest wiele rzeczy, które może pani sama zrobić dla własnego bezpieczeństwa, panno Singer.

– Mówmy sobie na ty.

– W porządku – powiedziała Aguda, ale nie wyjawiała, jak ma na imię.

Eve otworzyła szerzej drzwi i wpuściła funkcjonariuszkę do środka. Aguda stanęła w korytarzu i rzuciła dookoła fachowym okiem.

– Inspektor Rees poinformował mnie, że masz odpowiednie odruchy, co powinno znacznie ułatwić mi pracę.

– Świetnie.

– Przeziębłaś się? – zapytała Aguda.

– Na to wygląda. Mam nadzieję, że się ode mnie nie zarazisz.

– Ja nigdy nie choruję – oświadczyła z dumą w głosie policjantka. – Ostatni raz byłam na zwolnieniu siedem lat temu. Od tego czasu nie miałam nawet kataru.

– Nieźle! – powiedziała Eve, chociaż tak naprawdę pomyślała, że brak przeziębień wcale nie musi być oznaką zdrowia.

Aguda zajęła się zakładaniem urządzeń śledząco-nagrywających w telefonie stacjonarnym, a Eve poszła zrobić sobie i policjantce coś ciepłego do picia.

Obie lubiły herbatę w wersji „robotniczej”, czyli mocną i słodką. Niestety szybko skończyły się im tematy do rozmowy, więc siedziały przy stole w milczeniu i powoli sęczyły gorący napój.

– Zdaję sobie sprawę, że mieszkanie z kimś obcym pod jednym dachem może być nieco krępujące – powiedziała Aguda. – Postaram się jednak nie wchodzić ci w drogę.

Jasne, wprowadzasz się do mojego domu i wydaje ci się, że możesz nie rzucać się w oczy, pomyślała Eve, ale udzieliła dyplomatycznej odpowiedzi:

– Jestem pewna, że to nie potrwa długo.

– Obyś miała rację – przytaknęła policjantka.

Eve nie za bardzo wiedziała, co mogłaby jeszcze dodać. Jednocześnie doskonale zdawała sobie sprawę, o jak wielu rzeczach nie może mówić.

Spojrzała znad krawędzi kubka na sierżant Agudę, skupiając wzrok na jej małych dłoniach i szczupłych nadgarstkach.

„Szczupłe” to nie było jednak właściwe słowo.

Należałoby raczej powiedzieć: „wątle”.

Policjantka wstała i zaczęła spacerować po pokoju.

Na dodatek jest taka niska! – pomyślała Eve. Aguda nie miała więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu. Gdyby chciała stawić czoło jakiemukolwiek seryjnemu mordercy, wystarczyło, żeby ten podniósł ją do góry i odstawił na bok, a następnie kontynuował swoją zbrodniczą działalność.

Policjantka otworzyła tylne drzwi i sprawdziła zabezpieczenia.

– Zamek typu yale oraz rygiel – podsumowała wyniki oględzin. – Wygląda solidnie.

– To dobrze.

– Ale brakuje łańcucha.

– Owszem – potwierdziła Eve. – Z tych drzwi korzystają tylko domownicy.

– Oraz seryjni mordercy. Trzeba będzie zamontować łańcuch.

Aguda kontynuowała inspekcję. W pewnym momencie odpięła lśniące kajdanki przytroczone do paska z tyłu dżinsów i zaczęła się nimi bawić. Otwierała je, wykonując zamaszty ruch nadgarstkiem, a potem błyskawicznie zamykała.

Trrrrrt.

Trrrrrt.

Ten hipnotyczny dźwięk przywodził na myśl więzienne filmy.

Eve zaczęła się zastanawiać, czy Aguda nie próbuje jej przypadkiem zastraszyć, i ze złości aż zacisnęła szczęki.

Dałabym jej radę, pomyślała.

Chociaż nie wypowiedziała tych słów na głos, poczuła się głupio. Do tej pory nigdy nie wdała się w bójkę z inną dziewczyną i nie mogła uwierzyć, że takie rzeczy chodziły jej po głowie. Była jednak strasznie wkurzona! Jeżeli sierżant Aguda to jedyne, co policja może jej zaoferować w kwestii ochrony, to Huw Rees chyba życzy jej rychłej śmierci! Eve nie tylko górowała nad nią wzrostem, lecz także ważyła przynajmniej piętnaście kilogramów więcej.

Przy policjantce miała wrażenie, że jest wielkoludem.

I na dodatek czuła się gruba...

Aguda otworzyła okno i do kuchni wpadł powiew mroźnego powietrza.

– Nie ma zamków? – zapytała funkcjonariuszka.

– Nie.

– W żadnym oknie?

– Nie – powtórzyła Eve. Miała wrażenie, że jest traktowana jak idiotka, a cała sytuacja wydawała jej się co najmniej absurdalna. Okay, nie zamontowała zamków w oknach, wielkie mi rzeczy. Przecież to nie ona jest specjalistą do spraw bezpieczeństwa i ekspertem od seryjnych morderców. To była rola sierżant Agudy. Która została oddelegowana, żeby chronić Eve przed atakiem nieobliczalnego psychopaty, a tymczasem sprawdza zamki, jak gdyby była ochotniczką ze straży sąsiedzkiej, a Eve przygląda emerytką. Czy nie powinny się raczej zająć analizą możliwych scenariuszy rozwoju wypadków? Może należy stworzyć coś w rodzaju domowego schronu albo opracować trasę ucieczki?

Eve uznała, że Aguda jest nie tylko niska, lecz także cholernie niekompetentna. Jakże tak

naprawdę ma kwalifikacje? Czy może się pochwalić jakimś doświadczeniem?

Eve zdecydowała, że należy ją o to zapytać. A co tam! Ma przecież prawo wiedzieć, ilu ludzi Aguda do tej pory ochraniała i ilu to przeżyło. Czy ktoś, kto znalazł się pod jej kuratelą, został porwany lub zamordowany? Jak wiele było takich wypadków? Oczekiwała twardych danych: liczb i statystyk. Musiała przeprowadzić ocenę ryzyka. Zdawała sobie sprawę, że może zranić uczucia policjantki, ale chodziło przecież o jej życie. Postanowiła użyć wszystkich dziennikarskich sztuczek, żeby wydobyć potrzebne informacje. Zacznie delikatnie, a potem, kiedy Aguda będzie się tego najmniej spodziewała, zada serię trudnych pytań.

Odkasznęła, po czym zwróciła się do policjantki swobodnym tonem, starannie dobierając słowa:

– W jaki sposób trafiłaś do tego zawodu?

Aguda szeroko się uśmiechnęła.

– Chodzi ci o to, że jestem taka niska?

– A jesteś? – Eve zalała się rumieńcem.

– Nie powinnaś się o to martwić – powiedziała policjantka. – Mam czarny pas nie tylko w judo, lecz także w kickboxingu. Ukończyłam odpowiednie szkolenia i mam spore doświadczenie w następujących dziedzinach: ochrona osobista, działania antyterrorystyczne, zaawansowane techniki jazdy samochodem, psychopatologia, domowe systemy bezpieczeństwa, inwigilacja i kontrinwigilacja, ratownictwo medyczne, medycyna urazowa oraz reanimacja. Mogę się również pochwalić wieloma sukcesami w prowadzeniu negocjacji kryzysowych oraz rozwiązywaniu konfliktów.

– Ależ ja się wcale nie martwię – oznajmiła Eve.

– To dobrze. Jednak gdybyś była zaniepokojona moim wzrostem...

– W ogóle mnie to nie interesuje!

– To powinnaś wiedzieć, że zawsze noszę przy sobie olbrzymią giwerę.

– Naprawdę? – zapytała Eve z powątpiewaniem w głosie. – Gdzie ją masz?

– Tutaj.

Aguda sięgnęła za plecy i w jakiś magiczny sposób wyciągnęła stamtąd pistolet, po czym położyła go na stole. Eve nie mogła oderwać wzroku od ciężkiego przedmiotu w kolorze matowej czerni, od którego aż biła złowroga moc.

To była prawdziwa broń, z której naprawdę można było kogoś zabić.

Po dłuższej chwili odstawiła filiżankę i powiedziała:

– Dzięki Bogu!

Obie wybuchnęły śmiechem.

Kiedy się uspokoiły, Aguda znowu wstawiła wodę na herbatę i wreszcie się przedstawiła. Okazało się, że ma na imię Emily.

\*\*\*

Żeby zostać oficerem wydziału dochodzeniowo-śledczego, Emily Aguda musiała przejść dłuższą drogę niż inni funkcjonariusze.

Wszystko dlatego, że jest Murzynką.

Powtarzała jednak, że tak już musiało być. Po prostu padła ofiarą stereotypów.

Jeszcze na studiach służyła w policji jako ochotniczka współpracująca z lokalną społecznością. Potem skończyła z wyróżnieniem prawo na uniwersytecie w Reading i dostała etat na posterunku w Londynie. Jednak przez kilka pierwszych lat siedziała w recepcji za szklaną szybą niczym eksponat w ogrodzie zoologicznym. Chodziło o to, żeby pokazać wszem wobec, że w służbach mundurowych nie panuje dyskryminacja ze względu na płeć lub kolor skóry.

Rzecz jasna było wręcz przeciwnie i właśnie dlatego ludziom sprawującym władzę tak bardzo zależało na tym, żeby Emily Aguda rzucała się w oczy. Chcieli upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Nie przyszło im jednak do głowy, że można to zrobić inaczej.

Pracowała więc na pierwszej linii frontu i chociaż bezpośredni kontakt ze zwykłymi ludźmi przynosił jej dużo satysfakcji oraz pozwalał na zebranie wielu dziwnych i ekscytujących doświadczeń,



zawsze chciała się rozwijać i iść do przodu. Wyobrażała sobie, że w innej, bardziej ambitnej roli mogłaby lepiej wykorzystać swoją inteligencję. Tymczasem wir codziennych obowiązków raczej ją ogłupiał i miał niewiele wspólnego z pracą dochodzeniową z prawdziwego zdarzenia.

Bardzo możliwe, że utknęłaby w recepcji na dobre i doczekała tam emerytury, ale w pewnym momencie jeden z przełożonych, którego zresztą nigdy nie lubiła, ponieważ był rasistą, seksistą i ogólnie mizantropem, zarekomendował ją do awansu.

Zabawne, jak się czasem w życiu plecie.

Właśnie dzięki temu skurczybykowi Emily Aguda mogła wreszcie dołączyć do zespołu dochodzeniowo-śledczego i chodzić do pracy w cywilnych ciuchach. W krótkim czasie jej inteligencja i wyjątkowe opanowanie zostały docenione i awansowała na sierżanta. Szybko zdała sobie jednak sprawę, że z powodu opóźnionego startu jej perspektywy na dalszy rozwój kariery są znacznie ograniczone. Dlaczego ktoś miałby awansować trzydziestoletnią kobietę, jeśli pod ręką był dwudziestopięcioletni facet, który na dodatek nigdy nie zajdzie w ciążę? Co prawda Emily nie planowała na razie rodzić dzieci, ale w dzisiejszych czasach kwestia awansu wiązała się nie tylko z konkretnymi ludźmi, lecz także ze statystyką. Chodziło przede wszystkim o to, żeby wycisnąć jak najwięcej z tego, co ci dają, a potem spokojnie przejść na emeryturę wypłacaną, rzecz jasna, z publicznych pieniędzy.

Emily Aguda była pragmatyczką, więc postanowiła, że zamiast próbować wejść na szczyt, walcząc z wiatrakami, lepiej stworzyć dla siebie niszę gdzieś pośrodku hierarchii. Zawsze była silna i wysportowana, oczywiście jak na swoje gabaryty: miała metr pięćdziesiąt pięć wzrostu i ważyła maksymalnie czterdzieści pięć kilogramów. W wieku siedmiu lat zapisała się na kickboxing, a trzy lata później zaczęła trenować piłkę nożną. Była na tyle dobra, że wypatrzyli ją łowcy talentów z żeńskiej drużyny Arsenalu Londyn. Miała wtedy czternaście lat i przez całe wakacje piła mleko i podnosiła ciężary z nadzieją, że jej leniwe kości wreszcie się obudzą i jeszcze trochę urosną.

Niestety tak się nie stało.

Podczas wieloletniej służby na posterunku w dzielnicy Lewisham zauważyła jednak wyraźny brak należycie wykwalifikowanych policjantek specjalizujących się w ochronie osobistej świadków, odwiedzających miasto ważnych osobistości oraz zwykłych ludzi, którym groziło jakieś niebezpieczeństwo. Było to dość dziwne, ponieważ w takich sytuacjach pomocy najczęściej wymagały kobiety.

Kiedy znalazła już lukę na rynku, postanowiła zapisać się na odpowiednie szkolenia, które oferowała londyńska policja metropolitalna. Musiała też odbyć kilka kursów poza tą instytucją. Jej dotychczasowe osiągnięcia sportowe i znajomość sztuk walki niezwykle się wtedy przydały. Była szybkim, agresywnym kierowcą i – jak się wkrótce okazało – świetnym strzelcem. Z czasem tak bardzo polubiła pistolety, że zaczęło ją to lekko niepokoić. Wcześniej była zdecydowaną przeciwniczką noszenia broni przez zwykłych funkcjonariuszy.

Teraz była to jednak część jej pracy.

I całe szczęście, ponieważ sprawiało jej to ogromną frajdę!

Jak do tej pory nie oddała strzału na służbie i miała nadzieję, że nigdy nie będzie musiała tego robić, ale trenowała sumiennie, ponieważ od jej umiejętności mogło zależeć czyjeś życie. Sprawne posługiwanie się bronią było kolejnym punktem na długiej liście dotychczasowych osiągnięć sierżant Agudy.

W ciągu niecałych trzech lat udało jej się odnieść sukces i została pierwszą osobą, do której się zwracano, gdy pojawiała się zapotrzebowanie na ochronę wysoko postawionych polityczek i celebrytek lub zwykłych kobiet narażonych na atak. Po pięciu latach pomagała koordynować proces rekrutacji młodych funkcjonariuszek, które chciały wykonywać podobne misje na terenie całego kraju.

Nic nie dawało jej jednak większej satysfakcji niż wykonywanie konkretnych zadań operacyjnych. Mogła wtedy w pełni rozwinąć skrzydła i wykorzystać swoje zdolności interpersonalne, bystry umysł i warunki fizyczne. Co więcej, potrafiła wszystko doskonale skoordynować. Za każdym razem udawało jej się wyprowadzić w pole przeciwników i wyeliminować wszelkie zagrożenie.

Od kiedy zaczęła pracować w tej branży, udaremniła porwanie członka rządu, obezwładniła

mężczyznę uzbrojonego w maczetę, który próbował uciąć głowę swojej byłej żonie, oraz, działając w pojedynkę, rozbroiła i aresztowała dwóch napastników, którzy z nożami i kawałkami plastikowych kabli włamali się do domu znanego dziennikarza prowadzącego telewizyjny talk-show. Kiedy przybyły posiłki, funkcjonariusze znaleźli bardziej krewkiego bandytę pod kanapą. I nie był to wcale mały mebel, tylko ogromna trzyosobowa skórzana sofa z wbudowanymi podnóżkami. Mężczyzna pozwał potem londyńską policję do sądu. Sprawę rzecz jasna przegrał. Podczas składania zeznań Aguda musiała stanąć na skrzynce, żeby ławnicy mogli ją dobrze widzieć. Przyznała, że rzeczywiście zrzuciła na włamywacza sofę, ale nie zrobiła tego „z dużej wysokości”.

Po udaremnieniu próby porwania ministra musiała zostać na służbie do następnego dnia. To był najdłuższy dyżur w jej życiu. Kiedy zbierała się już do domu, sierżant Frank Sallis zaprowadził ją do męskiej toalety na trzecim piętrze, żeby coś jej pokazać. Na ścianie w jednej z kabin ktoś nabazgrał: „Aguda jest zajebista”. Poczowała dumę i do oczu napłynęły jej łzy.

Nie martwiła się zatem, że Eve Singer nie za bardzo ufa jej umiejętnościom.

Była przyzwyczajona do tego, że ludzie jej nie doceniają.

I to był jej największy atut.

Duncan Singer obudził się w jakimś zimnym i ciemnym miejscu. To na pewno nie była jego sypialnia. Na głowie miał torbę z miękkiej bawełny, a w ustach czuł dziwny chemiczny smak. Na dodatek ktoś związał mu ręce za plecami i bolały go ramiona.

– Maggie?

Materiał delikatnie dotykał jego twarzy i wybrzuszał się za każdym razem, gdy Duncan wydychał powietrze. W pomieszczeniu panowała wilgoć i instalacja elektryczna nie działała jak należy. Podobny problem miała pani Cole i właśnie dlatego zdecydowała się go zatrudnić.

– Maggie?

Obrócił się z boku na plecy, ale w tej pozycji bardzo bolały go dłonie, więc przekręcił się na drugą stronę i uderzył nosem w coś twardego. Podłoga była drewniana, ściana wygładzona gipsem, a listwa przypodłogowa wyjątkowo wysoka. To właśnie w nią wyrznął nosem. Był pewien, że to nie jego robota. On kładł zwykle listwy, a ta była fikuśna.

Odsunął się do tyłu i czekał, aż coś się wydarzy.

Zdrętwiały mu palce, więc zaczął nimi przebierać.

Zrobił się też głodny.

– Maggie? – zawołał. – Gdzie jesteś?

Chyba go nie słyszała.

– Maggie! – krzyknął jeszcze głośniejsze. – Możesz mi zrobić kanapkę?

– Kim jest Maggie?

– To moja żona – wyjaśnił Duncan. Najwyraźniej nie był sam, chociaż nie słyszał, żeby ktoś wchodził do pomieszczenia. Po chwili jakiś mężczyzna chwycił go pod pachy i posadził na podłodze.

Duncan nie wiedział, jak daleko jest ściana, więc nie próbował się o nią oprzeć. Zamiast tego starał się usiąść po turecku, tak jak robią to harcerze. Miał wrażenie, że ostatni raz siedział w ten sposób wiele lat temu, ale wtedy było to o wiele łatwiejsze. W końcu jednak się udało.

– Strasznie boli mnie głowa – powiedział.

– To z powodu ketaminy. Używają jej weterynarze.

– Na ból głowy?

– Nie, dają psom.

– Aha – przytaknął Duncan. – Też mamy psa. Strasznie zanieczyszcza powietrze.

– Uwolnię ci ręce, ale nie odsłaniaj oczu – polecił nieznajomy.

– Dobrze.

Mężczyzna przeciął więzy i Duncan poczuł, jak jego dłonie bezwładnie opadają na podłogę. Dotknął parkietu, ale palce zdrętwiały mu tak bardzo, że z początku nie był w stanie nawet nimi poruszyć.

– Ojej! – jęknął.

– Tak, ojej – powiedział nieznajomy i odszedł. Rozległo się echo oddalających się kroków.

To musiał być bardzo duży pokój.

– Gdzie jesteś?

Mężczyzna milczał.

Duncan powoli wyjął ręce z za pleców i zaczął rozcierać nadgarstki.

– Maggie?

Coś zgrzytnęło na drewnianej podłodze, jak gdyby ktoś przesunął po niej jakiś przedmiot. Potem rozległy się kroki. Mężczyzna szedł w stronę Duncana, ale tym razem wolniej i bardziej ociężale.

Stał za jego plecami.

– Okay – powiedział. – Teraz możesz odsłonić oczy.

Duncan podciągnął torbę do góry na tyle, żeby móc cokolwiek zobaczyć.

Siedział w wielkim pomieszczeniu.

Naprawdę olbrzymim.

Zaczęło świtać. Przez wysokie okna wpadał łagodny pomarańczowy blask i kładł się na pokrytej kurzem podłodze z drewna wiśniowego. Duncan zamrugał oczami i burknął coś pod nosem.

Na środku pokoju ktoś wybudował miasto.

Wokół nowoczesnego stadionu stały drapacze chmur, kamienice czynszowe, place zabaw dla dzieci i rzędy szeregowców, a nawet gazownia. Na ziemi leżał śnieg, spod którego gdzieniegdzie wystawały kępki trawy i resztki zarośli. Miasto rysowało się pięknie na tle wschodzącego słońca, a wysokie budynki rzucały bajkowe cienie na ulice i parki. Mieszkańcy spieszyli się do pracy, wyprowadzali psy albo spotykali się ze znajomymi, żeby pogadać i wypić kawę.

Wszystko w miniaturze.

Przypominało to miniaturowe miasteczko, które Duncan odwiedzał w dzieciństwie. Razem z Maggie zabrali kiedyś Eve i Stuarda do takiego miejsca gdzieś na południowym wybrzeżu: podziwiali sięgające im do pasa wieże kościołów z kurkami na szczycie i doglądających żywego inwentarza malutkich farmerów. W parku na estradzie występowała orkiestra. Jeden z muzyków grał na tubie wielkości kciuka dorosłego mężczyzny.

To było wspaniałe.

Ale nierealne.

Zamknął na chwilę oczy, a potem znowu je otworzył.

Jego wzrok zdążył przyzwyczać się do przestrzeni i światła. Zrozumiał, że popełnił błąd. To, co widział, nie było wcale miastem, tylko bezładną masą różnych części: fragmentów białej obudowy, plastikowych węży, przełączników, przekaźników i poskręcanych kabli, które wyglądały jak żywoptoty i drzewa.

Stojący w centrum ogromny stadion okazał się metalowym cylindrem z tysiącem okrągłych okienek...

– Czy to jest.... – zaczął, ale przerwał w pół zdania i zmarszczył brwi. – Czy to jest pralka?

Stojący za nim mężczyzna przestąpił z nogi na nogę, po czym krzyknął wyraźnie zaskoczony:

– Tak!

Światło cały czas się zmieniało i teraz łatwiej było zrozumieć, dlaczego Duncan się pomylił. To, co widział, można było wziąć za miniaturowe miasteczko ze stadionem w kształcie srebrnego bębna, zaroślami z miedzianych drutów oraz mechanicznymi ludzikami wyprowadzającymi na spacer psy zbudowane ze śrubek. Jego piękna wizja blakła w promieniach wschodzącego słońca, ale mogła powrócić następnego dnia rano. I tak w nieskończoność.

– Potrafię to naprawić – powiedział. – Jeśli rzecz jasna ma pan wszystkie części. – Omiótł wzrokiem podłogę i nagle lekko się skrzywił, jakby zauważył, że brakuje czegoś ważnego. Ważnego, przynajmniej z jego perspektywy.

Chodziło o jakiś duży element...

Wreszcie zrozumiał.

– Gdzie jest przeciwwaga?

– Tutaj – powiedział mężczyzna.

Duncan podniósł wzrok.

Nieznajomy miał w rękach ważący około dwudziestu kilogramów blok z betonu. Trzymał go bezpośrednio nad... głową pana Singera.

– Aha – mruknął Duncan, lekko się uśmiechając. – Hotpoint.

Eve i sierżant Aguda oglądały razem *Prawdziwe żony z hrabstwa Orange*. Wcześniej zjadły paluszki rybne i otworzyły butelkę białego wina. Okazało się, że *Jak to się robi* nie jest wcale takie złe. Eve zdała sobie również sprawę, że po raz pierwszy od dwóch lat przygotowała posiłek z prawdziwego zdarzenia. Oznaczało to, że niezależnie od tego, gdzie był jej ojciec, na pewno cierpiał na krzywicę. To była kolejna pozycja na liście jej przewinień. Po powrocie Duncana Eve będzie codziennie kupować świeże warzywa i więcej czerwonego mięsa, żeby uzupełnić niedobory żelaza. Postara się też odbierać nadgodziny, żeby mogli wspólnie spędzać czas w parku albo nad morzem. I już nigdy nie będzie mu życzyła śmierci...

Kiedy ojciec wróci do domu...

Przełknęła ostatni łyk wina i powiedziała:

– Hej! Pokaż mi ten trik z kajdankami.

– Jaki trik?

– No wiesz, to, co robiłaś wcześniej.

Aguda szeroko się uśmiechnęła, po czym odpięła bransoletki od paska z tyłu spodni.

– O to ci chodzi?

Sprawnym ruchem nadgarstka otworzyła kajdanki, po czym błyskawicznie je zamknęła i rozległo się przyjemne kliknięcie.

Eve zmarszczyła czoło.

– Jeszcze raz!

Była lekko wstawiona, ale Aguda wykazała się cierpliwością. Po kilku godzinach Eve zdążyła wytrzeźwieć i była w stanie sama wykonać sztuczkę. Robiła to co prawda dość wolno, ale poprawnie.

Trudno się było od tego oderwać.

Po jakimś czasie Aguda dyskretnie ziewnęła, po czym oznajmiła:

– Chyba położę się spać.

Eve ulokowała ją w pokoju Stuarta, w którym pełno było tandetnych gadżetów związanych z programem *Top Gear* i niedokończony model „Titanica” w skali 1:24. Stuart zaczął go składać z części dołączonych do jednego z tych idiotycznych tygodników dla fanów modelarstwa. Szybko jednak przestał, ponieważ ojciec delikatnie zwrócił mu uwagę, że to bez sensu. Za jeden element Stuart płacił pięć funtów dziewięćdziesiąt dziewięć pensów, co oznaczało, że sklejenie miniatury we własnej sypialni kosztowałoby go prawie tyle samo, co wybudowanie oryginalnego statku.

Eve również poszła do łóżka, ale tylko przewracała się z boku na bok. Trudno jej było sobie wyobrazić, że jeszcze kiedykolwiek zaśnie. Kiedy zamykała oczy, widziała swojego ojca: przerażonego, zziębniętego, dezorientowanego, rannego...

Lub nawet martwego.

Straszne obrazy przewijały się w jej umyśle jak ujęcia z jakiegoś horroru.

Mimo to czuła, że jeśli zacznie myśleć o czymś innym, to zostawi ojca samego na pastwę losu. Jej zadaniem było dotrzymanie mu towarzystwa, przynajmniej do czasu, aż go odnajdą.

Powinna zadzwonić do Stuarta.

Nie była jednak w stanie tego zrobić.

Tak naprawdę było jej wstyd i nie chciała go niepokoić. Kiedy odszukają Duncana, będzie wystarczająco dużo czasu, żeby o wszystkim opowiedzieć bratu.

A co, jeśli się nie uda?

Na samą myśl ścisnęło ją w gardle i wydała z siebie piskliwe jęknięcie.

„Tato, błagam, wracaj do domu. Bardzo cię przepraszam. To wszystko moja wina. Proszę cię, wróć!”

Nagle rozdzwoniła się jej komórka.

Aguda stała już w drzwiach sypialni Eve. Była zwarta i gotowa, jak gdyby przez cały czas

trzymała wartość na półpiętrze.

Numer zastrzeżony.

Eve wpatrywała się w ekran i wyglądała tak, jakby telefon miał zamiar ją ugryźć. Czego od niej chce ten zwyrodnialec? Co takiego powie? Jak powinna zareagować?

Nie miała bladego pojęcia.

– Odbierz – spokojnie powiedziała Aguda.

Posłuchała jej.

– Cześć, Eve.

Zmarszczyła brwi. To nie był morderca, ale głos w słuchawce brzmiał znajomo.

– Guy?

– Cześć.

Spojrzała na Agudę i pokręciła głową. Jej kieszonkowy ochroniarz bezszelestnie się wycofał.

– Czego ode mnie chcesz, do cholery?

– No cóż, miałem dla ciebie prezent, ale jeśli traktujesz mnie w ten sposób... – powiedział wyniośle.

– Przestraszyłeś mnie, to wszystko.

– Dlaczego?

– Bo jest późno, Guy! Leżę już w łóżku!

– Jest dopiero wpół do dziesiątej. Ile ty masz lat? Pięćdziesiąt?

Miała ochotę trzasnąć słuchawką. Życie jej ojca wisi na włosku, a ten debil chce grać w jakieś durne gierki. Nie ma na to czasu!

Jednak Guy nigdy wcześniej do niej nie dzwonił. Na dodatek w jego głosie było coś, co sprawiło, że się zawahała. I nie chodziło wcale o typowe dla niego nieprzyjemne spoufalanie się. Do tego zdążyła przywyknąć. Teraz pojawiło się coś nowego. W jego gładkiej gadce był jakiś nieznany do tej pory element i dlatego się nie rozłączyła, chociaż doświadczenie nakazywało jak najszybciej zakończyć rozmowę.

– Przepraszam, Guy – powiedziała, starając się zachować spokój.

– W porządku – odparł wyraźnie udobruchany. – Spotkajmy się w YO! Sushi na stacji Paddington. Przyjdź sama.

– Kiedy?

– Teraz.

– Nie mogę, jestem zajęta.

– Nieprawda. Przecież leżysz w łóżku, zapomniałaś? Zakładam, że nie masz towarzystwa.

– Zamknij się. – Kichnęła, po czym wytarła nos w chusteczkę, krzywiąc się z bólu.

– Zaraziłaś się ode mnie? – zapytał Guy i głośno się roześmiał.

– Tak.

– Masz katar?

– Tak.

– No cóż, rozchorujesz się jeszcze bardziej, jeśli się ze mną nie spotkasz – powiedział pewnym siebie tonem. – Będzie ci leciało z nosa jak ze szlaucha.

– Po co te podchody? Nie możesz mi po prostu powiedzieć?

– Nie. I to ja wyświadczam ci teraz przysługę, więc lepiej bądź dla mnie miła.

– Co masz na myśli, mówiąc: „miła”?

– Zwyczajnie miła.

Eve wydeła pogardliwie usta.

– Nie pójde z tobą do łóżka, Guy.

– Nie pochlebiaj sobie! – Wybuchnął śmiechem, a Eve oblała się rumieńcem.

– Dobrze – powiedziała.

– Co dobrze?

– Dobrze, dziękuję.

– Teraz lepiej – odparł i odłożył słuchawkę.

\*\*\*

YO! Sushi.

Guy Smith uwielbiał ten lokal. Kiedyś wyznał, że właśnie tam spotyka się ze swoimi informatorami. Eve podejrzewała, że zaspokajał w tym miejscu swój instynkt jaskiniowca: chodziło o to, żeby upolować metroseksualny lunch, który podjeżdżał do niego na taśmociągu.

Eve pojawiła się w restauracji kwadrans po dwudziestej drugiej. Guy był w trakcie posiłku.

– Jesteś sama? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała. W zasadzie nie skłamała. Emily Aguda czekała przecież na zewnątrz. Zabroniła wychodzić Eve samej z domu, a Eve szybko zrozumiała, że jeśli się jej przeciwstawi, to Aguda i tak będzie ją śledzić.

Policjantka podrzuciła ją do restauracji policyjnym range roverem, a po zakończonym spotkaniu miała ją odwieźć z powrotem do domu. W niektórych sytuacjach posiadanie osobistego ochroniarza okazywało się więc całkiem przydatne.

Guy konsumował łososia teriyaki i miał brodę pobrudzoną sosem. Wskazał palcami na stół i zapytał:

– Masz na coś ochotę?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała Eve. – Już złapałam od ciebie przeziębienie.

– Pewnie strasznie boli, kiedy próbujesz wydmuchać nos – zażartował.

Uniosła brew, a on wybuchnął śmiechem.

– Co ci się tak naprawdę stało?

– Ktoś walnął mnie pięścią w twarz.

– O kurczę! Jak wyglądał?

– Nie chcę o tym rozmawiać. Co dla mnie masz, Guy?

Guy złapał talerz z California rolls i od razu wsadził sobie jeden kawałek do ust. Kiedy mówił, Eve musiała patrzeć na obracającą się między jego zębami posklejaną białą masę z fragmentami szpinaku.

– Coś, co wydaje się być bardzo interesujące.

– Coś, co wydaje się bardzo interesujące. – Nie miała pojęcia, dlaczego to zrobiła. Normalnie nie poprawiała błędów popełnianych przez innych ludzi, jednak Guy Smith wyzwał w niej najgorsze instynkty.

– Wydaje ci się, że jesteś taka cholernie bystra, prawda? – burknął Guy i włożył do ust kolejny kawałek jedzenia. – Zawsze musisz się wymądrzać.

Eve głośno westchnęła.

– Przepraszam – powiedziała i poczuła, że robi jej się przykro. – Miałam ciężki tydzień.

– Okay, w porządku – oznajmił i posłał jej protekcyjny uśmiech. – Wybaczam ci.

Chciała odpowiedzieć mu jakąś ciętą ripostą, ale w ostatniej chwili ugryzła się język.

– Dziękuję, Guy. Przejdźmy do rzeczy. Co dla mnie masz?

Na dłuższą chwilę zaległa cisza. Guy ścigał po talerzu kolejny kawałek sushi. Wreszcie udało mu się go schwycić palcami. Podniósł go do góry i spojrzał na Eve z wyrazem tryumfu na twarzy.

– Ogłoszenie.

Serce zaczęło jej walić jak oszalałe i miała szum w uszach. Otaczający ich gwar nagle przycichł.

– Co takiego?

Guy wepchnął sobie do ust kolejną porcję surowej ryby z ryżem.

– Ogłoszenie – powtórzył. – Ogłoszenie reklamujące wystawę.

Eve była w szoku i z trudem wykrztusiła z siebie pytanie:

– Gdzie?

Guy dotknął palcami przodu swojej marynarki.

– Tutaj.

– Nie pytam, gdzie wsadziłeś ogłoszenie, tylko gdzie ma się odbyć wystawa!

Guy szeroko się uśmiechnął. Miedzy zębami miał biało-zielone resztki jedzenia.

– Hm, za dużo chcesz wiedzieć.

– Guy, musisz przekazać mi tę informację – oznajmiła szorstkim tonem.

– Naprawdę? Nie zauważyłem, żebyś ty pisnęła choćby słówko na temat ulotek, które sama znalazłaś.

Eve zrobiła się czerwona. Skąd wiedział o wcześniejszych ulotkach? Od Huw Reesa? Od komisarza Marra? A może cały zespół dochodzeniowy przecieka jak sito? W końcu zawarli umowę! Rees zagwarantował jej wyłączność, a teraz miało to przecież decydujące znaczenie! Dla Guya to była kolejna robota, a dla niej kwestia życia i śmierci. Życia i śmierci jej ojca.

– W tej sprawie zarządzono blokadę informacji...

– Gówno prawda – burknął. – Przez ciebie moja kariera zawodowa wisi na włosku. Od zabójstwa Layli Martin dostaję mocno po dupie. Staram się nadrabiać zaległości, ale ciągle zostaję w tyle. Wreszcie dowiaduję się dlaczego. Okazuje się, że masz jakiś układ z gliniarzami i dostajesz cynk o ogłoszeniach rozwieszanych przez zabójcę! To jest, kurwa, niewiarygodne! – Pokręcił głową, jak gdyby nie był w stanie pojąć, że Eve może zachowywać się jak rasowy dziennikarz.

– Słuchaj, Guy, układ polegał na tym, żebym o tym nie informowała opinii publicznej. To ja przyniosłam glinom te ogłoszenia, a nie odwrotnie. Staralam się, żeby wiadomości o tym zwyrodnialcu nie przedostały się do mediów. Ten kutas ma parcie na szkło. Jeśli dasz mu to, czego chce, staniesz się współwinny.

– Współwinny? – Guy zmarszczył czoło. – Ja tylko wykonuję swoją pracę. W odróżnieniu od ciebie.

– Zgłosiłeś to na policję?

– Nie bądź głupia.

Złapał pałeczkami ostatni kawałek sushi, ale Eve w ostatniej chwili zabrała mu talerz przed nosa.

– Hej!

– Słuchaj – syknęła, usiłując zachować spokój. – Dwa dni temu ten skurwiel porwał mojego ojca. Muszę wiedzieć, gdzie ma się odbyć ta wystawa, ponieważ chcę, żeby policja dotarła na miejsce, zanim on go zabije. Czy teraz rozumiesz, dlaczego to dla mnie takie ważne?

Guy przestał przeżuwać jedzenie i wydawało się, że jej uwierzył.

Ale trwało to tylko przez moment.

– Myślisz, że dam się nabrać, Eve?

– Mówię prawdę.

Uśmiechnął się.

– Cały czas myślałem, że jesteś lepszą reporterką ode mnie. Okazało się jednak, że tylko lepiej kłamiesz. A może po prostu pieprzysz się z Huw Reesem.

– Z nikim się nie pieprzę! – krzyknęła z wściekłością, przyciągając zaniepokojone spojrzenia przechodniów.

Guy zrobił smutną minę i powiedział:

– Biedny Mike.

Potem puścił do niej oczko i wyjął portfel.

– Muszę nadrobić zaległości, moja droga. Tak chyba będzie uczciwie. Uznaj, że w ten sposób wyrównuję nasze szanse.

Położył na barze piętnaście funtów i ześlizgnął się ze stołka.

Eve zagroziła mu drogę.

– Guy, bardzo cię proszę. Powiedz, gdzie i kiedy ma się odbyć ta wystawa.

Na jego twarzy znowu pojawił się uśmiech.

– Sama musisz się tego dowiedzieć.

– W takim razie zgłoś to na policję! Nie interesuje mnie robienie materiału, ale musisz mi pomóc. Błagam cię! Ten sukinsyn był u mnie w domu i zabrał mojego tatę!



– Dobrze. – Wzruszył ramionami. – W takim razie każdy ma swoją historię na wyłączność.

Eve rzuciła się na niego, starając się sięgnąć do wewnętrznej kieszeni marynarki Guya. Z łatwością ją jednak powstrzymał. Złapał Evę za nadgarstek i boleśnie go wykręcił. Cenna zdobycz wymykała jej się z rąk.

Przez moment byli blisko siebie jak kochankowie. Eve widziała twarz Guya Smitha z odległości zaledwie kilku centymetrów. Jego oddech śmierdział rybą.

– Teraz ja również jestem na bieżąco – syknął. – I nic z tym nie możesz zrobić.

– Proszę cię, Guy – pisnęła, chociaż zdawała sobie sprawę, że nic już nie wskóra.

Puścił jej rękę i spojrział na zegarek.

– No cóż, muszę się zbierać. Mam umówione spotkania. No i czeka mnie morderstwo w plenerze.

Odwrócił się, a Eve poczuła, jak z jej ciała odpływa cała krew.

Złapała go za ramię.

– Teraz? Chcesz mi powiedzieć, że wystawa ma odbyć się jeszcze dziś wieczorem?

Wbił w nią swoje szare oczy i lekko się uśmiechnął.

– Jednak nie zawsze jesteś taka drażliwa. W tym wydaniu o wiele bardziej mi się podobaś.

Bez problemu się wyswobodził i wyszedł z restauracji.

\*\*\*

Patrzyła, jak Guy Smith szybkim krokiem przechodzi przez halę stacji metra. Dwa razy się odwrócił, żeby spojrzeć na Eve, po czym skierował się do wyjścia prowadzącego na Praed Street.

Nie ruszyła jednak jego śladem. Nie była w stanie tego zrobić. Czowała się słaba i kręciło jej się w głowie. Bała się, że może stracić przytomność. Miała wrażenie, że znalazła się w jakimś koszmarze, a ludzie wokół niej kupowali książki, jedli burgery i sprawdzali rozkłady jazdy na wielkich tablicach. Chciała, żeby po prostu przestali. Świat powinien się zatrzymać. Potrzebowała chwili skupienia. Musi wszystko lepiej zaplanować i zmienić swoje podejście. I nie chodzi wcale o dzisiejszy wieczór ani o ten tydzień, ale o całe życie, które doprowadziło ją do tego przerażającego momentu, kiedy życzyła śmierci własnemu ojcu. Teraz naprawdę miał umrzeć, a ona nie mogła nic na to poradzić.

Nagle ktoś złapał ją za rękę i prawie zaczęła krzyczeć.

To była Aguda.

– Idź przed siebie szybkim krokiem – powiedziała jak gdyby nigdy nic, po czym popchnęła Eve do przodu.

– Znalazł kolejne ogłoszenie – wyjaśniła Eve z desperacją w głosie. – Właśnie tam pojechał!

– Tak, wiem – odpowiedziała Aguda i pokazała mikrofon rozmiarów ziarnka grochu schowany pod klapą zakietu swojej podopiecznej. – Szybciej.

Eve przypomniała sobie, że zaparkowały przy drugim końcu stacji.

– Ale potrzebujemy jakiegoś transportu! – krzyknęła.

– Wiem, pospiesz się!

Wbiegły po rampie prowadzącej na ulicę.

– Tam! – krzyknęła Eve, wskazując samochód z logo News 24/7, który właśnie mignął lewym kierunkowskazem i ruszył z miejsca.

Aguda otworzyła drzwi jakiegoś samochodu, a Eve stanęła jak wryta, ponieważ nie potrafiła zrozumieć, skąd tutaj wziął się ich range rover. To chyba jakieś czary.

– Wsiadaj do środka.

Eve posłuchała.

\*\*\*

Była pewna, że Aguda wspominała coś o zaawansowanym kursie jazdy. Nie powiedziała jednak, że chodziło o zajęcia w Hollywoodzkiej Szkole Kaskaderstwa, Pędu i Grozy.

Chciała wysiąść z samochodu i nie interesowało jej, czy policjantka w ogóle ma zamiar się zatrzymać. Albo chociaż trochę zwolnić. Jednak przebywanie w pędzącym, co rusz wpadającym

w poślizg range roverze, który lawirując między innymi pojazdami, przebijał się przez wiecznie zakorkowane centrum Londynu, dawało jej jedyną szansę, żeby dorwać Guya Smitha i ocalić życie ojca.

Eve miała wrażenie, że złapała za ogon rozwścieczonego tygrysa. Musiała się mocno trzymać i liczyć na cud.

Drugą ręką sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Joego, żeby mu opowiedzieć, co się dzieje.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Jedziemy na północ w stronę... O mój Boże! – Aguda wjechała na skrzyżowanie na czerwonym świetle, Eve zacisnęła powieki, a i tak całe życie przesunęło jej się przed oczami.

Jednak jakimś cudem udało im się przeżyć. Samochód z logo News 24/7 był jedną przecnicę przed nimi. Eve spiorunowała Agudę wzrokiem, lecz ta zachowała zimną krew i wyglądała jak oaza spokoju.

Tylko w miniaturze.

Drobne ręce kręciły kierownicą i zmieniały biegi, a małe stopy wciskały pedały. Każdy ruch był idealnie skoordynowany i dwutonowe auto z napędem na cztery koła sprawnie wymijało inne pojazdy, które wydawały się stać w miejscu. Niektóre naprawdę stały w miejscu! Aguda potrafiła jednak sprytnie przewidzieć, który pas należy wybrać, żeby jak najszybciej przejechać przez skrzyżowanie, kiedy zapali się zielone światło.

– Możesz włączyć syrenę? – wydusiła z siebie Eve między jednym jęknięciem a drugim.

– Lepiej nie. Nie powinni wiedzieć, że są śledzeni – powiedziała Aguda. – Nie chcemy, żeby się zatrzymali. Chcemy, żeby grzecznie zaprowadzili nas na miejsce.

Nie odrywając nawet oczu od drogi, policjantka zadzwoniła do inspektora Reesa. W tym samym czasie Eve lustrowała wzrokiem boczne ulice, żeby zorientować się, gdzie aktualnie są i w którą stronę się przemieszczają. Wreszcie dogonili Guya Smitha. Byli tuż za nim. Nie mógł im się wymknąć.

Aguda z impetem weszła w ostry zakręt i wjechali pod wiadukt kolejowy.

Nagle coś spadło z nieba.

– Cholera!

Policjantka nacisnęła hamulec. Range rover gwałtownie skręcił, żeby uniknąć zderzenia, i wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby samochód ekipy News 24/7 nie wpadł w poślizg i nie przewrócił się na bok. Doszło do kolizji i oba pojazdy z przeraźliwym piskiem sunęły w stronę aut najeżdżających z przeciwka.

Eve złapała za deskę rozdzielczą i zamknęła oczy.

Zostań w samochodzie!

Trzasnęły drzwi. Eve powoli uniosła powieki.

Dzwoniło jej w uszach, jak gdyby ktoś stuknął ją w głowę kamertonem. Słyszała jakieś krzyki, ale dobiegały z oddali.

Spojrzała na fotel kierowcy w nadziei, że Aguda wyjaśni jej, co się dzieje, ale policjantka zniknęła.

Przód range rovera wbił się w wiktoriański wiadukt kolejowy z czerwonej cegły, a spod maski wydobywał się dym. Samochód wyglądał jak stary gruchot z amerykańskiego filmu.

Po chwili dym się rozwiął i na ścianie ujrzała fragment graffiti. To było jak zły sen.

WYSTAWA...

Eve z trudem złapała powietrze i otworzyła drzwi auta.

Nie była jednak w stanie wysiąść.

Dopiero po paru nieudanych próbach zdała sobie sprawę, że nie odpięła pasów bezpieczeństwa. Była tak zdenerwowana, że musiała kilkanaście razy dźgnąć palcem w zapięcie, zanim udało się jej trafić. Jednak gdy tylko stanęła o własnych siłach, ugięły się pod nią kolana i upadła na twardy asfalt.

Od razu wstała i z trudem usiłowała utrzymać się na nogach, trzymając się samochodu. Miała wrażenie, że nie potrafi już chodzić i musi się tej sztuki nauczyć od nowa.

W pewnym momencie poczuła czyjaś dłoń na swoim ramieniu.

– Zostań tutaj.

– Ale ja muszę tam iść.

– Nie ruszaj się – powiedziała nieznajoma kobieta. – Jesteś w szoku.

Była w średnim wieku i miała na sobie jasnoniebieski płaszcz.

– Tak, to prawda, jestem w szoku – potwierdziła Eve i rozejrzała się dookoła.

Zatrzymano ruch uliczny, a wokół gromadził się tłum gapiów. Słychać było zbliżające się syreny policyjne.

Aguda stała przy samochodzie ekipy telewizyjnej. Nagle wspięła się na jego bok i otworzyła drzwiczki, jak gdyby to był właz łodzi podwodnej. Sięgnęła do środka. Eve wstrzymała oddech.

Z auta wygramolił się Guy Smith, poturbowany i zakrwawiony, i ostrożnie stanął na ulicy.

\*\*\*

Emily Aguda nie potrzebowała dogłębnej wiedzy z zakresu medycyny sądowej, żeby stwierdzić zgon na miejscu.

Kierowca News 24/7 nie miał głowy.

Kawałek betonu wielkości kuchenki mikrofalowej wpadł do auta przez przednią szybę i uderzył go prosto w twarz. Mężczyzna nadal miał ręce, a jedna dłoń spoczywała na kierownicy. Jednak jego głowa została kompletnie zmiądzona. Wnętrze służbowego volvo było wypełnione krwawą miazgą i poszarpanymi białymi odłamkami.

Policjantka stanęła na boku auta i zadzwoniła do Huw Reesa.

– Tutaj sierżant Aguda. Doszło do wypadku drogowego. Jedna ofiara śmiertelna, jeden ranny, ale jest w stanie chodzić o własnych siłach. Eve Singer nic się nie stało.

– Czy to ma związek ze sprawą?

– Zapewne. Ofiary mogły mieć przy sobie ogłoszenie z informacją o wystawie.

Podniosła wzrok i spojrzała na wiadukt. Zobaczyła głowę mężczyzny, który błyskawicznie schował się za balustradą.

– Cholera! – Zeskoczyła z samochodu i pognęła przed siebie ile sił w nogach. Jeśli będzie wystarczająco szybka, uda jej się złapać tego faceta i zakończyć ten koszmar tu i teraz.

– Namierzyłam podejrzanego i ruszam w pościg! Proszę o zwolnienie z dotychczasowych zadań.

Zaległa grobowa cisza. Aguda rozglądała się gorączkowo w poszukiwaniu najlepszego wejścia na stromy nasyp. Niestety droga była zagrodzona. Po obu stronach wiaduktu stał ceglany mur zakończony barierką z kutego żelaza, która strzegła linii kolejowej i zbierała śmieci z ostatnich kilku dekad.

– Czy Eve Singer jest bezpieczna?

– Tak, są przy niej inni ludzie, a zaraz pojawi się wsparcie.

– W takim razie masz zielone światło!

Ruszyła przed siebie.

Wiedziała już, że z poziomu ulicy żadnym sposobem nie da się wejść na tory. Musiała więc zmienić strategię. Jej umysł działał na najwyższych obrotach. Wpadła do znajdującej się przy wiadukcie smażalni ryb U Louisa. Rozstąpił się przed nią tłumek wystraszonych klientów, którzy cisnęli się przy drzwiach i oknach, żeby gapić się na wypadek i nie stracić miejsca w kolejce.

– Policja! Czy przez tylne wyjście można wspiąć się na nasyp?

Zza kontuaru pokrytego stalą nierdzewną wyrżał ubrany na biało mężczyzna w średnim wieku, najprawdopodobniej Louis we własnej osobie. Obejrzał Agudę od stóp do głów, zmrużył oczy i zapytał:

– Policja?

– Muszę jak najszybciej dostać się na tory – powiedziała, wymachując odznaką.

– Jesteś za mała jak na policjantkę – oznajmił Louis.

– Proszę nie utrudniać pościgu! – Schowała odznakę i wyjęła pistolet.

Louis skrył się za ladą i pisnął przerażonym głosem:

– Wyjście jest na zapleczu!

Za tylnymi drzwiami znajdowało się niewielkie podwórko zagracone paletami i białymi pudłami z plastiku. Na dodatek ktoś rozlał wodę i musiała uważać na śliski lód. Na końcu stał niszczący mur z czerwonej cegły, który od wielu lat powstrzymywał napór ziemi z wysokiego nasypu.

Wsadziła pistolet do kabury wiszącej na plecach. Zwinnie przeskoczyła z jednego pudełka na drugie, a potem zaczęła się wspinać po stromym zboczu. Musiała się przedzierać przez kłujące zarośla, które wczepiały się jej w rękawy niczym żebracy. Udało jej się wyrwać, ale podarła sobie kurtkę i podrapała ręce. Mozolnie pięła się w górę, wznecając śnieżny pył.

Wreszcie stanęła na torach.

Jednak nikogo tam nie było.

Włączyła latarkę i pobiegła na środek wiaduktu. Ktoś zeszkrobał z balustrady warstwę zamrożonego śniegu.

Właśnie z tego miejsca zrzucono betonowy blok.

Zatrzymała się, żeby nie zatrzeć śladów, i spojrzała w dół na ulicę. Doskonale było stąd widać zjeżdżające ze wzgórza samochody. Policyjny radiowóz błyskał na niebieszko i powoli przedzierał się między stojącymi w korku autami. Morderca dał cynk Guyowi, podając mu zapewne jakiś położony w okolicy adres, a potem spokojnie czekał na pojazd z logo ekipy telewizyjnej.

Takie postępowanie wymagało śmiałości i skrupulatnego planowania.

Oraz zimnej krwi.

Aguda skierowała snop światła na ziemię. Leżały tutaj płyty śniegu, czarnego od zanieczyszczeń pochodzących z przejeżdżających pociągów. Mimo to dobrze widać było ślady prowadzące do balustrady i z powrotem. Oświetliła te najwyraźniejsze i szybko zrobiła zdjęcie telefonem, na wypadek gdyby znowu zaczęło padać.

Przeszła na drugą stronę torów, żeby niczego przypadkiem nie zniszczyć, i zaczęła biec wzdłuż linii kolejowej, lustrując wzrokiem płytki brudny śnieg oraz wystający spod niego żwir w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby stanowić jakąś wskazówkę. Wszędzie wały się plastikowe butelki, opakowania po fast foodach, stare gazety i jednorazowe pieluchy.

Do jasnej cholery, kto przewija dziecko w wagonie i wyrzuca przez okno pełną pieluchę?

Najwyraźniej wszyscy.

Przylgnęła do ściany wiaduktu, gdy ze stukotem nadjechał pociąg, niosąc ze sobą powiew lodowatego powietrza.

Potem znowu ruszyła przed siebie.

Przez około sto metrów podążała za mordercą aż do miejsca, w którym ślady nagle skręcały. Nie miała wyboru i zaczęła ześlizgiwać się w dół. Z tej strony rosło mniej krzaków i nie było barierki, jedynie słupki i zwykła siatka.

Wspięła się na ogrodzenie, wykonała zwinny obrót i zeskokczyła na cichą uliczkę. Wzdłuż krawężnika ciągnął się rząd równo zaparkowanych samochodów.

Poświeciła latarką i z łatwością znalazła odciski butów mordercy. Kiedy je zobaczyła, nie mogła jednak wyjść ze zdziwienia.

Zabójca nie uciekał wcale z miejsca zbrodni.

On tam wracał.

Eve patrzyła ze współczuciem, jak Guy Smith wymiotuje do rynsztoka.

W ciemności czuła się jeszcze bardziej zdezorientowana. Uliczne latarnie, reflektory samochodowe i sklepowe wystawy rzucały co prawda wiele światła, ale gdzieś pomiędzy nimi panował gęsty mrok.

W oddali słuchać było wycie syren. Miała nadzieję, że policja jedzie we właściwym kierunku. Na razie nikt nie kontrolował ruchu, więc samochody bez pośpiechu wymijały rozbitego range rovera.

Jej umysł powoli łączył to, co się stało, w logiczną sekwencję zdarzeń. Jakiś ciężki przedmiot spadł albo został zrzucony z wiaduktu dokładnie w chwili, gdy przejeżdżał pod nim pojazd z logo News 24/7. Nie wiedziała, co w niego uderzyło, ale nie miało to większego znaczenia. Zginął kamerzysta Ricky. To musiał być on, ponieważ w przeciwnym razie Aguda nie zapadłaby się pod ziemię, a Guy nie rzygałby teraz jak kot.

Obok ciągle stała kobieta w niebieskim płaszczu i dotykała ramienia Eve lekko protekcyjnym gestem.

– Wszystko w porządku? Może przyniosę pani coś do picia? Jest pani ranna? Jak ma pani na imię?

Eve jej odpowiadała, ale nie była w stanie usłyszeć własnego głosu, więc nie wiedziała, co tak naprawdę mówi.

Guy Smith usiadł na krawężniku obok przedniego koła range rovera i oparł łokcie na kolanach. Ze spuszczoną głową i zwisającym krawatem wpatrywał się w kałużę powstałą z tego, co zostało po jego posiłku w YO! Sushi.

Eve rozejrzała się dookoła i jej wzrok spoczął na zbierającym się na chodniku tłumie gapiów. Była w centrum zainteresowania i dziwnie się z tym czuła. Zwykle to ona stała na zewnątrz i usiłowała dostać się do środka. Przyglądała się rozmazanym twarzom, szukając Joego, ale otaczali ją obcy ludzie. Większość wyciągnęła telefony i nie patrzyła wcale na Eve, tylko na małe ekraniki. Wszystko nagrywali, żeby potem straszyć znajomych relacją z drogowej masakry, której byli świadkami, gdy wracali z pubu albo jechali do McDonalda.

„Jeden facet był cały we krwi, a niedaleko stała kobieta, w takiej dziwnej pozie... Jezus Maria! To było straszne...”

Nagle z tłumy wyłonił się nieznajomy mężczyzna i ruszył przez ulicę, kierując się w stronę Eve. To nie był Joe.

Ten facet wyglądał zupełnie przeciętnie.

Minął samochód ekipy telewizyjnej, nawet nie zając do środka, stanął przy Guyu Smicie i uderzył go w tył głowy jakimś długim, cienkim przedmiotem – raz, ale bardzo mocno. Eve wzdrygnęła się zszokowana. Ludzie wydawali z siebie stłumione krzyki i piski, a kobieta w niebieskim płaszczu nie wytrzymała i wrzasnęła, po czym zasłoniła dłonią usta.

Guy w ogóle nie zareagował, tylko przechylił się do przodu, a napastnik zamachnął się jeszcze raz i wymierzył kolejny cios. Wyglądało to tak, jakby chciał zabić węża kijem golfowym.

Po chwili twarz Guya z nieprzyjemnym plaśnięciem uderzyła w czarny asfalt.

Mężczyzna wypuścił pręt z ręki i rozległ się charakterystyczny szcęk żelaza.

– Wiesz, co masz robić – powiedział do Eve i szeroko się uśmiechnął, po czym ruszył w stronę wiaduktu. Przez jakiś czas widziała jego sylwetkę, ale oślepił ją blask reflektorów i mężczyzna zniknął.

W swojej głowie Eve rzuciła się w pogoń, dopadła go, złapała za kurtkę i mocno szarpnęła. Morderca stracił równowagę i runął na ziemię. Eve przycisnęła go kolanem i trzymając za włosy, rozwalila jego głowę na krwawą miazgę, krzyżąc mu prosto w twarz:

– Gdzie on jest? Gdzie on, kurwa, jest? Gdzie jest mój ojciec, ty pierdolony skurwysynu?

W rzeczywistości nie zrobiła jednak ani jednego kroku, tylko zachwiała się i ukłękła.

– Zatrzymajcie go! – zawołała chrapliwym głosem. – Niech ktoś go zatrzyma!

Nikt się jednak nie ruszył, chociaż kilka osób ciągle trzymało w górze telefony i nagrywało mordercę, aż do chwili, gdy rozplątał się w ciemnościach.

– O mój Boże! – jęknęła kobieta w niebieskim płaszczu. – O mój Boże!

Zabójca zniknął, ale przecież jeszcze przed chwilą tutaj był. Istniała więc szansa, żeby go schwytąć i unieszkodliwić. Można go było zmusić, żeby powiedział...

Eve podniosła się z kolan i spróbowała stanąć na własnych nogach, jednak musiała oprzeć się o range rovera.

Spojrzała na martwe ciało Guya Smitha i poczuła, jak powoli ogarnia ją szaleństwo.

„Wiesz, co masz zrobić”.

Tak, wiedziała.

Podeszła chwiejnym krokiem do trupa.

Wyjęła telefon i zaczęła filmować.

Skierowała kamerę na pogruchotaną czaszkę, pobrudzone krwią jasne włosy, przyklejoną do asfaltu zwiotczałą twarz i leżący obok żelazny pręt.

Wsunęła rękę pod marynarkę, dotknęła jeszcze ciepłej klatki piersiowej trupa i wymacała kieszeń, w której schowane było ogłoszenie. Rozłożyła je bezpośrednio na ulicy.

WYSTAWA

Miejsce: Westbourne Green

Data: 17 grudnia

Godzina: 23.00

Sfilmowała kartkę papieru.

Oraz graffiti.

A potem zrobiła zbliżenie na rozbity samochód stacji News 24/7. Nie zapomniała też o ujęciu panoramicznym. Nauczył ją tego Joe...

W pewnym momencie rozległo się zdławione zawrodożenie policyjnej syreny i kilka stojących w korku samochodów zjechało na bok, żeby zrobić miejsce stróżom prawa.

Kobieta w niebieskim płaszczu opierała się o range rovera. Eve podała jej telefon.

– Proszę mnie nagrać – powiedziała.

– Co takiego? – Kobieta miała spokojną twarz, ale w jej oczach malowała się panika.

– Jest już włączone – wyjaśniła Eve. – Wystarczy, że pani potrzyma.

– Ale... ale...

– Proszę wziąć do ręki ten pieprzony telefon!

Kobieta wreszcie usłuchała.

– Dobrze – oznajmiła Eve spokojniejszym głosem. – Policja jest już na miejscu i cały ten spektakl niedługo się skończy. Stanę przy krawężniku i musi pani tylko trzymać telefon tak, żeby w kadrze było widać mnie i ciało. Okay?

– Tak.

– Proszę się niczym innym nie przejmować.

– Okay.

– Widzi mnie pani?

– Tak.

– A ciało?

– Też.

– Świetnie.

Eve wygładziła pognieciony zakiet i odgarnęła zakrwawioną ręką włosy z twarzy, po czym podniosła do góry ogłoszenie i zaczęła swoją relację.

\*\*\*

Morderca nie zrobiłby tego lepiej.

W materiale było wszystko. Dosłownie wszystko: leżący na boku wrak range rovera, zbliżenie na rozbitą szybę, przez którą przeleciał betonowy blok, a potem najazd na ciało kierowcy. Chociaż trup został przykryty kocem, i tak było widać, że brakuje mu głowy!

Na dodatek ktoś z redakcji kupił, a może ukradł filmik zrobiony iPhone'em. Widać było na nim, jak morderca schodzi z chodnika i wali Guya Smitha ciężkim prętem. Nagranie zrobiono w ciemności, a w krytycznym momencie obraz został celowo rozmazany i jeśli widzowie chcieli zobaczyć najdrastyczniejszy fragment, musieli poszukać filmu na YouTube.

Najlepsza była jednak Eve Singer.

Wyglądała strasznie: włosy w kompletnym nieładzie, cienie pod oczami, policzki i żakiet pobrudzone krwią. Kiedy mówiła, drżała jej dolna warga. Była tak bardzo przejęta swoją pracą, że nawet oglądający teraz jej relację morderca miał łzy w oczach.

Recenzja odbiegała od jej dotychczasowych standardów.

Była dużo, dużo lepsza: surowa i naturalistyczna. Idealne uzupełnienie stworzonego przez niego danse macabre, który w doskonały sposób oddawał istotę nagłej, niezaplanowanej śmierci.

Zabójca uśmiechnął się do telewizora.

Eve Singer mówiła chaotycznie, ale jej słowa świetnie budowały atmosferę strachu, zamętu i grozy.

– Dostaliśmy poufną informację... Ktoś zrzucił z wiaduktu betonowy blok, który roztrzaskał szybę... Proszę się przyjrzeć... Wydawało się, że jesteśmy bezpieczni...

W tym momencie wybuchnął śmiechem! Ludzie, którzy uważają, że są bezpieczni! Co za idioci! Ich naiwność tylko ułatwiała mu zadanie.

Przecież nikt nie jest bezpieczny!

Nieśmiertelność to nie prawo, a przywilej pozostający poza zasięgiem miliardów ludzi, których życie nie ma żadnego znaczenia. Żeby zostać nieśmiertelnym, trzeba opracować plan, a potem skrupulatnie go realizować.

Na końcu swojej relacji Eve Singer pokazała do kamery ogłoszenie, które wysłał Guyowi Smithowi. Starannie je rozłożyła, żeby widać było krwawe plamy na zgięciach. Kartka papieru przypominała nieco Całun Turyński.

– To była przynęta – powiedziała. – Chodziło o celowe wprowadzenie w błąd...

Zaczął chichotać. Oczywiście, że to była przynęta! Jakże skuteczna!

Potem nastąpiło cięcie i na ekranie pojawiło się graffiti, które namalował na ceglanej ścianie wiaduktu:

WYSTAWA

Miejsce: Westbourne Green

Data: 17 grudnia

Godzina: 23.00

Eve przysunęła się do obiektywu kamery. Stała tak blisko, że zanim zadziałał autofocus, obraz na chwilę się rozmazał.

Było w tym tyle prawdy!

A nawet czegoś więcej! Czuł się, jak gdyby znowu znalazł się na miejscu zbrodni, ale tym razem mógł delektować się każdą chwilą.

Eve potrząsnęła ogłoszeniem. W jej oczach malowało się przygnębienie i rozpacz. Była na skraju szaleństwa.



– Proszę widzów o czujność. Szukamy podobnych ogłoszeń reklamujących wystawę. Można uratować komuś życie. Jeśli znajdziecie coś takiego albo macie jakieś informacje związane ze śledztwem, jak najszybciej skontaktujcie się z policją. Musimy powstrzymać tego p\*\*\*\*\* wariata.

Morderca znowu zaniósł się śmiechem. Przekleństwo zostało wypikane, ale i tak wszyscy wiedzieli, jak go nazwała.

Jednak tylko on zrozumiał wiadomość, którą chciała mu przekazać Eve Singer. Fragment, który był przeznaczony tylko dla niego.

Oboje jesteśmy w to wplątani.

18 GRUDNIA

Huw Rees miał rację w jednej kwestii. Jakies dwie minuty po zakończeniu relacji przygotowanej przez Eve Singer rozpętało się istne piekło.

Policyjny zespół do spraw mediów społecznościowych starał się nadążyć za grą rozpoczętą przez dziennikarkę w momencie, gdy pokazała na zbliżeniu zakrwawione ogłoszenie. Jednak gdy udostępnili w internecie zdjęcie Layli Martin, na oficjalnym facebookowym profilu londyńskiej policji metropolitalnej od razu zawrzało. Pojawiło się mnóstwo komentarzy, rozmaitych sugestii oraz fotografii rzekomo powiązanych ze sprawą. Kilku komentujących miało dobre intencje, ale reszta chciała się tylko wyzłośliwić, ponarzekać albo zadbać o własne interesy.

Ich pomoc była całkowicie bezużyteczna.

Na początku opinia publiczna była oburzona tym, że nikt nie ostrzegł mieszkańców dziesięciomilionowej metropolii przed grasującym po ulicach seryjnym zabójcą. A potem ktoś się zorientował, że profil śledzi pięćdziesiąt pięć tysięcy internautów i oto nadarza się doskonała okazja, żeby sprzedać lub zareklamować, co tylko dusza zapagnie. Ruszyła prawdziwa lawina.

WYSTAWA

„Pierwiastek kwadratowy”

Dziś wieczorem

„Rose & Crown” na Southwark

Wstęp 5£

Przyjdź, nie bądź frajerem!

WYSTAWA!

Sztuka i rzemiosło!

Bibeloty i prezenty!

Specjalne zniżki na Boże Narodzenie!

Dzielnicowy Dom Kultury na Hackney!

WSTĘP WOLNY!

WYSTAWA

Kot bengalski

Reaguje na imię Joanie

Zginął na Brompton Road

## Nagroda i zero pytań

W końcu policyjni admini musieli usunąć posty i poinformować opinię publiczną, że jeśli ktoś chce przekazać wiarygodne informacje na temat tej sprawy, powinien po prostu zadzwonić do centrum koordynacyjnego.

Następnego dnia rano zaczęły napływać zgłoszenia dotyczące tego, co szybko określono mianem „incydentów z ulotkami”. Każdy, kto próbował gdzieś przypiąć kartkę papieru, od razu stawał się podejrzany. Pewna kobieta chciała powiesić na kiosku informację o pokazie prac wyszywanych haftem krzyżykowym. Dochód miał być przeznaczony na organizację charytatywną pomagającą osobom starszym. Kiedy kioskarcz odmówił, niewiele brakowało, a wybuchłyby zamieszki. Trzeba było wezwać policję. W galerii sztuki na Golders Green doszło do przepychanek, gdy dwóch detektywów amatorów zaczęło zdzierać wszystko, co wisiało na tablicy ogłoszeniowej, w poszukiwaniu jakiegoś śladu zostawionego przez mordercę. Na Regent Street pewien student próbował przyczepić do barierki przy sklepie Apple’a plakat reklamujący koncert Tinie’ego Tempaha. Przechodnie rzucili się na młodzieńca i mocno go poturbowali. Kiedy na miejscu pojawił się radiowóz, student był już obezwładniony: siedział na nim facet w przebraniu Świętego Mikołaja z tabliczką „Wyprzedaż sprzętu golfowego”.

Huw Rees na bieżąco obserwował rozwój wypadków i miał nadzieję, że upublicznienie informacji o zabójstwach przysłuży się śledztwu. Liczył, że szybciej znajdą następne ogłoszenia i tym razem policja przybędzie na czas. Jak na razie nie udało im się powstrzymać mordercy. Zawsze byli kilka godzin, a nawet dni za nim.

Wczesnym popołudniem ulotki stały się w mieście tematem numer jeden.

Jednak wkrótce ludzie zaczęli się głośno zastanawiać, dlaczego policja nie była jak do tej pory w stanie schwytać groźnego przestępcy, chociaż swoją ostatnią zbrodnię popełnił na oczach milionów widzów.

Co więcej, wcześniej poinformował opinię publiczną, gdzie i kiedy zamierza uderzyć.

\*\*\*

Trrrrrt.

Eve Singer postradała zmysły.

Nie było tego co prawda widać na pierwszy rzut oka – nie biegła po domu w majtkach na głowie, udając, że jest Nefretete. Mimo to sierżant Aguda wiedziała, że z jej podopieczną coś jest nie tak.

Nikt zdrowy na umyśle nie zrobiłby tego, co ona, nawet jeśli chodziło o uratowanie życia własnemu ojcu.

Chcieli ją zatrzymać w szpitalu, ale stanowczo odmówiła. Nie powiedziała jednak tego normalnie. Jej głos był niski, lodowaty i przerażający. Nie próbował się jej przeciwstawić nawet młody, dość arogancki lekarz.

Teraz leżała rozwalona na sofie obok kamerzysty Joego. Miała bladą twarz, posiniaczone ręce i bawiła się kajdankami Agudy.

Trrrrrt.

Robiła to, od kiedy wrócili ze szpitala. „Bawienie się” nie było chyba jednak najlepszym słowem na określenie wielu godzin, które Eve spędziła na hipnotycznym, niemal obsesyjnym zamykaniu i otwieraniu stalowych obręczy, najpierw na lewym, a potem na prawym nadgarstku. Była tak skupiona na tej czynności, że po jakimś czasie niemałe umiejętności Agudy wydawały się jedynie wprawkami niezdarne dziecka.

Trrrrrt.

Trrrrrt.

Trrrrrt.

W pewnym momencie Huw Rees powiedział:

– Możesz przestać?

Eve udała, że go nie słyszy. Wprawnym ruchem po raz kolejny otworzyła kajdanki, po czym

rozległ się szczeł metalu i obręcz zatrzasnęła się na jej zaczerwienionym nadgarstku.

Trrrrrt.

Trrrrrt.

Aguda naprawdę żałowała, że zostawiła ten gadżet na stoliku kawowym. Głośno westchnęła i wyjrzała przez okno, żeby sprawdzić, co się dzieje na posesji sąsiada. Na ścieżce pojawił się pan Elias. Szedł powoli w stronę furtki, trzymając w rękach kubek z parującą wodą oraz rozmaite spraye i szmatki. Na pewno chciał umyć budkę telefoniczną. Trudno było w to uwierzyć, ale na zewnątrz życie toczyło się dalej.

– Zabieram cię stąd – oznajmił Rees stanowczym tonem.

Eve pokręciła głową.

– Nie możesz mnie to do tego zmusić.

– Tutaj jest zbyt niebezpiecznie.

– Jeśli on zabija tylko w miejscach publicznych, to akurat we własnym domu nic mi nie grozi.

Inspektor Rees otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale dokładnie w tym samym momencie nad ich głowami przeleciał samolot. Wiedział, że musi poczekać, więc wymienił tylko znaczące spojrzenia z sierżant Agudą.

Aguda nie miała zamiaru jeszcze bardziej straszyć swojej podopiecznej. Podejrzewała, że i bez tego jest wystarczająco przerażona. Mimo to logika i doświadczenie podpowiadały, że we własnym domu Eve jest niezwykle łatwym celem.

Policjantka uznała, że musi być jednocześnie delikatna i stanowcza.

– Uważamy, że najlepiej będzie, jeżeli wywieziemy cię z Londynu.

– Nigdzie się nie ruszam – powiedziała Eve. – W tym domu urodził się mój ojciec. A co, jeśli uda mu się uciec? Muszę tutaj być na wypadek, gdyby wrócił.

Trrrrrt.

Aguda znowu spojrzała na inspektora Reesa. Oboje zdawali sobie sprawę, że Eve straciła zdolność racjonalnego myślenia. Rzecz jasna nie była to jej wina, ale w tej sytuacji wszystko stawało się o wiele trudniejsze.

I bardziej ryzykowne.

– Słuchaj, Eve – powiedziała Aguda opanowanym głosem. – Jeśli tu zostaniesz, będzie mi o wiele trudniej zapewnić ci bezpieczeństwo. Rozumiesz to?

Eve skinęła głową.

Trrrrrt.

– Chcę tylko, żebyś była bezpieczna – oświadczyła Aguda.

– Wiem.

– Więc pozwól sobie pomóc. Musimy cię stąd zabrać.

– Nie.

Trrrrrt.

Rees wydał z siebie głośne westchnienie. Widać było, że jest zły.

Aguda nie dała jednak za wygraną.

– Eve, do tej pory to on prowadził, a my podążaliśmy jego śladem. Najwyższy czas, żebyśmy uzyskali przewagę. Powinniśmy przejąć inicjatywę, a nie tylko reagować. Możemy to zrobić, pod warunkiem że zrozumiemy, czego on tak naprawdę chce. Trzeba przewidzieć jego kolejny krok. Jeżeli chcemy złapać mordercę, musimy myśleć tak jak on.

Eve Singer wbiła w nią lodowate spojrzenie i powiedziała:

– Przecież właśnie to robię.

\*\*\*

Naprawdę starała się myśleć tak jak on.

Nie było w tym nic przyjemnego.

Jak do tej pory nie miała problemu z wymyślaniem nowych tematów w pracy i przekraczaniem

granic własnej wytrzymałości w życiu prywatnym, ale wyobrazenie sobie, że jest mordercą, przychodziło jej z trudem.

Leżała w łóżku i gapiała się w ciemny sufit. Wreszcie coś zaskoczyło. Była naprawdę zaniepokojona tym, co kryło się w zakamarkach jej umysłu. Myślała o okropieństwach, które można wyrządzić drugiemu człowiekowi, o torturach, męczarniach i strachu. Miała przed oczami przerażoną twarz niewinnej ofiary i zrozumiała, co dzieje się w zimnym sercu zbrodniarza.

On nic nie czuje. Kompletnie nic.

19 GRUDNIA

Eve!

Obudziła się w ciemności, nie mogąc sobie przypomnieć, kiedy zasnęła.

– Co się stało?

W progu sypialni stała Emily Aguda z telefonem w ręku.

– Udało im się zidentyfikować mordercę – powiedziała. – Właśnie jadą pod wskazany adres.

\*\*\*

Był zimowy poranek, chłodny i mglisty. Inspektor Huw Rees stał przed kremową kamienicą w stylu georgiańskim w zachodnim Londynie. Spojrzał na zegarek i po raz pierwszy od czasu, gdy urodziła mu się córka, odmówił krótką modlitwę.

Holly przyszła na świat z okręconą wokół szyi pępowiną. Miała siną twarz i nie wydawała z siebie żadnego dźwięku. Maureen była wycieńczona, ale jednocześnie pełna desperacji, by przytulić małą.

Huw wiedział jednak, że gorączkowe wysiłki podejmowane w kącie sali porodowej nie mają na celu przygotowania córeczki, by mogła być zaprezentowana matce, ale są walką o jej życie.

Zaczął się więc żarliwie modlić, przypominając Stwórcy i samemu sobie, że od bogobojnych przodków dzieli go tylko jedno pokolenie.

„Błagam... Błagam... Błagam...”

Prosił Boga o pomoc, kłamiąc jednocześnie swojej żonie.

„Jest prześliczna”.

„Jakie ma piękne paluszki”.

„Za chwilę zacnie płakać i pewnie długo nie przestanie!”

„Już, już”.

„Jeszcze sekunda...”

I w pewnym momencie Holly rzeczywiście wybuchnęła płaczem. Huw również zalał się łzami, ale nigdy nie powiedział nikomu, nawet własnej żonie, jak bardzo był wtedy przerażony...

\*\*\*

Zrzucony z wiaduktu kolejowego dwudziestokilogramowy blok betonu, który roztrzaskał głowę kierowcy samochodu ekipy News 24/7, okazał się przeciwwagą wymontowaną z pralki Hotpoint.

Markę udało się ustalić po odczytaniu numeru seryjnego.

Huw Rees nie miał pojęcia, czym jest przeciwwaga, a nawet gdyby to wiedział, nie domyśliłby się, że ten przedmiot może mieć numer seryjny.

Dla Veroniki Creed żadna z tych rzeczy nie była jednak tajemnicą.

Okazało się, że policyjna specjalistka medycyny sądowej jest zafascynowana betonowymi przeciwwagami, a nawet je kolekcjonuje.

– Nie mam ich znowu aż tak dużo – powiedziała Reesowi, kiedy przekazywała mu raport, po czym mrugnęła do niego w taki sposób, że przeszedł go dreszcz. – Trzymam w domu tylko te bardziej interesujące egzemplarze.

Kto, do cholery, może uważać, że betonowe przeciwwagi są w jakimkolwiek sensie interesujące? Chyba tylko pozbawiony przyjaciół wariat. Jak to możliwe?

Huw Rees aż się wzdrygnął.

– Nieźle piździ – wymamrotał stojący obok niego Hamilton, ani na chwilę nie odrywając oka od celownika karabinu półautomatycznego.

Przeciwwaga rozpadła się na kilka uwalanych krwią kawałków. Eksperci dobrze wiedzieli, że

beton to skomplikowany materiał do analizy, a krew jeszcze bardziej utrudniała zadanie. Szanse na zdjęcie odcisków palców były więc bliskie zeru. W zasadzie nikt nie był w stanie tego zrobić.

Oprócz Veroniki Creed.

Okazało się, że odciski należą do trzydziestodwuletniego Williama Stafforda Vandenberg, który raz trafił już do policyjnych kartotek. Trzy lata wcześniej dostał pouczenie za próbę wyniesienia czterech notesów i długopisu marki Bic ze sklepu papierniczego WHSmith na stacji King's Cross.

Od tamtej pory najwyraźniej się rozkręcił.

Rees wyjął telefon i jeszcze raz spojrzął na zdjęcie podejrzanego. Musiał to robić często, ponieważ Vandenberg miał tak nijaką twarz, że w żaden sposób nie dało się jej zapamiętać. Wzrok po prostu się po niej prześlizgiwał i na pewno trudno było go dostrzec w tłumie albo zwrócić na niego uwagę podczas konfrontacji. Miał niczym niewyróżniające się ciemne włosy i regularne rysy, ale nie był przystojny. Wyglądał jak ktoś, kto pracuje w biurze i za psie pieniądze wykonuje rutynowe zadania, których nie rozumie nawet jego własna żona i nawet nie prosi go, żeby jej wyjaśnił, czym on właściwie się zajmuje.

Nieciekawo, zupełnie przeciętny facet.

Ciężko było sobie wyobrazić, że ktoś taki podejmuje ryzyko kupienia losu na loterię, a co dopiero że popełnia morderstwo.

– Trzy, dwa, jeden...

Głos Hamiltona wybudził inspektora z letargu.

Hamilton dawał właśnie sygnał rozpoczęcia akcji i do drzwi wejściowych podbiegło kilkunastu uzbrojonych mężczyzn.

Rees ruszył za nimi, nie przestając się modlić. Robił to w rytm swoich kroków.

„Błagam... Błagam... Błagam...”

Odciski palców to zdecydowanie była dobra wiadomość.

Niestety nie wszystko malowało się w różowych barwach. Veronica Creed miała co prawda mało czasu, ale udało jej się gruntownie przeanalizować krew, która pokrywała betonowy blok. Większość należała do kierowcy News 24/7 Richarda Shorta.

Ale część wypłynęła z żył Duncana Singera.

„Błagam... Błagam... Błagam...”

Rees nie lubił, żeby o jego życiu decydowały cuda i modlitwy, ale w trudnych sprawach chwycił się każdej deski ratunku.

\*\*\*

Musiały czekać i żeby jakoś zabić czas, gapiły się w telewizor, w którym leciało *Jak to się robi*.

Aguda była w pewnym sensie zafascynowana tym programem. Przypominał jej wykłady Uniwersytetu Otwartego, które w okresie dorastania oglądała razem z matką. Faceci z bokobrodami, prawie zawsze ubrani w bezrękawniki, mazali coś piszczącą kredą na czarnych tablicach albo wlewali jakieś płyny do probówek, żeby wywołać z góry przewidziany efekt.

To było hipnotyzująco nudne.

Łyzworolki, patelnie i taśma klejąca. Przewodnik Michelina po krainie przemysłu. Te programy wydawały się trwać w nieskończoność, a w tle zawsze leciała koszmarna muzyka.

W połowie odcinka Eve Singer zapytała:

– Dlaczego nie dzwonią?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała szczerze Aguda. – Operacja mogła się już skończyć, ale niewykluczone, że doszło do jakichś nieprzewidzianych komplikacji. Możliwe również, że ekipa miała opóźnienie albo jeszcze w ogóle nie zaczęli. To jednak tylko moje przypuszczenia.

– Będą mieli broń? – kontynuowała Eve.

– Inspektor Rees wezwał jednostkę specjalną.

– A co, jeśli przypadkiem zastrzelą mojego tatę?

– Są świetnie wyszkoleni i nie popełniają błędów.

– Przecież ciągle słyszy się o takich wypadkach!

Nie ciągle, pomyślała Aguda. Tylko od czasu do czasu. Zdawała sobie jednak sprawę, że to żadne pocieszenie dla kogoś, kogo bliscy znajdują się na linii ognia.

– Wkrótce to się skończy. Jestem przekonana, że nikt nie będzie podejmował niepotrzebnego ryzyka – oznajmiła.

Nie za bardzo potrafiła kłamać, ale była prawdziwym mistrzem w wygłaszaniu komunałów, które miały dodawać otuchy.

Zajmowała się Eve aż do momentu, gdy do drzwi zapukał Joe.

Uznała, że od tej pory to on powinien otoczyć ją opieką, a sama poszła zrobić wszystkim herbatę.

\*\*\*

Już po pierwszym uderzeniu tarana inspektor Rees zrozumiał, że popełnił straszliwy błąd.

Drzwi wejściowe do ponad stuletniej kamienicy miały prawie osiem centymetrów grubości i wykonane były z solidnego drewna dębowego, a nie z płyty pilśniowej MDF lub jakiegoś innego gówna.

Jednostka specjalna nie była wyposażona w sprzęt do pokonywania takich przeszkód.

Spróbowali jeszcze raz, ale taran znowu odbił się od drewnianej zapory. Jeden z policjantów stracił równowagę i spadł ze schodów. Ktoś wybuchnął śmiechem i Hamilton musiał interweniować.

– Styl pysk! – wrzasnął.

Zaległa cisza i słychać było tylko głośnie sapanie.

Na lśniące czarne drzwi pojawiło się jedynie lekkie wgniecenie.

Najgorsze było jednak to, że mijały kolejne sekundy i ciężko było mówić o ataku z zaskoczenia.

Potem jeden z funkcjonariuszy kucnął przy zamku i zaczął w nim grzebać wytrychem. W tym samym czasie reszta kręciła się przed domem jak pijaczki czekające na otwarcie sklepu monopolowego. Śmiesznie to wyglądało, ponieważ mieli na sobie kamizelki kuloodporne i hełmy, a w rękach trzymali karabiny Armalite i pistolety Glock.

Po wejściu do środka pierwsze, na co zwrócił uwagę Huw Rees, to zapach. Śmierdziało drewnianym dymem i jakimś olejem. Oraz czymś jeszcze, co sprawiło, że inspektor odruchowo zmarszczył nos.

Hamilton wskazał na górę i sześciu uzbrojonych po zęby policjantów zaczęło się wspinać po eleganckich kręconych schodach. Zamontowane na ich hełmach latarki rzucały na ściany i sufit krzyżujące się snopy światła. Przypominało to szperacze z czołówki wytwórni filmowej Fox.

Rees nacisnął pstryczek kontaktu, ale nic się nie stało.

Chociaż dzień dopiero się zaczął i wciąż panował półmrok, łatwo było zauważyć, że znaleźli się we wnętrzu ogromnego domu. Wrażenie przestronności potęgował jeszcze brak mebli. Między wysokimi sufitami a wyłożonymi parkietem podłogami niosło się echo.

Ciężkie wojskowe buty wzniewały kłęby zalegającego niemal wszędzie kurzu, tak gęstego, że policjanci zaczęli kasłać.

Rees stanął w olbrzymim holu i czekał, aż oddział dowodzony przez Hamiltona spenetruje wszystkie pomieszczenia. Słychać było odgłosy kroków i okrzyki „Droga wolna!”.

Był tak bardzo zdenerwowany, że cały się trząsł. Zdawał sobie sprawę, że napięcie ustąpi, dopiero gdy schwytają podejrzanego. Na razie wstrzymał oddech. Naprawdę bardzo chciał już być po drugiej stronie.

Tylko po drugiej stronie czego? Sam chyba tego nie wiedział. Szaleniec to zawsze wyjątkowo nieprzewidywalny przeciwnik. Rees był kiedyś świadkiem, jak pewien wariat wyskoczył z pieca AGA. Cały czas miał w oczach morderczy błysk, chociaż jego ubranie stało już w płomieniach.

– Panie inspektorze...

Rees podszedł do stojącego w drzwiach Hamiltona, który wskazywał na coś palcem.

– Co to jest, do cholery?

Na środku ogromnego pokoju widniał kwadrat ułożony z małych przedmiotów o najróżniejszych



kształtach.

Hamilton rozejrzył się po pomieszczeniu w poszukiwaniu pułapek, po czym wszedł do środka.

Rees musiał przejść około dziesięciu metrów, zanim stanął przy jednym z boków idealnego kwadratu, po czym obszedł go powoli dookoła.

Był zbudowany z elementów jakiegoś urządzenia: śrub, nakrętek, plastikowych rurek, kolanek i podkładek. Rees dostrzegł też obudowę silnika i leżący na samym środku niczym koło modlitewne wielki cylinder ze stali nierdzewnej.

Perforowany.

– Myślisz, że to bomba? – zapytał ostrożnie.

– Nie wiem – odpowiedział Hamilton. – Ale patrz pod nogi.

Rozdzielili się przy jednym z rogów kwadratu i ruszyli przed siebie wzdłuż jego prostopadłych krawędzi.

W pewnym momencie Hamilton się zatrzymał.

– Wydaje mi się, że to pralka.

– Chyba masz rację – przytaknął Rees i głośno się roześmiał.

– Piękna, prawda? – powiedział Hamilton.

Jego słowa wydawały mu się dziwne.

Ale po chwili zmienił zdanie.

Rozmontowana na czynniki pierwsze pralka była naprawdę piękna.

Każda część została wyjęta z urządzenia i starannie ułożona na podłodze, żeby stworzyć idealną figurę geometryczną. Zwykle przedmioty nabrały zupełnie nowego – jakby romantycznego – charakteru.

Leżąc na widoku, były niczym wyjęte z błota diamenty. Można było je docenić jako odrębne byty, które zajmowały specjalnie dla nich przeznaczoną przestrzeń. Kółko zębate nie było już kółkiem zębatym, lecz cennym klejnotem.

Patrząc na to dzieło, odnosiło się nieodparte wrażenie, że uwięzione do tej pory rzeczy zostały wypuszczone z ciemnych, zagraconych cel i mogły wreszcie odetchnąć pełną piersią.

Rees kontynuował obchód wzdłuż boków kwadratu. Oświetlane latarką przedmioty rzucały długie wędrujące cienie, które zdawały się z czułością muskać siebie nawzajem. Wydawało się, że są ze sobą w jakiś sposób połączone i odwracają się nieufnie w stronę kogoś, kto próbuje je okrążyć.

Inspektor czuł się tym wszystkim dziwnie podekscytowany, a nawet poruszony.

„To głupie”, pomyślał. „Naprawdę idiotyczne”. Mimo to nie był w stanie powstrzymać emocji i miał ściśnięte gardło.

Już nigdy więcej nie spojrzy na pralkę w ten sam sposób.

W jednym z rogów zobaczył coś błyszczącego: jakiś napis z plastiku i chromowanej stali.

Dotknął go ostrożnie czubkiem buta, a potem wziął do ręki i podał Hamiltonowi, uśmiechając się przy tym jak mały chłopiec, który znalazł skarb piratów.

– Hotpoint!

– Znaleźliśmy ciało! – krzyknął nagle jeden z policjantów przeczesujących piętra. Rees został nagle wyrwany z zadumy i poczuł, jak strach ściska mu żołądek. Właśnie spełniały się jego najgorsze przeczucia.

Cholera.

Duncan Singer. Na pewno został zamordowany. Inspektor wyobraził sobie, jak przekazuje tę wiadomość jego córce. Przed oczami stanęła mu jej zboląła twarz.

Nienawidził tego aspektu swojej pracy.

Głośno westchnął i odłożył znaczek z logo Hotpoint tam, gdzie go znalazł, po czym ruszył za Hamiltonem. Kiedy wchodzili po schodach, poczuł, jak pod jego hełmem gromadzi się pot i zaczyna mu spływać po czole, chociaż w domu nie było wcale dużo cieplej niż na zewnątrz.

Między drugim a trzecim piętrem natknęli się na funkcjonariusza, który wskazał na drzwi i oznajmił:

– Tam jest ciało.

Rees poczuł charakterystyczny zapach. Od razu go rozpoznał, chociaż ten różnił się nieco od typowej woni gnijących trupów.

Był mniej wyrazisty.

Inspektor wszedł do środka i stanął w pokoju z kominkiem, w którym nadal tlił się ogień. Kątem oka zauważył żółte krzesło, telewizor i jakieś pudło, na którym stały filizanka i spodek.

Na podłodze piętrzył się wysoki stos notesów.

Obok była sypialnia. Wokół łóżka zebrała się grupka policjantów, którzy wyglądali teraz jak rodzina żegnająca zmarłego. Jedyne światło pochodziło z lampy magnezjowej rzucającej białą, upiorną poświatę na twarze ubranych na czarno mężczyzn.

Cholera. Znowu to samo.

Trup leżał w łóżku.

Albo raczej wewnątrz łóżka.

– Co jest grane, do cholery? – zapytał Hamilton.

Rees zmarszczył czoło i pochylił się niżej, żeby zorientować się w sytuacji.

To nie był Duncan Singer.

Dziękuję. Dziękuję. Dziękuję.

Ta osoba, kimkolwiek była, musiała umrzeć dawno temu i nikt jej stąd nie ruszał. Najpierw ciało napuchło od gazów, a potem sflaczało i zaczęło wsiąkać w łóżko. Po jakimś czasie wszystko stało się jednorodną masą, czymś w rodzaju mumii na sprężynach.

Zwłoki zdążyły wyschnąć na wiór, a wszelkie płyny wniknęły w kapokowe wypełnienie materaca. Właśnie dlatego zapach był taki dziwny.

Sądząc po rozmiarze, to było ciało kobiety. W wykrzywionej upiornym grymasem twarzy tkwiła proteza przytwierdzona do szczęki srebrnym drutem, który migotał w bladym świetle jak diament wydobyty z kopalni węgla.

Rees podniósł ostrożnie koronkową narzutę. W niektórych miejscach materiał przykleił się do zjełczanego trupa. Ktoś za plecami inspektora wzdrygnął się ze wstrętem, a ktoś inny nie wytrzymał napięcia i parsknął śmiechem.

Trudno było ustalić przyczynę śmierci tej kobiety.

W drzwiach stanął policjant i oznajmił:

– Dom jest pusty.

Hamilton spojrział na Reesa, a ten zrobił krok do tyłu i odsunął się od łóżka.

– Sprawdźcie wszystko jeszcze raz – powiedział. – W pokoju obok wciąż tli się ogień. Morderca musi gdzieś tu być.

\*\*\*

Posterunkowy Dougie Trewell miał gówniany dzień.

Kiedy próbowali wyważyć drzwi taranem, spadł z kamiennych schodów i za karę Hamilton kazał mu zostać na zewnątrz i pilnować wejścia, chociaż Dougie wolałby razem ze swoimi kolegami szturmować budynek i aresztować groźnego przestępcę.

Teraz sterczał na mrozie i czuł się jak piąte koło u wozu.

To była jego druga akcja jako członka oddziału specjalnego SCO19. Podczas pierwszej zakleszczył sobie stopę w studziencie kanalizacyjnej. Jeśli tym razem znowu niczym się nie wykaże, na pewno odbiorą mu broń i wróci do zwykłej służby.

Na ulicy pojawili się pierwsi przechodnie spieszący się do pracy. Dougie wyprostował się i przybrał groźny wygląd. Nie chciał sprawiać wrażenia kogoś, kto stoi tu za karę jak dzieciak posadzony w oślej ławce.

W pewnym momencie uchyliły się drzwi sąsiedniego domu i wyjrzał zza nich mężczyzna.

– Co się tutaj dzieje?

– Policja – oznajmił Dougie szorstkim tonem.

– Strasznie hałasujecie.

– Przepraszam, ale facet, który tutaj mieszka, jest podejrzany o morderstwo. W takich sytuacjach potrzebny jest odpowiedni sprzęt – wyjaśnił Dougie i potrząsnął swoim półautomatycznym karabinem, żeby pokazać nieznanemu, co ma na myśli.

– Morderstwo? – Mężczyzna spojrzał na Dougiego podejrzliwym wzrokiem. – Mój sąsiad?

– Owszem. Zna go pan?

– Nie za bardzo, ale wiem, że to artysta.

– Naprawdę? – zapytał Dougie, choć w gruncie rzeczy niezbyt go to interesowało. Jego zdaniem sztuka była pułapką na ludzi, którzy mieli więcej pieniędzy niż rozumu.

Mężczyzna wyszedł przed dom. Strój, który miał na sobie, postarzał go. Był ubrany w staroświeckie spodnie, sweter firmy Pringle w różowo-żółte romby i kremowe mokasyny z frędzelkami.

Najprawdopodobniej kolejny wielbiciel sztuki, pomyślał Dougie i prychnął lekceważąco.

Stali przez chwilę w milczeniu, wpatrując się w kamienicę i słuchając dochodzących ze środka stłumionych okrzyków oraz dudnienia ciężkich wojskowych butów.

– Na pewno zniszczą parkiet – powiedział mężczyzna. – Jest zrobiony z drewna wiśniowego, tak jak w innych domach w tej okolicy.

– Naprawdę? – powtórzył Dougie. Jak do tej pory miał do czynienia jedynie z podłogami pokrytymi wykładziną albo linoleum. Drewno wiśniowe to była dla niego czarna magia. – No cóż, policja naprawi wszelkie szkody. – To było kłamstwo, szczególnie jeśli w środku rzeczywiście skrył się morderca, ale Dougie miał w tej kwestii coraz więcej wątpliwości.

– Oby – oznajmił mężczyzna, po czym wytaszczył z korytarza wózek na kółkach z wielkim pudłem i zaczął się powoli gramolić w dół po schodach. Bagaż był naprawdę ogromny i każdy krok groził katastrofą. Dougie zareagował instynktownie i chciał pomóc, ale po chwili przypomniał sobie, że już raz dziś nawalił i nie może sobie pozwolić na opuszczenie swojego posterunku nawet na sekundę. Odwrócił się zatem plecami i udawał, że nic nie widzi.

Wózek uderzał z hukiem o kolejne stopnie, a mężczyzna głośno stękał. Dougie czuł, jak uszy płoną mu ze wstydu. Zaczął więc chodzić w tę i z powrotem z gniewną miną, żeby pokazać całemu światu, jakim jest twardzielem.

– Lubi pan sztukę? – zapytał nagle mężczyzna.

Dougie był wyraźnie zbity z tropu. Nieznajomy postawił pudło na chodniku, ale zamiast wrócić do siebie, najwyraźniej miał ochotę na pogawędkę.

O sztuce.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – powiedział policjant i wzruszył ramionami.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Nie należy więc pan do grona ludzi, którzy mówią: „Wiem, co mi się podoba”.

– Nie.

Dougie chciał, żeby ten facet już sobie poszedł. Dziwne, że jeszcze tego nie zrobił, ponieważ było naprawdę zimno, a on miał na sobie jedynie lekkie ubranie i dość idiotyczne buty. Wyglądał, jak gdyby właśnie wstał od śniadania, na którym raczył się wędzonymi śledziami. Na dodatek był łysy jak kolano.

Na pewno zdążył już przemarznąć do szpiku kości.

– Chociaż w zasadzie to wiem, co lubię – oznajmił nagle Dougie i zdziwił się, że kontynuuje tę bezsensowną rozmowę. – Interesują mnie samochody.

– Hm, samochody – mruknął mężczyzna w taki sposób, że Dougie poczuł się jak skończony głupek.

Oblał się rumieńcem i pomyślał, że musi się wytłumaczyć. Nie miał pojęcia, dlaczego uznał, że to konieczne, ale tak właśnie było.

– Nie chodzi o samochody jako takie, ale o różne elementy, z których są zbudowane.

– Różne elementy? – Mężczyzna zmarszczył czoło.

– Tak – potwierdził policjant i trochę się rozmarzył. – Różne części i detale. Na przykład lubię

rozłożyć silnik na czynniki pierwsze, żeby zobaczyć, w jaki sposób te wszystkie dysze, sprężyny i podkładki poruszają auto do przodu. Rozkładałam to na podłodze, żeby lepiej zrozumieć zasadę działania. Wiem, że to nie jest sztuka, ale właśnie takie rzeczy sprawiają mi przyjemność.

Mężczyzna milczał i Dougie poczuł się skrępowany. Miał wrażenie, że powiedział za dużo niewłaściwej osobie. W końcu rozmawiał z jakimś bogatym snobem, który nosi pretensjonalny sweterek i mieszka w domu wartym dziesięć milionów funtów. Co taki koleś może wiedzieć o silnikach? Co go obchodzi sprężyny dociskowe i podkładki? Cała sytuacja zaczęła mu działać na nerwy. Miał wrażenie, że został zdemaskowany i znowu jest małym, głupim Dougiem, bratem złodzieja samochodów Ronnie'ego Krzywulca, a nie panem Trewellem, szanowanym funkcjonariuszem londyńskiej policji metropolitalnej i Strażnikiem Galaktyki, ponieważ właśnie w ten sposób o sobie myślał.

Był zażenowany i lekko wkurzony. Raptownie odwrócił się na pięcie z nadzieją, że ten natrętny facet zrozumie aluzję i wróci do siebie. Ale wcale tak się nie stało. Dougie wciąż czuł, że ktoś za nim stoi, i zaczęła go swędzieć szyja...

Wszedł więc po schodach i zaczął udawać, że zainteresowały go dochodzące ze środka hałasy. Zrobił to w idealnym momencie, ponieważ kiedy zbliżył się do drzwi, rzeczywiście coś usłyszał: ktoś krzyknął podekscytowanym głosem.

Cholera!

Poczuł nagły przyływ adrenaliny, ponieważ spodziewał się, że zaraz rozlegną się strzały. Serce waliło mu jak młotem. Zaciśnął palec na spuście i czekał. Jeśli mordercy uda się wymknąć z zasadzki, to właśnie Dougie stanie mu na drodze. Czyż to nie cudowny zbieg okoliczności? Do tej pory się z niego śmiali, ale teraz Dougie Matołek pokaże, co potrafi.

Jednak nic się nie działo.

Trochę krzyków i to wszystko. Najwyraźniej coś znaleźli, ale nie był to przestępca.

Cholera.

Dougie trochę się rozluźnił, ale nie za bardzo. SCO19 to była elitarna jednostka i nie należało się zbyt rozluźniać, ponieważ groziło to śmiercią. Dougie ciężko pracował na swój sukces i nie mógł sobie pozwolić, żeby zginąć w takim momencie.

Nagle usłyszał dziwny stukot i szybko się odwrócił.

Nieznajomy mężczyzna zszedł z kamiennych schodów, postawił wielkie pudło na śniegu i zaczął je pchać przed siebie. Cały czas miał na sobie mokasyny z frędzelkami.

\*\*\*

Okrzyk wydał z siebie policjant o nazwisku Rollins. W najmniejszej sypialni w całym domu odkrył tajne przejście prowadzące na strych. Właz był sprytnie ukryty w szafie wnękowej.

Wstrzymano operację i zaczęto szukać pułapek. Rees był zniecierpliwiony i odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie coś znaleźli: niewielkich rozmiarów bombę schowaną w blaszanym pudełku na słodczyce firmy Quality Street. Inspektor od razu przypomniał sobie dzieciństwo. Pudełko było naprawdę ogromne! Coś podobnego dostawał zawsze od ojca na Boże Narodzenie. W środku była prawdziwa kopalnia czekoladek z niemal niewyczerpanymi zasobami. Produkowane obecnie puszki były o wiele mniejsze. To już nie to samo. Do tej znalezionej na strychu przyklejona była naklejka: „Za połowę ceny!”.

Prawdziwa okazja!

Bombą zajął się drobny blondynek uzbrojony w półokrągłe szczypce. Okazało się, że mają szczęście i nie grozi im żadne niebezpieczeństwo.

– Drucik się obłuzował – powiedział, pokazując wszystkim kawałek błyszczącej miedzi.

– W przeciwnym razie Rollins dostałby w swoją głupią mordę setkę trzyciałowych gwoździ.

Kiedy weszli na strych, znaleźli jeszcze jakiś dziwny kabel i ostrożnie sprawdzili, dokąd prowadzi. Okazało się, że w ceglanej ścianie oddzielającej dwa domy ktoś wybił sporą dziurę, żeby podłączyć się do instalacji elektrycznej sąsiada i w ten sposób kraść prąd.

Po drugiej stronie otworu znajdował się kolejny właz, przez który można było dostać się do

przylegającego budynku.

W sąsiednim domu paliło się światło i było ciepło. Wnętrza urządzone z przepychem: w oczy rzucały się bogato zdobione wazony, francuskie stoły z polerowanymi blatami i japońskie szafki z laki.

Na półpiętrze uwagę przyciągało zbite lustro, a w głównej sypialni leżała na podłodze sterta brudnych ubrań. Pod prysznicem w łazience siedział niczego nieświadomy starszy mężczyzna i nucił *Love Me Tender*.

## 20 GRUDNIA

Kiedy Aguda poinformowała ją, że nie znaleźli Duncana, a mordercy udało się uciec, Eve zrobiło się niedobrze. Miała wrażenie, że gdzieś spada, jednocześnie cofając się w czasie. W żaden sposób nie mogła tego powstrzymać i po chwili znowu była chudą siedmiolatką. Czuła w nosie zapach świeżo skoszonej trawy i ogarnął ją paniczny strach, ponieważ zaraz miał się rozpocząć wyścig z woreczkami.

Nie mogła powstrzymać łez napływających do oczu i wiedziała, że już za moment rozbeczy się jak bóbr.

Nie było jednak przy niej ojca, który odgarnąłby jej włosy z czoła, otarł łzy i powiedział: „Po prostu się nie zatrzymuj”.

To już nigdy nie wróci.

Dlaczego więc ciągle na to czekasz?, zapytał głos, który nagle pojawił się w jej głowie.

Z zaskoczenia aż wyprostowała się na krześle.

Przecież nie była już dzieckiem.

Dobra rada ojca, która pomogła jej ukończyć wyścig, stała się rodzinnym mottem, czymś w rodzaju mantry, a nawet sposobem na życie. Chodziło o to, żeby ciągle przeć do przodu i zostawić trudne sprawy za sobą.

Ale niektórych rzeczy nie dało się przecież zignorować.

„Czasami trzeba się zatrzymać i spojrzeć prawdzie w oczy...”

Ta prosta myśl, która przyszła jej do głowy, gdy stała nad zmaltretowanymi zwłokami Guya Smitha, sprawiła, że twarda skorupa pękła i Eve wydostała się na wolność jak wypuszczony z klatki gołąb.

Kiedy Emily Aguda opowiedziała jej o szczegółach policyjnego nalotu i o tym, co stało się później, Eve myślała już o czymś innym. Widziała wszystko z niezwykłą jasnością, a w jej głowie kielkował nowy plan.

Zrozumiała, że niepotrzebnie przekazała innym całą inicjatywę: najpierw mordercy, a potem policji.

Przecież gliniarze nie są w stanie zapewnić jej bezpieczeństwa.

Nie udało im się również złapać mordercy.

Ani odnaleźć Duncana.

Po raz pierwszy w życiu Eve zdała sobie sprawę, że nikt nie wjedzie do miasta na białym koniu i nie skończy tego koszmaru.

Musi to zrobić sama.

Trzy dni po tym, jak na jej oczach Guy Smith został pobity na śmierć, Eve Singer postanowiła wrócić do pracy.

– Jesteś tego pewna? – zapytała nieufnie Aguda podczas śniadania, na które jadły tosty z pastą Marmite.

– Muszę się czymś zająć – wyjaśniła Eve. – Zwariuję, jeśli będę siedzieć beczynnie.

Potem zadzwoniła do Joego i opowiedziała mu o swoim planie. Zareagował tak samo jak policjantka:

– Jesteś tego pewna?

– Tak – odpowiedziała bez wahania. – Pomożesz mi?

Na dłuższą chwilę zaległa cisza, a Eve obleciał strach. Zdała sobie sprawę, że Joe jest jedyną osobą na całym świecie, której rzeczywiście ufa, i jeśli nie udzieli jej wsparcia, zostanie sama jak palec.

Kiedy się wreszcie zgodził, kamień spadł jej z serca i poczuła nagły przypływ emocji.

Jednak wyjście z domu okazało się trudniejsze, niż sądziła. Joe zaproponował, że po nią przyjedzie, ale odmówiła. Zależało jej, żeby jak najszybciej wrócić do codziennego rytmu i zachować jakieś pozory normalności, mimo że miała teraz przy sobie obstawę.

Dobrze przynajmniej, że Aguda nie wyglądała jak ochroniarz z prawdziwego zdarzenia.

Eve stała przed drzwiami wejściowymi i starała się zapanować nad oddechem. Trwało to w nieskończoność i zrobiło jej się naprawdę gorąco, ponieważ miała na sobie czapkę, szalik i rękawiczki.

Wreszcie zdecydowanym ruchem nacisnęła klamkę i wyszła na zewnątrz. Przed domem stał pan Elias. W ręku trzymał łopatę z solą.

– Idziesz do pracy? – zapytał zdziwiony.

– Tak – odpowiedziała. – Muszę się czymś zająć.

Pan Elias rozsypał sól na oblodzonej alejce, po czym oparł się na trzonku łopaty.

– Widziałem w wiadomościach twoją... relację. Wszystko u ciebie w porządku?

Eve wyglądała na lekko skonsternowaną.

– Nic mi nie jest. Dziękuję za życzliwość. Bardzo mi pan pomógł i ma to dla mnie wielkie znaczenie.

Pan Elias tylko machnął ręką.

– Jakież wiadomości o Duncanie?

Pokręciła głową i wskazała na stojącą obok policjantkę.

– To sierżant Emily Aguda. Jest członkiem zespołu poszukiwawczego.

Eve nie chciała się wdawać w szczegóły i niepokoić sąsiada historiami o porwaniach i morderstwach.

Pan Elias uściśnął Agudzie dłoń.

– Powodzenia – powiedział.

Kiedy zamknęły za sobą drewnianą furtkę, zabrał się z powrotem do pracy.

– Cholera – mruknęła Eve w drodze na stację metra. – Ciągłe nie mam dla niego prezentu.

W zasadzie to dla nikogo jeszcze nic nie kupiłam!

\*\*\*

Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi do pokoju redakcji informacyjnej.

– Tak jest, kurwa! – krzyknął Ross Tobin. – Oto prawdziwa reporterka!

Gdy wszyscy odwrócili głowy w jej kierunku, oblała się rumieńcem. Miała wrażenie, że ostatni raz była w tym miejscu wieki temu. Czuła się jak intruz i w taki sposób została potraktowana.

Zresztą trudno było się dziwić.

Od jej poprzedniej wizyty wiele się zmieniło.

Pracujący dla iWitness News dziennikarze na co dzień mieli do czynienia z przestępczością,

ludzkimi tragediami i rozmaitymi szokującymi wypadkami, jednak jak do tej pory nikt nie stanął przed kamerą i nie przygotował relacji, mając za plecami wykrwawiającego się na śmierć kolegę.

Współpracownicy posłali Eve kilka bladych uśmiechów, a potem mijali ją bez słowa, jak gdyby w ogóle nie zauważali, że siedzi przy swoim biurku.

Miała zamiar przedstawić Agudę jako swojego informatora, ale nikt o nic nie pytał.

Przyszedł Joe i mocno ją uściskał, żeby dodać jej otuchy. Pojawiła się też Katie Merino i przywitała się bez szczególnego entuzjazmu:

– Witamy z powrotem na pokładzie!

Szybko odgonił ją jednak Ross Tobin i kiedy zniknęła, zwrócił się do Eve:

– Nie jest nawet w połowie tak dobra jak ty. Poza tym chyba się farbuję.

– Co dla nas masz? – zapytała Eve niezwykle rzeczowym tonem.

– Możecie wybrać – oznajmił. – Przy służbie w Camden Town znaleziono mężczyznę bez głowy, na Belsize Park dwa jamniki zjadły kobietę, a w parku przy Edgware Road najprawdopodobniej popełniono podwójne samobójstwo.

Eve i Joe wymienili znaczące spojrzenia. W każdą z tych spraw mógł być zamieszany morderca, ale nie mieli na to żadnej gwarancji. Jednak oboje doskonale wiedzieli, która wiadomość na pewno znajdzie się w wieczornym biuletynie informacyjnym.

– Zajmiemy się psami – powiedziała Eve.

\*\*\*

Kiedy dotarli do eleganckiego domu na Belsize Park, jamniki zostały już odtransportowane, a obecni na miejscu policjanci nie chcieli powiedzieć dokąd. Aguda wcale tego nie żałowała: nieszczególnie przepadała za psami, a dwa czworonogi, które pożarły swoją właścicielkę – co prawda już nieżywą – musiały być wyjątkowo odrażające.

Eve i Joe byli jednak wyraźnie zawiedzeni.

– Dlaczego? – zapytała Aguda. – Ludzie przecież wiedzą, jak wyglądają jamniki.

– Ale nie takie – wyjaśniła Eve. – Chodzi o jamniki, które skonsumowały swoją bogatą właścicielkę na Belsize Park.

Aguda wciąż jednak nie widziała w tym większego sensu. Policjanci wyjaśnili, że Katinka Nasarenko spadła ze schodów i najprawdopodobniej zginęła na miejscu. Ciało odnaleziono dopiero po około tygodniu i psy nadgryzły nieco jej uda. Trudno to było jednak nazwać rozszarpaniem przez krwiożercze bestie.

– Ale to nie jest drugie Watergate, co nie? – powiedziała Aguda.

Eve wzruszyła ramionami.

– Raczej nie, ale dzisiaj nie było lepszej historii i nasz materiał na pewno znajdzie się na antenie.

Aguda nie za wiele z tego rozumiała. Nie powiedziała tego na głos, ale praca reportera kryminalnego wydała jej się z lekka absurdalna. Jechać na miejsce zbrodni tylko po to, żeby opowiedzieć o tym, co się wydarzyło? To było dość głupie. Rzecz jasna popierała wolność słowa, lecz nie za bardzo podobało jej się przesadne wykorzystywanie ludzkich tragedii.

Stała na rogu i tupiała, żeby trochę się rozgrzać. W tym samym czasie Eve i Joe szukali najlepszego miejsca na nagranie materiału. Wchodzili między samochody i gapili się na dom, w którym doszło do feralnego wypadku. Wzdłuż ulicy stał rząd starych, niezwykle okazałych budynków. Niektóre przerobiono już na mieszkania, a w innych dopiero trwał remont. Aguda zaczęła się zastanawiać, czy w Londynie zachowała się jeszcze jakaś okolica niezszpecona przez rusztowania i dwupółmetrowe billboardy z luszczącymi się plakatami.

Eve i Joe podeszli do policjantki. Właśnie kończyli jakąś zażartą dyskusję.

– Musimy mieć te psy – powiedział z rezygnacją w głosie Joe. – W przeciwnym razie nic z tego nie wyjdzie.

Spojrzał znacząco na Eve i na chwilę zaległa cisza. Aguda czuła, że coś wisi w powietrzu.

– Pomożesz nam? – zapytała Eve.



– Niby jak? – mruknęła nieufnie Aguda.

– Mogłabyś się dowiedzieć, dokąd zabrali te jamniki, a potem się za nami wstawić. No wiesz, zapytać, czy dałoby się je sfilmować. Zrobimy początek materiału tutaj, na miejscu, a potem pojedziemy do schroniska, czy gdziekolwiek zabrali te krwiożercze bestie, i będzie po sprawie.

Aguda uśmiechnęła się, gdy usłyszała o krwiożerczych bestiach, ale szybko zdała sobie sprawę, że Eve mówi śmiertelnie poważnie.

Przez chwilę się zawahała. W końcu to nie należało do jej obowiązków. Jej zadaniem było zapewnienie bezpieczeństwa swojej podopiecznej. Tylko tyle i aż tyle. Jednak lubiła Eve, a Joe sprawiał wrażenie fajnego faceta. Co więcej, spełnienie ich prośby to była bułka z masłem. Gdyby odmówiła, czułaby się naprawdę źle.

– Okay – oznajmiła. – Ujmę się za wami, ale nie będę nikogo o nic błagać, a już na pewno nie o jakieś psy.

– Dzięki – powiedziała Eve. – Najpierw zrobimy kilka ujęć tutaj, a potem pojedziemy sfotografować jamniki.

Aguda odłączyła się od dziennikarzy i poszła porozmawiać z jednym z policjantów. Dostała od niego numer telefonu. Kątem oka widziała, jak Eve i Joe rozkładają sprzęt i zaczynają grzebać przy mikrofonach i światłomierzach. Co jakiś czas spoglądali jednak w jej stronę, żeby sprawdzić, jak sobie radzi. Odsunęła się więc jeszcze dalej, żeby jej nie słyszeli. Była przyzwyczajona, że zawsze dostaje to, czego chce, ponieważ potrafi na to ciężko zapracować. Bardzo nie lubiła prosić o przysługi.

Tym razem nie chodziło jednak o nic poważnego i policjant, do którego zadzwoniła, bez problemu się zgodził i powiedział, że mogą przyjechać i zrobić kilka zdjęć.

– Są naprawdę słodkie – mruknął przez telefon. – Jeśli rodzina cię nie zechce, sam się tobą zaopiekuję, dobrze, kochanie?

Aguda zdała sobie sprawę, że jej rozmówca nie jest seksistowską świnią, tylko rozmawia z jednym z jamników. Podziękowała więc za pomoc i odłożyła słuchawkę, po czym stanęła obok billboardów, przy których Eve kończyła nagrywać swoją relację.

– Z Belsize Park mówiła dla państwa Eve Singer, iWitness News. – Zawiesiła głos, cały czas patrząc prosto w kamerę z radosnym, a zarazem współczującym wyrazem twarzy.

Dopiero kiedy Joe powiedział „Okay”, zrobiła naprawdę smutną minę.

Aguda musiała przyznać, że chociaż jej podopieczna na pewno jest chora z niepokoju, to przed kamerą zachowuje się jak prawdziwa profesjonalistka.

– Dobrze poszło? – zapytała Eve ponuro.

– Tak, świetnie – odpowiedział Joe.

Oboje spojrzeli na Agudę. Nie mogła się powstrzymać i oznajmiła z tryumfującym uśmiechem:

– Mnie też się udało.

\*\*\*

Po powrocie do domu Eve przeszukała lodówkę i znalazła w zamrażalniku pudełko z nabazgranym w pośpiechu napisem „Resztki”. Nie wiadomo było jednak, resztki czego.

Okazało się, że to risotto z kurczakiem, tak słabo doprawione, że rosło w ustach.

Emily Aguda spojrzała na kuchenny zegar.

– Będziemy oglądać wiadomości?

– A po co?

– Pokażą twój reportaż o psach.

Eve z lekceważeniem machnęła ręką i lekko się uśmiechnęła.

– Przecież to nie drugie Watergate, co nie?

Aguda wiedziała, że sama na to zasłużyła. Mimo to miała swój udział w powstaniu materiału i była trochę zawiedziona.

*Ludzie znajdują przyjemność w podziwianiu jedynie dwóch rodzajów inkarnacji prawdy i piękna: niemowlęcia i trupa...*

Huw Rees odłożył zeszyt i potarł przekrwione oczy.

Była druga w nocy. Od kilku godzin czytał zapiski mordercy. To był pierwszy z sześćdziesięciu sześciu notatników. Najpierw kazał je zawieźć do swojego biura, a potem do domu. Liczył, że pomogą mu lepiej poznać stan umysłu przeciwnika, ale jak do tej pory natrafił jedynie na strasznie egotyczne rozważania, często związane z religią lub z ezoteryką. Czegoś takiego nie mógł napisać ktoś przy zdrowych zmysłach.

Wziął do ręki kolejny notes i otworzył go na chybił trafił.

*Celem artysty musi być nieśmiertelność.*

*Prawdziwy artysta powinien nie tylko przedstawić zewnętrzną powłokę rzeczy, lecz także dotrzeć do wewnętrznych mechanizmów.*

*Próbowali to zrobić kubiści, ale ponieśli porażkę. Pokazali przedmiot z wielu perspektyw, ale wszystkie były zewnętrzne. Jeżeli chciałbym zobaczyć Akt schodzący po schodach z różnych punktów widzenia, czyż nie mogę po prostu go obejść? Jednak z każdej strony zobaczę i tak tylko dwa wymiary. Malarz pokazuje mi tył kobiety, który w gruncie rzeczy niewiele różni się od przodu! Żeby zrozumieć, należy zaprezentować WNEŹTRZE!!!*

Historia sztuki nie była mocną stroną inspektora Reesa. Wiedział, co mu się podoba – najbardziej lubił obrazy z walczącymi na letnim niebie spitfire’ami i messerschmittami – ale nigdy nie określiłby siebie mianem miłośnika sztuk pięknych.

Nie znał *Aktu schodzącego ze schodów*, więc nie zrozumiał żartu autora, ale domyślał się, że puenta kryje się w kończącym zdanie grubych wykrzyknikach.

Ich szereg ciągnął się przez trzy kolejne strony.

Być może komisarz Marr miał odpowiednie wykształcenie, żeby zrozumieć aluzję do *Aktu*. Rees zanotował sobie w pamięci, żeby go o to zapytać, po czym przerzucił kilka stron i znowu pograżył się w lekturze.

*Kuba Rozpruwacz miał dobrą intuicję, ale brakowało mu opanowania. Wiedział, że prawda leży wewnątrz. Należy ją pokazać i dzielić się nią z innymi...*

Pieprzony kutas. Rees kartkował dalej rękopis, szukając zmęczonymi oczami słów kluczowych, takich jak „zabijać” lub „krew”.

*Kiedy przyszedłem po nią, całkowicie mi zaufała. Teraz zachowuje się jak niewierny Tomasz, którego nie przekonała ani twarz, ani postać zmartwychwstałego Chrystusa. On musiał wsadzić własny palec w ranę zadaną przez Rzymian. Dopiero kiedy dotknął surowego mięsa, zrozumiał, że ma przed sobą żywego człowieka.*

Ten fragment był dla niego bardziej zrozumiały. Powróciły mgliste wspomnienia lekcji religii, a przed oczami stanęła ilustracja z Biblii dla dzieci, którą dostał od babci na dziesiąte urodziny: zmieszany starzec wtykający palec między żebra Jezusa. Całe szczęście tego samego dnia ojciec podarował mu koszulkę reprezentacji Walii w rugby, ponieważ w przeciwnym wypadku urodziny byłyby jedną wielką porażką. Nigdy nie przeczytał Biblii, ale zdarzało mu się oglądać obrazki, które były krwawe jak cholera: dekapitacje, tortury, przybijanie do krzyża...

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, mój mały! Hip, hip, hurra!

Głośno westchnął, położył notes na biurku i rozmasował powieki. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio przespał całą noc, ani razu się nie budząc. Jego umysł pracował zbyt ciężko, żeby pozwolić sobie na drzemkę.

Kiedy powiązali ze sobą trzy pierwsze morderstwa, przeprowadził się do pokoju gościnnego, żeby nie przeszkadzać Maureen. Mógł zapalić światło i w spokoju przeglądać dokumenty. Jednak nie było to dobre rozwiązanie. Często kiedy podnosił wzrok znad zdjęć bladego ciała Layli Martin albo

zakrwawionej kabiny pociągu na stacji Piccadilly, w drzwiach stała jego żona i proponowała mu kawę albo kanapkę.

O trzeciej nad ranem.

Kiedy sobie o tym przypomniał, niemal się rozplakał. Maureen była dla niego taka dobra. Miał ściśnięte gardło i musiał odchrząknąć. Reagował emocjonalnie, ponieważ był naprawdę zmęczony. Wiązał ogromne nadzieje z nalotem na dom mordercy, zdając sobie sprawę, że to ich ostatnia deska ratunku. Nie udało się jednak ani schwycić zbrodniarza, ani uwolnić zakładnika. Rees poczuł wtedy, jak z sykiem uciekają z niego resztki energii. Miał wrażenie, że zapadł się w sobie zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Od tego czasu gonił resztkami sił, łudząc się, że widzi światło w tunelu, i wspomagał się żelkami Jelly Babies. Ktoś mu kiedyś powiedział, że można przejechać cały wyścig Tour de France, pijąc tylko wodę i jedząc takie żelki. Na razie szło mu nieźle, ale jeśli nie złapią wkrótce tego sukinsyna, to skończy jako bezzębny cukrzyk.

Poczuł, że wszystko zmierza w tym kierunku.

Komendant wytykał mu błędy, zanim jeszcze Eve Singer zaczęła szaleć ze swoim iPhone'em i wymachiwać do kamery ulotką. Teraz Rees miał wrażenie, że ktoś wpycha mu głowę do wielkiego pieca, a on nic nie jest w stanie z tym zrobić. Nie winił Eve za to, że upubliczniła ogłoszenie. Rozpaczliwie poszukiwała ojca, a ogromne emocje sprawiają, że ludzie dziwnie reagują. Wszystko stało się jednak o wiele bardziej skomplikowane.

Wziął do ręki zdjęcie Vandenbergga. Przez dwa ostatnie dni można było je zobaczyć w każdej gazecie i w każdym telewizyjnym serwisie informacyjnym, jednak na nic się to zdało. Nikt nie widział mordercy. Albo nie potrafił sobie przypomnieć. Być może po prostu nie rzucał się w oczy. Ten facet miał twarz z teflonu: nie było na niej żadnego punktu zaczepienia, niczego, na czym można było zawiesić wzrok i zapisać obraz w pamięci.

Centrum koordynacyjne odbierało dziennie sto telefonów dotyczących podejrzanych ulotek, które – jak się okazywało – reklamowały wyprzedaże dywanów albo kiermasze domków dla lalek. Kolejne pięćdziesiąt osób dzwoniło, żeby poinformować policję o mężczyznach rozklejających ogłoszenia na przystankach autobusowych i ulicznych latarniach. Każde doniesienie trzeba było sprawdzić. Najdziwniejsze było jednak to, że nikt nie widział Williama Stafforda Vandenbergga.

System najwyraźniej nie działał, jak należy.

Wszystko o kant dupy potłuc.

Rees dobrze wiedział, że potrzebuje odpoczynku, ale nie mógł sobie na niego pozwolić. Co więcej, cierpiał na bezsenność. Martwił się, że jego zdolność do wytropienia zabójcy z każdym dniem maleje w postępie geometrycznym, a Vandenberg będzie dalej zabijał. Bał się każdego nowego poranka, a widmo kolejnego morderstwa wisiało nad nim jak miecz Damoklesa.

Wreszcie postanowił pójść do łóżka, chociaż wiedział, że nie zaśnie.

\*\*\*

Pod poduszką zaczął lekko wibrować telefon. Odebrała przed drugim dzwonkiem.

Numer zastrzeżony.

– Dostałem twoją wiadomość, Eve. Bardzo sprytne.

Wstała z łóżka i delikatnie zamknęła drzwi do sypialni, po czym podeszła do okna, zupełnie nieświadomie omijając wszystkie skrzypiące deski. Poczowała na gołych nogach przenikające przez szkło zimne powietrze.

Ulica przykryta była warstwą świeżego śniegu. Stojąca pod latarnią budka telefoniczna nabrała krwistoczerwonego koloru, a leżący na niej biały puch wyglądał jak gruba warstwa lukru.

Czy był tam morderca?

Trudno powiedzieć: mógł dzwonić z dowolnego miejsca. Wewnątrz budki panowała nieprzenikniona ciemność.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Mojego ojca – odpowiedziała. – Żywego.

– Jesteś pewna? A czytałaś *Małpią łapkę*? – Wyraźnie się z nią przekomarzał.

Ścisnęła ją w żołądku. Znała to opowiadanie. Wszyscy je znali. Rodzice przywracają do życia zmarłego w wypadku syna, wykorzystując do tego celu przeklęty talizman. Syn puka do drzwi ich domu, ale jest straszliwie okaleczony.

Przez chwilę była wściekła, ponieważ wydawało jej się, że będzie z tego żartował. Nie mogła jednak dać się sprowokować. Wzięła głęboki oddech. Musiała tańczyć, jak jej zagra. Jeśli weźmie jego zaczepki na serio, nie będzie w stanie myśleć tak jak on.

– A ty czego chcesz? – zadała to pytanie bez najmniejszego zająknięcia i od razu zaczęła się zastanawiać, czy to na pewno dobrze.

A może bardzo, bardzo źle?

W budce telefonicznej coś się poruszyło. Eve aż się wzdrygnęła, gdy na szybie pojawiła się rozcapierzona, blada ręka.

– Śmierć chce przyjść po swoją Dziewczynę.

Zamarła ze strachu. Oparła się o okno, żeby nie stracić równowagi, i dopiero po dłuższej chwili była w stanie złapać oddech i coś z siebie wykrztusić.

– Umowa stoi – szepnęła.

Odłożyła słuchawkę i zrobiła krok w tył, żeby schować się w ciemności.

„On mnie zabije”, pomyślała.

„I najprawdopodobniej sobie na to zasłużyłam”.

22 GRUDNIA

Pan Elias nigdy nie przeklinał, ale kiedy zobaczył, że ktoś pobrudził jego budkę telefoniczną, bez wahania rzucił grubym słowem. Nikt tego nie usłyszał, ponieważ nad ulicą przelatywał właśnie samolot linii Air France. Pan Elias wrócił szybkim krokiem do domu, żeby przynieść wiadro gorącej wody i szczotkę do szorowania.

Był nie tylko wściekły, lecz także osobiście urażony.

Akt wandalizmu zasmucił go bardziej, niż mógł podejrzewać.

Do jego oczu napłynęły łzy. Najpierw Phoebe, potem Jennifer, a teraz to.

W głębi duszy wiedział, że dwie pierwsze tragedie nie miały żadnego związku z trzecią, ale to były wciąż niezabliźnione rany, które teraz ktoś posypał solą.

Wydymał nos w chusteczkę i odkręcił kran. Woda zaczęła z bulgotem wypełniać wiadro.

Kto mógł to zrobić? Miał nadzieję, że ktoś obcy. Łatwiej byłoby to zrozumieć i pan Elias nie wzięłyby tego wybryku tak bardzo do siebie.

Podreptał z powrotem do budki i zaczął zeszkrobywać przyklejone do szyby ogłoszenie.

Kiedy prawie udało mu się usunąć lewy dolny róg, przetarł oczy i przeczytał, co było napisane na kartce:

WYSTAWA

sce: Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud

ta: Wigilia Bożego Narodzenia

ina: 14.00

Upuścił wiadro, po czym pognął przez zaśnieżoną alejkę do domu Eve Singer i zaczął walić do drzwi.

\*\*\*

Był środek nocy. Drzwi się otworzyły i kamera noktowizyjna zarejestrowała blask zielonkawego śniegu. Do budki weszła ciemna postać z kapturem na głowie i z twarzą owiniętą szalikiem.

Widać było tylko oczy, które błyszczały jak u lisa oświetlonego samochodowymi reflektorami.

Mężczyzna nosił rękawiczki. Błyskawicznie rozwinął ogłoszenie i zakleił nim obiektyw kamery...

– Czy to jakiś głupi żart? – zapytał Joe.

– Musimy poważnie potraktować ten incydent – wyjaśnił Huw Rees. – Nie jesteśmy w stanie zidentyfikować Vandenberga tylko na podstawie tego nagrania, ale całe drzwi są pokryte jego odciskami palców. – Podniósł do góry ogłoszenie. – Przynajmniej wiemy, kiedy i gdzie ma zamiar zaatakować.

– Ostatnim razem też to wiedzieliście – powiedziała Eve.

– Zaufaj mi – oznajmił Rees ponuro. – Teraz zadbamy o najdrobniejsze szczegóły. – Na chwilę zamilkł, po czym zwrócił się do Agudy: – Musimy tylko przechylić szalę na naszą stronę...

Oboje spojrzeli na Eve. Zaległa wymowna cisza.

Trrrrrt.

Joe jako pierwszy zorientował się, co jest grane, i krzyknął wyraźnie rozeźlony:

– Chcą cię wykorzystać jako przynętę!

Rees tylko się skrzywił.

– Wcale nie jako przynętę. Chodzi o to, żebyś odwróciła jego uwagę. Vandenberg ma obsesję na

twoim punkcie. Uroił sobie, że powinnaś pokazywać światu jego dzieła. Bardzo mu zależy, żeby zrobić na tobie jak największe wrażenie...

– Albo cię zamordować! – wtrącił Joe.

Rees nie zwrócił na niego uwagi.

– Ta akcja będzie się różnić od nalotu na dom Vandenberg. Tym razem wiemy dokładnie, gdzie i kiedy uderzy. Zostało nam czterdzieści osiem godzin, żeby się dobrze przygotować. Możemy tam wejść i mieć nad wszystkim pełną kontrolę. Dzięki temu zyskamy nad nim przewagę. Znajdziesz się w otoczeniu policji. Na miejscu będzie nie tylko Aguda, lecz także dwudziestu uzbrojonych funkcjonariuszy w cywilu, którzy ani na chwilę nie spuszczą z ciebie oka. Gwarantuję, że ten maniak nie zbliży się do ciebie na odległość mniejszą niż trzy metry. Wystarczy, że go namierzemy, i już po nim.

Eve przestała się bawić kajdankami.

Aguda spojrzała na dziennikarkę.

– To wygląda na całkiem niezły plan – oznajmiła, starannie ważąc słowa.

– Akurat – warknął Joe. – To jest, kurwa, beznadziejny plan. A co, jeśli go nie namierzycie? Albo sytuacja znowu wymknie się wam spod kontroli? Tak było przecież w Barnstormer Theatre. Przecież ten świr wcale nie musi zbliżyć się do Eve! Wystarczy, że wdrapie się gdzieś z pieprzoną strzelbą. Co wtedy?

– Joe... – Eve dotknęła jego ramienia. Wszyscy skupili na niej swoją uwagę. – Wiem, że zależy ci na moim bezpieczeństwie – ciągnęła spokojnym głosem. – Ale ja chcę mieć to już za sobą. To moja wina. Nawiązałam kontakt z mordercą. Pokazałam w telewizji nagranie z Kevinem Barrem. Poszłam na tak zwaną wystawę na stację Piccadilly Circus. Pozwoliłam temu sukinsynowi wejść do swojego domu i wprowadzić własnego ojca...

Przerwała, z trudem powstrzymując łzy. Nad ich głowami przeleciał samolot, dając jej czas, żeby mogła zapanować nad nerwami.

– To jedyny sposób, żeby uratować Duncana. Nie mam innego wyboru.

– Więc się zgadzasz? – zapytał Rees.

Lekko wzruszyła ramionami.

– Morderca chce się ze mną spotkać – powiedziała. – Musimy się na to zgodzić.

– Gówna prawda! – krzyknął Joe, po czym zerwał się na równe nogi i wyszedł pokoju.

Wybiegła za nim, ale dogoniła go dopiero przy furtce. Złapała go za kurtkę i jęknęła:

– Joe...

Odwrócił się do niej, ale nie odwzajemnił uśmiechu.

– Te sukinsyny mają gdzieś zarówno ciebie, jak i twojego ojca. Zależy im tylko na złapaniu seryjnego zabójcy.

– Ale przecież nam również o to chodzi, prawda? – powiedziała Eve. – Ich plany nie mają dla nas żadnego znaczenia.

– Liczy się zasada.

– Tak, ale oni tylko wykonują swoje obowiązki. Zachowują się przecież całkiem rozsądnie. Nie możesz ich za to winić.

– Owszem, mogę – burknął. – Pieprzyć policję i pieprzyć ich pracę!

Wyglądał, jakby za chwilę miał się rozplakać.

Eve przykryła swoją dłonią jego rękę.

– O co tak naprawdę chodzi?

Joe rozejrzał się dookoła, jak gdyby spodziewał się, że odpowiedź będzie wisiała gdzieś na ośnieżonym żywopłocie.

– Po prostu chcę, żebyś była bezpieczna.

– Wszystko będzie dobrze.

– Nie możesz być tego pewna na sto procent.

Skinęła głową.

– Zgoda. Nikt z nas nie ma absolutnej pewności. Każdego ranka wstajemy z łóżka, zakładając, że wieczorem położymy się spokojnie spać. Niektórzy z nas się mylą. Ale większość ma rację.

– Większość nie próbuje przechytrzyć seryjnego mordercy.

Uśmiechnęła się.

– Jak może mi się nie udać? Przecież będziesz się mną opiekował.

Joe zachował kamienną twarz.

– To nie jest żadna gra, Eve, tylko cholernie poważna sprawa.

– Wydaje ci się, że tego nie wiem? Myślisz, że mam ochotę podejmować takie ryzyko? Trzęsę się ze strachu, Joe, ale nie mam innej możliwości. Niezależnie od tego, co mówi Huw Rees, jeśli morderca zrobi chociaż jeden fałszywy krok, dojdzie do strzelaniny. Zabiją tego sukinsyna, a wtedy ja nigdy nie odnajdę swojego taty. Tylko to się dla mnie liczy. Reszta nie ma żadnego znaczenia.

Joe zmrużył oczy i spojrzał na śnieg, kręcąc głową.

– Chcę, żebyś tam był – powiedziała. – Ale jeśli odmówisz, zrobię to sama.

Wyciągnął swoją dłoń spod jej ręki i otworzył furtkę.

– Wiem.

Wsiadł do służbowego samochodu i wcisnął gaz do dechy. Auto ruszyło z piskiem opon, prawie ocierając się o furgonetkę UPS.

Eve ruszyła powolnym krokiem w stronę domu.

Do drzwi pana Eliasa zadzwonił kurier UPS.

– Pan Elias?

– Tak.

– Mam dla pana przesyłkę. Proszę tutaj podpisać.

– A co to takiego?

Mężczyzna odsunął się na bok, żeby pan Elias mógł zobaczyć leżące na wózku wielkie pudło z napisem Hotpoint.

– Nie zamawiałem pralki.

– Niespodzianka – powiedział kurier, wzruszając ramionami.

No tak, pomyślał pan Elias. W końcu zbliża się Gwiazdka. Najpierw sprawdził, czy przesyłka jest poprawnie zaadresowana, a potem spojrzął na ekranik, na którym widniało jego nazwisko. Zapisane z błędem, ale był do tego przyzwyczajony. Wziął do ręki specjalny rysik i złożył swój podpis.

Pudło było ogromne i sięgało mu prawie do pasa.

– Ciężkie?

– Tak, dość ciężkie.

– Czy w takim razie mógłby mi pan wstawić to do środka?

– Hm, to nie należy do moich obowiązków – powiedział kierowca i spojrzął na zegarek. Po chwili westchnął, obrócił wózek w stronę drzwi i zaczął go przepychać przez próg, głośno przy tym stękając. Pan Elias był zadowolony, że mimo wszystko poprosił o pomoc.

Zajrzał do salonu, ale uznał, że nie ma tam wystarczająco dużo miejsca na otwarcie przesyłki bez konieczności robienia straszego bałaganu. Zaprowadził więc kuriera do pokoju na tyłach domu. Stało tam pianino Jennifer i różne drobiazgi, które zapakował po jej śmierci, ale wciąż nie mógł się zebrać, żeby zanieść je do sklepu charytatywnego.

– Tutaj będzie dobrze, dziękuję – powiedział.

Przypomniał sobie o napiwku, więc zaczął szukać w kieszeni drobnych. Chciał wręczyć dostawcy jednego funta. Zdawał sobie sprawę, że to nie majątek, ale nie miał pojęcia, jaki napiwek daje się w dzisiejszych czasach kurierom i czy w ogóle się to robi.

– Dziękuję – powtórzył. – A to za pana fatygę.

Wyciągnął rękę z monetami, ale gdy podniósł wzrok, było już za późno. Zanim się zorientował, dostał czymś ciężkim w głowę.

\*\*\*

Kurier UPS nazywał się Tyson Reid. Tak samo miał na imię bokser jego ojca. Przez jakiś czas mieszkali pod jednym dachem, ale w pewne letnie popołudnie pies został potrącony przez samochód dostawczy i od tej pory w domu panował mniejszy chaos.

Bokser nie zginął jednak pod kołami furgonetki z logo UPS.

Młody Tyson był stworzony do wyższych celów. Tak w każdym razie zawsze twierdziła jego matka i przynajmniej przez jakiś czas wydawało się, że to prawda. Był całkiem inteligentny, ale musiał uważać, żeby nie mieć zbyt dobrych ocen, ponieważ wtedy odwróciliby się od niego kumple. Miał też talent do gry w piłkę i pewnie coś by z tego było, gdyby się bardziej przykładał. Grał w reprezentacji szkolnej i w miejscowym klubie dla młodzieży Hackney Hunters. Raz pojechał nawet na obóz szkoleniowy z West Ham United. Koniec końców nic z tego nie wyszło i po jakimś czasie stracił zainteresowanie ciężkimi treningami, które nie przynosiły mu żadnych korzyści.

Matka wygłosiła swój ulubiony wykład na temat natychmiastowej satysfakcji, ale to przecież nie ona musiała cztery razy w tygodniu biegać sześć kilometrów za frajer, często w deszczu. Postanowił rzucić to w diabły i tylko czasem odbijał piłkę od ściany przy garażach, gdzie zbierały się miejscowe dzieciaki. Kiedy miał szesnaście lat, okazało się, że wcale nie jest taki bystry.



Z trudem skończył szkołę i miał problemy z prawem, ponieważ próbował zarabiać na życie, handlując narkotykami. Nic wielkiego: sprzedawał tylko trochę trawy bliższym i dalszym znajomym, ale matka zareagowała tak, jak gdyby był głównym bohaterem *Breaking Bad*. Kiedy policjanci powoli układali wszystkie jego rzeczy na bezładnym stosie tuż za drzwiami sypialni, wpadła w szal i nawymyślała mu od najgorszych.

Jeden z funkcjonariuszy nadepnął na model Sokoła Millennium.

– Ojej, przepraszam – burknął, ale wyraz jego twarzy mówił, że wcale nie jest mu przykro. Tyson zrozumiał wtedy, że to tylko początek i jeśli dalej będzie szedł tą drogą, nic lepszego go nie spotka.

Uratowała go właśnie ta myśl, a nie wściekłość matki. Przypomniawszy sobie, że kiedy zachowywał się rozsądnie, jego życie było dużo łatwiejsze.

Nie było jeszcze za późno. Rzecz jasna ani kariera piłkarska, ani studia nie wchodziły w grę. Dobrze, że nie został aresztowany. Cała afera skończyła się jedynie na upomnieniu i zepsutej zabawce z *Gwiezdnych wojen*. Tyson wciąż mógł się zająć uczciwą pracą i tak też zrobił.

Najpierw zatrudnił się na nocną zmianę na stacji benzynowej. To była gówniana robota, ale dzięki niej mógł zapłacić za kurs prawa jazdy. Później dostał etat w UPS. Przez pierwsze dwa lata zajmował się sortowaniem i etykietowaniem przesyłek, a potem usiadł za kierownicą samochodu dostawczego. Lubił przez cały dzień być w trasie, a ludzie zawsze cieszyli się na jego widok. Przeszkadzał mu tylko naprawdę brzydki brązowy mundur, który przypominał, że nie jest wcale swoim własnym szefem.

Nie o takim życiu marzył, ale nie było wcale aż tak źle. Znowu zaczął grać w piłkę, tym razem w niedzielnej lidze dla amatorów. Zdążył już zapomnieć, jak wielką miał z tego frajdę. Wciąż był naprawdę dobry i prawie zawsze błyszczał na boisku.

Miał dziewczynę o imieniu Rose i spodziewali się dziecka. Chcieli mu dać na imię Brady albo Fern. Czekali na mieszkanie komunalne i byli już wysoko na liście. Matka Tysona z niezwykłym zapałem zabrała się za robienie na drutach. Nie wiadomo skąd pojawił się również jego ojciec i wpłacił pięćdziesiąt funtów na specjalne konto. Zrobił z tego niezłą szopkę i obiecał, że będzie przekazywał taką sumę co miesiąc. Pieniądze miały być przeznaczone na wykształcenie wnuka. Nikt się specjalnie nie dziwił, gdy wkrótce potem ojciec zapadł się pod ziemię. Było z tego sporo śmiechu, ale Tyson uznał, że sam pomysł był całkiem dobry, i jeśli tylko mógł, każdego miesiąca sam przelewał pieniądze. Dziecko miało już trzysta funtów na koncie, a przecież jeszcze nawet nie przyszło na świat!

Poza tym zostało raptem kilka dni do Bożego Narodzenia i Tyson liczył na jakąś lepszą premię, ponieważ interes świetnie się kręcił. Ludzie kupowali coraz więcej rzeczy w internecie, zamiast ruszyć tyłki do normalnego sklepu.

Tak naprawdę był im za to wdzięczny.

Nie miał więc na co narzekać. Był zadowolony ze swojego losu.

Podczas jazdy lubił sobie nucić pod nosem dziwną składankę piosenek z dzieciństwa i hiphopowych przebojów. Podśpiewywał o smutnych blokowiskach, pijanych żeglarzach i puszczalskich zdzirach.

– *Ear-lie in the morning...*

Dziewiętnastego grudnia miał odebrać paczkę z zachodniego Londynu. To było wielkie i ciężkie pudło, ale na szczęście nadawca czekał na niego przy samym krawężniku, a przesyłka leżała na wózku zaopatrzonym w kółka. Facet miał na sobie tylko lekki sweterek i mokasyny, ale pomógł mu wciągnąć wózek na podnośnik hydrauliczny.

Tyson dał mu papiery do podpisania, po czym wciągnął podnośnik, zamknął drzwi ładunkowe i wskoczył do szoferki.

Na fotelu pasażera siedział gość w sweterku.

– Hej! – krzyknął Tyson. – Proszę stąd wysiąść!

Mężczyzna ani drgnął.

Miał w ręku nóż i przeszył Tysona zimnym spojrzeniem.

Kazał się zawieźć gdzieś w okolice lotniska Heathrow. Zatrzymali się przy jakimś polu, na którym snuły się po śniegu uwiązane na niebieskich postronkach wygłodniałe cygańskie kucyki.

Tyson musiał zdjąć swój brzydki brązowy mundur.

Stał w bieliznie i trząsał się z zimna, obserwując, jak nieznajomy mężczyzna wkłada jego ubranie. Zaczął się zastanawiać, czy na pewno dostanie świąteczną premię.

Wiedział, że został napadnięty i okradziony.

Jednak dopiero później, niemal w ostatniej chwili, zdał sobie sprawę, że przyjdzie mu również umrzeć.

\*\*\*

Kurier UPS siedział na sofie, udając, że z niecierpliwością czeka, aż pan Elias otworzy wielką paczkę. Wyglądało to trochę jak parodia Gwiazdki.

Byli w salonie, ale tak doszczętnie zdewastowanym, że dodatkowy bałagan nie miał już żadnego znaczenia. Pan Elias podejrzewał, że reszta domu jest w podobnym stanie. Był niemal wdzięczny, że nie musi tego oglądać. Kiedy odzyskał przytomność, leżał na kanapie, związany i zakneblowany, i słuchał, jak kierowca demoluje po kolei wszystkie pokoje.

UPS na pewno gorzko tego pożałuje, pomyślał.

Na początku był przerażony i nadal się bał, ale teraz strach zaczął ustępować miejsca otępieniu połączonemu z dyskomfortem i rosnącą irytacją.

Kurier nie był nim szczególnie zainteresowany. Uderzył go tylko raz, na samym początku, a potem nawet na niego nie spojrział. Dopiero po jakimś czasie podciągnął go do pozycji siedzącej, przysunął pudło i powiedział:

– Otwieraj!

Nie rozwiązał panu Eliasowi rąk, ale okazało się, że wystarczy wsunąć paznokiec pod brązową taśmę, żeby bez większego trudu otworzyć paczkę. Jej wnętrze było wypełnione styropianowymi kuleczkami, które miały za zadanie chronić zawartość przesyłki.

– Wyjmij to – rozkazał kurier.

Pan Elias wziął w ręce dwie garści granulatu i zaczął szukać wzrokiem jakiegoś odpowiedniego miejsca, żeby go odłożyć. Nagle mężczyzna szturchnął go w dłonie i kulki poszybowały w górę, po czym rozsypały się po dywanie i stoliku kawowym.

Kurier wybuchnął łobuzerskim śmiechem.

Sąsiad Singerów chętnie skomentowałby to skandaliczne zachowanie, ale przeszkodził mu w tym knebel. Mężczyzna wetknął mu głęboko w usta poszewkę, a potem okleił mu głowę tą samą brązową taśmą, którą zakleił pudło.

Pan Elias nabierał granulatu garściami i rzucał go na podłogę. Kilkanaście centymetrów niżej natrafił na coś dziwnego i aż wzdrygnął się z obrzydzenia.

Nieznajomy znowu zaniósł się śmiechem i krzyknął:

– Wesołych Świąt!

Wsadził ręce do pudła i cały czas chichocząc, zaczął wyrzucać w powietrze styropianowe kulki, które spadały na podłogę jak śnieg.

Pan Elias pochylił się ostrożnie do przodu i stęknął zszokowany.

W środku była ludzka głowa.

23 GRUDNIA

Morderca miotał się po ciasnym domu jak zwierzę w klatce. Owładnął nim szal niecierpliwego wyczekiwania.

Za wszelką cenę chciał wszystko zrozumieć, więc wsadził palec w każdą szczelinę i opróżnił każdą półkę i każdą szafkę.

Na podłodze wałała się sałata i rozmazany był dżem z rozbitego słoika.

Z radością oglądał na swoim telefonie nagranie z trzęsącym się z zimna kierową UPS, który błagał go rozpaczliwie: „Przynajmniej zostaw mi buty! Przecież nie wrócę boso do domu!”.

– Masz rację! – krzyczał morderca, zanosząc się śmiechem. – Zostaniesz tam na zawsze!

Od czasu do czasu przytykał ucho do ściany, zamykał oczy i mamrotał pod nosem słowa, które rezonowały w głowie.

W jednym z pokoiów stało pianino; teraz zostały z niego tylko drzazgi i zwoje strun. W salonie wisiały portrety w sepii i rysunki statków, które pozrywał, wszystkie co do jednego.

Na tapecie widać było teraz jaśniejsze kwadraty, ślady bólu i straty.

Nigdy więcej. Nigdy więcej!

Dosłownie wypatroszył cały dom i teraz kipiało w nim życie. Wydawało mu się, że za chwilę eksploduje! Zerwał z siebie brązowy mundur i poczuł, że jego ciało z trudem mieści życie, które w sobie zgromadził. Krew, wewnętrżności, oczy, włosy, zęby, mięso i kości: wszystko to wypełniało go po same brzegi! Był pełen życia! Miał napięte mięśnie, członek był twardy jak skała, a jego niegdyś sparaliżowane serce biło jak dzwon i pompowało do żył krew i ogień!

Rana na piersiach była całkowicie zabliźniona. Żadnej, nawet najmniejszej szczeliny.

– Spójrzcie na mnie! – Odwrócił się na dywanie i rozpostarł ramiona. – Tylko na mnie popatrzcie!

Podarta i wybebeszona kanapa nie pisnęła ani słówka.

Milczały ułożone w bezładny stos krzesła.

Związany i zakneblowany staruszek siedział jak mumia.

W pewnym momencie za oknem pojawił się inspektor Huw Rees i morderca błyskawicznie przykucnął obok wielkiego pudła.

Policjant szedł przez sąsiednią posesję w stronę furtki. Kiedy rozległ się zgrzyt zardzewiałej zasuw, zabójca przypomniał sobie wydarzenia pamiętnej nocy.

Miał wrażenie, że wrócił do samego początku, a czas zatoczył koło.

– Koniec jest już blisko – wysyczał do ucha pana Eliasa.

A potem wbiegł na górę po schodach, pokonując po dziesięć stopni na raz!

Po chwili był już na strychu.

## WIGILIA BOŻEGO NARODZENIA

Można było odnieść wrażenie, że w Londynie słońce w ogóle nie wzeszło. Zrobiło się jedynie nieco jaśniej, ale poza tym dzień nie różnił się prawie niczym od nocy: cały czas paliły się światła, a niebo koloru zimowego morza zwiastowało, że pogoda będzie paskudna. W porannych wiadomościach mówili głównie o narzekających bukmacherach, którzy bali się, że pójdą z torbami z powodu białych świąt.

Emily Aguda przekręciła się na bok i wyłączyła radio.

Trrrrrt.

Policjantka głośno westchnęła i zeszła na parter.

Eve Singer była już ubrana, piła kawę i bawiła się kajdankami.

Trrrrrt.

Aguda również naląła sobie kubek gorącego napoju i usiadła na krześle.

– Zdenerwowana? – zapytała prosto z mostu. Uznała, że w zaistniałej sytuacji nie ma sensu się ceregielić.

Eve skinęła głową.

– Niedobrze mi.

Zacisnęła jedną z obręczy na lewym nadgarstku, a potem drugą na prawym. Trwało to ułamek sekundy.

Aguda spojrzała na zegar. Było wpół do dziesiątej. Do Muzeum Madame Tussaud miały dotrzeć w południe, ale z powodu opadów śniegu trzeba było przeznaczyć dwie godziny na dojazd.

– Jak już wyjdziemy, poczujesz się lepiej.

– Okay – powiedziała Eve. – Pewnie masz rację.

– Super. – Aguda wypła resztkę kawy i wstała z krzesła. – Wezmę szybki prysznic, a potem spakuję swoją *wielką spluwę* i pojedziemy nakopać w dupę seryjnemu mordercy.

Eve lekko się uśmiechnęła.

Ale kiedy dwadzieścia minut później policjantka zeszła na dół, jej podopieczna zapadła się pod ziemię.

\*\*\*

Cholera. Cholera. Cholera.

Aguda przeszukiwała dom, cały czas próbując dodzwonić się do Eve. Wzięła nawet latarkę i zajrzała na strych, ale znalazła tam tylko konia na biegunach pokrytego strasznie grubą warstwą kurzu. Potem poinformowała Huw Reesa, że mają problem.

– Wyszła sama czy została porwana? – zapytał.

Policjantka przez chwilę się zawahała. Była pod prysznicem przez raptem dziesięć minut, ale szum wody to dość skuteczna bariera dźwięku.

– Moim zdaniem zniknęła, bo chciała. Nie ma żadnych śladów włamania ani czegokolwiek, co świadczyłoby o szamotaninie. Poza tym Eve na pewno dałaby napastnikowi do wiwatu.

– Czyli po prostu stchórzyła.

– Na to wygląda – odpowiedziała Aguda niepewnie. Mimo wszystko nie nazwałaby Eve Singer tchórzem. Trudno ją było winić za to, że nie chce być przynętą dla seryjnego mordercy. Czy istnieje jednak lepsze wytłumaczenie?

Zatrzymała się przy kuchennym stole, czekając na dalsze instrukcje.

Jednak zanim Huw Rees zdążył cokolwiek powiedzieć, krzyknęła:

– Cholera! Wydaje mi się, że zwinęła moje kajdanki!

Zaległa cisza i stało się jasne, że oboje pomyśleli to samo. Jeżeli Eve dała nogę, ponieważ obleciał ją strach, to jedno.

Ale jeśli zabrała celowo kajdanki sierżant Agudy, to już zupełnie co innego...

– W porządku – powiedział Rees. – Dowodzony przeze mnie oddział musi być wcześniej na miejscu. Będziemy mieli oczy szeroko otwarte, gdyby okazało się, że Eve postanowiła działać na własną rękę. Ty zostaniesz u niej w domu i spróbujesz się do niej dodzwonić. Postaraj się też wymyślić, dokąd mogła pójść i co może teraz robić.

– Tak jest.

– Jesteśmy w kontakcie.

– Tak jest.

– Tylko tego nam brakowało... – westchnął Rees.

– Tak jest – potwierdziła Aguda z zaangażowaniem w głosie.

Rozłączyła się i od razu wybrała numer Eve, po czym wbiegła po schodach i zaczęła od nowa przeszukiwać wszystkie pokoje, tym razem starając się ustalić, jakie przedmioty zabrała ze sobą jej podopieczna. Brakowało kart kredytowych. W szufladzie przy łóżku znalazła starą komórkę, której jednak nie dało się włączyć, a do ekranu przyklejona była nalepka „Kup jeden, drugi dostaniesz za darmo!”.

Oznaczało to, że Eve ma przy sobie swój telefon, tylko najzwyczajniej w świecie nie odbiera. Jeśli robi tak z własnego wyboru, to pół biedy, choć trzeba przyznać, że jej zachowanie jest naprawdę wkurzające.

Emily Aguda starała się wejść w skórę uciekinierki. Uprawdono jej ojca, ryzykowała własnym życiem, a morderca wciąż pozostawał na wolności. Co więcej, jak do tej pory organy ścigania okazały się całkowicie bezradne.

Poczuła ukłucie wstydu. Na miejscu dziennikarki straciłaby wiarę w kompetencję londyńskiej policji metropolitalnej, wzięła sprawy w swoje ręce i...

Zacząła prowadzić negocjacje z porywaczem.

Nagle szarpnięcie w żołądku powiedziało jej, że jest na właściwym tropie. Czym prędzej zbiegła na dół, zegar wiszący w korytarzu pokazywał wpół do jedenastej.

Naprawdę jest już tak późno?

Weszła do salonu, starając się jak najszybciej zebrać myśli. Zamknięty w klatce Chrupek stał w kołowrotku i powoli przebierał łapkami.

Czy Eve Singer mogła prowadzić jakieś zapiski? Czując się idiotycznie, Aguda zaczęła krążyć po domu w poszukiwaniu notatnika. Na lodówce leżał kalendarz ze zdjęciem dwóch border terierów na okładce. Niestety sprzed dwóch lat. Mimo to sprawdziła bieżącą datę.

„Zrób świąteczne zakupy”.

Zacząła się śmiać nie tylko z Eve, lecz także z samej siebie. Czego tak naprawdę się spodziewała? „10.00 – joga, 13.00 – seryjny morderca”?

Nawet jeśli Eve potrzebowała przypomnienia, nikt, kto miał więcej niż siedemnaście lat, nie zapisywał takich rzeczy w papierowym kalendarzu. Do takiego celu wykorzystywało się raczej telefon.

A ten Eve miała przy sobie.

Ale być może wcześniej zsynchronizowała dane z jakimś innym urządzeniem.

Na stoliku kawowym w salonie znalazła kabel zasilający od laptopa. Gdyby Eve zabrała komputer ze sobą, na pewno wzięłaby również kabel, prawda?

Aguda zaczęła metodycznie przeszukiwać pokój. Pod leżącą na sofie poduszką schowany był srebrny macbook. Od razu go uruchomiła, chociaż miała lekkie wyrzuty sumienia, że narusza czyjąś prywatność. Wiedziała jednak, że jej priorytetem jest utrzymanie Eve przy życiu, a ten cel uświęcał niemal wszystkie środki.

Eve nie zamknęła wyszukiwarki, ale wyglądało na to, że ostatnio zajmowała się w internecie wyłącznie robieniem zakupów.

Okazało się, że ma zamiar sprezentować wszystkim charytatywną pocztówkę z kozą.

\*\*\*

Aguda gruntownie przejrzała komputer, korzystając ze znanych jej programów i aplikacji. Znalazła kalendarz, ale na dziś Eve nie wpisała żadnego wydarzenia, ani nie ustawiła żadnych powiadomień. W okienko wyszukiwarki policjantka wstukała słowa klucze: „zabójca” i „morderstwo”. Niestety wyświetliło się tak wiele trafień, że policjantka musiała dodać nowe kryteria „Wigilia” i „24 grudnia”, ale i tak nie udało się jej namierzyć niczego istotnego.

W pewnym momencie natrafiła na rozwijane menu o obiecującej nazwie „Ostatnio używane”. Po jego wybraniu otworzyło się nowe okno, w którym pojawiła się lista dwudziestu plików. Aguda przebiegła przez nią wzrokiem.

Nie musiała być Sherlockiem Holmesem...

WYSTAWA.pdf

Kliknęła.

WYSTAWA

Miejsce: Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud

Data: Wigilia Bożego Narodzenia

Godzina: 14.00

To była kopia ogłoszenia znalezionej przez sąsiada Eve w budce telefonicznej. Być może było jej to potrzebne do napisania jakiegoś sprawozdania na temat mordercy.

Aguda uznała, że to możliwe, ale nadal coś jej nie pasowało.

Zacząła szperać we właściwościach pliku: typ, rozmiar, lokalizacja i data utworzenia.

Dwudziesty grudnia.

Wbiła zdziwione spojrzenie w ekran.

Niewiarygodne.

Zacząła liczyć na palcach. Pan Elias znalazł ogłoszenie dwudziestego drugiego i przysięgał, że dzień wcześniej na pewno go nie widział. W takim razie jakim cudem Eve miała dostęp do ulotki przed dwudziestym? Nie było takiej możliwości. To absolutnie wykluczone.

Chyba że sama ją przygotowała!

Aguda na chwilę zamarła w bezruchu. Była naprawdę zdezorientowana. Taki scenariusz był niepokojący, ale całkiem realny. Jeżeli Eve sama napisała ogłoszenie dwudziestego grudnia, to czy również ona powiesiła je w budce telefonicznej?

Policjantka na własne oczy widziała nagranie z kamery noktowizyjnej: zasłonięta twarz, błyszczące oczy i dłonie w rękawiczkach przyklejające kartkę papieru do ukrytego obiektywu. Założyli, że to robota Vandenberg, lecz mógł to zrobić ktokolwiek. Na przykład Eve Singer.

Tylko dlaczego? Aguda starała się zrozumieć motywy działania swojej podopiecznej. Jeżeli Eve chciała się skontaktować z mordercą, to po co sama przygotowała ogłoszenie i powiesiła je w widocznym miejscu? Przecież nie chciała zdradzić swoich planów policji.

Gdy policjantka odkryła w końcu, jaka jest odpowiedź, poczuła, jakby ktoś oblał ją lodowatą wodą – szok, a potem przenikliwie zimno.

Ogłoszenie było tylko przynętą!

Przypomniała sobie niedawną rozmowę, podczas której oznajmiła: „Jeżeli chcemy złapać mordercę, musimy myśleć tak jak on”.

Eve odpowiedziała wtedy: „Przecież właśnie to robię”.

Zabójca wysłał fałszywą ulotkę Guyowi Smithowi, ponieważ chciał go wprowadzić w błąd. Jeśli Eve starała się wejść w skórę Vandenberg, nie wywiesiła ogłoszenia, żeby się z nim skontaktować, tylko po to, by zmylić policję.

I świetnie jej się to udało, pomyślała Aguda. Czuła się jak wioskowy głupek, który gapi się na jakieś świcidelko, a w tym samym czasie złodziej opróżnia mu kieszenie.

Ale jeżeli ta ulotka jest fałszywa, to gdzieś musi wisieć prawdziwa.

Tylko gdzie?

Nie miała bladego pojęcia.

Była pewna tylko dwóch rzeczy.

Oddział specjalny urządził zasadzkę w Muzeum Figur Woskowych, ale Vandenberg nigdy się tam nie pojawił.

Eve Singer przygotowywała się do odbicia swojego ojca z rąk seryjnego zabójcy.

I planowała to zrobić w pojedynkę.

Trrrrrt.

Pędzili na wschód, kierując się do centrum. Z ulic uprzątnięto śnieg i mimo że niebo wyglądało ponuro, na razie nie padało.

– Wzięłeś kamerę? – zapytała Eve. – Na pewno będzie chciał ją zobaczyć.

Trrrrrt.

Joe tylko skinął głową i zerknął nerwowo na kajdanki.

Byli przy stacji metra Hyde Park Corner.

Jednak zamiast jechać na północ do Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud, skręcili w prawo i ruszyli na południe, w stronę rzeki.

Joe wbił wzrok w tył autobusu i oznajmił:

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Pcham się prosto w łapy seryjnego mordercy – powiedziała Eve ponurym głosem. – Tak, niewątpliwie wiem, co robię!

\*\*\*

Aguda zostawiła wiadomość na poczcie głosowej Eve Singer.

– Cześć, tu Emily Aguda. Wiem, co zamierzasz. Proszę cię, nie rób tego sama. Zadzwoń i powiedz mi, gdzie jesteś. Przyjadę i postaram się pomóc. Nie jest jeszcze za późno.

Była zrozpaczona i starała się uwierzyć w to, co mówi.

Potem skontaktowała się z Huw Reesem, który dotarł już do muzeum, i podzieliła się z nim swoją teorią.

– Niewykluczone, że masz rację – powiedział. – Ale nie mogę działać na podstawie czyjegós przecucia.

– Ale...

– Emily – przerwał jej w pół słowa. – Ufam ci, jednak nie przedstawiłaś mi żadnej możliwej do zrealizowania alternatywy. Muszę mieć chociaż strzęp dowodu potwierdzającego, gdzie ten sukinsyn będzie przebywał dziś o drugiej po południu, a wtedy na pewno obstawimy to miejsce. Niestety na razie nie mogę się stąd ruszyć.

– Tak jest.

Rozłączyła się i wbiła wzrok w wiszące w salonie lustro. Zdawała sobie sprawę, że Rees ma rację, ale jednocześnie czuła, że się myli. Musi tylko jakoś go przekonać do swojego punktu widzenia albo za kilka godzin dostaną wezwanie z jakiejś części Londynu i będą mogli co najwyżej zabrać zwłoki.

Najprawdopodobniej Eve Singer.

Albo jej ojca.

Spojrzała na stojący na kominku zegar. Jedenasta siedemnaście.

Od czasu do czasu przez ścianę słychać było dochodzące od sąsiadów hałasy, a w regularnych odstępach nisko nad domem przelatywał samolot. Aguda dość szybko przestała na to zwracać uwagę. Zadziwiające, jak łatwo nasze zmysły rezygnują z rejestrowania tego, co wydaje się nie mieć znaczenia. Rzeczy stają się nagle niewidoczne, a dźwięki niesłyszalne.

Ale nie oznacza to wcale, że znikają. Trzeba było tylko bardziej się postarać. Aguda wiedziała, że musi się skupić.

Jeszcze raz otworzyła plik „WYSTAWA.pdf” i uważnie przeanalizowała jego właściwości.

Ponownie rozwinęła menu „Ostatnio używane” i klikała na chybił trafił, szukając punktu zaczepienia, czegoś, co w jakiś sposób mogło być związane ze sprawą.

W pewnym momencie jej wzrok przyciągnęło coś na samym dole listy.

„Watergate.avi”.

Otworzyła plik. Była to przygotowana dla iWitness News relacja o psach mordercach.



Przypomniała sobie swój sarkastyczny komentarz: „Ale to nie jest drugie Watergate, co nie?”.

Miała rację, ale materiał był całkiem niezły. Tchnął autentyzmem, mimo że zawierał sporo makabry. Podejrzała, że właśnie po tym można poznać dobrego reportera kryminalnego: potrafi opowiedzieć w interesujący sposób nawet o „krwiożerczych” jamnikach. Oglądała nagranie, ale jej umysł ciągle pracował na wysokich obrotach. Eve zwracała się bezpośrednio do kamery i mówiła o psach, używając ich imion: Borys i Buba. Z tyłu znajdował się billboard pokryty...

Ulotkami.

Aguda wstrzymała oddech. Patrzyła na ekran, ale jednocześnie w ekspresowym tempie przeszukiwała swoją pamięć.

Przypomniała sobie, że Eve Singer nie pozwoliła jej obejrzeć wieczornych wiadomości. Wtedy miała wrażenie, że jej podopieczna celowo się na niej odgrywa za komentarz o aferze Watergate.

Ale być może istniał jakiś inny powód...

Nacisnęła „Odtwórz ponownie” i jeszcze raz obejrzała to samo ujęcie. Tym razem nie obserwowała jednak Eve, tylko billboard.

Tak, to był ten fragment.

Zapauzowała i zaczęła uważnie analizować to, co miała przed oczami. Żeby odczytać ukrytą wiadomość, trzeba było wiedzieć, czego się szuka, albo obejrzeć nagranie niezwykle wnikliwie, i to wiele razy.

To było zadanie dla jakiegoś maniaka...

W rogu billboardu zauważyła świeżo przyklejone ogłoszenie:

WYSTAWA

Miejsce: Tate Modern

Data: 24 Grudnia

Godzina: 14.00

Muzeum sztuki nowoczesnej Tate Modern.

Czy można sobie wymarzyć lepsze miejsce na wystawę?

Ciemny budynek muzeum Tate Modern przycupnął na prawym brzegu Tamizy.

Wielkie gmazysko służyło kiedyś bardziej użytecznym celom: mieściła się w nim elektrownia. Budowla nie grzeszyła urodą i nie zmieniła tego nawet bliskość podświetlonego Millennium Bridge, leżącego na zachód koła obserwacyjnego London Eye i stojącej po drugiej stronie rzeki szlachetnej bryły katedry Świętego Pawła.

Koń, jaki jest, każdy widzi. Posępny, przysadzisty i szpetny, z gigantyczną wieżą – jedynym elementem godnym uwagi. Przez trzydzieści lat elektrownia zasiliała południowy Londyn. Pomagał jej w tym ładniejszy i bardziej elegancki brat na Battersea. W pewnym momencie ceny ropy doprowadziły oba zakłady do bankructwa. Niestety nawet świadomość, że w środku mieści się obecnie najcenniejsza na świecie kolekcja sztuki nowoczesnej, nie była w stanie wpłynąć na wygląd paskudnej fasady.

Wnętrze elektrowni zmieniło się jednak nie do poznania. Zostało całkowicie wypatroszone i przebudowane. Usunięto turbiny, rury i pompy, a na ich miejscu pojawiły się widne i przestronne galerie wypełnione dziełami sztuki.

\*\*\*

Powoli zapadał wczesny zimowy zmierzch. Zeszli po szerokim podejździe i stanęli przy wejściu do muzeum potrąceni łokciami przez innych odwiedzających, którzy na widok hali turbin otwierali usta ze zdziwienia. Dla wielu był to najciekawszy moment wizyty. Wysoka na pięć pięter hala biegła przez prawie całą długość budynku i robiła równie wielkie wrażenie jak wystawione w muzeum dzieła sztuki.

Eve i Joe podnieśli głowy i zafascynowani wpatrywali się w gigantyczne drzewo z żelaza, które prawie całkowicie wypełniało ogromną przestrzeń. Grube czarne gałęzie rozciągały się między balkonami, a ludzie kłębiący się wokół potężnego pnia wyglądali jak mrówki.

– Naprawdę wielkie – powiedział Joe, na chwilę zapominając o seryjnym mordercy.

Eve lekko się uśmiechnęła.

– Podoba ci się?

– Uhm – mruknął. – Tylko gdzie ja bym coś takiego wstawił?

Wybuchnęli śmiechem, po czym rozejrzeli się dookoła, szybko przypomniawszy sobie, po co tutaj przyjechali.

– Dokąd idziemy? – zapytał Joe.

– Nie wiem – przyznała Eve i obrzuciła nerwowym spojrzeniem halę turbin. – Wiem jednak, że jeśli nie znajdę mordercy, to on znajdzie mnie.

– Nadal możesz zrezygnować.

– Tylko ty masz taką możliwość – powiedziała, uważnie mu się przyglądając. – Nie będę ci miała za złe, jeśli uznasz, że nie chcesz się w to pakować.

Wzruszył ramionami.

– Przecież nie zostawię cię samej, chociaż cały czas uważam, że to kiepski plan.

– Owszem, ale innego nie mamy.

– Ty nie masz innego, ale moim zdaniem powinniśmy pojechać na lotnisko i wsiąść w pierwszy lepszy samolot lecący na Jamajkę. Całym tym głównym zajmą się profesjonaliści, a my będziemy cieszyć się piaskiem, morzem i słońcem. To chyba lepszy plan, prawda?

– A co z moim tatą?

Joe zaczerwienił się.

– Przepraszam, myślałem tylko o tobie.

– Wiem. – Pocałowała go w policzek, a on spojrzał na nią podejrzliwie.

– Ale nigdzie się nie wybierasz? – zapytał, nie do końca żartując.

– Jasne, że nie! – powiedziała i błyskawicznie się od niego odwróciła.

Naprawdę nienawidziła go okłamywać.

\*\*\*

Zaczęła wchodzić po schodach prowadzących do galerii. Oddalając się od Joego, miała wrażenie, jak gdyby znalazła się na ruchomych piaskach. Nagle poczuła, że ma miękkie kolana. Trudno się było temu dziwić: wypływała z bezpiecznego portu i kierowała się na skraj świata.

Wyjęła telefon, żeby po raz ostatni przypomnieć sobie niewyróżniającą się niczym twarz Williama Stafforda Vandenbergga.

Nigdy nie przypuszczała, że Śmierć może wyglądać tak przeciętnie.

W porównaniu z halą turbin galerii z pomalowanymi na biało ścianami sprawiały wrażenie przerażających pudełek. Szybkim krokiem przeszła przez trzy sale, aż w pewnym momencie zdała sobie sprawę, że powinna się rozglądać za mordercą. Nie wolno jej również zapomnieć o oddychaniu. Zwolniła, starając się skupić na twarzach, ale w muzeum panował tłok. Morderca wydawał się podobny jednocześnie do wszystkich i do nikogo. Trudno w to uwierzyć, lecz nie była w stanie wryć sobie w pamięć jego fizjonomii. Zaczęła zachowywać się nerwowo. Bała się, że go nie zauważy, więc ciągle się odwracała, ale zawsze coś jej umykało...

Zakręciło jej się w głowie i poczuła, że wpada w panikę. Stała bez ruchu, starając się zapanować nad oddechem. Uspokoili się dopiero, gdy poczuła, że powietrze dociera do jej płuc.

Mogła wreszcie zebrać myśli i poszukać Joego. Był na drugim końcu zatłoczonej galerii i zatroskany marszczył czoło. Odwróciła się, żeby nie zdradzić jego obecności. Nagrywał wszystko ukrytą kamerą, tą samą, którą wziął ze sobą do Barnstormer Theatre. Większy sprzęt na pewno przyciągnąłby uwagę personelu.

Wzięła głęboki wdech i była gotowa do dalszej drogi. Obróciła się na pięcie i niemal wpadła na Elvisa Presleya.

Prawie trzy metry wzrostu, cały w czerni i srebrze, z charakterystycznym czubem na głowie i wąskimi biodrami. Seksowny i niebezpieczny. Ani śladu nadużywania narkotyków i objadania się tostami z masłem orzechowym i bananami. Malarz świetnie uchwycił młodego i pięknego króla rock and rolla w najlepszym momencie życia. Stojąc przed tym obrazem, Eve czuła się w jakiś sposób związana z przedstawioną postacią. Uśmiechnęła się i spojrzała w stronę Joego. Chciała się z nim podzielić swoim zachwytem, ale dzieliło ich zbyt wielu zwiedzających i nie była w stanie go wypatrzeć.

Rozejrzała się dookoła, trochę w poszukiwaniu swojego kolegi, a trochę Vandenbergga. Spodziewała się, że w pewnym momencie natrafi na spojrzenie mordercy i ze strachu ściśnie ją w żołądku.

Jednak na razie wszyscy patrzyli na ściany i nawet Eve z trudem odrywała wzrok od obrazów.

Elvis uwolnił jej umysł i przepływała przez kolejne sale jak dziecko przewracające kartki najwspanialszej na świecie książki z ruchomymi ilustracjami. Co chwilę między ramionami zwiedzających pojawiał się kolejny cud, na który patrzyła zupełnie nowym wzrokiem. Po obejrzeniu każdego arcydzieła rozglądała się wokół siebie, ale zamiast mordercy dostrzegała następny skarb. Kłębiący się tłum nieco się przeczepił i zobaczyła oszłamiające płótno Roya Lichtensteina *Whaam!*, a obok orzeźwiający *Splash*. Obejrzała też wspaniały akt pędzla Luciana Freuda przedstawiający pękate blade ciało zalane zimnym światłem, namalowane przez Matisse'a dorodne dziewczyny opalające się na plaży oraz mieniący się kolorami wodospad Klimta.

W następnej sali ludzie stali przed dziwnym obrazem Van Gogha. Nawet Eve potrafiła ocenić, że to nie jest dobre malarstwo. Znacznie odstawało od *Słoneczników* lub któregoś z autoportretów mistrza. Monotonny krajobraz z targanymi wiatrem cyprysami i świeżo zaoranym, brązowym polem. I czymś jeszcze...

Pochyliła się bliżej i poczuła, że traci oddech.

Na obrazie widniał odcisk kciuka.

Przypadkowy ślad palca na grubej warstwie farby.

To było jak uderzenie pioruna.

Zdała sobie sprawę, że stoi dokładnie w tym samym miejscu, gdzie niegdyś stał artysta. Vincent

Van Gogh patrzył na kołyszące się cyprysy i napływające zza horyzontu kremoworóżowe chmury. Chodził po błotnistych bruzdach, żeby przenieść ten pejzaż na płótno.

A potem wyciągnął rękę i dotknął nieba.

Być może stało się tak, kiedy zdejmował obraz ze sztalug albo przytrzymał go, żeby przekrzywić głowę i spojrzeć na swoje dzieło z innej perspektywy. A co, jeśli na chmurze przysiadł jakiś owad? Na przykład mały francuski robaczek, którego artysta rozgniół swoim kciukiem?

I zostawił ślad.

Na zawsze.

Czy Van Goghowi się to spodobało?

A może planował nanieść poprawki, ale zabrakło mu czasu?

Czy w ogóle to zauważył?

Niewykluczone, że jego rozgorączkowany umysł nie był w stanie zbyt długo skupić się na nudnym polu i pospolitych drzewach. Artysta szybko porzucił banalny, pozbawiony romantyzmu dzień i udał się w stronę rozgwieżdżonej nocy.

Eve była tym wszystkim przytłoczona.

Odcisk kciuka na kłębiastej chmurze był jak podróż w czasie i sprawiał, że odczuła bliski związek nie tylko z Van Goghem, lecz także z każdym człowiekiem, zwierzęciem, drzewem i kamieniem, ze wszystkim, co kiedykolwiek istniało lub będzie istnieć.

Świadomość, że właśnie na tym polega nieśmiertelność, poruszyła ją do głębi.

To było odbicie zostawione przez geniusza. Piękna śmierć uwolniła go z doczesnego ciała i dała mu życie wieczne w sercach i umysłach całej ludzkości. Podziwiając dzieło sztuki, odczuwało się związek z jego twórcą i brało udział w czymś wspaniałym, w czymś przekraczającym wymiar pojedynczej egzystencji, w czymś, co trwało i miało trwać wiecznie. Obraz był wart miliony funtów, ale odcisk kciuka nie miał ceny: był jak unikatowy artefakt, jak trylobit, hieroglif lub ślad buta na Księżycu. Eve zrobiło się żal tych wszystkich ludzi, którzy nigdy nie doświadczyli prawdziwego piękna. Z emocji rozboleła ją gardło i miała wrażenie, że za chwilę się rozplacze.

Wystarczyło podnieść rękę i przyłożyć własny kciuk do miejsca, w którym znajdował się palec mistrza...

Zbliżyła drżącą dłoń do płótna.

– Cześć, Eve.

Odskokczyła od obrazu jak oparzona.

Obok niej stał morderca.

I nie wyglądał wcale zwyczajnie.

Miał świeżo ogoloną głowę, z czerwonymi rankami po zadraśnięciach. Jego łysa czaszka wydawała się nienaturalnie mała. Zgolił też brwi i uwagę przyciągało teraz jego blade, pokryte guzkami czoło. Czarne oczy nie różniły się od tych na fotografii, lecz jego spojrzenie było dziwnie roztrzęsione. Patrzył na nią, ale Eve miała problem z utrzymaniem kontaktu wzrokowego.

Do jego klatki piersiowej przypięty był telefon z obiektywem kamery wymierzonym prosto w dziennikarkę. Pomyślała o Kevinie Barrze.

Teraz to ona była gwiazdą.

I wiedziała, jak kończy się ten film.

– Idealnie! Wiedziałem, że zadbasz o każdy szczegół. – Uśmiechnął się. Miał krótkie białe zęby.

Jak u dziecka.

– Gdzie jest mój ojciec?

– Widziałaś wystawę Bacona?

– Nie.

– Możemy ją obejrzeć razem – powiedział, a potem dodał lekko zawstydzony: – Jeśli, rzecz jasna, masz na to ochotę...

– Gdzie jest mój ojciec? Zawarliśmy umowę.

Zrobił zawiedzioną minę.

– Chcesz od razu przejść do interesów?

Czyli do morderstwa, którego ma być ofiarą. Cały czas oddychała i starała się zachować spokój.

– Tak.

Vandenberg westchnął głośno, po czym odpiął telefon od wiszącego na jego piersiach zatrzasku. Spojrzała na urządzenie i zdała sobie sprawę, co on robi. Wpadła we wściekłość i krzyknęła:

– Nie na twoim telefonie! Chcę go zobaczyć na żywo. Tutaj!

Zignorował ją i zaczął stukać palcami w ekran.

Eve obserwowała jego lewy nadgarstek, ten, który mniej się ruszał. Naprawdę solidnie trenowała. To będzie łatwe. Kajdanki były związane na jej prawej ręce. Wiedziała, że jest w stanie błyskawicznie otworzyć jedną obręcz i szybkim ruchem zacisnąć ją na...

Przećwiczyła wszystko w myślach. Kciukiem przesunęła blokadę zabezpieczającą i zamaszystym gestem wyrzuciła nadgarstek. Trrrrrt. Rozległ się szcęk zębátky i...

Jeśli to zrobi, nie będzie miała odwrotu. Już nie ucieknie. Vandenberg zamorduje ją przed obrazem Van Gogha, ale będzie przykuty do jej ciała. Niedługo potem pojawi się Joe i policja. Aresztują zabójcę i zmuszą go, żeby powiedział, gdzie uwięził Duncana. Tym sposobem jej ojciec znowu będzie bezpieczny.

Wygięła nadgarstek i chwyciła wolną obręcz.

Bezszelestnie zwolniła blokadę...

– Trzymaj.

Vandenberg podał jej telefon i od razu zapomniała o swoim planie.

Duncan Singer siedział gdzieś w ciemności. Było widać tylko głowę, ramiona i klatkę piersiową, jednak Eve bez problemu rozpoznała ojca.

Żywego.

– Tato! Dobrze się czujesz?

Przez jakiś czas słyhać było jedynie coś w rodzaju szumu, a potem Duncan Singer rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu osoby, która do niego przemówiła.

– Kto to jest tata? – zapytał poirytowanym głosem.

Eve poczuła ogromną ulgę i z trudem powstrzymała okrzyk radości.

– Gdzie jesteś?

Morderca wyrwał jej telefon z ręki.

– Nie wolno oszukiwać!

– Obiecałeś, że go uwolnisz. Taka była umowa.

– I dotrzymam jej. Po warunkiem że ty zrobisz to samo.

Wskazała na klatkę piersiową Duncana, na której migał szereg zielonych liczb.

– Co to jest?

– Hm – mruknął. – To czasomierz podłączony do bomby.

– C-c-co takiego?

Vandenberg szeroko się uśmiechnął, a Eve, zszokowana, wpatrywała się w jego małe białe zęby. W pewnym momencie poczuła, jak między jej zębami rozlewa się ból. Miała wrażenie, że jakaś gigantyczna pięść ścisną każdy organ jej ciała.

– Lubię twojego ojca, ale jeśli nie dostanę tego, czego żądam... Jeżeli spotkam się z odmową i coś mi się stanie... – Przerwał, znacząco zawieszając głos, po czym wzruszył ramionami.

Stała jak sparaliżowana, ale wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić. Musi zacząć myśleć.

Użyj swojej głowy, Eve!

Przestała patrzeć na mordercę jak ciele na malowane wrota i skupiła uwagę na ekranie telefonu, szukając jakichś wskazówek, czegoś, czego nie było widać na pierwszy rzut oka. Jedynym źródłem światła były jarzące się na zielono cyfry:

01.58.29... 28... 27...

Jej ojcu zostały niecałe dwie godziny życia.

Jednak było coś jeszcze. Coś o wiele ważniejszego. Czowała to podświadomie i wiedziała, że jej

instynkt prawie nigdy jej nie zawodzi. Co to było?

Morderca z powrotem przypiął telefon do wiszącej na jego piersiach smyczy.

– Mogę mu jeszcze coś powiedzieć?

– Nie.

Cholera.

Była zrozpaczona i starała się przypomnieć sobie każdy szczegół ich krótkiej rozmowy. Zdawała sobie sprawę, że umknęło jej coś niezwykle istotnego. Tylko co? Jakiś detal związany z jej ojcem? Ton jego głosu? A może wygląd pokoju? Lub wyświetlający się na zielono czas? Kurczę, co to było? Oddałaby wszystko, żeby jeszcze raz go zobaczyć i zamienić z nim chociaż kilka słów! Gdyby tylko udało się jej ustalić, gdzie jest przetrzymywany, nie musiałaby wywiązywać się z warunków tej przerażającej umowy. Odwróciłaby się na pięcie i wybiegła, zostawiając za sobą cały ten koszmar. Odnalazłaby ojca i żyliby razem długo i szczęśliwie. Gdyby tylko wiedziała, gdzie jest.

No właśnie: gdyby tylko.

– Skąd mogę mieć pewność, że go po wszystkim nie zabijesz?

Morderca zaczął się jej uważnie przyglądać.

– Nikt nigdy nie obdarzył mnie takim zaufaniem tak ty podczas naszego pierwszego spotkania. Teraz też możesz mi zaufać, Eve. Zawarliśmy umowę i mam zamiar jej dotrzymać.

Spojrzał ponad jej ramieniem na przelewający się przez sale wystawowe tłum zwiedzających.

– Śmierć na oczach widzów będzie... – zawiesił głos, szukając właściwego słowa – najdoskonalszym uczynkiem, jakiego kiedykolwiek dokonałaś. Ten akt wykroczy poza sztukę. I poza życie.

W jego rozbieganych oczach pojawił się błysk szaleństwa. Cały czas się uśmiechał, szczerząc swoje białe zębki.

– A potem zatrzymam odliczanie i wypuszczę twojego ojca, całego i zdrowego. Łączy mnie z tobą szczególny związek, którego zwykła śmierć nie będzie w stanie zniszczyć.

Na widok jego rozemocjonowanego spojrzenia poczuła mdłości. Miała ochotę zrobić mu krzywdę. Chciała go zabić. Nie zawahałaby się przed żadnym okrucieństwem i zawstydził ją ogrom nienawiści, którą poczuła.

Rozmawiała z szaleńcem, który sformułował własną koncepcję prawdy, i w tym momencie nic więcej się nie liczyło.

Nie miała wyboru i musiała mu zaufać.

– Chodź ze mną – powiedział.

Ruszyła za nim posłusznie.

Wyszli z wysokich białych sal galerii i wspięli się na czwarte piętro. Na balkonie było całkiem pusto, raptem kilka osób, które wychylały się przez barierkę i machały do czekających na dole znajomych albo wpatrywały się w ciemne gałęzie ogromnego drzewa.

Zobaczyła Joego. Dotrzymywał im kroku i był nie więcej niż trzydzieści metrów za ich plecami. Na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały. Joe wyglądał na coraz bardziej zaniepokojonego. Szybko odwróciła wzrok. Bała się, że w ostatniej chwili zmieni zdanie. Zerknęła na Vandenbergę. Doszedł do krańca balkonu, ale się nie zatrzymał. Złapał za barierkę i zwinnym ruchem przeskoczył na drugą stronę, po czym zrobił jeszcze jeden krok do przodu i znalazł się na jednej z żelaznych gałęzi.

Obrócił się w jej stronę i wyciągnął rękę.

– Chodź.

Zawahała się. Jego dłoń. Jego nadgarstek. Kajdanki. Zrób to! Teraz!

– Eve!

Obejrzała się przez ramię. Joe rzucił się biegiem, żeby ją powstrzymać. Chciał uratować jej życie!

Ale jeśli ona przeżyje, na pewno zginie ojciec.

Eve chwyciła więc rękę mordercy, przeszła przez balustradę i stanęła na szerokim konarze rozłożystego drzewa.

Teraz oboje naprawdę byli w to wplątani.

Ten przerażający moment zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Kręciło jej się w głowie, więc uklękła i spojrzała w dół. Między sękatymi gałęziami, trzydzieści metrów niżej, majaczyła podłoga hali turbin. Eve zamarła ze strachu i nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu.

Morderca pomógł jej wstać i przytrzymał ją, ponieważ cały czas trzęsły jej się nogi.

– Nie patrz w dół – powiedział. – Patrz na mnie.

– Okay.

Zaczął ją prowadzić wzdłuż gałęzi. W miarę gdy zbliżali się do potężnego pnia, gałąź stawała się coraz grubsza, ale nie całkiem płaska. Eve wczepiła się jedną ręką w Vandenbergę, a drugą łapała za małe wypustki z kutego żelaza, żeby utrzymać równowagę. Cały czas starała się myśleć.

Jej umysł działał na najwyższych obrotach. Analizowała każdą sekundę rozmowy z ojcem. Czowała, że coś jej umknęło... Ciemny pokój. Niewyraźna sylwetka Duncana. Jego głos...

I coś jeszcze.

Tylko co?

Ostrożnie stawiała stopy, a rosnące napięcie sprawiło, że rozbolała ją głowa. Przez całe życie musiała w terminie wywiązywać się z różnych zadań, ale nigdy nie była tak bardzo świadoma upływającego czasu. Powinna zapanować nad emocjami.

I szybko coś wymyślić. Jak najszybciej!

Za każdym razem, gdy się zachwiali, stojący na dole ludzie wydawali z siebie stłumione okrzyki, jak gdyby podziwiali linoskoczków. Morderca szedł jednak pewnym krokiem i mocno trzymał ją za rękę.

– Boisz się? – zażartował.

– Nie – skłamała.

Wybuchnął śmiechem i oznajmił:

– Zawsze jesteś taka odważna, Eve. Właśnie dlatego cię kocham.

– Jeśli mnie kochasz, to dlaczego chcesz mnie zamordować?

– Czy istnieje wspanialszy sposób okazania komuś uczucia? Ja cię zabiję, a ty poświęcisz dla mnie swoje życie. Czym są w porównaniu z tym róże i romantyczne pieśni?

– Chyba zostałam zrobiona w bambuko.

Znowu zaniósł się śmiechem.

Dotarli do masywnego pnia drzewa. Odwrócił się i spojrzał w dół, cały czas trzymając ją za rękę po to, by mógł ich podziwiać tłum zgromadzony w hali turbin.

– Oto nasza publiczność, Eve.

Obserwowały ich setki ludzi czekających na dalszy rozwój wypadków. Różowe twarze, wytrzeszczone oczy i rozdziawione usta.

W pogotowiu trzymali telefony, żeby uwiecznić ten ekscytujący moment, gdy ktoś umiera.

Eve poczuła się tym wszystkim zawstydzona, ale zdawała sobie sprawę, że właśnie na takich widzów zasłużyła.

Morderca sięgnął do kieszeni i wyjął z niej niewielki zwój połyskującego na złoto drutu, po czym uklękł i przywiązał go do grubej gałęzi, na której stali.

To była struna fortepianu.

Eve od razu ją rozpoznała, ponieważ w dzieciństwie chodziła na lekcje muzyki, na których uczyła się *Dla Elizy* Beethovena i jakichś prostych walców.

– Umiesz grać? – zapytała z głupia frant.

Morderca nie odpowiedział, tylko wyprostował się i zanim zdała sobie z tego sprawę, zawiązał drugi koniec drutu na jej szyi.

Tłum westchnął, a Eve zamarła z przerażenia.

Nagle wszystko zrobiło się niezwykle realne. Do tej pory miała nadzieję, że to tylko jakiś straszny sen, zbyt szalony, żeby mógł być prawdziwy. Ale jednak się pomyliła: to było absurdalne, a jednocześnie

jak najbardziej rzeczywiste. Lekko się zachwiała i złapała Vandenbergę za ramię, żeby odzyskać równowagę.

A więc właśnie w taki sposób przyjdzie jej zginąć. Skoczy albo zostanie zepchnięta, a potem ostry drut przetnie jej szyję jak miękki ser.

A potem jej głowa odpadnie od ciała.

Tak właśnie się stanie. Wpadła w panikę i nie była w stanie się ruszyć ani zebrać myśli. Nie mogła też oddychać i nie wiedziała, co się wokół niej dzieje, ponieważ ogłuszał ją hałas przypominający ryk silników podchodzącego do lądowania jumbo jeta...

I nagle, zupełnie niespodziewanie, wszystko stało się jasne. Miała wrażenie, jak gdyby w jej głowie wybuchły kolorowe fajerwerki.

Morderca coś powiedział, ale szumiąca w jej uszach krew zagłuszyła jego słowa. Wbiła w niego wzrok, a on powtórzył pytanie:

– A teraz się boisz?

Tym razem nie żartował.

– Nie – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Nie musiała kłamać, ponieważ wiedziała, gdzie jest jej ojciec.

Intuicja jej nie zawiodła. Potrzebne wskazówki były dostępne na nagraniu. Niepotrzebnie jednak szukała ich oczami, ponieważ należało wyteżycyć słuch! Zanim Duncan się odezwał, pojawił się dziwny hałas, który w pewnym momencie ucichł. Doskonale знаła ten dźwięk...

To był huk przelatującego nad ich ulicą samolotu.

Duncan Singer był więc u siebie, w swoim własnym domu!

– Daj swą dłoń, piękna i delikatna postaci. – Morderca zaczął delikatnym śpiewnym głosem recytować wiersz.

Eve z trudem powstrzymała się od śmiechu, chociaż zaledwie sekundę wcześniej była gotowa umrzeć.

Jednak teraz zawładnęła nią żądza mordu.

– Jestem przyjacielem, nie przychodzę karać.

Vandenberg starał się ukołysać swoją ofiarę do wiecznego snu.

Ale ona wcale nie miała zamiaru zasypiać. W tym momencie naprawdę myślała jak morderca.

I dokładnie tak samo się czuła: była spokojna, pewna siebie i wyrachowana.

– Bądź dobrej myśli! – powiedział. – Nie jestem dziki.

Ale ja jestem, pomyślała i poczuła zew krwi. Ja, kurwa, jestem dzika!

Powoli uklękła, jak gdyby miała zamiar się pomodlić. Wyraźnie zadowolony skinął głową.

– W ramionach mych błogo...

Wykonała błyskawiczny ruch i złapała go za kostki, po czym mocno szarpnęła, żeby zwalić go z nóg.

Publiczność zawyla z podniecenia.

Morderca się zachwiał i upadł na bok, wydając z siebie głośne stęknięcie. Udało mu się jednak podnieść tułów i spróbować uderzyć Eve pięścią, ale znowu stracił równowagę i musiał się złapać metalowej gałki.

Wyślizgnęła mu się jednak z dłoni, chwycił więc za nogę swoją niedoszłą ofiarę.

A potem oboje runęli w dół.



Gdyby Eve nie myślała jak morderca, już by nie żyła. Kiedy Vandenberg ściągał ją z konaru, błyskawicznie otworzyła kajdanki.

Tłum zamarł z przerażenia.

Trrrrrt.

Obręcz zaczepiła się na cienkiej metalowej gałęzi. Eve poczuła mocne szarpnięcie, wrzasnęła z bólu i nagle wyhamowała.

Vandenberg trzymał ją kurczowo za nogę.

Wisielei razem, wysoko nad ziemią, niczym bombki na choince. Morderca wczepił się w nią jak przestraszona małpka i piszczał ze strachu, bezradnie wymachując kończynami. Eve spojrzała w górę i zaczęła się modlić, żeby kajdanki Agudy, gałąź z kutego żelaza i jej własne kości utrzymały ciężar. Policyjne bransoletki i drzewo wyglądały całkiem solidnie, ale jej skóra była napięta do granic możliwości, a dłoń nienaturalnie się wygięła, za wszelką cenę próbując wyslizgnąć się z metalowej obręczy...

Cienka struna coraz mocniej wbijała się w jej szyję...

– Pomóż mi – zaskomlał morderca. – Dłużej nie wytrzymam!

– To puść!

Nie zrobił tego, lecz nie był w stanie powstrzymać grawitacji i zsunął się kilkanaście centymetrów w dół po jej nodze. Krzyknęła z bólu i zobaczyła, jak metalowy pierścień odrywa skórę z jej ręki. Zaczęła się szarpać i kopać, żeby zrzucić z siebie niechciany ciężar.

Vandenberg wrzasnął z furii:

– Jeśli spadnę, twój ojciec zginie! Sama nie będziesz w stanie go odnaleźć!

– Ale ja już wiem, gdzie on jest, ty głupi fiucie! To żadna tajemnica! Jak tylko spadniesz i skręcisz sobie kark, pojedę do domu i będziemy się z ciebie śmiać, siedząc przy świątecznym stole!

– Jesteś zwykłą kurwą! – zawył. – Kurwą!

Za wszelką cenę starał się wspiać po Eve. Wściekłość dodawała mu sił. Wpijał się palcami w jej uda i wrzynał paznokciami w biodra. W pewnym momencie chciał ją złapać za rękę... Krzyknęła, ale na szczęście udało jej się wyrwać. Sięgnęła lewą dłonią nad głowę, żeby po omacku szukać kajdanek. Wreszcie chwyciła za łańcuch i poczuła chwilową ulgę. Znowu zaczęła się szarpać i wić jak piskorz, żeby uwolnić się od mordercy. Po jej karku i za prawym uchem spływała jakaś lepka cieś. Pewnie krew, chociaż wolałaby, żeby był to tylko pot. Jak gruba warstwa mięsa i ścięgien oddziela jej żyłę szyjną od cienkiej struny? Pół centymetra? A może pół milimetra?

Koniecznik musi się pozbyć tego zwyrodnialca!

Liczyło się tylko przetrwanie. Zaczęła wierzgać jak szalona i nagle uścisk Vandenberg'a nieco zelżał...

Na jego wykrzywionej twarzy pojawiły się czerwone plamy. Eve wiedziała, że to jej krew. Na dole wciąż stała publiczność, na której wcześniej im obojgu tak bardzo zależało. Bezimienna, amorficzna masa głupich ludzi, którzy z niecierpliwością gapili się w górę niczym lwy morskie czekające na ryby.

Nagle w tłumie utworzyła się wolna przestrzeń. Gawiedź rozstępowała się posłusznie, żeby kogoś przepuścić.

Niską ciemnoskórą kobietę z pistoletem w ręku.

Nawet z tej wysokości widać było, że ma wielką giwerę.

Morderca też zauważył policjantkę i spojrzął na Eve. Na jego twarzy malowało się tak wielkie przerażenie, że aż wybuchnęła śmiechem.

– Teraz twoja kolej! – wrzasnęła i z całej siły kopnęła go w twarz.

A potem wymierzyła kolejny cios. I jeszcze jeden. Nie zwracała uwagi, że Vandenberg coraz mocniej wbija się w jej ciało, a jej dłoń prześlizguje się przez metalową obręcz.

– Nie ja! – piszczał. – Tylko nie ja!

– Przecież to takie piękne! – Śmiała się pełną piersią. – Nieźle ci się poszczęściło!  
– Zawarliśmy umowę! – krzyknął. – To jest moja wystawa!  
– Masz, czego chciałeś. Jesteś w centrum zainteresowania – powiedziała. – Ty pieprzony pozerze!

Wymierzyła ostatniego kopniaka.

Morderca poleciał w dół i chociaż gapie się cofnęli, Eve nie zobaczyła momentu, w którym uderzył w ziemię.

Zawyła z bólu. Kciuk wreszcie ustąpił i ręka wysunęła się z najlepszych kajdanek Emily Agudy. Mimo to Eve wciąż się czegoś trzymała.

Tylko czego?

Na chwilę zupełnie straciła orientację. Kołysała się w powietrzu, jak gdyby była pijana, i ciągle czekała na to, że zakręci jej się w głowie i runie w dół.

Podniosła wzrok i zobaczyła zalaną potem twarz Joego. Zacisnął mocno zęby i nadludzkim wysiłkiem trzymał ją za śliskie, zakrwawione nadgarstki.

Powoli dźwignął ją do góry i posadził na szerokiej gałęzi, po czym poluzował zaciskającą się na jej szyi złotą strunę.

Eve przytuliła do piersi swoją opuchniętą dłoń, cały czas trzęsąc się jak osika.

– Musimy stąd iść – powiedziała chrapliwym głosem.

Skinął głową.

– Tak, już zadzwoniłem po karetkę.

– Nie! – pisnęła. – Trzeba wracać do domu!

Joe nawet nie próbował się z nią kłócić. Zaprowadził ją z powrotem na balkon, a w tym samym czasie zgromadzeni na dole widzowie pokrzykiwali coś z aprobatą, bili brawo i przepychali się, żeby sfilmować powykręcane ciało. Eve już nigdy w życiu nie będzie miała takiej publiczności.

Zaczekaj na brygadę antyterrorystyczną! Stój!

Eve miała jednak inny plan. Wyskoczyła z range rovera, zanim Aguda zdążyła do końca wyhamować, szarpnęła za furtkę i zniknęła w ogródku.

– Cholera! – Aguda zatrzymała auto z piskiem opon i otworzyła drzwi. – Czy ona zawsze się tak zachowuje?

– Tak, zawsze – potwierdził Joe i ruszył w stronę domu.

Aguda pomyślała, że w jego ustach te słowa zabrzmiały jak komplement.

\*\*\*

– Tato! Tato!

Eve wpadła do środka jak huragan.

Duncana nie było na parterze, więc pobiegła na górę. Zajrzała do jego sypialni, a potem do swojego pokoju i jeszcze do niewielkiej pakamery.

– TATO!

Joe i Aguda stanęli przy jej boku.

– Nie ma go! – krzyknęła, bojąc się, że zaraz wpadnie w panikę. – Nie ma go!

Była święcie przekonana, że tutaj go znajdzie. Miała co do tego absolutną pewność i nie interesował jej los mordercy. Kopnęła go z całej siły, żeby skręcił sobie kark! Już go nie potrzebowała! Wiedziała, gdzie znajdzie ojca! Musiała tylko pojechać do domu. Nie miała żadnych wątpliwości, że będzie tam na nią czekał. W końcu tak podpowiadała jej intuicja.

Ale tym razem przecucie ją zawiodło.

Była taka głupia i arogancka! Pomyliła jakiś nic nieznaczący hałas z dźwiękiem, który towarzyszył jej niemal całe życie! Nawet jeśli rzeczywiście był to startujący albo lądujący samolot, to w okolicy Heathrow znajdowało się pewnie ze sto tysięcy budynków. Sto tysięcy miejsc, w których mógł przebywać jej ojciec!

Jeśli się pomyliła, to w jaki sposób będą w stanie go odnaleźć?

Nie uda im się i taka była smutna prawda. A już na pewno nie na tyle szybko, żeby uratować mu życie.

Eve spojrzała na zegarek. Zostało piętnaście minut.

Było za późno. Jej ojciec zginie.

Nie wiadomo gdzie.

I to będzie jej wina.

– Śmierdzi kocimi szczynami.

Eve i Joe spojrzeli na Agudę, która z obrzydzeniem marszczyła nos.

– Nie mam kota – powiedziała Eve.

– Może to gaz? – zasugerowała policjantka.

– Nie mam też gazu. – Eve zrobiła marsową minę. – Ale pan Elias ma...

\*\*\*

Joe walił pięścią w drzwi wejściowe domu sąsiada, ale nikt nie otwierał.

Co więcej, wewnątrz nie paliły się żadne światła, mimo że zapadł już zmrok.

Eve zajrzała do środka przez szczelinę na listy i zawołała pana Eliasza, ale nie doczekała się żadnej odpowiedzi. W pewnym momencie poczuła, jak przechodzi ją zimny dreszcz: w korytarzu stało roztrzaskane pianino, z którego wylewały się na podłogę zwoje złotych strun.

– Odsuńcie się – powiedziała Aguda i wyciągnęła pistolet.

Eve zatkała jedno ucho zdrowym palcem, ale policjantka nie strzeliła, tylko wybiła szybę w oknie.

Poczułi odór ulatniającego się gazu.

– Zostańcie tu – rozkazała Aguda i zapaliła latarkę. – Żadnych iskier!

Oczyściła ramę kilkoma sprawnymi uderzeniami kolby i zanurkowała do środka.

\*\*\*

Pokój wyglądał jak po eksplozji bomby. Pan Elias był nieprzytomny i leżał bokiem na zniszczonej sofie. Policjantka z głośnym stęknięciem zarzuciła sobie bezwładne ciało na ramiona i dźwignęła je na parapet.

– Wynieście go na zewnątrz!

Nie sprawdziła jednak, czy jej polecenie zostało wykonane, tylko zerknęła na zegarek. Zostało dwanaście minut.

Rzucany przez latarkę snop światła był wąski, a w domu panował nieopisany bałagan, więc trudno się było zorientować, co jest czym. W takich warunkach znalezienie bomby graniczyło z cudem, chyba że ładunek byłby naprawdę duży i na dodatek podpisany. Aguda uznała, że nie ma sensu tracić czasu na poszukiwania. Zaczęła więc biegać z jednego pokoju do drugiego i otwierać na oścież okna i drzwi. Chodziło o to, żeby wpuścić jak najwięcej powietrza. Jeśli nawet dojdzie do eksplozji, to nie będzie ona aż tak katastrofalna w skutkach.

Dziesięć minut.

Ostry zapach drażnił jej gardło i zaczęła kasłać, ale stężenie gazu nie było śmiertelne. To była dobra wiadomość. Oznaczało to, że kiedy przerzucała pana Eliasa przez okno, najprawdopodobniej jeszcze żył. Nie zatrzymała się, by to sprawdzić.

Wbiegła na piętro, żeby zajrzeć do sypialni. Mógł tam być Duncan Singer. Albo ktoś inny.

Pusto. Ani żywej duszy.

Osiem minut.

Zrobiła wszystko, co w jej mocy. Szarpnęła za klamkę i wybiegła na zewnątrz.

\*\*\*

– Powinien z tego wyjść – powiedział Joe.

Kłęczeli na śniegu koło furtki. Joe odkleił taśmę owiniętą wokół głowy pana Eliasa i wyjął z jego ust knebel. Twarz sąsiada niemal od razu zaczęła nabierać kolorów.

W oddali słychać było policyjne syreny.

Ślizgając się, podbiegła do nich Aguda i zdyszana stanęła obok nich.

– Musimy oddalić się od domów – powiedziała, z trudem łapiąc oddech. – Przejdźmy na drugą stronę ulicy.

– A co z moim tatą?

– Nie ma go. Wszystko sprawdziłam. Przykro mi.

Joe i Aguda postawili pana Eliasa na nogi i przytrzymując go, zaczęli iść w stronę czerwonej budki telefonicznej.

Eve znowu spojrzała na zegarek.

Zostało siedem minut.

– Cholera! – krzyknęła. – Chrupek!

Zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, obróciła się na pięcie i wbiegła z powrotem do domu. Chrupek siedział w swojej klatce. Stał na tylnych łapkach i patrzył z wyrzutem na swoją opiekunkę.

– Myślałeś, że o tobie zapomniałam? – powiedziała. – Niestety, miałeś rację.

Pochyliła się i podniosła chomika zdrową ręką, po czym wsadziła go sobie do kieszeni.

– *There were birds in the sky...*

Zastygła w bezruchu i powoli odwróciła głowę.

– *But I never saw them winging...*

– Tato?

To na pewno był jej ojciec. Często śpiewał ten stary przebój swojej żonie, kiedy jechali razem

samochodem. Eve słyszała jego głos dość wyraźnie, ale jednocześnie miała wrażenie, że dochodzi z innej rzeczywistości, jak jakieś magiczne wspomnienie wydobyte nagle z najgłębszych zakamarków pamięci.

– *There were bells on a hill...*

Smutna melodia, ponadczasowy tekst i prosty akompaniament na gitarze akustycznej...

– O mój Boże! – wrzasnęła. – On jest na strychu!

Zaczęła wbiegać po schodach, pokonując po dwa stopnie na raz. Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu. Zatrzymała się w pakamerze, spojrzała w górę, z trudem łapiąc oddech, i poczuła, jak krew odpływa jej z serca.

Na włączniku było przyklejone ogłoszenie.

WYSTAWA

Miejsce: Tutaj

Data: Dzisiaj

Godzina: 16.00

Spojrzała na zegarek.

Miała cztery minuty.

Tylko jedna z jej rąk do czegoś się nadawała, i to nie ta sprawniejsza.

Próbowała trafić hakiem znajdującym się na końcu długiego drewnianego kija w otwór podnoszący klapę, ale trwało to całe wieki! Miała lzy w oczach i prawie nic nie widziała, trzęsły jej się dłonie i nie była w stanie utrzymać tego pieprzonego drąga w jednej pozycji!

Wreszcie się udało. Ściągnęła w dół drabinkę, odłożyła kij i zaczęła pięć się w górę po rozklekotanych drewnianych stopniach.

Zapach gazu był tutaj jeszcze mocniejszy.

– Tato!

Duncan Singer spojrział na nią zdziwionym wzrokiem. Siedział w ciemności na jakimś pudle i trzymał w rękach gitarę. Z szyi zwisał mu telefon odliczający ostatnie minuty życia. Świecące na zielono cyfry zmieniały się co sekundę:

00.03.17... 16... 15...

Eve podniosła się z chropowatych desek i mocno przytuliła swojego ojca, głośno szlochając.

Poczuła ulgę, ale jednocześnie zdała sobie sprawę, że ogarnia ją panika.

– Tato, musimy stąd wyjść. – Wzięła go za rękę i mocno pociągnęła, ale on ani drgnął.

– Kto to jest tata? – zapytał beznamiętnym głosem.

Teraz to jasne! Właśnie dlatego nie reagował, kiedy go wołała. Przecież nie uważał się ze żadnego tate.

– Duncan! – krzyknęła. – Trzeba się zbierać! Pospiesz się!

– Jestem zajęty – odpowiedział, stukając palcami w gitarę. – Wykonuję ważną pracę dla rządu.

– Ale w domu jest bomba!

– Wiem – oznajmił, spoglądając na swoją klatkę piersiową. – Zostały trzy minuty!

– Duncan, musimy stąd jak najszybciej wyjść albo oboje zginieemy!

Znowu złapała go za rękę, ale ją odtrącił.

– Idź pierwsza – powiedział. – Dogonię cię później razem z mamą.

– Nie...

Miała ochotę wybuchnąć płaczem. W tym momencie niemal się poddała. Chciała rzucić się do ucieczki i zostawić ojca samego.

00.02.22... 21... 20...

Rozejrzała się dookoła, szukając natchnienia. Od jej ostatniej wizyty strych niewiele się zmienił. W kącie leżała tylko kupa gruzu pochodzącego z wybitej ściany, która oddzielała ich dom od domu pana Eliasa. Książki należące kiedyś do jej matki pokryte były warstwą ceglanego pyłu.

Ten widok sprawił, że zatęskniła za dawnymi czasami. Trudno się dziwić, że umysł Duncana szukał schronienia w przeszłości. Wtedy wszystko było łatwiejsze.

Nie, nie wszystko, pomyślała, doznawszy olśnienia.

– Duncan – powiedziała stanowczym głosem. – U pani Cole znowu popsuka się instalacja elektryczna.

– Tylko nie to – jęknął i odłożył gitarę. – Przecież dopiero co skończyłem ją naprawiać.

– Wiem! – powiedziała. – Odwaliłeś kawał dobrej roboty!

Stał niepewnie na nogach i podszedł do stojącej w ciemności córki. Widziała tylko jarzące się na zielono cyfry:

00.01.55... 54... 53...

Zbiegła po drabince tak szybko, że ledwo udało jej się utrzymać równowagę, krzywiąc się z bólu za każdym razem, gdy dotykała czegoś zranioną ręką.

– Dokąd idziemy?

Uniosła wzrok. Duncan zatrzymał się przy krawędzi włazu.

– Do pani Cole. Musimy jej pomóc. Pospiesz się!

– Kim jest pani Cole?

Spojrzała na niego przerażona. Do tej pory nigdy tego nie zapomniał. Ani razu! Od trzech lat pani Cole zajmowała ważne miejsce w ich życiu: była ostatnią deską ratunku, czymś, co zawsze łączyło Duncana z rzeczywistością. Teraz, kiedy najbardziej jej potrzebowała, po prostu zniknęła. Pamięć jej ojca przypominała niszczący gmach, od którego odpadały kolejne fragmenty elewacji.

Eve uczepliła się jego nogawki i mocno pociągnęła, żeby zachęcić go do zejścia na dół, ale wyrwał się i wrócił na strych.

– Tato! Duncan! Błagam cię! Nie chcę, żebyśmy zginęli. Musimy stąd uciekać!

Patrzył na nią nieobecny oczami, nawet jej nie rozpoznając. Wyświetlające się na jego piersiach cyfry zaczęły świecić na czerwono.

Została jedna minuta.

Eve chwyciła go za nogi i z całej siły szarpnęła. Zsunął się po drabince i zatrzymał na plecach córki, ale go odepchnęła. Był wyraźnie otumaniony i z trudem łapał oddech. Miała to gdzieś. Trudno, najwyżej połamie mu wszystkie kości. Złapała go za ramię, wyciągnęła z pakamery i położyła u szczytu schodów.

– Joe!

Joe sprawnym ruchem podniósł bezwładnego Duncana i przewiesił go sobie przez ramię jak niesionego na targ prosiaka.

– Uciekajmy! – wrzasnął. – Szybko!

Eve nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Zbiegli na dół i wyskoczyli na ulicę. Świat wyglądał jak na świątecznej widokówce: do bajkowych dekoracji dołączyły migające na niebiesko światła dwóch wozów strażackich sunących powoli wzdłuż College Road.

Joe postawił Duncana przy furtce. Podtrzymując go z obu stron, zeszli z krawężnika, przecisnęli się między samochodami i podeszli do budki telefonicznej, przy której w towarzystwie Agudy stał cały i zdrowy pan Elias.

A co, jeśli dom zaraz wyleci w powietrze? Nie miało to już żadnego znaczenia. Udało im się wyjść! Wybiegli na zewnątrz w ostatniej chwili, ale uszli z życiem i tylko to się teraz liczyło.

– Eve! EVE!

Aguda zerwała się nagle do biegu i zaczęła krzyczeć, wymachując ręką:

– Kładźcie się na ziemię! Na ziemię!

Wyraźnie wskazywała palcem na Duncana.

Eve błyskawicznie się odwróciła.

I dopiero wtedy, w bladym świetle ulicznej latarni, zdała sobie sprawę, że bomba jest przyczepiona do ciała jej ojca.

Eve! Uciekaj!

Powinna posłuchać policjantki. Nie miała przecież innego wyjścia.

Ale tego nie zrobiła.

Czerwone cyfry nie przestawały odmierzać uciekającego czasu.

13... 12... 11...

Joe złapał ją pod ramię, ale ona ani drgnęła. Miała wrażenie, że zatrzymało się jej serce. W ogóle nie czuła, żeby biło.

Stała jak wryta i patrzyła bezmyślnym wzrokiem na bombę przyklejoną do brzucha Duncana Singera brązową taśmą pakową: kable, rozmaite przełączniki i szara skrzynka, w której, jak podejrzewała, znajdował się plastyczny materiał wybuchowy. Wcześniej go nie widziała, ponieważ najpierw był zasłonięty gitarą, potem wszystko utonęło w ciemnościach, a na końcu zaślepiła ją panika.

Było za późno na ucieczkę.

Nic już nie dało się zrobić.

8... 7... 6...

– Eve! – jęknął Joe, ale jej nie puścił.

Miała wrażenie, że między jedną sekundą a drugą upływa cała wieczność. Przeżyła tysiąc różnych żyć, ale za każdym razem musiała podjąć tę samą decyzję...

5... 4... 3...

I zawsze dochodziła do tego samego wniosku.

– Kocham cię! – krzyknęła i przytulia się do ojca najmocniej, jak potrafiła.

Wziął ją w ramiona i powiedział:

– Czas się skończył.

Nigdy nie usłyszała wybuchu.



Bardzo powoli otworzyła oczy.

Nadal stali w śniegu na środku College Road.

Spojrzała na licznik.

00.00.00

– Nic nie wybuchło – powiedziała.

– Wiem – oznajmił Duncan i odsunął się od swojej córki. – Rozbroiłem ładunek.

Pokazał jej dwa druciki. Do jednego z nich przyklejona była żółta nalepka z bananów.

Z napisem „Fairtrade”.

– Zneutralizował bombę? – zapytał Joe, otwierając powoli oczy. – Mógł nas o tym poinformować!

Eve wybuchnęła śmiechem.

Na ustach Duncana również pojawił się uśmiech.

– Czasami mam ochotę umrzeć – oświadczył, a Eve od razu spoważniała.

– Ale jeszcze nie dzisiaj – dodał radosnym tonem. – Jeszcze nie dzisiaj.

## BOŻE NARODZENIE

Z rozkazu sierżant Emily Agudy Eve Singer przywitała Boże Narodzenie na szpitalnym oddziale ratunkowym przypominającym wyłożony linoleum czyściec dla pijaków, pełen krwi i wymiocin.

Miała zwichnięty kciuk i kiedy w jej żyłach przestała krążyć adrenalina, nastawienie palca okazało się boleńsze niż jego wybicie. Co więcej, z jakiegoś dziwnego powodu pracownicy publicznej służby zdrowia uznali, że do wykonania tego rodzaju operacji niepotrzebne są środki znieczulające.

Eve związała się z bólu. Aguda nie była w stanie tego wytrzymać, więc odepchnęła milczącą pielęgniarkę, otworzyła szafkę z lekami, wyjęła z niej strzykawkę oraz buteleczkę morfiny i zrobiła Eve uśmierzający zastrzyk, wszystko na oczach wściekłego i przemęczonego lekarza stażysty.

– Złożę na panią skargę u komendanta! – krzyknął.

– A ja opowiem o tym, co pan robi, Hipokratesowi – powiedziała spokojnym głosem, naciskając tłok strzykawki. – Wygrałam!

\*\*\*

Kiedy Emily Aguda zmagala się z publiczną służbą zdrowia i po raz kolejny została przez kogoś niedoceniona, Huw Rees siedział przy swoim biurku w niemal pustym biurze i oglądał nagrania znalezione na potłuczonym, ale wciąż działającym iPhone mordercy.

Inspektor nie miał żadnych skrupułów, żeby użyć zakrwawionego kciuka Vandenberg do odblokowania telefonu, zanim ciało zostało zapakowane do czarnego worka. Nie miał jednak żadnych szans na przekazanie urządzenia technikom na tyle szybko, żeby zdążyli wykonać swoją pracę przed wybuchem bomby, która obróciłaby oba domy w perzynę. To prawdziwy cud, że ładunek został rozbrojony przez szalonego ojca Eve Singer.

„Dzięki Bogu za szkolenia BHP”; po raz pierwszy w swoim życiu Huw Reesowi na coś się przydały.

Żeby w spokoju obejrzeć zawartość telefonu, potrzebował jednak prywatności i właśnie dlatego zaszył się w swoim gabinecie.

Dobrze, że tak zrobił.

Na karcie pamięci zapisane były filmy ze wszystkimi ofiarami.

Oglądanie tych nagrań wymagało ogromnego wysiłku, ale nie miał innego wyboru. Czasem robiło mu się niedobrze, czasem zaciskał zęby z wściekłości, a czasem zasmucony słuchał rozdzierających serce błagań i patrzył, jak morderca bez mrugnięcia okiem odbiera komuś życie.

Było tutaj wszystko, również nagranie z Eve Singer zrobione w Tate Modern, które obejrzał jednocześnie przerażony i zafascynowany.

Nie był w stanie rozpoznać dwóch ofiar: dziewczyny zaduszonej własnym szalikiem w jakimś ciemnym miejscu i młodego mężczyzny w samej bieliźnie, który nie wiedział, co się święci, i stał po kolana w śniegu, trzęsąc się z zimna. Inspektor nie znalazł niestety biednej Siobhan Mackie, ale mimo to zawartość smartfona pozwalała zakończyć dwie sprawy i poinformować o wszystkim rodziny. Mógł poczuć jakąś ponurą satysfakcję, jednak Rees nie był w nastroju do świętowania.

Natrafił też na kilka innych filmików, ale nie było tego dużo. Obejrzał je w porządku chronologicznym. Na większości była matka Vandenberg. Leżała martwa we własnym łóżku, w różnych stopniach rozkładu. Były jeszcze zakurzone zasłony, między którymi prześwitywało słońce, oraz stojąca na podłodze z drewna wiśniowego rozbebeszona pralka.

Marki Hotpoint.

Kiedy Huw Rees zaczął oglądać ostatecznie klipy, była już piąta nad ranem.

Na wszystkich był Duncan Singer.

Inspektor zaczął się niespokojnie wiercić. Bał się tego, co zaraz zobaczy. Miał już dość tortur i okrucieństw.

Na pierwszym nagraniu Duncan powoli obchodził rozłożoną na czynniki pierwsze pralkę. Od czasu do czasu zadawał jakieś pytanie albo z zachwytem w głosie komentował to, co widzi.

„Silnik to prawdziwy cud, prawda?”

„O mój Boże, chowanie takiego bębna powinno być przestępstwem”.

„Już nie robią takich cacek, prawdziwy majstersztyk”.

Po każdym takim stwierdzeniu odzywał się morderca. Mówił lekko zniekształconym głosem, ponieważ mikrofon znajdował się zbyt blisko jego twarzy.

„Rozmontowanie go zajęło mi strasznie dużo czasu. Musiałem znaleźć wszystkie złącza”.

„Uwielbiam bębny. Ten naprawdę pięknie się świeci!”

„Niestety teraz używają plastiku”.

Rees było nieco zdziwiony, ponieważ Vandenberg sprawiał wrażenie... szczęśliwego. Zachowywał się jak uczeń chwalony przez ulubionego nauczyciela. Za każdym razem, gdy pan Singer wyraził jakąś pochlebną opinię, morderca dosłownie skręcał się z radości.

I na tym nagraniu się skończyło.

Inspektor zaczął odtwarzać następny film.

Duncan i Vandenberg siedzieli naprzeciwko siebie po turecku, a telefon musiał stać gdzieś obok. Duncan składał na podłodze jakieś małe urządzenie, z którego wystawały różne druciki.

Ich głowy niemal się stykały.

Nie dało się usłyszeć, o czym rozmawiają, ale było jasne, że jeden gra rolę życzliwego mistrza, drugi zaś pokornego ucznia. Duncan trzymał w ręku jakiś element. Wskazał na niego śrubokrętem, a później o coś poprosił. Morderca na chwilę zniknął z kadru i wrócił ze słoikiem pełnym gwoździ...

A więc robili bombę. Miała zabić pierwsza osoba, która wejdzie na strych podczas policyjnego nalotu.

Skonstruował ją Duncan Singer.

A potem rozbroił i oznaczył firmową nalepką.

Wiedział dlaczego? Czy w ogóle zdawał sobie sprawę, czym się zajmuje? Chciał uratować komuś życie? A może po prostu zadziałał instynkt i Duncan podświadomie uznał, że najważniejsze jest bezpieczeństwo?

Na ostatnim klipie miał już na sobie drugą bombę, która miała eksplodować w święta, i wyjaśniał Vandenbergowi zasadę jej działania.

Potem wszedł do ogromnego pudła z kartonu. W kadrze pojawiły się ręce i po chwili zabójca zamknął grube klapy nad głową swojej ofiary.

A potem znowu je otworzył.

– Cześć! – powiedział Duncan i zaczął machać ręką. Vandenberg wybuchnął radosnym śmiechem. Zachowywał się jak mały chłopiec, któremu ktoś powiedział, że jest kimś wyjątkowym.

Huw Rees dobrze znał to uczucie i w jego oczach pojawiły się łzy. Było ich tak dużo, że musiał wydmuchać nos.

– Oglądasz coś smutnego?

Zamarł z przerażenia.

To była Veronica Creed.

Nie usłyszał, jak otworzyła drzwi i przeszła przez biuro. Nie miał pojęcia, jak długo stała za jego plecami i oglądała nagrania.

Oraz obserwowała jego reakcję.

– Tylko się przeziębilem – odpowiedział szorstko.

Creed zaczęła mu się uważnie przyglądać, ale nawet się nie uśmiechnęła. Miała na sobie sweter z małym kotkiem i naszytym pomponem z wełny, który wyglądał jak wyrastająca z jej żeber fioletowa narośl.

– To filmy z telefonu Vandenberg?

– Tak.  
– Nie mogę się doczekać, kiedy sama je obejrzę – powiedziała.  
Właśnie tego się obawiał. Wstał z krzesła i zdjął wiszącą na oparciu kurtkę.  
– Muszę lecieć – oznajmił, starając się zachować pewność siebie, chociaż czuł, że ogarnia go niepokój. – Czeka mnie w domu wielkie odpakowywanie.  
– Odpakowywanie? – zapytała, przekrzywiając głowę jak złośliwy skrzat.  
– Chodzi o prezenty gwiazdkowe – wyjaśnił.  
– No tak, oczywiście.  
Rees włożył telefon do kieszeni. Zauważył, że Veronica Creed śledzi każdy jego gest. Podszedł do drzwi i z trudem opanował chęć rzucenia się do ucieczki.  
– Wesołych Świąt, pani Creed.  
– Panno Creed – poprawiła go.  
\*\*\*

Wyszedł z gmachu Scotland Yardu i zobaczył, że wszędzie zalega gruba warstwa śniegu. Wyglądało na to, że bukmacherzy chyba nigdy nie odrobiją strat.

Spojrzał na zegarek. Siódma rano. Holly i Bronwyn na pewno już wstały, żeby rozpakować prezenty. Maureen bez wątpienia każe im poczekać na ojca, więc powinien się pospieszyć.

Podszedł do swojego auta, wsiadł do środka i włożył kluczyk do stacyjki, po czym niemal od razu zapadł w kamienny sen. Obudził się dopiero, gdy było już po wszystkim. Od następnego Bożego Narodzenia dzielił go prawie cały rok.

Właśnie skończyli świąteczny obiad. Eve miała w zamrażalniku tylko resztkę lasagne, ale na całe szczęście pan Elias oświadczył, że kupił o wiele za dużo jedzenia jak dla jednej osoby i chętnie się podzieli. Morderca całkowicie opróżnił jego lodówkę i zostawił wszystko na podłodze w kuchni. Dzięki temu nie trzeba było niczego rozmrażać.

Przyrządzili więc indyka z dodatkami. Pan Elias przyniósł też wino, świąteczny pudding oraz strzelające crackersy z niespodziankami w środku. Eve czuła się trochę głupio, ale sąsiad najwyraźniej nie miał nic przeciwko wspólnej biesiadzie.

Potem otworzyli prezenty. Pan Elias podarował Eve małą doniczkę z białymi hiacyntami, które pachniały wiosną, a od Joego dostała urządzenie do przycinania żywopłotu.

– Nie wiem, jak się tego używa – oznajmiła z filuternym błyskiem w oku.

– Ale ja wiem – odpowiedział.

Eve kupiła swoje upominki w sklepie wielobranżowym na stacji metra, który dzięki Bogu był otwarty również w pierwszy dzień świąt. Zaskoczył ją wybór towarów, które można było tam znaleźć, jeśli rzecz jasna odpowiednio się poszukało.

Pan Elias otrzymał kalendarz ogrodnika, a Joe szklaną kulę ze śniegiem i figurką yeti w środku. Eve znalazła nawet twarde cukierki, które wyglądały jak gałki oczne. Włożyła jeden do crackera i wręczyła go Duncanowi.

– Właśnie tego chciałem – krzyknął z zadowoleniem, gdy wyglądająca dość makabrycznie kulka potoczyła się po obrusie.

Kiedy zrobiło się późno, Joe pomógł Eve posłać stojące w pakamerze łóżko, na którym miał spać pan Elias. Nazajutrz planowali pójść razem do domu sąsiada i pomóc mu w sprzątaniu zostawionego przez mordercę bałaganu.

Pomyślała, że być może powinna odkupić panu Eliasowi pianino.

I wtedy to wszystko do niej dotarło.

Każdy szczegół.

Usiadła na zapasowym łóżku i kompletnie się rozkleiła.

Joe delikatnie ją objął i zaczął uspokajać, a pan Elias taktownie wycofał się do łazienki.

Po jakimś czasie skończyły się jej łzy.

– Nie spodziewałam się, że dożyję tych świąt – powiedziała z westchnieniem.

– Bardzo się cieszę, że z nami jesteś – szepnęła Joe, odgarniając z jej oczu wilgotne włosy.

– Ja też – przytaknęła.

– Twój tata również jest szczęśliwy.

– Tak, na pewno. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że jego stan już się nie poprawi... Nie będzie łatwo i pewnego dnia Duncan umrze... Najgorsze, że mam z nim coraz mniejszy kontakt... – Zawiesiła głos.

Joe pokiwał głową i zrobił ponurą minę, po czym oświadczył:

– Ludzie, którzy zostawiają po sobie coś pięknego, nigdy nie umierają.

Eve załapała się rumieńcem, ale po chwili się uśmiechnęła i wbiła wzrok w złożone na kolanach dłonie.

– To bardzo ładne. Kto tak powiedział? – zapytała.

– Ja! – Wyszczrzył zęby. – Sam to wymyśliłem – dodał i pocałował ją delikatnie w usta.

– Jesteś dla mnie za młody – powiedziała bez szczególnego przekonania.

– Nieprawda – zaprzeczył i jeszcze raz ją pocałował. – Widzisz?

– No tak, znowu się pomyliłam.

\*\*\*

Pożegnali się z panem Eliaszem i zeszli na dół. Duncan wciąż oglądał telewizję.

Usiedli na kanapie tak blisko siebie, że stykali się niemal całym bokiem, od ramion do kolan. Cały czas trzymali się za ręce.

Od *Jak to się robi* nie było wytchnienia. W zupełnie niepasującym do świąt odcinku autorzy programu wzięli na warsztat słomki do napojów, chodaki i opony rowerowe.

– Widziałeś to wcześniej, tato? – zapytała Eve.

Duncan zmarszczył czoło.

– Oczywiście! – powiedział. – Z pięćdziesiąt razy!

Wydawało się, że czerwone wino przywróciło jego dawną osobowość: był bardziej jowialny i miał lepszy kontakt z rzeczywistością. Eve zdawała sobie sprawę, że w jego mózgu zaszły nieodwracalne zmiany, ale to ciągle był jej ojciec i wciąż mogła być blisko niego, dotykać go i otaczać troską.

Obserwując, jak ogląda telewizję, poczuła wdzięczność. Między brwią a policzkiem przytrzymał kulistę cukierek i udawał, że to jego oko. Sprawiało mu to ogromną radość. Od czasu do czasu brał go do ręki i przyglądał mu się uważnie.

A potem lizał i przykładał z powrotem.

– Tato, nie rób tak.

– Kto to jest tata?

Eve spojrzała na Joego, udając zniecierpliwienie.

– Gdyby był nieśmiertelny, musiałabym go zabić!

\*\*\*

Wreszcie Duncan zasnął i zaczął pochrapywać.

W telewizorze pojawiła się czołówka kolejnego odcinka *Jak to się robi*.

– Na BBC1 będą puszczać *Szczęki* – wyszeptał Joe.

– Doskonały film na Boże Narodzenie – odparła szeptem Eve.

Duncan cały czas trzymał w ręku pilota. Eve chciała mu go zabrać, ostrożnie, żeby nie obudzić ojca. Niestety nagle się poruszył i ośliniony cukierek ześlizgnął się po jego swetrze.

Joe zaczął chichotać, a Eve na chwilę zamarła w bezruchu.

Na szczęście Duncan znowu chrapnął i Eve z chirurgiczną precyzją wysunęła pilota z jego dłoni. Nacisnęła guzik, żeby zmienić kanał, ale nic się nie stało. Próbowwała ustawić urządzenie pod różnymi kątami, lecz bez żadnego rezultatu. Otworzyła pokrywkę, pod którą powinny być baterie, ale w środku znalazła tylko nalepkę „Kup jeden, drugi dostaniesz za darmo!”.

Wybuchnęła śmiechem.

– A niech to! Idziemy spać!

Tak też zrobili.

Ale najpierw musieli wepchnąć Duncana Singera na górę po schodach.

We dwójkę było to jednak dużo łatwiejsze.

## Podziękowania

Chciałabym z całego serca podziękować za cierpliwość, kompetencję i dobry humor mojej agentce Jane Gregory oraz redaktorom Frankie'emu Grayowi, Sarah Adams, Stephanie Glencross i Amy Hundley.

Pragnę również wyrazić wdzięczność Johnowi Fisherowi, maratończykowi po przeszczepie serca, który prowadzi stronę internetową ttab.co.uk. Bardzo pomogły mi jego wnikliwe uwagi i spostrzeżenia dotyczące psychologii, objawów pooperacyjnych i życia z cudzym organem w piersi. John, nie poddawaj się i biegaj dalej...

Huw Rees zagościł na kartach tej powieści jako jeden z bohaterów, ponieważ wygrał aukcję charytatywną na rzecz organizacji Clic Sargent, która zajmuje się dziećmi chorymi na raka i ich rodzinami. Składam mu serdeczne podziękowania, nie zapominając o pozostałych uczestnikach, którzy tak skutecznie podbijali cenę!